



Barcelońskie sny

Núria Pradas

Wydawnictwo
wab

Núria Pradas

BARCELÓŃSKIE SNY

przełożyła Aleksandra Wiktorowska

Moim rodzicom

Część pierwsza
Sercem i rozumem

Camprodon, lato 1926

To było przyjemne popołudnie, bez najłżejszego podmuchu wiatru. Wiosenne, pachnące słońcem. Nowiutki żółty boattail sunął po szosie obsadzonej wiązami. Nie tak dawno minęli Sant Pau de Segúries i zbliżali się do Camprodonu.

Ferran prowadził skupiony na drodze. Obok siedziała Roser, jego żona. Podziwiała w ciszy kolumnadę drzew, utkwivszy w nich swoje wielkie sarnie oczy, niemal ukryte pod kloszowym kapeluszem nasuniętym na czoło. Nagle zza koron drzew błysnął promień słońca, wszystko wydało się dzięki niemu nowe i weselsze, a jego blask odbił się w spojrzeniu Roser. Odwróciła głowę i popatrzyła z uśmiechem na męża. Jej dłoń w rękawiczce spoczęła na jego ramieniu. Ferran poczuł na sobie to przelotne spojrzenie i pieśczoć i podziękował za nie swoim najlepszym uśmiechem, nadal skoncentrowany na drodze pełnej zakrętów, rozpościerającej się przed nimi. To była kwestia paru sekund. Paru sekund, kiedy obydwójce, Ferran i Roser, zapomnieli o zmartwieniach, które niczym gęste chmury kłębiły im się w głowach.

Małżeństwo Ferrana Closa i Roser Molins było związane z jednym z najbardziej prestiżowych domów mody w Barcelonie: z Santa Eulalią. Roser była córką Antoniego Molinsa Gila, który zarządzał firmą do swojej śmierci w tysiąc dziewięćset siedemnastym roku, i siostrą obecnego właściciela, Andreu Molinsa Rosa.

Ferran Clos rozpoczął pracę w Santa Eulalii w tysiąc dziewięćset osiemnastym roku w nader niezwykłych okolicznościach. Na początku zajął stanowisko sprzedawcy w dziale konfekcji męskiej, lecz bardzo szybko młody dyrektor Andreu Molins odkrył w nim uzdolnionego artystę rysownika, znającego się na łączeniu barw i tkanin. Ferran Clos doskonale pasował do Santa Eulalii, był niczym brakujący trybik w maszynie, a Andreu Molins postanowił nie zaprzepaścić tego potencjału odpowiadającego planom rozrostu rodzinnej firmy. Tym oto sposobem narodził się niezwykły tandem, który wprowadził Santa Eulalię w jej złoty wiek. Dzięki pomysłowości Andreu Molinsa, przedsiębiorcy przewidującego i operatywnego, oraz twórczej pasji Ferrana Closa to, co z początku było jedynie skromnym sklepem bławatnym, wkrótce stało się punktem odniesienia dla barcelońskiego świata mody.

Poza uwielbianą pracą na wielce odpowiedzialnym stanowisku Santa Eulalia zrobiła Ferranowi jeszcze jeden niespodziewany prezent: Roser. Kiedy ją poznał, była osiemnastoletnią dziewczyną, dość wysoką blondynką o sylwetce mającej niewiele wspólnego z kanonem urody tamtych czasów, wątlejszej i bardziej chłopięcej. Roser miała śnieżnobiałą cerę, rzymski nos, wąskie usta, na których rzadko gościł uśmiech, i wielkie ciemne oczy o melancholijnym spojrzeniu. Nawet kiedy była zadowolona, na pierwszy rzut oka wydawała się raczej smutna. Ale tylko na pierwszy rzut oka, wystarczyło bowiem zdobyć jej zaufanie, żeby wiedzieć, że te oczy potrafiły śmiać się figlarnie, a usta rozciągać w uśmiechu, co zresztą robiły, kiedy miała na to ochotę,

z pociągającą niewinnością.

Była ponadto doskonale wykształcona, należała do tych osób, które, w opinii starszych, potrafią się znaleźć, umiała zarówno śledzić dyskusję, jak i, jeśli było to wskazane, zabrać w niej głos, nie na darmo pobierała nauki w najlepszych żeńskich szkołach katolickich Barcelony. Poza tym odznaczała się wrodzoną elegancją, niemal arystokratyczną, dzięki której błyszczała na każdym spotkaniu i skupiała na sobie prawie wszystkie spojrzenia, kiedy idąc pod ramię z ojcem lub bratem, schodziła po głównych schodach Gran Teatre del Liceu.

Ferran zakochał się w niej, bo tracił głowę dla każdej napotkanej pięknej dziewczyny. Ale w Roser zakochał się w inny sposób, od razu umiał dostrzec, że dzięki niej w jego życiu pojawi się nowy stan: stabilizacja, a dokładnie tego składnika brakowało w przepisie na jego egzystencję, do tej pory aż nazbyt burzliwą, ze skłonnością do wykołajeń. Pobrali się w Sant Pau del Camp osiemnastego maja tysiąc dziewięćset dwudziestego pierwszego roku. Ferran miał dwadzieścia pięć, a Roser dwadzieścia jeden lat. I choć trudno było zaprzeczyć, że Ferran zdobył pozycję w Santa Eulalii samodzielnie, dzięki własnemu talentowi, było równie oczywiste, że dopiero ten sakrament sprawił, że spełniły się jego marzenia o spowinowaceniu z jedną z najznakomitszych rodzin w mieście. Teraz był częścią firmy w pełnym tego słowa znaczeniu. Rozpościerała się przed nim niewątpliwie obiecująca przyszłość i realizował się jeden z jego najskrytszych celów, tych, które wyznaczył sobie zimą tysiąc dziewięćset osiemnastego roku, kiedy przybył do Barcelony i do Santa Eulalii z listem od swojego ojca, doktora Closa.

Jednak zanim nastał ten przepiękny majowy poranek, w który odbył się ślub, miało miejsce wiele zdrad, tajemnic i kłamstw.

I rozpacz.

Wielka rozpacz.

Roser ponownie zapatrzyła się w drzewa. Jakże szybko migwały jej przed oczami! O mało co, a zakręciłoby jej się w głowie. Pomyślała, że równie szybko minęło jej pięć lat małżeństwa z Ferranem.

Mających niewiele wspólnego z tym, jak je sobie wyobrażała. Wszyscy wróżyli im wspaniałą przyszłość. I z pewnością nie mogła narzekać na życie, które wiodła przy boku męża: podróże, przyjęcia... Miała wszystko, zanim jeszcze zdążyła o tym pomyśleć. Takiego życia zawsze pragnęła, do takiego została przyuczona, a mimo to nie była szczęśliwa.

Roser zakochała się w Ferranie, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy w sklepie. Był młodym mężczyzną, od którego biły serdeczność, pewność siebie i witalność. Nie nazbyt wysokim, za to bardzo eleganckim. Jasnokasztanowe włosy, lśniące od pomady, nosił zaczesane gładko do tyłu. Na jego ustach niemal zawsze gościł łobuzerski uśmiech, równie figlarnie spoglądały jego oczy, małe i żywe, łudząco przypominające szklane kulki z kolorowymi żyłkami w środku, którymi bawią się dzieci. Zawsze dbał o swój wygląd i ubierał się stylowo. Roser uwielbiała, kiedy całując, łaskotał ją delikatnie krótko przystrzyżonym wąsikiem. Jakże całował! Dzisiaj te czasy wydawały jej się bardzo

odległe, czasy zalotów, najpiękniejszych komplementów, cotygodniowych płomiennych listów, pełnych niedających się wymówić słów, które można było jedynie napisać.

To były najpiękniejsze lata w życiu Roser. Szczęśliwe. Tak. Roser była wówczas szczęśliwa, żyła pełną piersią, szczerze i radośnie.

I z nadzieją.

Jej dni mieniły się na złoto i na niebiesko.

Tak było, zanim nadciągnęły nieobecności, ucieczki i podejrzenia.

Podejrzenia.

Ileż podejrzeń!

Zaczęły się przed ślubem. Jednak wówczas Roser przepelniała jeszcze nienadwyreżona nadzieja. I niewinność. Myślała, że kiedy staną się już mężem i żoną, uda jej się okiełznać płochliwego zwierza, którego Ferran zdawał się nosić w sercu.

Ale myliła się. Drapieżnik okazał się nieposkromiony. Pod płaszczykiem sympatii i uroku skrywał się wielki kobieciarz, osobnik nieodpowiedzialny do granic możliwości, egoista, a równocześnie szarmancki mężczyzna, któremu trudno było się oprzeć. I tak w miejsce podejrzeń pojawiła się pewność. Ich szczęście zaczęło się kruszyć. Ferran cały czas powtarzał, że ją kocha. I kochał! Ale nie tylko ją.

Czas płynął, a Roser z utęsknieniem wyczekiwała nadejścia dzieci, które scementowałyby ich kruchy i delikatny związek. Jednak nie pojawiały się, a ich nieobecność kładła się na jej życiu cieniem, z dnia na dzień coraz dłuższym.

Na początku brak dzieci był jedynie kolejną frustracją. A ponieważ była, kim była, i została nauczona, by doskonale odgrywać przypisaną jej w społeczeństwie rolę, Roser potrafiła ukryć głęboko rozczarowanie i udawać radość, której nie czuła. Bywała na przyjęciach, śmiała się, tańczyła i pocieszała myślą, że zarówno ona, jak i jej mąż są młodzi i mają jeszcze dużo czasu, żeby zostać rodzicami. Lecz z każdym mijającym miesiącem, gdy jej wielkie pragnienie pozostawało wciąż niezaspokojone, pociecha przeradzała się w smutek, a marzenia poczęły rozpląwać się w niemej wściekłości, która przepelniała jej duszę.

Z biegiem czasu rozczarowanie zamieniło się w obsesję. Smutek był tak wielki i przepastny, że nie umiała go już dłużej ukryć i postanowiła porozmawiać o tym z Ferranem.

– Dzieci pojawią się w swoim czasie, kochanie, nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Powinnaś po prostu w to uwierzyć i przestać się zamartwiać.

Ale słowa Ferrana wlatywały jednym, a wylatywały drugim uchem, nie docierając do jej serca. Roser co chwila popadała w czarną rozpacz, a wówczas narastało w niej poczucie tęsknoty i zawodu.

Co innego Ferran, który natychmiast zapominał o zmartwieniu swojej młodej żony. I choć chciał być ojcem, uważał, że nie to było teraz najważniejsze. Jakże bogate miał bowiem życie! W sekrety, miłości, pracę i projekty...

Projekty! Projekty Andreu i Ferrana! To dzięki nim Santa Eulalia, do niedawna stare magazyny przy Pla de la Boqueria, stały się nowoczesną firmą, zainspirowaną najnowszymi paryskimi trendami, która była o krok od wprowadzenia do Barcelony *haute couture*.

Zwłaszcza ostatni projekt. Roser na zawsze zapamiętała wyraz twarzy Ferrana, kiedy opowiadał jej o nowym wyzwaniu, którego postanowili podjąć się wraz z Andreu.

– Chcemy stworzyć własną kolekcję. Pierwszą. W całości naszą. O niepowtarzalnym stylu.

Roser czesała się właśnie przed toaletką w sypialni. Miała na sobie jedynie rodzaj *dessous* w cielistym kolorze z krótkimi reformami, ostatni krzyk mody, zdobione wstążkami z chińskiej krepy w truskawkowym kolorze. W odbiciu w lustrze widziała, jak jej mąż nerwowo krąży po pokoju, opowiadając entuzjastycznie o projekcie. Nie mógł ustać w miejscu i nadmiernie gestykułował, impulsywny jak zwykle.

– Pamiętasz butik Madeleine Vionnet na Piątej Alei?

– Naturalnie! Zachwyciłeś się nim. Przez cały tydzień nie mówiłeś o niczym innym – odpowiedziała z uśmiechem Roser.

– To prawda. I na pewno pamiętasz dlaczego – odrzekł Ferran coraz bardziej rozentuzjasmowany. – To nie tylko sklep z modnymi ubraniami. Nie, to znacznie więcej. Tam, Roser, widać geniusz artysty, wielkiej artystki. Po raz pierwszy zobaczyłem wyraźnie, jak ważna w świecie mody jest kreatywność. Niezwykłe odkrycie!

– Tak samo jest we wszystkich wielkich domach mody w Paryżu. Nie zapominaj, że Vionnet jest Francuzką. Jej moda również. A jeśli o modę chodzi, wszystko, co dobre, niezwykle, jak sam mówisz, jest francuskie – podkreśliła Roser, pewna swojej opinii.

– Nie, kochanie, Vionnet jest kimś znacznie więcej. Jej niezwykłość polega na czymś innym. Udało jej się odnieść sukces za oceanem. A wiesz, jak tego dokonała? Narzucając klientkom swój styl, a zamówienia i kroje dopasowując do własnego twórczego geniuszu. Jest nie tylko krawcową. To bez wątpienia artystka!

Ferran przymknął powieki, tak jakby chciał oczyma wyobraźni zobaczyć kreacje Madeleine Vionnet w całym blasku. Kiedy znów się odezwał, w jego głosie było jeszcze więcej entuzjazmu.

– Przypominasz sobie te suknie ze skosu? Rozumiesz, co chcę powiedzieć? To właśnie mam na myśli: innowację! Ukośne fałdy pozwalające zachować pożądaną linię nawet w ruchu, bluzki z odkrytymi ramionami... Jednym słowem: zmysłowość! Zupełnie nowa moda, która dostosowuje się do klientek. Nie mówiąc już o tkaninach. Cóż to były za materiały! Co za pomysłowość: krepy z Chin, szyfony, satyny, jedwabie...

Ferran zamilkł, pogrążony w myślach. Roser, ze szczotką w dłoni, odwróciła się, żeby na niego spojrzeć. Wreszcie odezwał się, tym razem głosem bardziej opanowanym: z łatwością zamieniał swoje myśli w słowa.

– Do tej pory w Santa Eulalii ograniczaliśmy się do dostarczania francuskich produktów. Największą aspiracją naszych klientek było ubierać się zgodnie z paryską modą.

– I zaoferowaliśmy im wszystko, co w tej modzie najlepsze, nie sądzisz? – rzekła Roser, wstając, jej wielkie szeroko otwarte oczy przepełniała ciekawość, którą budziła w niej ta rozmowa.

Ferran podszedł bliżej żony.

– To nie wystarczy, Roser! Teraz proponujemy im kreacje, modę, która je wyróżni. Wszyscy będą wiedzieć, kto ubiera się w Santa Eulalii, jaki jest nasz styl.

Zaprezentujemy tę nową modę na wielkim pokazie.

Roser wybuchnęła śmiechem.

– Na pokazie? Takim jak te, które oglądaliśmy w Paryżu?

– Lepszym, znacznie lepszym. To będzie prawdziwe widowisko i...

– Nie rozpędzaj się tak!

– Wydaje ci się, że śnię na jawie? Jak w tej bajce o mleczarce, prawda? – zauważył nieco urażony.

– Pytasz, czy w ciebie wątpię? W żadnym wypadku, kochanie. Jesteś w stanie osiągnąć, co tylko sobie założysz. Nie mam najmniejszych wątpliwości. A jeśli pomaga ci jeszcze mój brat uparciuch...

Odwróciła głowę w stronę lustra toaletki. Zaczęła się czesać, kiedy nagle słowa męża wprawiły ją w zakłopotanie.

– Dlatego pomyślałem, że moglibyśmy wybrać się na jakiś czas do willi twoich rodziców w Camprodonie.

Po kilku sekundach zupełnej ciszy Roser zwróciła się do męża wyraźnie zaskoczona:

– Do Camprodonu? Ależ... od stu lat tam nie byłam! Nie znasz nawet tego domu. Po jakie лихо mamy jechać do Camprodonu?

– Nie jest mi to w smak, zaręczam! Wiesz dobrze, jaki ze mnie mieszczuch. Ale Andreu naciskał. Mówi, że nie chce, żeby cokolwiek nas rozpraszało. Kolekcja musi być gotowa na wrzesień. Uważa, że potrzebujemy paru miesięcy odosobnienia w samym sercu Pirenejów.

– Andreu, a jakże!

Oczy, usta, nawet gesty Roser, wszystko wyrażało jej niezadowolenie. Sposób, w jaki jej brat zwykł załatwiać sprawy, doprowadzał ją często do białej gorączki. Dlaczego nigdy z nikim niczego nie konsultował? Ta kwestia dotyczyła również i jej, a mimo to dowiadywała się o wszystkim ostatnia.

– Jest wiele miejsc, w których mógłbyś spokojnie rysować i nikt by ci nie przeszkadzał. Dom w Camprodonie jest... mało przytulny. Od śmierci taty mama jeździ tam tylko na parę dni w sierpniu, a Andreu i jego rodzina prawie nigdy. Nie rozumiem, skąd w ogóle przyszło mu do głowy, żeby zaproponować ci przygotowanie kolekcji w Camprodonie! – powiedziała, a jej twarz wykrzywiła się jeszcze bardziej. – Wcale mi się to nie podoba!

Odłożyła szczotkę na toaletkę i wbiła oczy pełne łez w białe lampeczki w kształcie tulipanów okalające lustro. Ferran ruszył w stronę drzwi, zapalając po drodze papierosa. Na odchodnym, kiedy myślami był już bardzo daleko, pochłonięty innymi sprawami, rzucił:

– Choć, jeśli wolisz zostać w Barcelonie, zrozumiem. Będzie mi trochę przykro, ale zrozumiem. Całymi dniami będę rysował. Nie chcę, żebyś się nudziła... Mogę pojechać sam.

– W żadnym razie!

– W żadnym razie!

Taka była odpowiedź Roser, kiedy Ferran zaproponował, że mogłaby zostać sama w Barcelonie. Pojechałaby za nim wszędzie. I właśnie dlatego kierowali się do Camprodonu w to słoneczne wiosenne popołudnie.

Na miejsce dotarli o pierwszej. Po pokonaniu ostatniego zakrętu wjechali do miasteczka, po czym przedostali się aż do deptaku Font Nova.

Był to pierwszy deptak w Camprodonie, nieodłącznie związany z osobą doktora Roberta, który propagował ideę spędzania letnich wakacji w tej miejscowości wśród barcelońskiej burżuazji. Biegł od Camí de Dalt aż do źródelka. Wysadzono go drzewami, postawiono kamienne ławki, na stalowych łukach zainstalowano nawet oświetlenie elektryczne i niemal natychmiast zaczęły przy nim pączkować wielkopańskie wille.

– Cóż za wspaniałe miejsce! – zachwycił się Ferran, usiłując przekrzyczeć warkot silnika.

– To prawda, choć z tego, co słyszałam, niejaki Maristany pracuje właśnie nad projektem drugiego deptaka, krążą słuchy, że będzie on jeszcze ładniejszy – odpowiedziała Roser, wskazując równocześnie palcem otwartą żelazną bramę. – To tutaj.

Przejechali przez nią i ruszyli dalej drogą obsadzoną drzewami, która doprowadziła ich do wielkiego trzypiętrowego domu o podstawie kwadratu. Elewacja, pokryta w narożnikach gipsem, urozmaicała bryłę i przydawała jej kolorów. Willę okalał gęsty ogród. Samochód zatrzymał się przed wejściem, silnik zamilkł.

– Wspaniały!

Ferran, wysiadłszy z samochodu, podziwiał rezydencję, oczarowany. Roser wysiadła za nim i teraz również ona spoglądała na dom, w którym spędziła tyle letnich wakacji. W ogrodzie gałęzie kołysały się lekko, szeleszcząc przy delikatnych podmuchach wiatru. Miała wrażenie, jakby czas zatrzymał się na pustej scenie. Wzdrygnęła się, jednak nie z powodu zimna. Natychmiast poczuła delikatne ciepło brązowego aksamitnego płaszcza, którego przezorny i czuły Ferran poszedł poszukać w samochodzie, po czym zarzucił jej na ramiona. Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Razem ruszyli w stronę frontowych drzwi, ale nim zdążyli do nich dojść, otworzyły się na oścież i stanęła w nich korpulentna kobieca postać.

– Agustina! – zawołała donośnie Roser i niby mała dziewczynka, którą niegdyś była, biegiem pokonała schody i rzuciła się kobiecie na szyję.

– Witamy, szczęśliwe oczy moje, które panienkę znów widzą. Myśleliśmy, że już o nas panienka zapomniała.

Agustina i jej mąż Tomás byli administratorami posiadłości i dbali o nią przez cały rok. Uściskała Roser z oczami pełnymi łez wzruszenia. Dziewczyna uwolniła się z ramion przyzwyczajonych do ciężkiej pracy, żeby lepiej jej się przyjrzeć. Zauważyła, że Agustina nie była już tą samą kobietą, której obraz zachowała w pamięci. Czoło miała poorane zmarszczkami, a pod oczami fioletowe wory, jednak na ustach malował się ten sam uśmiech co zawsze.

Weszli do domu. Agustina poprowadziła ich do wielkiej jadalni z kasetonowym stropem, która wychodziła na rozległy ogród. Jedną ze ścian zajmował długi rząd bardzo dużych okien z kolorowymi witrażami i kiedy oświetlało je słońce, dochodziło do

zachwycającej eksplozji barw, przypominającej sztuczne ognie.

Roser zdążyła zdjąć kapelusz i przeczesywała palcami krótkie jasne włosy, ostrzyżone modnie i ekstrawagancko *à la garçon*. Zatarłe wspomnienia wyzierały z każdego kąta. Mgliste i drżące, niczym cienie na dnie jeziora.

Zbladła.

– Jest pani blada jak ściana. Dobrze się pani czuje?

– Trochę kręci mi się w głowie, Agustino. To przez te zakręty!

Administratorka wybuchnęła śmiechem i zwróciła się do Ferrana, który przypatrywał się tej scenie uśmiechnięty od ucha do ucha.

– Musi pan wiedzieć, że kiedy panienka była mała i przyjeżdżała latem, zawsze kręciło jej się w głowie i była blada jak papier. Zupełnie jak teraz! Podawałam jej wówczas ziółka i dochodziła do siebie. Pamięta panienka?

– Oczywiście, Agustino.

– Poproszę, żeby Teresita przygotowała panience czym prędzej ziółka, potem ma wolne aż do kolacji.

– Teresita?

– Nie pamięta pani mojej córki Teresity?

W tym momencie w drzwiach ukazał się sympatycznie wyglądający korpulentny mężczyzna, w rękę obracał czapkę. Towarzyszyła mu dziewczynka mająca nie więcej niż czternaście lat, o śniadej cerze, czarnych włosach związanych w koński ogon i jeszcze czarniejszych oczach, które patrzyły jednocześnie nieśmiało i z ciekawością.

– Tomás! – wykrzyknęła Roser i ruszyła w stronę mężczyzny, chcąc się z nim przywitać, gdy tymczasem on wycierał rękę o sztruksowe spodnie, by móc jej ją podać.

– Panienka Roser, witamy!

– A ty... musisz być Teresita!

Dziewczynka podniosła na nią na chwilę swoje czarne oczy, po czym zawstydzona spuściła wzrok.

– Mój Boże, ależ ty urosłaś!

Agustina natychmiast zaczęła wszystko organizować i wydawać dyspozycje.

– No już, Teresito, biegnij do kuchni i przygotuj panience napar z ziółek, a dla panicza jakiś podwieczorek. Nie za mały, żeby nie był głodny, i nie za duży, by nie stracił apetytu na kolację. A ty, człowieku, nie stój jak kołek, tylko idź do samochodu po bagaże, państwo na pewno będą chcieli się przebrać...

Roser podeszła do ściany z okien. Otworzyła jedno z nich. Miała wrażenie, jakby znajomy zapomniany krajobraz wyszedł jej na spotkanie. Jakby przyzywały ją te wszystkie jasne letnie dni dzieciństwa i młodości. Oras te nieprzeniknione noce oblane blaskiem księżyca.

I nadal nie wiedziała, czy cieszył ją powrót do tamtych dni. Do tamtych nocy.

Nie wiedziała.

Nie.

Skoro tylko poranny brzask przełamywał swoją nieśmiałość, Ferran wstawał z łóżka i zamykał się w należącym wcześniej do ojca Roser gabinecie, który przystosował tak, żeby móc w nim rysować. Dom spał. Słońce wschodziło powoli, pokonując gęstą mgłę pełzającą jeszcze po trawie w ogrodzie. Agustina czyniła w kuchni przygotowania na cały dzień.

I choć praca była pasjonująca i pochłaniała go bez reszty, Ferran tęsknił za Barceloną. Za dnia – za życiem na bulwarach, ruchliwymi i uczęszczanymi ulicami. A po zmroku – za tą Barceloną, która jaśniała w teatrach i salach koncertowych, podczas gdy ta druga spała słodko, oddając się pod opiekę pilnującym jej nocnym stróżom. Jakże tęsknił za światłami, za wrzawą, za falą życia przelewającą się przez jego ukochane miasto!

Na szczęście chwile tęsknoty nie trwały długo. Ferran zdawał się opętany przez niezdrową gorączkę twórczą, uniemożliwiającą mu wykonanie jakiegokolwiek czynności, która nie była rysowaniem. Zamknięty w gabinecie, dokąd nikt, nawet Roser, nie ośmielał się zaglądać, dzień w dzień zapełniał niezliczone zeszyty małymi żurnalowymi rysunkami, prawdziwymi hieroglifami, którym kształt i sens nadawała jego wyobraźnia i które tylko on potrafił odszyfrować. Gryzmolił wściekle bez przerwy przez długie godziny, jak dziecko, które odkryło krainę czarów, dokąd dostać się można tylko za sprawą ołówka i kartki papieru.

Czasami zatraczał się w jednym z tych niedających się odszyfrować bohomazów. Tak jakby go kto zaczarował. Pomysł brał go w swoje władanie. Ferran zatrzymywał się przy nim. Nie odpuszczał. Nadawał mu kształt i znajdował sylwetkę, która najlepiej by go eksponowała i puszczała do niego oczko. Może, bo niby jak to sprawdzić, patrzył właśnie na przyszły projekt z wymarzonej kolekcji. Aczkolwiek żeby potwierdzić to chwilowe wrażenie, musiał pracować bez wytchnienia, aż wreszcie po długich godzinach na nowo udawało mu się dojrzeć potencjał tego małego szkicu.

Tymczasem, w małżeńskiej sypialni, kiedy tylko przeświecające przez okiennice promyki docierały do skrawka poduszki, Roser otwierała oczy i w zachwycie wpatrywała się w drobinki światła unoszące się w powietrzu niczym złoty pył, zanim opadły na podłogę bez życia. Z leniwym i zaspanym uśmiechem na ustach zwlekała się z łóżka, błyskawicznie narzucała coś na siebie i otwierała na oścież okno. Tej wiosny niebo w Camprodonie było tak intensywnie niebieskie, że wyglądało, jakby zostało świeżo pomalowane! A ona w otoczeniu tej natury, w jasnych, ciepłych kolorach, czuła, jak spływa na nią dawno utracony spokój. Odosobnienie, przymusowa samotność, której tak się obawiała, mając Ferrana za jedyne towarzystwo, przeniosło ją w czasie do lat szczęśliwszych, wyzbytych podejrzeń. Znowu była na zabój zakochana w tym mężczyźnie, którego teraz miała tylko dla siebie, i tak jak dawniej, a może nawet od zawsze, świadomie i rozmyślnie oddawała mu stery statku ich życia, stając się jego cieniem, niemą obecnością obojętną na wszystko, co nie było nim. Umyła się i ubrała,

a sen drzemał jeszcze na jej powiekach. Stroiła się tak, jakby prowadziła bardzo intensywne życie towarzyskie, choć wiedziała, że docenić jej starania może tylko jeden widz. W walizkach przywiozła kreacje z nowej kolekcji. Najbardziej podobały jej się tweedowe kostiumy, które składały się z zakietu i spódnicy, zakupione ostatnio w Paryżu, spopularyzowane przez Gabrielle Chanel. Były prawdziwym symbolem nowoczesności. Prosty krój, plisowana spódnica za kolano, w jednolitym kolorze, minimalizm, który można było łączyć z bardziej sportowymi dodatkami, wygodne ubranie na tym przymusowym wiejskim pustkowiu, zarówno kiedy udawała się na spacer po Camprodonie, jak i gdy zostawała w domu, żeby oddawać się swoim ulubionym rozrywkom: czytaniu i szyciu.

Zanim zeszła na śniadanie, szukała wśród nieprzebranych precjozów zalegających na toaletce czegoś, co przełamałoby tę prostotę: mógł to być naszyjnik z pereł, piękna broszka albo jedna z ekstrawaganckich bransolet, które przywiozła z ostatniej podróży do Paryża. Kiedy w końcu odbicie w lustrze prezentowało się zadowolająco, Roser kierowała się do gabinetu, w którym Ferran już od kilku godzin rysował, gotowa wykraść trochę, zaledwie troszeczkę, jego czasu. Starając się nie robić hałasu, na paluszkach otwierała drzwi, zakradała się do sanktuarium i rzucała cichutkie „dzień dobry”, które nieśmiało zawisało w powietrzu. Na te słowa Ferran poprawiał włosy i odwracał się, by na nią spojrzeć, uśmiechał się do niej spowity chmurą dymu, a papieros zwisał mu z ust. Spomiędzy jego warg wydostawało się „dzień dobry”, które zalewało Roser falą ciepła, niby pocałunek pełny całej słodyczy tego świata.

Chciałaby móc wydłużyć tę chwilę, zawsze krótką, ale bała się przeszkadzać Ferranowi; oparta o fotel zadowolalała się obserwowaniem, jak rysuje. Bez słowa odgarniała mu włosy z czoła, przeczesywała palcami, a następnie na znak pożegnania kładła mu ręce na ramionach.

Ferran, nie odwracając się, mówił:

– Do zobaczenia, kochanie.

– Do zobaczenia – odpowiadała tak cichutko, że trudno jej było rozpoznać własny głos, po czym z ciężkim jak z ołowiu sercem wychodziła z gabinetu.

Gadka Agustiny umilała jej śniadanie. Kobieta opowiadała jej o tym, co ostatnio wydarzyło się w miasteczku, mówiła o ludziach, których Roser nie знаła albo już jakiś czas temu zawieruszyli się w plisach jej pamięci. Agustina umiała ją rozbawić, nawet kiedy Roser była czymś przejęta.

– Właśnie tak, proszę pani, mówią, że deptak pana Maristany’ego będzie niesamowity, ludzie padną z wrażenia. I kto w to uwierzy? W Camprodonie mamy już jeden niesamowity deptak, Paseo de la Font. Po co nam kolejny?

– Wszystko dla dobra miasteczka.

– Kto to słyszał? Kolejny deptak! Zadepczą wszystko. Ale musieliby chyba wygrać los na loterii, żeby dopiąć swego, dlatego że w obecnej sytuacji to mrzonki, marzenia świętej głowy.

W tym samym czasie mała Teresa chodziła z kuchni do jadalni i z powrotem, dbając, żeby Roser niczego nie brakowało, i starając się nie uronić ani słówka z tej rozmowy. Dziewczynka, raczej milcząca, z twarzą jak z romantycznej powieści,

przywiązała się bardzo do panienki z Barcelony, która wydawała jej się niesamowita. Chodziła za nią krok w krok, z szeroko otwartymi oczyma niby dwiema sadzawkami o ciemnych wodach, które chciały pochłonąć każdy szczegół wyglądu Roser: sukienki sięgające tuż za kolano, odsłaniające zgrabne łydki w błyszczących przezroczystych rajstopach, lśniące jedwabne apaszki zawiązywane pod szyją, piękne torebki, które zabierała, wychodząc, buty na niskim kwadratowym obcasie, z kokardkami i zapięciem na sprzączkę. Kapelusze, dziewczęce i wiosenne, skrywające obcięte *à la garçon* włosy. Jej zapach...

Teresa przez cały boży dzień wdychała perfumy Roser. Panienka pachniała fiołkami. Ten zapach należał do obcego jej świata. W tym jej znajomym ludzie pachnieli nie kwiatami, tylko potem i pracą. Kobiety z jej otoczenia, matka, nieliczne koleżanki, ona sama, codziennie rano ubierały się w pośpiechu, bez zbędnych ceregieli. Wystarczyło narzucić halkę na *dessous*, w którym spały, wełnianą zimą i bawełnianą latem. A na wierzch włożyć spódnicę i bluzkę. *Dessous* zmieniano się raz na tydzień. Tak wyglądał jej świat.

Dla Teresy nie było bardziej ekscytującej chwili w ciągu dnia niż ta, kiedy wchodziła do sypialni państwa, żeby pościelić łóżko i posprzątać. Na początku nie ośmielała się dotykać rzeczy panienki Roser, nawet żeby zetrzeć z nich kurz. Przejmował ją dziwny strach, że mogłaby zbrukać je swoimi rękami, nieprzyzwyczajonymi do dotykania pięknych przedmiotów. Jednak po jakimś czasie pragnienie i ciekawość wzięły górę. Pewnego dnia, kiedy sprzątała toaletkę, wzięła do rąk bransoletę, którą Roser często nosiła. Była okazała, z kości słoniowej, i błyszcząca, z wielkim czerwonym kamieniem osadzonym w środku, od którego odchodziły złote płomienie, a na ich końcach skrzyły się brylanciki. Przymierzyła ją. Cóż za piękna rzecz! A jaka ciężka! Zamknęła oczy i dała się ponieść marzeniom, szalonym i nieznanym, które ten przedmiot w niej wzbudził.

Ośmielenie rosło i Teresa odważyła się zbadać zawartość szafy Roser, pełnej wspaniałych ubrań. Na początku wystarczyło jej samo dotykanie. Aż nadszedł dzień, w którym drżącymi z podniecenia rękoma wzięła jedwabny szal, delikatny, niezwykle delikatny, i narzuciła go sobie na ramiona. W ten sposób, i tylko na parę minut, wchodziła do świata panienki Roser, upajała się zapachem jej perfum i nieznanym dotąd wymarzonym luksusem. Jakże wspaniale czuła się Teresa, śniąc na jawie!

Dziewczynka starała się zostawić wszystko tak, jak było, odłożyć na swoje miejsce. Nie dlatego, że sądziła, iż robiła coś złego i bała się zostać przyłapana, ale dlatego, że czuła niezwykle głęboki szacunek do ubrań Roser oraz jej rzeczy. I nigdy nie byłaby w stanie odgadnąć, że panienka dobrze wiedziała, iż służąca zakrada się do jej świata.

Na początku to były drobiazgi. Ubrania zmieniały miejsce w szafie. Kolia spoczywała w niedomkniętym etui, a kapelusze nagle leżały w nie swoich pudłach. Błahostki, zupełnie bez znaczenia, które uszłyby uwagi każdej mniej uporządkowanej i metodycznej osobie niż Roser.

Frapująca zagadka, a może i znudzenie, kazały jej bacznie śledzić, co działo się w sypialni, by zdemaskować myszkującego w niej ducha. Choć nie miała prawie wątpliwości: tym duchem musiała być Teresa. Kiedy jej przypuszczenia się potwierdziły, poczuła dziwne wzruszenie. Zastanawiała się z bólem serca, czy kiedyś zobaczy takie

samo uwielbienie jak to malujące się w oczach małej Teresy, u własnej córki. Córki, którą wyobrażała sobie jako blondynkę, jak ona sama, z żywym spojrzeniem odziedziczonym po ojcu. Imię nasunęło się jej samo: będzie nazywać się Carlota i razem z Ferranem wychowają ją na dobrego człowieka, na rozsądną kobietę.

Marzenia Roser i Teresy krzyżowały się, a one bawiły się ze sobą w chowanego, nie mogąc się odnaleźć, i w czasie gdy Teresa udawała w sypialni, że jest damą z wyższych sfer, ukryta w korytarzu Roser marzyła, że zostanie mamą.

Może dlatego, że jej serce przepelniały frustracje związane z macierzyństwem, Roser zaczęła patrzeć na Teresę z czułością. I może właśnie dlatego wpadł jej do głowy ten pomysł.

Roser drobnymi kęsami jadła przepyszny biszkopt, który specjalnie dla niej, wiedząc, że go uwielbia, upiekła Agustina. Serwetką otarła usta, pociągnęła tęgi łyk kawy z mlekiem i powiedziała:

– Agustino, wydaje mi się, że mój paniński pokój został, jaki był, prawda?

– Tak, panienko. Nikt z niego nie korzysta. Kiedy przyjeżdżają pani siostrzeńcy, dzieci panicza Andreu, śpią w małym pokoju, w tym z dwoma łózkami.

Roser skinęła lekko głową.

– Czyli moje stroje z czasów młodości nadal wiszą w szafie?

Teresa weszła do jadalni z tacą ze śniadaniem, które miała zanieść Ferranowi do gabinetu.

– Oczywiście! – odpowiedziała Agustina. – Pani matka powtarza w kółko, że panienska sama zajmie się ubraniami i wszystkimi rzeczami, kiedy panienska przyjedzie. – Kobieta zrobiła teatralną pauzę okraszoną głębokim westchnieniem. – Ale że panienska nigdy nie przyjeżdża... Chciałam powiedzieć, do teraz.

Roser wypila kolejny łyk ciepłej słodkiej kawy i ciągnęła dalej z przebiegłym błyskiem w oku:

– Wiesz, o czym pomyślałam? Szafa pełna jest sukienek, które wprawdzie wyszły z mody, ale są ładne i z porządnymi materiałami. Chciałabym rzucić na nie okiem. Jeśli Teresa mogłaby mi pomóc, wybrałybyśmy kilka, a ja bym je dla niej przerobiła. Wiesz dobrze, że uwielbiam szyć...

Nie zdążyła dokończyć. Huk dobiegający z korytarza zagłuszył jej ostatnie słowa.

– Teresita, dziecko, co ty wyprawiasz? Oszalałaś? – zagrzmiała Agustina, przewracając oczami i łapiąc się za głowę, gdy tymczasem Roser uśmiechała się skrycie, dopijając kawę z mlekiem do ostatniej kropli.

– A ta ci się podoba?

Oczy Teresy rozbliły na widok sukienki w białoniebieskie paski, którą Roser wyciągnęła z szafy. Obie uśmiechnęły się równocześnie, Teresa z radości, Roser jakby przepraszająco.

– Teraz wygląda na niemodną. Wyobraź sobie, musiałam mieć tyle lat co ty, kiedy

ją nosiłam! Ale spójrz na ten materiał. Zobacz, jak świetnie się układa, prawda? To krepa z bawełny. Doskonała. A jakie nadal ma żywe kolory!

Teresa wyciągnęła rękę, ale nie pogładziła niezwykłego materiału. Nie ośmieliła się.

– Będę się dobrze bawić przy przerabianiu tych sukienek. Uwielbiam to robić! Bardzo dużo godzin przesiedziałam w pracowniach krawieckich w Santa Eulalii, wiesz? Już kiedy raczkowałam, wścibiałam tam nos. Szwaczki miały ze mną krzyż pański: kradłam im ścinki, bawiłam się wykrojami... Prawie niechcący nauczyłam się rozróżniać gatunki tkanin: tutaj muslin, tam francuskie koronki *chantilly*... – Roser zamilkła, utkwivszy spojrzenie w dziewczynce. Po czym wybuchnęła perlism, dziewczęcym śmiechem: – Nie wiesz, o czym mówię, prawda?

– Wiem, panienko Roser. Mama mówiła mi, że państwa sklep jest... jest...

– Spójrz! – przerwała jej Roser, pokazując na nowo sukienkę, którą trzymała wysoko. – Jeśli usunę tę falbankę przy kołnierzu i zrobię dekolt, i wykończę go na półokrągło, skrócę spódnicę tak tuż za kolano... będzie doskonała! Musimy tylko znaleźć odpowiedni pasek i... *voilà!* Wyobrażasz to sobie, Teresito?

Oczywiście Teresa nie mogła sobie tego wyobrazić, ale skinęła głową.

– Teraz, kiedy wybrałyśmy sukienkę, musimy jeszcze poszukać paska. Powinam mieć jakiś w szafie. Chodź, zdejmij to okrągłe pudełko. To, które wygląda jak pudło na kapelusze.

Teresa pospieszyła, żeby wypełnić polecenie. Stała na krześle i wskazała wielkie pudełko, które wyróżniało się na tle innych.

– Chodzi o to, panienko?

– Tak, weź je, ale ostrożnie, żebyś sobie niczego nie zrobiła.

Pudełko było za duże i Teresa nie mogła objąć go rękoma. Kiedy spróbowała, straciła równowagę, krzesło pod nią się zachwiało, a ona, żeby nie spaść, chwyciła się za oparcie, wypuszczając przy tym pudełko, które z hukiem upadło na podłogę.

– Przepraszam – powiedziała skruszona, stojąc na krześle.

– Ale mnie przestraszyłaś! Nic ci się nie stało?

– Nie, panienko. Ja...

Roser nachyliła się, żeby spojrzeć na zawartość pudełka rozsypaną po podłodze. Nagle rękoma zasłoniła sobie usta i zdusiła okrzyk zdumienia.

– Mój Boże! Nie wierzę!

– Ogromnie przepraszam... Ja... myślałam, że spadnę.

Roser wydawała się jej nie słyszeć, była całkowicie pochłonięta kartkowaniem niedużego kajetu z nieco wyblakłą okładką. Jej oczy zaszklily się pod wpływem emocji.

– Dziennik... Mój dziennik. Zupełnie o nim zapomniałam. – Podniosła wzrok na Teresę, która wpatrywała się w nią przestraszona. – Teraz, proszę, zostaw mnie – zwróciła się do dziewczynki, chcąc побыć chwilę w samotności.

Teresie serce podeszło do gardła, wybiegła z pokoju przekonana, że panienska zezłościła się, że taka z niej niezdara. Ale się myliła.

Roser dostała ten dziennik w dniu swoich trzynastych urodzin. Od matki chrestnej. Tak! Pamiętała dobrze ten moment. Rok po roku zapępiała jego kartki, chowając go przed

ciekawskimi spojrzeniami, niczym tajemny skarb. Aż nie wiadomo jak i kiedy, dziennik zniknął z jej życia. Gdzieś się zapodział. Teraz rozumiała, że musiała zostawić go w Camprodonie, dobrze ukryty, jak zwykle, po czym zapomnieć o jego kryjówce. Potem, może przez chwilę, odczuwała jego brak. Jednak niedługo później zmarł ojciec, a ona błyskawicznie wydorosła. I zupełnie zapomniała o dzienniku, który czekał tu na nią przez cały ten czas, niczym nierobiący wyrzutów cierpliwy przyjaciel.

Roser otworzyła go na chybił trafił i zaczęła czytać:

4 lipca 1916 r.

Dzisiaj mama strasznie mnie zbeształa. Nie mam siły już dłużej płakać.

Sprawa przedstawiała się następująco: poszłam do miasteczka z Marią Campbrubí, a kiedy wracałyśmy deptakiem Camí de la Font, spotkałyśmy jej brata Victora z przyjaciółmi, byli na rowerach. Nie znałam wszystkich. Rozmawialiśmy i śmialiśmy się. Czas minął błyskawicznie i kiedy się zorientowałam, była już pora obiadowa. Sympatyczny Víctor zaofiarował, że podwiezie mnie do domu na rowerze. Usiadłam z tyłu i podwinęłam pod siebie nogi, żeby nie dotykać ziemi. Mama była już zła ze względu na godzinę, ale kiedy jeszcze zobaczyła mnie z Victorem na rowerze, wściekła się jak diabli, i gdy tylko weszłam do jadalni, zaczęła na mnie krzyczeć i kazała mi iść do mojego pokoju bez obiadu.

Można wiedzieć, co właściwie mama miała na myśli? Sądzi, że jestem nadal małą dziewczynką? Kiedy wreszcie nadejdzie ten dzień, w którym będę mogła wychodzić i wracać, nie pytając nikogo o zgodę? Śnię, że niedługo pojawi się jakiś książę z bajki, który zabierze mnie stąd na zawsze. W tej rodzinie wszystko ma się wszystkim za złe. Nawet najbardziej niewinne rzeczy!

Gdy odnajdę tego, z kim zechcę dzielić życie, będę skakać z radości. Wolna i szczęśliwa. Nie mogę się już doczekać, kiedy go poznam i kiedy przybędzie, żeby wyswobodzić mnie z tych więzów.

Koniec końców, co za szczęście, Agustina wdrapała się do mnie do pokoju z talerzem wędlin. Po kryjomu przed mamą, oczywiście...

Roser usiadła w kucki w kącie pokoju z odnalezionym przyjacielem w ramionach. Pogładziła okładkę dziennika, jakby była główką ukochanego malca. Uśmiechnęła się ze smutkiem. Przeszłość i teraźniejszość, ten jeden jedyny raz, na chwilę łączyły się w jedno za sprawą ulotnych wspomnień. Zastanowiła się, ile z tej niewinnej marzycielki w niej zostało.

Ile zostało z tego upragnionego szczęścia.

Podróżując w przeszłość, w której żyły zamknięte i nieruchome wspomnienia, czuła wgryzającą się w nią coraz głębiej żalność.

Barcelona, czerwiec 1917

Podchodziła do lustra, przekrzywiając lekko głowę w prawo, i uśmiechała się; robiła pół kroku w tył, zalotnie i wyzywająco wysuwając do przodu lewe ramię. Ni stąd, ni zowąd odgarniała długie włosy, po czym rozpuszczała je i mierzwiła, jakby przez okno wdarła się wichura. Mrużyła oczy o figlarnym spojrzeniu, po czym otwierała je ze zdumieniem, przyglądając się swojemu wiernemu odbiciu w dużym lustrze szafy. Chwytała za skraj spódnicy, unosiła go nieco, a następnie się obracała...

Oczy Lai błyszcząły, na jej ustach jaśniał uśmiech. Nowa sukienka, którą uszyła jej matka, leżała jak ulał. Wiedziała, że znowu stanie się obiektem zazdrości koleżanek.

Szesnastoletnia Laia zdawała sobie sprawę z własnej urody, ale z uwagi na swój młody wiek nie wiedziała, jak silnie może ona oddziaływać na innych. Była dziewczyną o drobnej budowie ciała, szczupłą. Po ojcu, którego ledwie pamiętała, odziedziczyła gęste kręcone włosy w migdałowym kolorze, kontrastujące z jej jasną, nieskazitelną cerą. Po Carmen, matce, odziedziczyła bursztynowe oczy pełne głębi, niezwykle żywe i wesołe, które błyszcząły w twarzy o mięsistych, pięknie wykrojonych wargach. Oczy, które, kiedy tylko je spuszczała, przyprawiały o zawrót głowy. Niemożliwe było natomiast stwierdzić, po kim Laia odziedziczyła swój gorący temperament i na wpół uświadomioną nieco frywolną dezynwolturę.

– Laitko!

Laia posłała odbiciu w lustrze całusa i odkrzyknęła, nie ruszając się jeszcze przez chwilę z miejsca:

– Już idę, proszę mamy!

Niczym huragan wtargnęła do małej jadalni, w której Carmen, odwrócona twarzą do drzwi balkonowych, żeby wykorzystać do cna popołudniowe światło, jak zwykle szyła.

– Niech mama zobaczy. Jak się mamie podoba? – zapytała dziewczyna, unosząc nieco spódnicę nowej kreacji i kręcąc piruety.

Carmen podniosła wzrok znad sukienki, którą właśnie szyła.

– Dobrze leży, prawda, Laitko?

Laia otworzyła szeroko oczy z niedowierzaniem i wybuchnęła śmiechem:

– Czy dobrze? To najpiękniejsza sukienka, jaką kiedykolwiek miałam, mamo, a mama jest najlepszą krawcową na świecie. I najlepszą matką!

Mówiąc te słowa, z perlistym śmiechem rzuciła się jej na szyję.

Carmen była starszą krawcową w magazynach artykułów galanteryjnych Santa Eulalia przy Pla de la Boqueria. Podjęła w nich pracę w tysiąc dziewięćset dziewiątym roku, dokładnie wtedy, kiedy magazyny rozrosły się pod kierownictwem Andreu Molinsa i Gila, zmarłego kilka miesięcy wcześniej pierwszego dyrektora, i otworzono dział konfekcji damskiej. Ledwie co owdowiała Carmen znalazła w Santa Eulalii stałą posadę i utracone wraz z odejściem ukochanego Valentiego, który zostawił ją i Laitkę same, poczucie bezpieczeństwa.

Kilka miesięcy temu Laia także została zatrudniona w magazynach, w charakterze

praktykantki na stanowisku panny sklepowej, na czteroletni kontrakt, zgodnie z panującymi zwyczajami. Szczerze mówiąc, kontrakty były stosunkowo marne, a pensję stanowiła sama nauka. Długi okres praktyk kończyli nieliczni. Ci, którzy nadawali się do tej pracy i byli zdolni przetrwać dobór tego rodzaju, przez następne dwa lata pracowali jako asystenci, aż w końcu zostawali ekspedientami i obejmowali najbardziej rozchwytywane, bo i najlepiej płatne, stanowiska w całym dziale.

Carmen знаła swoją córkę najlepiej ze wszystkich; w tej lekkomyślnej główce roily się nie za mądre myśli, brakowało jej pracowitości, zdolności do poświęceń, powagi. Wiedziała doskonale, że Laię dzieliły lata świetlne od spełniania warunków, których dom mody Santa Eulalia wymagał od przyszłych ekspedientek. Dostała się tam dzięki uprzejmości młodego pana Molinsa, który był dla Carmen równie wielkoduszny jak jego ojciec. Teraz jednak Laia musiała udowodnić, że nadaje się do tej pracy. Carmen nie miała wątpliwości, że okres praktyk córki będzie ciężki. I zamartwiała się, bo wcale nie była pewna, czy Lai uda się przez niego przejść.

– No już, głuptasie, puszczaj, nie mogę przez ciebie pracować. Koleżanki od dłuższej chwili czekają na ciebie na dole.

– Kiedy zobaczą tę sukienkę...

Carmen z pamięci starała się odtworzyć wykrój jednej z sukienek z nowej kolekcji, które dopiero co przysłano z Paryża, o uderzająco nowoczesnym fasonie: bardzo dopasowana w talii, z paskiem na sprzączkę, okrągłym dekoltem i spódnicą z trzema falbankami, która delikatnie opadała aż do kostek, a ponieważ uszyto ją z muślinu, była niemal przezroczysta. Carmen nie mogła sobie pozwolić na tak drogi materiał na sukienkę dla córki, ale dzięki miłości, którą wkładała we wszystko, co robiła, dokonała cudu. Jej ręce nosiły ślady pozostawione przez lata zarobkowania igłą.

Laia głośno cmoknęła mamę w przedwcześnie pomarszczony policzek i wróciła do swojego pokoju, by się uczesać. Zawołała stamtąd:

– A może mama by poszła z nami? Spodobałoby się mamie. Matka Marii często nam towarzyszy i doskonale się bawi. Też jest samotna.

Carmen zabrała się z powrotem do pracy i teraz fastrygowała kołnierzyk sukienki. Zachnęła się zniecierpliwiona:

– Wiesz dobrze, że muszę skończyć tę sukienkę dla doñi Natalii, jej syn żeni się za tydzień. Dzisiaj muszę ją zeszyć, żeby zrobić jeszcze ostatnie przymiarki.

Laia stała przed lustrem i szczypała się w policzki, żeby je zaróżowić.

– Nie rozumiem, dlaczego mama musi tyle szyć w domu. Ma mama dobrą posadę. A teraz ja również.

Carmen nie odezwała się ani słowem. Cóż mogła powiedzieć? Jej córka chodziła z głową w chmurach. Kiedy wreszcie choć trochę wydorosłeje?

W końcu dziewczyna wyszła z pokoju. Była gotowa.

– Proszę mamy, dzisiaj jest niedziela. Pomyśli mama o pracy jutro. Nie chciałaby się mama zabawić?

– No już, uciekaj! O ósmej bądź w domu, rano trzeba wstąpić.

Laia zbiegła po dwa stopnie klatką schodową wychodzącą na ulicę Piquer w dzielnicy Poble Sec, w której mieszkała od urodzenia. Jej wesołe oczy nieco przygasły.

Dlaczego matka nie chciała nigdy wyjść z domu? Zachowywała się tak, jakby przedwcześnie chciała się zestarzeć! Nigdy nie widziała, żeby używała życia. Chyba że mówiąc o zabawie, ma się na myśli pogawędkę z sąsiadką z pierwszego piętra, panią Engracią, też owdowiałą i równie zasepioną. Carmen ubierała się zawsze na czarno i żyła pamięcią po ojcu Lai, zmarłym dawno temu. Żyła także pracą, jakby nie było niczego innego na tym świecie. Laia taka nie była, bardzo się od mamy różniła. Uważała, że życie trzeba jeść łyżkami. Korzystać z każdej sekundy. Nie miała wątpliwości, że cokolwiek się zdarzy, nigdy nie zostanie tak rozgoryczoną kobietą jak jej matka. Nigdy!

Kiedy tylko wyszła na ulicę, zobaczyła czekające na nią Neus i Marię. Musiała się parokrotnie obrócić, żeby napatrzyły się na jej nową sukienkę. Okrzyki zachwytu koleżanek sprawiły, że zapomniała o smutnych myślach, które jeszcze chwilę wcześniej psuły jej humor. Objęte w pasie, we trzy, kipiące młodością dziewczęta ruszyły spod domu. Po chwili zostawiły za sobą ulicę Piquer i zaczęły wspinać się po l'Esparver de Montjuïc, która doprowadziła je do Pla del Gurugú, placu, na którym spędzała niedziele miejska klasa robotnicza. Były tam ławki, na których można było usiąść, żeby się czegoś napić lub coś zjeść, i tańce dla młodzieży. Dzieciarnia biegała ile sił w nogach, a dziewczęta marzyły, że zjawi się chłopak, który zaprosi je do tańca, obróci się z nimi kilka razy i je w sobie rozkocha. Niemniej większość tańczyła z koleżankami. Laia nie. Jej nigdy nie brakowało partnerów i już od kilku niedziel tańczyła z jednym elegantem, od którego pachniało wodą kolońską i wydawał jej się interesujący. Zastanawiało ją, czy dzisiaj też się pojawi.

Carmen zostawiła robótkę i wyszła na balkon, żeby popatrzeć na córkę oddalającą się pnącą pod górę ulicą. Rozpoczęło się lato, a delikatny zefirek jakby nadal pachniał ogniskiem i popiołem po nocy świętojańskiej. Zanim wróciła do jadalni, obskubała jeszcze suche listki z geranium, zachwycając się jego zapachem. Ten sam, który przypominał jej rodzinne południe Hiszpanii.

Kiedy wróciła do środka, podeszła do kredensu i wzięła do ręki ślubną fotografię. Palcem dotknęła widniejącej na niej postaci Valentiego, pogładziła go. Jakże świetnie wyglądał tamtego dnia! Ponownie zabrała się do szycia, ale zdjęcie wzięła ze sobą i postawiła obok, żeby w czasie pracy móc porozmawiać z mężem. Gdyby Laia wiedziała, że matka, kiedy zostawała sama, miała w zwyczaju prowadzić rozmowy ze zmarłym małżonkiem, pomyślałaby, że zwariowała. Ale Carmen niespecjalnie to martwiło. Potrzebowała tych chwil samotności dzielonej z Valentim.

– Piękne dziewczyny, Valentí! Nie ma to jak młodość. Ale żadna nie może się równać z naszą Laietką. Nie wiem, kochany mój, w kogo się wdała. My urodą nie grzeszyliśmy.

Oczy okolone pajęczyną zmarszczek przez chwilę wpatrywały się w skupieniu w materiał, po czym nagle nasyciły się słodyczą, niczym dwie krople miodu. Podniosła wzrok na fotografię. Na usta wychynał drwiący uśmieszek.

– Nie obrażaj się, luby, mówię tak na żarty. Ty, owszem, byłeś przystojny, Valentí. Nadal nie wiem, co we mnie zobaczyłeś, byłam tylko wiejską krawcową. Nasza mała, na

szczęście, jest podobna do ciebie.

Skończyła kołnierzyk i wygładziła sukienkę, żeby zobaczyć końcowy efekt. Wstała z krzesła i zarzuciła ją na stary manekin.

– Słyszałeś, Valentí? Zapytała, czy lubię się bawić – wymamrotała Carmen z mnóstwem szpilek w ustach. – Jak mogę się bawić, skoro żeby związać koniec z końcem, dzień i noc muszę pracować. – Carmen spuściła głowę i skierowała całą swoją uwagę na szytą sukienkę. – Nie miałam łatwo, Valentí. Nie mieliśmy łatwo... – Cofnęła się parę kroków i przyjrzała kreacji wprawnymi oczyma. – Jaka zabawa? Guzik z pętelką, nie zabawa. Bólu nie można zakryć makijażem, Valentí. Nie ma na niego rady. Dopóki ostają się resztki smutku, trudno pokolorować życie.

Carmen nie chodziła do szkoły, ale bardzo dobrze знаła historię swojej wioski Alcaudete, położonej w samym sercu gór Orbes, na południowym zachodzie prowincji Jaén.

– Na pałac najechał Maur z Granady – opowiadała jej matka, kiedy siadały razem, a ona uczyła ją szyć.

Carmen była wówczas tak mała, że ledwo udawało jej się nanizać igłę na nitkę.

– Dawno temu to było, mamó?

– Och, tak. Dawno, bardzo dawno temu, przybył tutaj król mauretański, a wraz z nim setki wojowników, kawaleria i piechota, z armatami i z wojennymi machinami. – Mała Carmen podnosiła na matkę oczy pełne zdumienia i uwielbienia i zapominała o szyciu. – Tam, gdzie dzisiaj stoi krzyż, król rozbił obozowisko. Trzy razy atakował twierdzę i trzy razy atak został odparty. Wówczas Maur, by dostać się do pałacu, rozkazał zrobić podkop. Bitwa była straszliwa, a ciał napastników tyle, że piętrzyły się u stóp wzgórze i blokowały dostęp. Dwa dni trwała bitwa...

– I wygrali chrześcijanie, prawda, mamó?

– Oczywiście. A miejsce, w którym król mauretański rozbił swój obóz, nazwano „Kłęskowiskiem”, na pamiątkę jego porażki.

Carmen zamknęła oczy, w uszach nadal dźwięczał jej głos matki, słodki południowy akcent, który sama z biegiem czasu utraciła. Widziała jej szybkie ruchy igłą, jak błyskawicznie posuwała się po materiale. I pamiętała, jakby to było wczoraj, że w dniu, kiedy pochowali jej matkę na małym cmentarzu w Alcaudete, tak samo jak dziś, był środek lata, a żar lał się z nieba.

Została sama. Ojciec zmarł kilka lat wcześniej. Matka żyła niewiele dłużej. Carmen została bez niczego. Nawet dom, w którym przyszła na świat, nie należał do niej. Miała dwadzieścia lat i ciotkę, której nie знаła, mieszkającą w Barcelonie.

Spakowała manatki.

Ciotka Rosa, wdowa, była starsza od jej matki. Przyjęła ją do siebie chętnie, jej jedyny syn był już dorosły i mieszkał sam. Potraktowała siostrzenicę, chudziutką kruszynkę, która spadła jej z nieba, niczym córkę. A Carmen zaczęła robić jedyne, co umiała: szyć.

Krawieckimi umiejętnościami Carmen rządziła anarchia, ale ona była zawzięta

i uparta, a to, co robiła, kochała całym sercem. Wieść o tym, że mieszka z nią siostrzenica, która przepięknie szyje, rozeszła się błyskawicznie wśród koleżanek i sąsiadek ciotki Rosy. Toteż bardzo szybko Carmen zaczęła dostawać zamówienia oraz szyć po domach.

Ciotka Rosa była bystra jak górski potok i postawiła wszystko na swoją siostrzenicę. Szybko zauważyła, że dziewczyna jako krawcowa błyszczy niczym nieoszlifowany diament, ale brakuje jej właśnie szlifu. Za pierwsze pieniądze, które Carmen zarobiła i uroczyście jej wręczyła, ciotka zapisała ją do szkoły szycia i konfekcjonowania odzieży Carme Martí de Missé, na ulicy Banys Nous, w której uczono specjalnej metody tworzenia wykrojów i projektowania, zwanej systemem Martí.

Tam właśnie Carmen udoskonaliła swoją technikę, nauczyła się robić wykroje i zdobyła wiedzę na temat tkanin. Jej życie zaczęło kręcić się wokół pracy. Zajęcia w szkole, przymiarki klientek oraz szycie w domu nie pozostawiały jej ani chwili wolnego czasu. Z tego powodu oraz dlatego, że nie była osobą ani otwartą, ani wylewną, nie nawiązała w Barcelonie wielu przyjaźni, żeby nie powiedzieć – żadnej, i nie miała czasu bawić się jak reszta rówieśników.

Czas mijał. Były to lata nauki i pozyskiwania klienteli w dzielnicy Poble Sec, gdzie zamieszkała razem z ciotką, która – dumna z postępów siostrzenicy – wyszykowała jej pokój w swoim mieszkanku przy ulicy Poeta Cabanyes, na zboczu Montjuïc. Znalazło się w nim wszystko, co niezbędne, żeby mogła oddawać się szyciu: długi stół, by wycinać wykroje, używany singer, którego potem wymieniły na nową maszynę z trudem zakupioną za zarobione pieniądze Carmen, stolik z czasopismami, manekin z wikliny...

Klientki przychodziły teraz na przymiarki do jej małej pracowni, a Carmen w okresach wzmożonej pracy zatrudniała nawet uczennicę do pomocy.

Pracowała dużo, nie brakowało jej zajęć i można było powiedzieć, że udawało jej się związać koniec z końcem. Pieniądze, które zarabiała, oddawała ciotce, zostawiając sobie tylko tyle, ile było jej absolutnie niezbędne. A ciotka, dobra kobieta, odkładała je z myślą o zamążpójściu siostrzenicy. Jednak Carmen w wieku dwudziestu siedmiu lat nie myślała o wychodzeniu za mąż. Dopóki nie poznała Valentiego.

Carmen często musiała nabywać jedwabie, pasmanterię lub inne artykuły potrzebne do wykończenia sukien klientek. Miała wówczas w zwyczaju udawać się aż do starej dzielnicy żydowskiej, Call de Barcelona, gdzie odwiedzała sklepy takie jak Fany, Roch albo Dotti. I właśnie w tym ostatnim pewnego bezchmurnego jesienno-go dnia, kiedy dachy domów zalewał słoneczny blask, poznała Valentiego Calveta. A ten dzień na zawsze zapisał się w jej pamięci.

Valentí miał nieco ponad trzydzieści lat. Był mężczyzną o wesołym spojrzeniu, sympatycznym w obejściu i o nienagannej prezencji. Pracował jako obwoźny sprzedawca, handlując artykułami pasmanteryjnymi, jeździł po Katalonii z walizką pełną próbek i oczami pełnymi marzeń, z którymi nie zamierzał się jeszcze rozstawać.

Kiedy Carmen weszła, w sklepie nie było innych klientów. Jedynie ten młodzieniec z otwartą walizką na ladzie, gestykułujący ponad miarę i wyrzucający z siebie potoki słów ze śpiewnym akcentem.

Carmen poczekała, aż skończy, błędząc wzrokiem po półkach zastawionych pudełeczkami, w których skrywały się skarby: nici bawełniane, do szydełkowania albo cerowania, igły i guziki, nici jedwabne, kłębki, motki, szpulki i naporstki. Cały wszechświat rozmaitych artykułów i kolorów. Jej wszechświat. Subiekt, zdawszy sobie sprawę, że w kolejce czeka klientka, pożegnał się ze sprzedawcą. Ten schował asortyment do walizki, zrobił pół obrotu i jego spojrzenie napotkało wzrok Carmen. Na ustach obojga pojawił się uśmiech. I po raz pierwszy w życiu Carmen poczuła się jak w siódmym niebie.

To wszystko.

Po roku – po co było czekać dłużej, skoro już i tak nie byli tacy młodzi – i ku wielkiej radości ciotki Rosy Valentí i Carmen pobrali się. Jak wszystkie pary, które rozpoczynają wspólne życie, mieli pełno marzeń i planów. Ale przeznaczenie nie było dla nich łaskawe. Zaledwie sześć miesięcy po ślubie wskutek niespodziewanego ataku serca umarła ciotka Rosa, a kuzyn Carmen zażądał swojego mieszkania.

Para była zmuszona poszukać sobie innego lokum. Musiało znajdować się w tej samej dzielnicy, nie tylko dlatego, że Carmen była do niej przyzwyczajona i nie chciała się stamtąd wyprowadzać, ale też dlatego, że tam, w Poble Sec, miała swoją klientelę. Klientelę, której nie chciała stracić. Mieszkanie znalezione na ulicy Piquer, jedyne, na które mogli sobie pozwolić, miało jadalnię i sypialnię wychodzące na ulicę. Od strony kuchni i drugiej maleńkiej sypialni było małe ciasne podwórko. Pokoik nie nadawał się do pracy, a poza tym przeznaczono go dla spodziewanego dziecka. Z powodu przeprowadzki musieli wyrzucić salon z długim stołem, przy którym można było wycinać wykroje, z czasopismami na temat mody i z manekinem. Teraz Carmen pracowała w jadalni, a przymiarki robiła po domach klientek.

Latem tysiąc dziewięćsetnego roku urodziła się ich córka i Valentí chciał, żeby nazywała się Laia, po jego matce. A Carmen, choć trzeba przyznać, że to imię na początku wydało jej się dziwne, była tak zakochana w mężu, że zgodziła się na jego kaprys.

Z Valentim i Laietką Carmen przeżyła dwa najszcześniejsze lata swojego życia. Dwa lata! Jakże szybko minęły! Ledwie zdała sobie sprawę z własnego szczęścia, a już straciła je bezpowrotnie. Któregoś dnia Valentí pojechał z walizką do Sabadell i już nie wrócił. Zmarł nagle jak ciotka Rosa. Carmen powiedziano, że na serce, choć ona nigdy nie uwierzyła, że to serce, tak młode, które kołatało w piersi Valentiego, zdecydowało się przestać bić.

Nagła śmierć męża, zupełnie niepojęta, rzuciła cień na życie Carmen. Czowała bezustannie klucie w żołądku. Ale miała córkę i musiała sobie jakoś poradzić. Za wszelką cenę. Przez następne lata szła po domach, przyjmując wszystkie zlecenia, nawet jeśli oznaczało to dla niej bezsenne noce. Lai nie mogło niczego zabraknąć, a ona była już zaprawiona w walce ze złym losem. Aż któregoś dnia roku tysiąc dziewięćset dziewiątego usłyszała z ust jednej z klientek, że w magazynach bławatnych Santa Eulalia przy Pla de la Boqueria zamierzają otworzyć dział z konfekcją damską.

– Obyś tylko nie straciła przez to pracy, Carmen – powiedziała klientka z udawanym niepokojem, którego za grosz nie czuła.

Carmen korciło, żeby wbić jej igłę. Zamiast tego wybrała praktyczniejsze rozwiązanie i poszła do Santa Eulalii zaoferować swoje umiejętności.

I już tam została.

Promienie słońca zaglądały za balustrady tarasów. Świergotały w najlepsze jaskółki. Carmen i Laia przeszły na drugą stronę Rambli i skierowały się do magazynów Santa Eulalia przy Pla de la Boqueria. O tej wczesnej porze powietrze było jeszcze rześkie, muskało policzki Lai, przeganiając nadal przyklejony do powiek sen. Całe miasto przeciągało się, dopiero co obudzone, zarysowując się coraz wyraźniej na tle błękitnego nieba i skrzęcej tafli morza. Dorożki i tramwaje wyjechały na ulicę, gęstniał ruch. W sklepie, na pierwszy rzut oka pogrążonym we śnie, brzęczało jak w ulu.

Matka i córka weszły do magazynów i się pożegnały. Laia skierowała kroki do sklepu na parterze, a Carmen weszła na drugie piętro, na którym znajdowały się pracownie krawieckie, każda oznakowana innym numerem. Jej pracownia, w której dowodziła swoim małym oddziałem uczennic, miała numer trzy.

Wszyscy zajmowali swoje stanowiska, podczas gdy uczennice skwapliwie wykonywały swoją pierwszą codzienną czynność. Starannymi ruchami, powtarzanymi tysiące razy, podnosiły żagle, czyli wielkie płachty, którymi na noc przykrywano cały asortyment; towarzyszyły temu pokrzykiwania, harmider i nieodłączne „Uwaaaga!” ostrzegające kręcących się wokół współpracowników. Kiedy plandeki zostały już zdjęte, na półeczkach ukazywały się rozmaite skarby; na tych u góry najłżejsze jedwabie, przezroczyste niczym morską pianą, które czekały cierpliwie, aż tchną w nie życie wprawne dłonie ekspedientów. Na środkowych materiały bardziej mięsiste, jak brokaty, adamaszki i jedwabne surówki, które spoczywały między aksamitami we wszystkich kolorach tęczy. A na dolnych półkach wełny, sukna, merynosy i szewioty, w kolorach cielistych. Na tle ich wszystkich odcinały się wyraźnie białe kartki z cenami. Prawdziwa lawina luksusu i zmysłowości, nawet grube bele płótna wydawały się zalotnie puszczać oko.

Cały sklep rozświetlał blask mahoniowych lad, przy których uwijali się polerujący je uczniowie i uczennice, w czasie gdy ekspedienci zajmowali swoje stanowiska, a z oddali zaczynał dobiegać ciężki stukot maszyny do pisania. O tej porze lekkim, jak zawsze, krokiem do sklepu wchodził pan Molins, zdejmował kapelusz i witał się ze wszystkimi, pojawiali się także pierwsi klienci, zerkając na lśniące okna wystawowe, gotowi spędzić bez pośpiechu najbliższe godziny w eleganckich salach Santa Eulalii.

Rozpoczął się nowy dzień pracy.

W tym samym czasie co Laia w Santa Eulalii zaczęli pracować dwaj uczniowie i dwie uczennice. Prawie zawsze trzymali się w grupkach. Chłopcy bez trudu mogliby uchodzić za braci. Byli niziutcy, nawet jak na swoje czternaście lat, mieli ciemniejszą karnację, ciemne włosy i bystre spojrzenie, Damià brązowych oczu, a Germán błękitnych.

Germán Santos pojawił się w Santa Eulalii, nie mając innej rekomendacji niż gigantyczna chęć do pracy i do pomocy rodzinie, która świeżo przeprowadziła się z ojczyściej Murcii do Katalonii i zamieszkała stłoczona w malutkiej nędznej dziurze w dzielnicy Barceloneta, doświadczając wszelkich niedogodności. Kiedy dowiedział się,

że Santa Eulalia zatrudnia nowych uczniów, pojawił się na miejscu w krótkich spodniach, najmniej połatanych ze wszystkich jakie posiadał. Powiedzieli mu, żeby spróbował za jakiś czas, a on wziął sobie do serca tę radę i wracał na Pla de la Boqueria codziennie, dopóki go nie przyjęli. Ojciec musiał przyjść razem z nim, żeby podpisać umowę o przyjęciu na praktyki. Od nowego ekspedienta wymagano też znajomości katalońskiego lub, w przypadku gdyby go nie znał, zobowiązania do nauczenia się go w szybkim tempie. Również to Germán wziął sobie do serca i nie odezwał się w sklepie ani słowem, dopóki nie potrafił zrobić tego w miarę poprawnie po katalońsku. Na początku, co rozumiałe, mówił mało, głównie słuchał. Jednak po upływie miesiąca rozmawiał już po katalońsku bez specjalnych problemów.

Naturalnie miał świetnego nauczyciela w osobie Damià.

Damià Solsona był bardziej typowym uczniem. Jak wielu pozostałych praktykantów z Santa Eulalii, uczył się w La Salle. Zarówno dla Antoniego Molinsa, jak i później dla jego syna Andreu, było to gwarancją i obydwaj nie wahali się najmować do firmy młodych ludzi wykształconych przez braci salezjanów.

Między Germanem a Damià od pierwszego dnia zawiązała się nić przyjaźni, szczerzej i silniejszej niż dzielące ich różnice, którą umocnił jeszcze ich podobny charakter, przebojowość i skłonność do psot. Prędko poznał ich cały dom mody. I nie zawsze ze względu na ich profesjonalizm. W tej szkole, jaką była Santa Eulalia dla swoich pracowników, zwłaszcza dla uczniów, wyznaczano kary i nagrody. Podyktował je w swoim czasie wedle własnej filozofii życia Antoni Molins, przekonany, prawdopodobnie nie bez racji, że w tym życiu nie ma nic za darmo i niczego nie osiągnie się bez wysiłku. Panujące w Santa Eulalii zasady były mocne i niewzruszone, a subiektci niestrudzenie instruowali swoich uczniów, wpajając im serię prostych i podstawowych reguł: Nigdy nie spóźniać się do pracy. Nie opuszczać stanowiska pracy. Nie rozmawiać między sobą, zwłaszcza na głos, przy klientach. Nie hałasować w korytarzach i na schodach. Pod żadnym pozorem nie szeptać za plecami klientów... Ci, którzy nie przestrzegali tych zasad, spędzali godziny na zbieraniu z podłogi ścinków i szpilek albo na czyszczeniu z plam kawałków materiału.

Ileż szpilek musieli pozbierać Germán i Damià w czasie swoich pierwszych lat w Santa Eulalii! I ileż materiałów odczyścili pod srogim okiem pana Boscha, przełożonego wszystkich uczniów, który baczył na to, by maszynaria doskonałej sprzedaży w Santa Eulalii nie skrzypiała u podstaw. Ale zawrócenie chłopców na właściwe tory albo przynajmniej taka próba były dla tego biednego człowieka ciężkim kawałkiem chleba, bo jego pupile, wydawało się, niczego ani nikogo się nie bali. Przez całe lata po domu mody krążyła słynna anegdota z udziałem tej dwójki przyjaciół i pewnej pani, wdowy Renom, kobiety bogatej i zasuszonej, a przy tym także głuchej jak pień. Kiedy Damià i Germán widzieli, jak wchodzi do magazynów ze swoją trąbką, natychmiast udawali, że coś mówią, poruszając ustami i nie wydając żadnego dźwięku. Biedna kobieta przez dłuższą chwilę wpatrywała się w swoją trąbkę, po czym rzucała szorstko:

– Co mówisz, chłopcze? Zbliź no się... Podejź bliżej trąbki... Na Boga, jak to możliwe, że znowu się zepsuła. Krzycz, mówię!

Zdarzyło się to pewnego listopadowego popołudnia. Na zewnątrz niebo pociemniało, a w środku, w sklepie pan Bosch pieklił się znowu na Germana i Damià. Polecono im, żeby zanieśli do pracowni wielką belę białej bawełny. Mieli zrobić to we dwójkę, bo bela była bardzo ciężka. W połowie schodów zmęczeni się jednak i postanowili położyć materiał na podłodze. Możliwe, że nie zdawali sobie jeszcze sprawy, że tego typu afront wobec nieskazitelnej bieli był zniewagą znacznie poważniejszą niż historia z trąbką wdowy Renom. Kiedy Bosch zobaczył belę na podłodze, z wierzchu przybrudzoną, poczerwieniał z wściekłości. Uniósł palec i zaczął pokazywać uczniów, ale nie zdążył nic zrobić, bo dokładnie w tym samym momencie otworzyły się drzwi od biura i pojawiła się w nich nabrzmiała twarz, w odcieniu niemającym nic wspólnego z kolorem skóry. Krzyk odbił się echem od murów Santa Eulalii, ogłaszając straszliwą nowinę:

– Pan Molins nie żyje! Właściciel zmarł!

Kilka dni wcześniej Antoni Molins po raz pierwszy w życiu nie pojawił się w pracy z powodu, jak wszyscy myśleli, ostrego przeziębienia.

Niestety, właściciel magazynów bławatnych Santa Eulalia, któremu udało się zrobić zawrotną karierę w świecie tekstyliów, nigdy nie wyzdrowiał i zmarł w wieku sześćdziesięciu pięciu lat, pewnego pochmurnego listopadowego popołudnia tysiąc dziewięćset siedemnastego roku, zostawiając pogrążoną w rozpacz małżonkę i dwoje dzieci, Andreu i Roser, dezorientowanych wobec tego nagłego wstrząsu, którego doznało ich do tej pory wygodne i łatwe życie.

Andreu, spadkobierca, miał jedynie dwadzieścia dwa lata i był nadzieją swojego ojca, który uważał go za młodzieńca rozsądnego, inteligentnego i pracowitego, gotowego pewnego dnia przejąć jego obowiązki i poświęcić się dziedzinie handlu. Marzenie każdego ojca. Tymczasem wszystko, co nastąpiło, wydarzyło się, jeszcze zanim mogły się w chłopcu wykształcić te cechy, które zauważył w nim ojciec. Andreu był poważny i dobrze wykształcony, ale był chłopcem, młodzieńcem bez doświadczenia, któremu życie zagrało na nosie, i odkrył, że to, co na pierwszy rzut oka wydaje się trwałe, może zmienić się nieodwracalnie w mgnieniu oka.

W czasie gdy Joan Ros, wuj ze strony matki i dobrze znany bankier w Terrassie, zajął się pogrzebem, ostatnim pożegnaniem ojca oraz sprawami rodzinnymi, on, spadkobierca, nadzieja i marzenie głowy rodziny, spędzał bezsenne noce i dni przed oknem w jadalni, ze spojrzeniem utkwionym gdzieś w bezzwzględnej i lodowatej szarości nieba, która przejmowała go bardziej niż kiedykolwiek.

Wuj, kochający go jak własnego syna, postanowił przeczekać kilka miesięcy, w czasie których cierpliwie ocierał łzy swojej siostrze i siostrzenicy, uszanowawszy pełne tremy milczenie Andreu. Aż pewnego wieczoru wezwał chłopca do gabinetu należącego wcześniej do jego ojca.

Joan Ros, kiedy usłyszał odgłos lekkich kroków siostrzeńca, sączył właśnie koniak

przed kominkiem. Odstawił kieliszek na niski okrągły stolik i odwrócił się. Chłopak wszedł, a on zaprosił go skinieniem, żeby usiadł w fotelu obok. Rozmowa, która nastąpiła i którą obaj zapamiętali na zawsze, odbyła się w przyjaznym ciepłe bijącym od kominka, a mimo to serca obydwu mężczyzn były skute lodem.

– Minęło już wystarczająco dużo czasu – oznajmił wuj Joan. – Twój ojciec odszedł od nas, Andreu. Ale życie toczy się dalej. Teraz ty jesteś głową rodziny. – Andreu słuchał wuja, wpatrując się w pustą przestrzeń nad ogniem, podpierając głowę rękami. – Interesy mogą poczekać parę dni, ale musisz pamiętać, że chodzi o dobrze naoliwioną maszynę, której nie można zatrzymać...

Ten postawny mężczyzna, który samodzielnie zbudował bankowe imperium, siedząc teraz przed swoim siostrzeńcem, czuł się onieśmielony niczym młokos. Słowa z trudem przechodziły mu przez gardło na skutek wzruszenia. Andreu, równie poruszony, patrzył na niego kątem oka. Był ogromnie wdzięczny wujowi, który swoją obecnością ułatwił mu bolesne pożegnanie z ojcem. Spodziewał się tej rozmowy już od kilku dni i obawiał się jej. Przepelniał go strach na myśl o słowach, które zmuszą do działania jego uśpioną wolę.

– Musisz iść do magazynów, synu. Powinieneś zająć gabinet, który zwolnił twój ojciec.

Andreu przerwał mu, łapiąc go za przedramię. Ich spojrzenia spotkały się i wówczas w milczeniu udało im się wyartykułować ból, który obaj czuli.

– Wiem, wuju – powiedział wreszcie Andreu, wstając ociężale, nieadekwatnie do swojego wieku.

– Będę przy tobie zawsze, ilekroć będziesz mnie potrzebował, Andreu. Jestem o ciebie spokojny, ojciec przekazał ci tyle, ile zdołał. Jeśli weźmiesz z niego przykład, poradzisz sobie na pewno. Był zdolnym przedsiębiorcą, szanowanym przez swoich pracowników. Znajdziesz w nich wsparcie.

Andreu w ciszy kiwał głową. Wiedział, że nie może dłużej opóźniać momentu zmiany warty, a jednak był pełen wątpliwości.

Joan Ros znów zabrał głos:

– Pozwól, że dam ci radę, synu. Chciałbym, żebyś pamiętał moje słowa, kiedy przestąpisz próg gabinetu.

Chłopak podniósł na niego wzrok, który błędził gdzieś daleko, w czasie gdy umysł oddawał się rozmyślaniom:

– Słucham, wuju.

– Jesteś bardzo młody, Andreu. Nie chciej dyrygować tymi, którzy mają więcej doświadczenia i lat od ciebie.

Kiedy następnego ranka Andreu przestępował próg Santa Eulalii, czuł się tak, jakby spowijała go gęsta i zimna mgła. Bardzo zimna. Widok domu mody, ojcowskiej dumy, uderzył go z całych sił i miał wrażenie, że serce wyrывa mu się z piersi. Jednakże mimo młodego wieku Andreu umiał już zapanować nad swoimi emocjami i teraz zrobił wszystko, by je okiełznać.

Pracownicy złożyli mu kondolencje, zobaczył ich oczy pełne łez i szczerzy smutek malujący się na twarzach, i po trochu wszystkie obawy przepełniające go od chwili śmierci ojca zaczęły się rozwiewać. Ogarnął go błogi spokój, który podszeptował mu, że jest to jego miejsce i właśnie tu i teraz rozpoczyna się jego nowe życie. Wyszedł na spotkanie przeznaczeniu.

Skierował się na górę do gabinetu, który należał do ojca, z wewnętrznym przekonaniem, że plan, który obmyślał przez całą noc, doskonale nadaje się na początek własnej drogi, którą zaczynał wytyczać. Targające nim wcześniej wątpliwości zamieniły się w blade wspomnienie po bezsennej nocy.

Polecił zawołać Ramona Martineza Rosella, chłopaka pracującego w dziale zaopatrzenia już od kilku lat. Ojciec wyrażał się bardzo dobrze o tym młodym, przystojnym, dobrze zbudowanym i silnym chłopcu o głębokim i inteligentnym spojrzeniu. Według Antoniego Molinsa, który miał świetne oko w tych sprawach, jeśli Ramón Martínez będzie nadal pracował z takim entuzjazmem, jaki wykazywał do tej pory, czekała go pewna przyszłość w firmie.

Ramón Martínez nie kazał na siebie długo czekać. Zapukał kłykciami palców do drzwi gabinetu. Andreu wstał, żeby się z nim przywitać, i podszedł do drzwi. Uścisnął mu dłoń. Twarz Ramona wyrażała zdumienie i ciekawość. Zastanawiał się, dlaczego syn właściciela, to jest nowy właściciel, wezwał go do siebie, i nie wiedział, czego się spodziewać. Szedł za Andreu pełen złych przeczuć, które potęgowała spowijająca ich cisza.

– Czym mogę służyć, panie Molins?

Andreu wskazał mu fotel naprzeciwko wielkiego biurka z baobabu, po czym obszedł je i zajął swoje miejsce. Osunął się na oparcie fotela i splótł dłonie niczym do modlitwy. Zamknął oczy i pozwolił sobie na ciche westchnienie. Wreszcie odezwał się:

– Chciałbym poprosić pana o listę z nazwiskami wszystkich pracowników i z ich wiekiem.

Chłopak popatrzył na niego ze zdumieniem. Nie należało to do jego obowiązków i nie rozumiał, dlaczego pierwszym, o co prosił go Andreu, była właśnie ta lista.

– Ale... nie rozumiem...

– Nie proszę pana, żeby cokolwiek pan rozumiał, proszę jedynie, żeby wykonał pan moje polecenie – powiedział Andreu stanowczo.

Kiedy Andreu Molins miał już na biurku w swoim gabinecie listę, wdrożył swoją pierwszą decyzję w życiu zawodowym. Najtrudniejszą. Najmniej zrozumiałą. Tę, która pozwoliła mu podjąć wszystkie następne. Ołówkiem skreślił z listy nazwiska osób starszych od niego o trzy lub cztery lata, omijając jedynie krawcowe i pracowników z doświadczeniem. Wszystkie te osoby zwolnił. Na ich miejsce zatrudnił nowych, młodszych pracowników, którym bez przeszkód mógł wydawać polecenia. Rozpoczął się tysiąc dziewięćset osiemnasty rok. Nowy rok i nowa epoka w dziejach firmy. Santa Eulalia odmłodziła.

Laia przez całe dni nosiła na górę ze sklepu do pracowni krawieckich materiały i zносиła na dół sukienki do przymiarek. Za pomocą magnesu zbierała szpilki z podłogi w przymierzalni, zamiatała, szła po wodę, jeśli ją wysyłano, a nawet wychodziła na miasto załatwić sprawunki szefowej pań sklepowych, pani Dalmau, niemające zazwyczaj nic wspólnego z wykonywaną w magazynach pracą.

Ale nie skarżyła się. Lai nie zależało na tym, żeby odnieść sukces na polu zawodowym. Była w takim momencie swojego życia, że pojęcie przyszłości sięgało jedynie do następnej niedzieli, kiedy wolna od harmonogramów, poleceń i obowiązków, uda się znowu na tańce na Pla del Gurugú, żeby zobaczyć się ze swoim narzeczonym Danielem. Bezsprzecznie wołała biegać przez cały dzień po magazynach i od czasu do czasu wychodzić na zewnątrz, niż obsługiwać sztywne klientki, będące bywalczyniami ich sklepu. Przyjemniejsze wydawały jej się okrzyki sprzedawców gazet na Pla de la Boqueria czy chociażby pogawędki bumelantów stojących wokół budki przy Canaletas, niżli tupet i wymagania pań z wyższych sfer. Lubiła czuć na twarzy ospałe ciepłe barcelońskie powietrze, kiedy tysiąc dziewięćset osiemnasty rok przebierał się już w letnią kreację. Lawirowanie w tłumie spacerującym po Ramblach też stanowiło dla niej przyjemność. Prawdziwą frajdą były spacer pod niebieściutkim niebem, jakby poprzątkowanym złotą nicią, gdzieś ugrudzone chmurami niczym niekończącymi się odciskami białych palców.

Lai wystarczyło do szczęścia to, co dostała od życia, i nie starała się niczego zmieniać. Uważała, że trudno przewidzieć, co planuje dla nas przeznaczenie. Po co w takim razie się tym martwić? Dlatego też wszystko to, o czym przypominała jej matka, o odpowiedzialności, o potrzebie utrzymania stanowiska w domu mody, bo kiedyś jej zabraknie i nie będzie mogła zatroszczyć się o córkę, wlatywało jednym uchem, a wylatywało drugim. Nie mówiąc o ciągłych awanturach pani Dalmau, które jeszcze bardziej dawały jej się we znaki. Zdaniem Lai szefowa ekspedientek była starą zgorzkniałą kobietą, której największą przyjemnością sprawiało besztanie wszystkich wokół przy każdej nadarzającej się sposobności. Kim była ona, by jej tego zabronić? Starła się schodzić z drogi innym ekspedientkom i uczennicom, ponieważ była najmłodsza i dołączyła do zespołu jako ostatnia. Z tego powodu wszystkie one czuły, że mogą patrzeć na nią z góry i bez ustanku wydawać jej polecenia. Laia jednak niespecjalnie się tym przejmowała, miała absolutny talent do robienia swojego i unikania konfliktów. Zwłaszcza w miejscu pracy; pracy, którą uważała jedynie za dodatek do swojego życia, wątek poboczny, niemający nic wspólnego z jej przyszłością. Dlatego kolegowala się wyłącznie z ekspedientkami łagodniejszymi i unikała tych, które mogłyby jej narobić kłopotów.

W tej ostatniej grupie stery dzierżyła Mila.

Mila Alemany pracowała na stanowisku asystentki ekspedientki. Jej przełożoną, tak jak i Lai, była pani Dalmau. I choć Mila była od Lai tylko o dwa lata starsza, wyglądała na dużo więcej. Poszła do pracy, mając zaledwie czternaście lat. Jak większość uczennic ukończyła regulaminowe cztery lata praktyk i teraz awansowała na asystentkę,

choć wszyscy w Santa Eulalii byli święcie przekonani, że nim upłyną kolejne dwa lata, mianują ją ekspedientką, bo dzięki swojej powadze i pracowitości stała się prawą ręką Dalmau, która przy każdej okazji podkreślała jej nieskończone zalety. Ta teoria nie uwzględniała jednak tego, o czym w Santa Eulalii szeptano po kątach, a mianowicie, że Mila Alemany miała tak paskudny charakter, że wydawała się przyćmiewać nawet swoją przełożoną. Pod każdym względem była więc jej godną następczynią.

Mila była atrakcyjną dziewczyną. Wysoką, smukłą, jej biała cera kontrastowała z kaskadą pięknych czarnych włosów. Ale jej spojrzenie, ostre niczym sztylet, nieustępliwe i chytne, pełne było ślepego niepohamowanego gniewu, który opanowywał ją całą, pozbawiając młodzieńczej świeżości i niszcząc to, co w innych okolicznościach składałoby się na sympatyczną postać. Gniew kipiał z każdego wypowiedzanego przez nią słowa i wykrzywił jej twarz złośliwym grymasem.

Laia nie czuła do niej za grosz sympatii i kiedy pani Dalmau przykazywała, by pomogła koleżance, Laia odnosiła wrażenie, że zbierają się nad nią czarne chmury.

Miasto zapadło w drzemkę. Ulice były spokojne. Okna wystawowe Santa Eulalii skrzyły się w czerwcowym słońcu w zenicie. Pani Dalmau kazała Lai pomóc Mili ustawić wystawę. W czasie gdy ona czekała, trzymając koronkowe kołnierzyki, ekspedientka układała je misternie i starannie w gablocie obok drzwi wejściowych. Było jeszcze wcześniej i w sklepie panował spokój. Laia, stojąc za Milą, przytrzymywała artykuły z koronki i umilała sobie czas, przyglądając się idącym ulicą ludziom. Nagle zobaczyła nadchodzącego młodego pana Molinsa; wysoki i jak zwykle elegancki, sadył długie kroki. Laia nie mogła powstrzymać śmiechu, kiedy widziała, jak idzie. Towarzyszyła mu młoda dziewczyna bez wątpienia w żałobie, której ledwie udawało się za nim nadążyć. Właściciel pozdrowił przyjaźnie obydwie pracownice, przechodząc obok, a dziewczyna wbiła w nie przeciągłe spojrzenie.

– Któż to? – zapytała zaciekawiona Laia Milę.

– A któż ma być?! Oślepaś? Wpadło ci coś do oka? – odpowiedziała Mila jak zwykle tonem pełnym pogardy. – Właściciel, pan Molins.

– Chodzi mi o dziewczynę, która mu towarzyszy.

– To panienska Roser, jego siostra.

Mila zajęła się z powrotem kołnierzykami i koronkami, a Laia wykorzystała jej nieuwagę i zapuściła się w głąb sklepu, wodząc wzrokiem za dziewczyną, która poruszała się, jakby unosila się nad ziemią, niezwykle elegancka w swojej żałobnej sukni i czarnym kapeluszu o szerokim rondzie, z dużą kokardą z przodu.

Może przez ciekawość, a może dlatego, że łatwo odrywała się od pracy, Laia przez całe przedpołudnie śledziła Roser Molins w sklepie. Nie spuściła z niej wzroku ani na chwilę, czym zasłużyła sobie na niejedną uwagę pani Dalmau, która zarzucała jej, że buja w obłokach. Kiedy zobaczyła, że panienska Molins kieruje się do pracowni krawieckich, Laia wykręciła się, mówiąc, że musi dostarczyć na górę belę materiału, o którą w rzeczywistości nikt nie prosił.

Pokonała ostatnie półpiętro z wielką belą w ramionach, jakby taszczyła jakiegoś

ogromnego zwierza, po czym przykleiła nos do szyby pracowni numer trzy. A tam, pośród stołów zawalonych materiałami, nożyczkami i nićmi, jej matka kierowała małym oddziałem krawcowych, prawdziwy kapitan tej floty dziewcząt, które przez dziesięć godzin dziennie pracowały bez chwili wytchnienia, tnąc i szyjąc, przymierzając i poprawiając te eleganckie suknie z jedwabów i muślinów, na jakie je same nie było stać.

– Cześć – odezwał się ktoś za jej plecami.

Przestraszona Laia odwróciła się błyskawicznie i tym sposobem dość mocno uderzyła trzymaną pod pachą belą młodą Molins. Ta straciła równowagę i jak długa upadła na podłogę.

Dokładnie w tej samej chwili, z synchronizacją godną baletu, otworzyły się drzwi pracowni krawieckiej, a zza nich wynurzyły się ciekawskie pary oczu, między innymi ta należąca do Carmen.

– Laietko, dziecko! – szepnęła Carmen, równie przerażona jak jej córka, widząc panienkę Molins na podłodze.

Laia była biała jak alabaster. Odłożyła belę na podłogę i ruszyła Roser na pomoc, ale ta podniosła się sama z gracją. Laia była przekonana, że ponad wszelką wątpliwość wyrzucą ją zaraz na bruk, a matka robi jej karczemną awanturę.

Atmosfera zagęszczała się coraz bardziej. Wszyscy wyczekiwali w milczeniu. Roser i Laia bacznie się sobie przypatrywały. W końcu perlisty młodzieńczy śmiech przełamał pierwsze lody. Śmiech należał do Roser.

– Ja... ja ogromnie przepraszam – usprawiedliwiła się Laia.

Roser jedną ręką otrzepała fartuch – taki sam, jakie nosiły krawcowe – który przykrywał jej sukienkę, a drugą przeczesła włosy w kolorze platynowego blondu upięte w niski koczek. Laia zachwyciła się jej delikatną jasną cerą i subtelnymi rysami i instynktownie odgarnęła z czoła niesforny kosmyk, który zawsze spadał jej na prawe oko.

– To był wypadek, nic więcej. – Na usta Roser wypłynął życzliwy uśmiech. Wyciągnęła do Lai rękę: – Jestem Roser Molins. A ty jak się nazywasz?

– Laia. Laia Calvet.

Tonem przyjaznym i uprzejmym, lecz nieznoszącym sprzeciwu, Roser poinformowała panią Dalmau, że zabiera Laię, by pomogła jej w załatwieniu kilku spraw. Musiała iść do pasmanterii Soler na placu Pi, po koronki, których potrzebowała do szytej sukienki, a nie miała ochoty iść sama. Dalmau otworzyła i zamknęła usta kilka razy niczym ryba wyrzucona na brzeg. Zmarszczyła czoło. Wreszcie skinęła głową w geście na tyle mało precyzyjnym, że mógł oznaczać zarówno, że wszystko zrozumiała, jak i że nie za bardzo wiedziała, o co chodzi. Ale nie miało to żadnego znaczenia. Obydwu dziewczynom nie udało się bowiem dostrzec tego gestu, bo dokładnie w tej samej chwili obróciły się na pięcie i wyszły z Santa Eulalii głównym wejściem. Kiedy znalazły się na ulicy, otuliło je ciepłe lipcowe przedpołudnie. Uśmiechnięte, odetchnęły głęboko z wdzięcznością za ten letni prezent. Roser była pierwszą przyjaciółką, którą Laia znalazła w Santa Eulalii. Od dnia, kiedy niechęć przewróciła ją na ziemię, połączyła je nić wzajemnej sympatii. Rozmawiały, zgadzały się ze sobą, rozumiały się. Były w bardzo

dobrych stosunkach i ani to, że pochodziły z różnych klas społecznych, ani różnice w wykształceniu nie stanowiły przeszkody dla ich wzajemnej sympatii. Czuli się ze sobą bardzo związane, ich przyjaźń została utkana ścięciem na tyle mocnym, że nikt ani nie mogłoby jej zerwać, choć ograniczała się do przestrzeni magazynów Santa Eulalii: pracowni, sklepu oraz eskapad, takich jak ta dzisiejsza. Zaczęły schodzić w dół Ramblami w kierunku morza. Oczy błyszczały im z radości. Policzki Roser, tak blade w dniu, w którym Laia poznała ją w magazynach, teraz różowiły się, rozpalone kolorem szczęścia. Nawet strach, że jej brat Andreu mógłby się zezłościć, wiedząc, że ich eskapady odbywały się w czasie godzin pracy Lai, nie mógł popsuć dobrego humoru młodej Molins. Może Andreu troszkę by się złościł, ale Roser wiedziała, że szybko by jej wybaczył. Nigdy niczego jej nie bronił.

– Cóż za piękny dzień, Laietko.

Laia uśmiechnęła się. Uwielbiała słuchać głosu Roser, nienagannej dykcji, jedwabistej barwy i melodii wypowiedzianych słów.

– Laietka, tylko moja mama i panienka tak mnie nazywają.

Roser wydawała się nie słyszeć tego, co mówiła do niej Laia. Barcelona, jej własne miasto, wprawiało ją w zachwyty. W tym momencie jej pięć zmysłów było zajętych delektowaniem się życiem, kolorytem i pięknem, które chłonęła każdą komórką ciała.

– Kiedyś, Laietko, poznam wszystkie blaski i cienie tego miasta – oświadczyła Roser zawięciem, tonem nieco teatralnym.

– Jeśli o blaski chodzi, świetnie, ale myśli panienka, że warto poznać i cienie?

Roser spojrzała na nią z tklivością i wzięła ją pod ramię. Ruszyły ulicą Ferran. Laia z zachwytem wpatrywała się w okna wystawowe cukierni wabiących pralinkami, kandyzowanymi owocami i orszadami. Minęły wyroby cukiernicze Massana pod numerem czternastym, gdzie arystokratyczny czarny szyld ze złotymi literami, umieszczony na wysokości pierwszego piętra, głosił, że firma została założona w tysiąc osiemset trzydziestym piątym roku. Oczy Lai zatrzymały się na stojącym na wystawie zamszowym osiołku obładowanym cukierkami i na pięknych orientalnych pudełeczkach, które jak sobie wyobrażała, musiały być pełne przepysznych czekoladek.

Roser odgadła jej pragnienia:

– Miałaś ochotę na orszadę? – Laia skinęła głową, zachwycona. – To idziemy! W cukierni Montserrat robią najlepszą.

Ruszyły przed siebie, nieświadome własnej nieprzyzwoitej młodości, różanolicy, o wilgotnych, delikatnych wargach i błyszczących włosach. Laia poruszała się z naturalną kokieterią, jej zdecydowany żywy krok przyciągał spojrzenia. U jej boku Roser, bardziej dyskretna i mimo noszonej żałoby elegantsza, budziła cichy podziw.

Wyszły znowu na Ramble i skręciły w lewo, żeby dotrzeć do ulicy Conde del Asalto, zapominając w tym intensywnym blasku słońca, że zaledwie kilka metrów obok rozciągał się Raval, ze swoimi ciemnymi zaułkami, wąskimi, źle wentylowanymi i brudnymi klatkami schodowymi, prostytutkami na rogach i dzieciakami biegającymi nago po ulicach zalanych kałużami i pełnych śmieci.

Siedząc przy szklankach z zimną orszadą i dwóch drożdżowych ślimakach, dziewczyny rozmawiały bez skrępowania, zwierając się sobie wzajemnie. Roser piła

małymi łyżkami i skubała ślimaka z drożdżowego ciasta, nie przestając mówić, Laia natomiast piła i jadła łapczywie, jakby umierała z pragnienia i nie miała nic w ustach przez kilka dni. Niewątpliwie nie mogła sobie często pozwalać na tak wykwintne i apetyczne kaprysy, których słodycz wprawiała ją w niemy zachwyt.

– Od kiedy umarł tata, wszystko było takie... straszne... – skarżyła się Roser.

Laia nie przestając popijać orszady, spojrzała na przyjaciółkę ze współczuciem i zrozumieniem.

– Nie tylko dlatego, że śmierć ojca była tak nagła i spadła na nas jak grom z jasnego nieba. Bardzo go kochałam... – Oczy zaszyły jej łzami, a głos zadrżał, ale opanowała się i ciągnęła dalej: – Chodzi o to, że całe moje dotychczasowe życie, przyzwyczajenia, podróże, wszystko skończyło się wraz ze śmiercią ojca!

– Proszę tak nie mówić, panienko Roser. Jak cokolwiek mogło się dla panienki skończyć, jest panienka nadal bardzo młoda!

– Nie rozumiesz. Drzwi mojego domu zamknęły się raz na zawsze, nie przyjmujemy odwiedzin. Bardziej niż dom przypomina więzienie pogrążone całkowicie w ciemności. Moja biedna matka, zawsze uczipiona ojca, podupadła i nie śmie się podnieść. Nie mogę liczyć na Andreu, ma już wystarczająco dużo na głowie, przejąwszy kierownictwo sklepu praktycznie z dnia na dzień. Czuję się samotna...

Nagle Roser podniosła dłoń do ust i zamilkła. Otworzyła szeroko oczy skonsternowana. Zaśmiała się nerwowo i zaczęła przeproszać:

– Mój Boże! Ależ ja jestem samolubna. Zapomniałam, że ty również przez to przeszedłaś. Też nie masz ojca. Nie chciałam, Laietko, wywoływać smutnych wspomnień.

Laia spojrzała na Roser niewinnie.

– Smutnych wspomnień? Ależ skąd! Nie musi się panienka martwić. Nie mam żadnych. Nie pamiętam ani ojca, ani jego śmierci. Byłam taka malutka!

– Oczywiście!

Przez chwilę nie odzywały się ani słowem.

– Dlatego tak często przychodzi panienka do sklepu, prawda? Dla rozrywki.

– Dusiałam się, Laietko. A w domu nie mogłam oddychać. Wydawało mi się, że meble, zasłony, obrusy, wszystko, wszyściutko, wydziela zapach gromnic i śmierci. Mama nie pozwalała mi wychodzić. Mówi, że my, kobiety, powinnyśmy na czas żałoby zamknąć się w domu, i jeśli postąpimy inaczej, będzie to świadczyło o braku szacunku wobec ojca. Ja jednak musiałam się stamtąd wydostać, żeby nie umrzeć ze smutku. Rozumiesz mnie, Laietko?

– Ależ tak! Czułabym się tak samo, jestem pewna.

Roser podparła ręką policzek, oczy zaszyły jej mgłą. Wspominała. A wspomnienia przywracały jej dobry humor.

– Wiesz, kiedy byłam mała, często chodziłam z tatą do sklepu. Z Andreu było tak samo, jeśli nie musiał akurat iść do szkoły. Tata prowadził go do gabinetu i mówił, żeby wszystkiemu dobrze się przyglądał, bo kiedyś to on obejmie firmę. Nikt się wówczas nie domyślał, że ten moment nastąpi tak szybko – zadrżał jej głos. – Szczęście jest chyba bardzo ulotne, prawda, Laietko?

Laia wzruszyła ramionami, dopijając orszadę. Nie wiedziała, co odpowiedzieć, ona

zawsze była szczęśliwa.

– Tak mówią – odparła wreszcie. I uśmiechnęła się.

Roser zdołała przywołać dużo lepsze wspomnienia, jej spojrzenie nabrało blasku:

– Kiedy byłam mała, chowałam się w pracowniach. Jakże to uwielbiałam! Zbierałam skrawki i błagałam twoją matkę, żeby pokazała mi, jak mogę uszyć ubranka dla lalek.

– Naprawdę?

Dziewczęta spojrzały po sobie. Oczy Roser, kiedy śmiały się w najlepsze, stawały się jeszcze piękniejsze.

– Ależ tak! To twoja mama nauczyła mnie, jak nawlec igłę, jak się fastryguje, stebnuje... Wiesz, całkiem niezłe szyję i haftuję. Sprawiało mi to zawsze wielką przyjemność! Z czasem wszystkiego się nauczyłam. Umieję zamaskować szew, stebnować, szydełkować, znam haft angielski i krzyżykowy. Tego ostatniego nauczyłam się u zakonnic.

– Ja przeciwnie, nie znoszę szyć. Nie wdałam się w mamę. Niech panienka nie pomyśli, że jej z tym lekko, ale co poradzę, że nie chcę sobie niszczyć dłoni ani wzroku, szyjąc dla jakichś damulek, które...

Laia zacisnęła zęby i zamilkła, żałując niestosownego komentarza, który mógł obrazić Roser. Zebrała palcem drożdżowe okruszki, które zostały na talerzu, i włożyła je do ust. Lecz Roser nadal się uśmiechała. Mówiła dalej, jakby nie dosłyszała uwagi Lai.

– Tak jak ci powiedziałam, kiedy umarł tata, poczułam, że najodpowiedniejszym miejscem dla mnie będzie sklep. Mama podniosła raban, kiedy oświadczyłam, że będę przychodzić od czasu do czasu, wtedy kiedy będzie dużo pracy lub jeśli z powodu choroby zabraknie jakiejś pracownicy. Ostatecznie chciałam po prostu pomóc.

– To jak udało się panience w końcu ją przekonać, żeby pozwoliła panience przychodzić?

– Powiedziałam Andreu, że musi stanąć po mojej stronie i że zamknięta w domu umrę. Kazałam mu przysiąc, że przekona mamę. A ponieważ mama robi wszystko, o co on ją poprosi...

– Sprytnie pomyślane, proszę panienki!

Roser wstała i skierowała się w stronę drzwi. Laia zrobiła to samo. Wychodząc, Roser odezwała się:

– Myślisz, że mogłabyś nie nazywać mnie panienką?

– Ależ, panienko!

– Kiedy cały czas się tak do mnie zwracasz, nie wydaje mi się, żebyśmy byli przyjaciółkami.

Laia wydawała się zastanawiać przez chwilę, po czym odparła:

– Dobrze, panienko. Kiedy będziemy same, tak jak teraz, nie będę do ciebie mówić panienko. Ale w sklepie tak. W sklepie nie mogę zwracać się do panienki w inny sposób.

– W porządku, Laiu, niech tak będzie.

– Zgoda... Roser.

W drodze powrotnej zatrzymały się na placu Pi, żeby zrobić zakupy w pasmanterii Soler. Jednym z ulubionych miejsc młodej Molins. Zachodziła tam często, znano ją tam

i odnoszono się do niej z szacunkiem, tak jak dobry sprzedawca traktuje stałego klienta. Laia była w tym sklepie kilkakrotnie z mamą, ale dopiero teraz po raz pierwszy zobaczyła wszystkie skarby, które się w nim skrywały. Widziane oczami Roser, wszystkie te artykuły nabierały swoistego uroku: kordonki, frędzle, tasiemki gładkie i wzorzyste, służące zarówno do ozdoby sukni, jak i do przewiązania pudła, wachlarze wystawione w gablocie... Świat pełen kolorów i magii, należący do krawców i szwaczek, ale również do dziewcząt, które po prostu lubiły przerabiać stare i szyć nowe sukienki, tak jak Roser Molins.

Zrobiło się późno. Kiedy Roser i Laia wychodziły dokądś razem, traciły poczucie czasu. Roser wzięła przyjaciółkę za rękę i ruszyła biegiem, pociągając ją za sobą.

– Chodź, biegniemy, żeby pani Dalmau nie wytargała nas za uszy.

Obok nich gołębie w popłochu wzbijały się w powietrze, przestraszone ich śmiechem.

– Roser! Nie biegnij tak, nie mam siły, zaraz upadnę. Niestraszne mi są bury Dalmau, przyzwyczałam się...

Zanim weszły do Santa Eulalii, obciągnęły spódnice i przeczesaly palcami włosy. Miały wypieki na twarzy od gonitwy. Były spocone i dyszały ze zmęczenia i gorąca. Weszły do sklepu najgodniej, jak potrafiły.

Popołudniowe słońce chyliło się już nad Barceloną. Chmury rumieniły się niczym dojrzałe jabłka. Lato zaczynało złościć się i czerwienić, ustępując miejsca wrześnieowi. Jesień czuć było zwłaszcza w zacienionych uliczkach okalających katedrę. Dni robiły się coraz krótsze, a wiatr porywał ze sobą liście z drzew. Godziny wlokły się niemiłosiernie w pracowniach Santa Eulalii, poprzetykane wyśpiewywanymi przy pracy kupletami i szczękiem nożyczek. Pachniało jeszcze resztkami lata zawieruszonymi po kątach.

Drzwi otworzyły się i do środka weszła Koczek, nucąc coś pod nosem i sadząc swoje drobne kroczki w takt wyimaginowanej melodii. Z miną zepsutej lalki podeszła do subiekta. A ten powitał ją słowami:

– A pani znowu tutaj! Niezawodna jak zwykle. Proszę, tutaj ma pani swój kawałek bibuły.

W oczkach Koczka zapaliły się iskierki:

– Dziękuję, proszę pana. Czy mam zaśpiewać piosenkę albo wyrecytować wierszyk?

Laia uśmiechnęła się. Kiedy Koczek przychodziła po swoją bibułę, a zjawiała się po nią codziennie, był to znak, że nadchodziła pora zamknięcia. Pamiętała swój pierwszy dzień pracy, kiedy ją ujrzała. Wtedy bardzo się przestraszyła i poszła poszukać Mili:

– Do sklepu weszła właśnie bardzo dziwna kobieta. Musi być chyba obłąkana.

Mila nie zaszczyliła jej nawet spojrzeniem, rzuciwszy od niechcienia:

– No, to masz powód do radości. To Koczek. A jeśli już tu jest, to znaczy, że możemy zwijać żagle.

– Koczek? Kto to jest ta Koczek?

Mila porzuciła swoje zajęcie i odwróciła się do Lai z miną świadczącą o tym, że odpowiedź wymagała od niej nadludzkiego wysiłku.

– Niespełna rozumu biedaczka, która straszy we wszystkich sklepach przy Ramblach. Mieszka na ulicy Cadena. Kiedyś, zdaje się, była krawcową, ale jej córkę przejechał tramwaj i od tej pory przestała być sobą.

– Biedaczka!

Od tamtego popołudnia Laia niecierpliwie wyczekiwała codziennej wizyty Koczka, która przychodziła podarować im kilka wersów piosenki w czasie, gdy w przymierzalniach niektóre klientki nadal podziwiała się w lustrze, przekrzywiając głowy, żeby lepiej zobaczyć, jak mierzona suknia leży na nich z tyłu.

Pani Dalmau wyrwała Laię z zadumy:

– Rusz się, dziewczyno! Idź pozamiataj i pozbieraj ścinki, wszystkiego muszę dopilnować, gdyby nie ja, byłoby tu jedno wielkie pobożowisko!

Laia usłuchała. Miała już dosyć tej pracy. Każdy tydzień dłużył jej się bardziej niż poprzedni, a niedziele były za krótkie, żeby dojść do siebie po tylu dniach męczarni.

W tym momencie drzwi wejściowe otworzyły się i zobaczyła wchodzącego przez nie młodego mężczyznę. Gdyby nie cienki wąsik, można by go było wziąć za nastolatka. Miał lśniąco od pomady kasztanowe włosy zaczesane do tyłu i figlarny uśmiech na twarzy. Od czubków palców po końcówki włosów wyglądał na rasowego kobieciarza.

Młodzieniec wszedł do sklepu i rozejrzał się wokół z zainteresowaniem. Kiedy zauważył Laię z miotłą w ręku, niczym Kopciuszka, który uciekł właśnie ze stron bajki, puścił do niej zalotnie oczko. Ona oblała się rumieńcem i odwróciła, zamiatając zamasyściej niż wcześniej. Czuła na karku szelmowskie spojrzenie jego przenikliwych oczu. Wyczuwała przebiegły uśmiech zarysowujący się na jego ustach i musiała bardzo się starać, żeby nie podnieść głowy i nie spojrzeć na niego ponownie.

Zaraz też podszedł do niego pracownik działu krawieckiego. Laia usłyszała wyraźnie, co powiedział:

– Nazywam się Ferran Clos. Pan Molins mnie oczekuje.

Poszedł za pracownikiem po schodach na górę, aż do gabinetu na ostatnim piętrze.

Kiedy zniknął jej z oczu, Laia mogła znowu zacząć normalnie oddychać. Wówczas też zobaczyła stojącą na półpiętrze Roser, nieruchomą niczym słup soli, z głową zadartą do góry, kurczowo uczeponą balustrady schodów, jakby była kołem ratunkowym, a wokół szalał sztorm.

Roser powoli opuściła głowę, spojrzenia obydwu dziewcząt się spotkały. Laia zauważyła wtedy, że oczy Roser straciły swój spokój, płonęły żarem. Nie miała najmniejszych wątpliwości: wzrok przyjaciółki też musiał napotkać uroczy uśmiech młodzieńca o imieniu Ferran.

Paryż, wiosna 1914

Zabrnął w ślepią uliczkę. Dniami i nocami trawił go przedziwny narastający niepokój. Zbliżały się czerwcowe egzaminy, a Ferran nie chciał nawet myśleć o chwili, w której przyjdzie mu stanąć przez komisją egzaminacyjną, mającą ocenić to, czego nauczył się przez pierwszy rok studiów. A nie nauczył się niczego.

Nie chciał zostać lekarzem jak jego ojciec i dziadek. Nie miał zamiaru kontynuować rodzinnej tradycji. Zapisał się na wydział medycyny zmuszony przez autorytatywnego ojca, znamienitego doktora Clos de Caldes de Montbui, który nie chciał zrozumieć ani przyjąć do wiadomości, że jego jedyny syn ośmielał się buntować przeciwko przyszłości, uznawanej przez ojca za jedyną możliwą.

Na wydziale medycyny Ferran praktycznie odkrył jedynie dwie rzeczy: nudę i zamiłowanie do rysunku. Dzięki tym śmiertelnie nudnym podręcznikom do anatomii spostrzegł własny, do tej pory ukryty, talent. Zamknięty w maciupeńkim pokoju w akademiku, Ferran cały wolny czas, który powinien przeznaczyć na naukę, poświęcił na kopiowanie ilustracji z podręczników do anatomii. Uskrzydłony nowym zajęciem, które wynagradzało mu te wszystkie puste godziny, absorbując go bez reszty, natychmiast postanowił wyjść poza podręczniki i zacząć rysować życie. Dobrze mu szło i lubił pokazywać innym swoje prace. Jeden z kolegów docenił rysowniczy talent Ferrana i napomknął mu o szkole rysunku i malarstwa Joana Baixasa. Tam poznał zupełnie nowy świat, pełen możliwości, które wydawały się skrojone na jego miarę. Wydział medycyny stał się jedynie powracającym koszmarem, z którego na szczęście można było się otrząsnąć, kiedy tylko rozwiewały się cienie nocy. Czas dzielił odtąd między szkołę, do której uczęszczał każdego popołudnia, a barcelońskie Ramble, po których spacerował, przed zmierzchem podążając tropem perfum gryzetek, a kiedy ciemności zaczynały spowijać miasto, śledząc inne odurzające aromaty.

Niemniej wybiła godzina prawdy. Czerwcowe egzaminy. Oczami wyobraźni widział już, jak w wieku siedemnastu lat wraca do rodzinnego domu w Caldes de Montbui, za cały bagaż mając jedynie odniesione niepowodzenie. Nigdy nie przyszło mu do głowy, by porozmawiać szczerze z ojcem o tym, co naprawdę zajmowało go w coraz większym stopniu. Była to jego zdaniem walka z góry przegrana, kolejna z tych odwiecznych i nieprzyjemnych kłótni z ojcem, wobec całkowitej obojętności matki, zamkniętej we własnym, ciasnym świecie codziennych mszy i pełnej hipokryzji działalności dobroczynnej. Czuł się więźniem w tym świecie, którego nienawidził, ale z którego nie za bardzo umiał się wydostać, dlatego że odwaga nie była rysem jego charakteru.

Aż któregoś dnia, w samotności własnego pokoju, zaplątany w pajęczą sieć bezsenności, pomyślał, że znalazł rozwiązanie. Ukazało mu się najpierw niczym niedostępny, daleki sen; obsesja zrodzona ze strachu, który czuł na myśl o zbliżającym się końcu roku. Ale o poranku, kiedy jego głowa nadal dotykała poduszki, ten dziwny pomysł, niczym niezmordowana kochanka trująca go swoimi nieprzyzwoitymi

perfumami, uniemożliwił mu pograżenie się we śnie.

Niemal bez jego udziału owa myśl zaczęła się materializować, lęki zniknęły, a to, co wcześniej wydawało się niemożliwe, przestało takie być i poczuł potrzebę działania. Pewnego popołudnia poszedł na dworzec Estación de Francia, żeby sprawdzić rozkład pociągów. Parę dni później wszedł do księgarni i kupił przewodnik po swoim mieście marzeń z przepięknymi rycinami, na których widoczne były jego mało znane zakątki.

Utopia. Sen. Bzdura. Marzenie znajdujące się daleko poza jego zasięgiem, ułuda, którą w charakterze rozrywki mógłby się zająć w chwilach przygnębienia, ale która nie rozwiązywała jego największego problemu: dusił się.

Każdego kolejnego dnia coraz bardziej.

Aż wreszcie pewnego ranka, wychodząc z domu, żeby udać się na wydział (teraz przed zbliżającymi się egzaminami rzadko opuszczał zajęcia), Ferran podniósł głowę i spojrzał w niebo. Wiosna ustąpiła świetlistemu latu. Delikatny podmuch wiatru przynosił woń platanów, miejskich drzew, równocześnie zielonych i zakurzonych. Poczul, jak błękit nieba i soczysta zieleń roślinności zaczynają buzować mu w żyłach. Odwrócił się na pięcie. Wszedł z powrotem do studenckiego pokoju, który był jego domem przez te wszystkie miesiące. Chwycił rozkład pociągów i miejski przewodnik. Zrobił w myślach listę dobytku. Dzięki Bogu, rodzina nie skąpiła na jego utrzymanie i niedawno dostał ostatni przekaz pieniężny, którego nie miał jeszcze czasu roztrwonić. Przyszło mu do głowy, że mógłby sprzedać rzeczy, które nie będą mu już przydatne, takie jak ubrania i książki medyczne. Wiedział, jak i gdzie mógłby to zrobić, nauczył się tego, kiedy musiał zapłacić za jakiś droższy kaprys, a proszenie rodziców o więcej pieniędzy nie wydawało mu się odpowiednie. Spakował manatki.

Z walizką w jednej ręce i wszystkim, czego chciał się pozbyć, w drugiej, wyszedł z pokoju, żeby urzeczywistnić swoje marzenie.

Z nosem przyklejonym do szyby wagonu klasy drugiej ekspresu do Paryża Ferran przyglądał się w osłupieniu miejskiej masie ludzkiej, która przemieszczała się na jego oczach i zostawała w tyle. Pociąg toczył się po zawiłym labiryncie torów, znaków i strzelistych wież. Pejzaż ulegał przemianom: ogromne tereny fabryczne w okamgnieniu zamieniały się w wioski z małymi domkami, białymi i czerwonymi, niczym w bajkach dla dzieci.

Dojechał do Paryża o siódmej po południu, w dwadzieścia cztery godziny po opuszczeniu Barcelony.

Wyszedłszy z dworca Gare de Lyon, po długiej podróży, w czasie której nerwy związane z ucieczką pozwoliły mu ledwie się zdrzemnąć, Ferran zderzył się z miastem, które do tej pory istniało jedynie w jego wyobraźni. Wydało mu się gigantycznym smokiem: jego jednostajne sapanie ogłuszało go, a blask pokrytej łuskami skóry oślepiał.

Pierwsze, co zrobił, to poszukał taksówki, która zawiozłaby go do uprzednio wybranego hotelu. Miał kieszenie pełne pieniędzy i wydawało mu się, że ten stan utrzyma się już zawsze. Zwrócił się do kierowcy zdaniem wyćwiczonym w czasie podróży. Francuski, którego uczył się na studiach, pozostawiał wiele do życzenia:

– *Au Nouvel Hôtel, 49 rue Lafayette, s'il vous plaît.*

Aż podskoczył, widząc, ile kosztowało zakwaterowanie w tym eleganckim hotelu z wielkimi palmami ustawionymi w każdym rogu foyer. Czuł się jednak na tyle zmęczony, że chętnie zastosował maksymę, którą nieodłącznie kierował się w życiu: troski należy zostawiać na dzień następny. Teraz należało spróbować odzyskać siły. Umył się i przebrał. Dobrze prezentował się w marynarce i spodniach szytych na miarę oraz lakierkach. Zawsze lubił chodzić dobrze ubrany i jedną z rzeczy, których obawiał się najbardziej, jeśli miałby kiedykolwiek zerwać rodzinne stosunki, było wyrzeczenie się tych przyjemności, które jak na zepsutego i rozpieszczanego od dziecka młodzieńca przystało, wypełniały jego życie.

Przyjrzał się swojemu odbiciu w lustrze i wydał się sobie przystojny, atrakcyjniejszy niż kiedykolwiek. Jego pierwsze godziny paryskiej wolności poprawiły mu humor. Oczy błyszczały nową radością. Zszedł do sali jadalnej o białych ścianach i nieskalanych obrusach, pogwizdując piosenkę.

Przebywał w Paryżu od trzech tygodni, a w hotelu był winien więcej pieniędzy, niż miał w kieszeni. Ale jednego był pewien: za nic w świecie nie wróci do domu. Nigdy nie czuł się tak wolny.

Pomyślał o znalezieniu pracy, jednak poważną przeszkodą okazał się język. Włóczył się więc przez całe dni, razem ze spieszącymi się dokądś urzędnikami i gospodyniami domowymi uginającymi się pod ciężarem kosztów z zakupami i dzieci. Miasto pochwyliło go w swoje sidła, nim mógł zrobić cokolwiek, by tego uniknąć. Było niczym piękna kochanka, która uwodziła zarówno ubrana w jedwabie, jak i zuchwale naga.

Miasto rozkochało go w sobie. Czuł tę miłość, kiedy słońce obmywało bruk, jak i kiedy noc wychylała się zza dachów i wszystko pogrążało się w ciemności, kiedy bulwary jaśniały światłem latarni, a ludzie wychodzili na poszukiwanie rozrywek. Wówczas kochał Paryż bardziej niż kiedykolwiek. Odkrył dzielnicę, która wydawała się zaprojektowana z myślą o jego potrzebie wolności: Montmartre, i co noc zapuszczał się w jej uliczki, odwiedzając bary i kabarety.

Jednym z nich był Le Rat Mort, wąski i długi lokal, pełen luster, by choć optycznie go poszerzyć, i nieco wulgarnej krzykliwej dekoracji. Mieścił się pod numerem siódmym na placu Pigalle, bardzo niedaleko Moulin Rouge i było wszystkim wiadome, że zawdzięczał swą nazwę fetorowi zdechłego szczura, który rozchodził się w sąsiedztwie. Za dnia odwiedzali go intelektualiści, politycy i czcigodni patriarchowie najznamienitszych rodów, jednak w nocy przemieniał się w miejsce spotkań wyuzdanej paryskiej cyganerii, w dom publiczny odwiedzany przez ekskluzywne kokoty i prawdopodobnie pierwszy lokal w całym mieście, w którym można było spotkać dostojne damy płacące za usługi młodym chłopcom, a nawet innym kobietom.

Tam właśnie Ferrana dosięgnęło nagle szczęście, które – tak jak wszystko w życiu tego nierozważnego chłopca, wychowanego pod kloszem w zamożnej mieszczańskiej rodzinie – spadło na niego jak z nieba, zupełnie niespodzianie.

Nad ranem, jak co dzień, lokal pękał w szwach. Niebywale wytworne damy w trzyrzędowych naszyjnikach z pereł mieszały się z mężczyznami o lśniących od pomady włosach zaczesanych do tyłu. Topili pieniądze w *champagne frappé*, puszczały je z dymem tureckich papierosów i połykali, jakby chodziło o czekoladki. Dwie orkiestry grały na zmianę aż do świtu. Mały parkiet taneczny pachniał potem i skrywanym pożądaniem.

Ferran, którego nie stać było na stolik, usiadł przy barze tuż przy wejściu. Usłyszał wówczas przytłumiony głos obrzucający kogoś stekiem wyzwisk:

– *Et alors, pourquoi tu ne nous laisses pas entrer? Pour qui tu te prends? Salop! Que ets un porc! Coi de francés del dimoni...*

Słowa rozbrzmiewały wśród krzyków i pisków, które wznosiły się przy zatłoczonym wejściu do lokalu. Czyżby to był kataloński? Czyżby ktoś przeklinał w jego języku? Ferran, nie zastanawiając się ani chwili, postanowił to sprawdzić. Z miejsca znalazł się w samym środku awantury, która wcale go nie dotyczyła. Zajął stanowisko, oczywiście, ujmując się za młodym chudzielcem, który kopał na prawo i lewo i ranił mocniej słowami niż pięściami. Mieszał język tego kraju z innym, za którym młody Ferran, co właśnie sobie uzmysłowił, bardzo tęsknił.

Porządkowym pilnującym lokalu udało się spacyfikować krzykaczy wymierzanymi razami i pchnięciami. Młodzi mieli czoła zroszone potem i dyszeli ze zmęczenia. Ten, który mówił po katalońsku, w wyświechtanym ubraniu i z kosmykiem opadającym na jedno oko, trząsał się ze złości. Opierał się na drugim młodzieńcu o szklistych oczach i zaciśniętych zębach, który nie brał udziału w bójce, prawdopodobnie z powodu swojej tuszy.

Ferran usiadł na chodniku i starł krew, którą broczył jego rozbity łuk brwiowy.

– *Pourquoi tu t'es foutu dans cette bagarre?* – zapytał go pierwszy chłopak.

– Możesz do mnie mówić po katalońsku.

– Jesteś Katalończykiem? – Ferran nie zdążył odpowiedzieć, bo jego rozmówca rzucił mu się na szyję, krzycząc na całe gardło: – *Merde! Il est catalán, tu m'écoutes? Maurice, catalán!* – Odsunął go od siebie, żeby lepiej mu się przyjrzeć, i nie puszczając go, powiedział: – Nazywam się Pasqual Llorenç, jestem uczniem malarza, pochodzę z Mataró. A to mój przyjaciel Maurice.

Tenże Maurice, który do tej pory przyglądał się całej scenie w ciszy, zrobił parę nieporadnych od nadmiaru wina kroków w ich kierunku:

– Maurice Utrillo – sprecyzował przepitym chrapliwym głosem.

– A ty, jak się nazywasz? Co robisz w Paryżu? – zapytał ten, który przedstawił się jako Pasqual.

– Nazywam się Ferran Clos. Przyjechałem do Paryża, żeby... żyć.

Dwudziestego ósmego czerwca tysiąc dziewięćset czternastego roku zabójstwo w Sarajewie dziedzica monarchii austro-węgierskiej, arcyksięcia Franciszka Ferdynanda Habsburga, i jego małżonki stało się przyczynkiem do wybuchu pierwszej wojny światowej. Kiedy Francja przystąpiła do konfliktu, osiągnął on niezwykle rozmiary;

w sierpniu zaangażowana była w niego już połowa Europy.

Paryż znalazł się w centrum uwagi niemieckich wojsk, a mimo to paryżanie wydawali się nie tracić ochoty na korzystanie z życia. Jeśli władze skracaly godziny otwarcia kabaretów i lokali rozrywkowych, ludzie wychodzili na ulice, place i tarasy; jeśli konfiskowano samochody, miasto zapełniało się rowerami.

Wojna też nie wydawała się wielce martwić Ferrana i nie zmusiła go do zmiany stylu życia. Dzień po poznaniu Pasquala porzucił po kryjomu Nouvel Hôtel, zostawiając po sobie do połowy pustą walizkę, i zamieszkał razem z nim w obskurnej, brudnej mansardzie na ulicy Durantin, na swoim ukochanym Montmartrze, gdzie, tak jak setki początkujących artystów, zaczął rysować na ulicach w zamian za parę monet.

Nora, którą dzielił z Pasqualem, nie przypominała w niczym hotelu z ulicy Lafayette, mieszczącego się w samym sercu miasta, ale Ferran nie tęsknił za utraconymi wygodami. Czuł się szczęśliwy, kiedy każdego ranka popielate światło Paryża wpadało przez mansardowe okno i zalewało jego pryczę. Upajał się całkowitą wolnością i doskonalił swój francuski przy przyjaciółach Pasquala, w większości artystach, których poznawał coraz lepiej. Czasami razem z przyjacielem odwiedzał galerie i wystawy, po których przechadzali się już dobrze znani malarze, jak Pablo Picasso i jego przyjaciel Juan Gris.

– Kiedyś będę malował tak jak oni – zapewniał go Pasqual z wyczuwalną nutką zazdrości w głosie.

– W takim razie czas najwyższy zacząć brać do ręki pędzle, nie sądzisz? – drwił z niego Ferran.

Rozpętywała się wówczas retoryczna walka, która miast na pięści kończyła się potarganymi włosami i poklepywaniem po plecach.

Ferran dzielił z Pasqualem o wiele więcej niż samą rudere, w której mieszkali. Od czasu do czasu również i spragnione czułości dziewczyny. Ale tym, czego Ferran nie mógł dzielić, było bezwarunkowe uwielbienie, którym przyjaciel darzył malarstwo Picassa i Grisa. Te portrety, na których ludzie wydawali się rozpadać, rozlatywać na części niby w jakimś koszmarze; te martwe natury, na których wszystkie przedmioty miały niewyobrażalne kształty. Nazywano to malarstwem? Nie, nie potrafił tego zrozumieć. To, co jemu przypadało do gustu, to obrazy małomównego Utrilla. Zakątki Montmartre'u odtwarzane z pamięci w pokoju jego domu, w którym spędzał zamknięty całe dni. To było malarstwo! Podziwiając paryskie pejzaże Maurice'a Utrillo, Ferran był przekonany, że Montmartre, ten Montmartre, który znał, będzie trwał wiecznie.

W Le Rat Mort Ferran odkrył swój niezwykle talent uwodziciela. Jego wygląd zawadiaki je olśniewał, toteż prędko znalazł żylę złota w dojrzałych kobietach, które przychodziły do kabaretu w poszukiwaniu silnych emocji. Musiał tylko pozwolić dać się ponieść okolicznościom, nie stawiając przeszkód, i mógł wygodnie zarabiać na życie, robiąc to samo, co robiły *gigolettes*, te wesołe bezwstydné dziewczęta polujące na kochanków, które zaludniały paryskie noce.

I pewnie życie płynęłoby dalej tak miło i beztriosko, na zwodzeniu kogo mógł,

gdyby nie poznał Bebé.

Historia miłości Ferrana i Bebé wyznaczyła początek końca paryskiego życia Ferrana. Była to historia smutna i dekadenska, która skończyła się tak, jak musiała. Ale koniec końców, była to historia miłosna.

Zacząła się pewnej nocy. Jednej z tych, kiedy mężczyźni w okopach wydawali ostatnie tchnienie, rozszarpywani przez wojenne szpony. Ferran już od dobrej chwili bez powodzenia starał się odnaleźć Pasquala w Le Rat Mort. Ktoś powiedział mu, że zamknął się w garderobie z jedną z tancerek. Przeszedł więc korytarzem prowadzącym do garderoby, gotów dołączyć do zabawy przyjaciela jak tylekroć razy, kiedy nagle jedna z tancerek, która pędem zbiegała ze schodów, prawie już spóźniona na własny numer, potknęła się i upadła mu pod nogi. Pomógł jej wstać i spojrzeli na siebie. Tę noc spędzili już razem. Nazywała się Bebé i miała ciało kobiety, a twarz anioła. Spojrzenie niewinne, urocze rumieńce, wyglądała jak wyjęta z obrazów Renoira. Bebé była prześliczna! Oddała mu swoje ciało i duszę, a on zapomniał o bożym świecie. Nawet o paniach, które go utrzymywały, albo o swojej nauce malarza z cyganerii na stromych uliczkach Montmartre'u.

Paryska zima była lodowata, a bruk zawsze wilgotny. Ferran i Bebé schronili się w maciupieńkim pokoiku, który ona wynajmowała niedaleko kabaretu, wychodziła z niego jedynie po to, by udać się do pracy. On towarzyszył jej co noc i chronił ją, w Le Rat Mort miał oczy tylko dla niej. Kiedy słońce jaśniało nad Paryżem, wracali razem do domu, ścigając się po ulicach, ich policzki płonęły od przeszywającego zimna. Małe kwoty, które zarabiała dziewczyna, wydawali błyskawicznie, nie wiedząc nawet kiedy. Było im zimno. Niemal głodowali. Kochali się. Byli szczęśliwi. Gdy, przytuleni po miłosnym zbliżeniu, obserwowali, jak nitki deszczu obmywały szyby w oknie pokoju, Bebé opowiadała mu o swoim marzeniu, żeby tańczyć w Folies Bergère albo w Moulin Rouge.

Pewnego ponurego lodowatego dnia w styczniu Ferran gorzej się poczuł. Kiedy błądził wąskimi zaułkami Montmartre'u, chłód wydał mu się bardziej dotkliwy. Miejska wilgoć odczuwalna także w niemal pozbawionym wentylacji pokoju, który dzielili razem z Bebé, przenikała go do szpiku kości. Zaczynał podupadać na zdrowiu. Nadszedł taki dzień, kiedy nie był w stanie zwlec się z łóżka. Miał gorączkę i kaszlał, jakby miało mu rozsadzić płuca. Nie było pieniędzy na lekarzy ani na lekarstwa. Pasqual i Bebé pielęgowali go, jak umieli, ale stan chorego jedynie się pogarszał.

Pewnej nocy poczuł, że siły ostatecznie go opuszczają. Godziny wlokły się niemiłosiernie. Wybiła piąta nad ranem, kiedy chłopak w delirium z powodu gorączki usłyszał otwierające się drzwi do pokoju. Pomyślał, że to Bebé wróciła z pracy. Cienki knot świecy, która, tocząc stearynowe łzy, oświetlała słabo pokoik, zadygotał. Wydawało mu się, że w półmroku dostrzega sylwetkę mężczyzny. W kapeluszu na głowie i dzierzącego laskę. Ferran to otwierał, to zamykał oczy, kilkakrotnie starając się wyostrzyć wzrok. Oddychał z trudem, a czoło miał zroszone potem. Z czasem udało mu się dojrzeć parę szczegółów: przybyły gość nosił się staromodnie, czarna peleryna chroniła go przed ciekawskimi spojrzeniami. Przytrzymał kapelusz, a laską uderzał w przegniłe deski parkietu.

– *Qui êtes-vous? Je rêve?*

– Nie śni pan – odpowiedział mu niski głos w języku, który Ferran już niemal zapomniał.

Zdumiony i przestraszony chłopak próbował się podnieść, ale uniemożliwił mu to nagły atak kaszlu.

Mężczyzna zbliżył się do jego łóżka. Stał nad nim i z wysoka obrzucił Ferrana spojrzeniem.

– Kim pan jest? – powtórzył chłopak.

– Moje imię nic panu nie powie. Przyszyła mnie pański ojciec.

Ferran zebrał wszystkie siły, które mu pozostały, usiadł i spojrzał uważnie na mężczyznę.

– Jak pan mnie znalazł?

– Nie było to proste, może mi pan wierzyć. Ale jak pan sam wie, pieniądze pomagają otworzyć wiele drzwi. – Ferran opadł na poduszki i zamknął oczy. Mężczyzna ciągnął dalej pewien wygranej: – Teraz pański ojciec już wie, gdzie się pan znajduje i w jakim stanie.

– Nie wiem, do czego pan zmierza.

– Przyjacielu, jest pan bardzo chory. Możliwe nawet, że ma pan ciężkie zapalenie płuc. Nie ma pan środków na leczenie. Za parę tygodni, proszę mi wierzyć, będzie pan trupem.

Ferran poczuł ucisk w klatce piersiowej, żar, który rozlewał się po całym organizmie. Ucisk ten spowodował strach. Wiedział, że w słowach mężczyzny nie ma ani krzty przesady czy kłamstwa. Nie na darmo był synem lekarza.

– Co pan proponuje?

– Pójdzie pan ze mną. Teraz, od razu. Umieszczę pana w dobrym hotelu. Zajmie się panem lekarz. Może nie jest jeszcze za późno. Potem, oczywiście, wrócimy do Barcelony.

Mężczyzna zrobił pauzę, która zawisła w zgniłym powietrzu pokoju.

– *Bebé...* – wyszeptał Ferran i poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła.

– Martwy na nic jej się pan przyda.

Ferran popatrzył uważnie na mężczyznę. Wreszcie wzruszył ramionami bezsilny i skinął głową. Mężczyzna pomógł mu się podnieść, przykrył go brudnym wyświechtanym kocem. Podtrzymując ciało, ten worek kości, wyprowadził go stamtąd.

Deszcz przestał padać, mijająca noc rozpływała się, pozostawiając po sobie dziwny spokój. Ferran na różowiącym się niebie szukał księżycy. Krył się on za postrzępionymi chmurami przed lodowatą mżawką. Paryż mówił mu „do widzenia”. Był snem, z którego za szybko przyszło mu się obudzić.

Ferran został przyjęty do pracy w Santa Eulalii. Andreu wspomniał o tym przy stole podczas kolacji tego samego dnia, kiedy młodzieniec pojawił się w sklepie.

– Dzisiaj przyszedł zobaczyć się ze mną Ferran Clos, mamó. Pamięta mama rodzinę Clos de Caldes?

Roser mocniej zabiło serce, gdy tymczasem jej matka podniosła wzrok znad kolacji, której nie zdążyła jeszcze tknąć. Odkąd zabrakło jej męża, żyła pogrążona w smutku, którego nie umiała ani nie chciała od siebie odpędzić. Wbiła w syna swoje wodniste oczy. Odpowiedź zajęła jej dłuższą chwilę, tak jakby samo jej znalezienie, wymagające cofnięcia się do czasów, których wspomnienie napawało ją smutkiem, było niezwykle trudne.

– Clos? Ten lekarz?

– Tak, daleki kuzyn taty.

Roser nie zdołała dłużej powstrzymać ciekawości.

– Czego chciał? Co robi w Barcelonie? Dlaczego przyszedł?

Andreu żuł powoli, przyglądając się siostrze z ukosa i zastanawiając się, skąd się wzięło to jej nagłe zainteresowanie. Jadł w ciszy przez dłuższą chwilę, wystawiając na próbę jej cierpliwość, tak samo jak w dzieciństwie, kiedy używał swej pozycji starszego brata, żeby zmusić ją do posłuszeństwa. Dokuczanie jej sprawiało mu przyjemność od zawsze. Siedząc teraz naprzeciwko siebie, podobni jak dwie krople wody, jak jedynie siostra z bratem być mogą, wyglądali, jakby na nowo stali się tym chłopcem i dziewczynką sprzed lat, szczęśliwymi beztroskimi ancymonami. Tak naprawdę jedynie wówczas, w zaciszu domowym, Andreu mógł uwolnić małego chłopca, którego nosił w sobie, a o którym okoliczności kazały mu zapomnieć.

Raczył odpowiedzieć dokładnie w momencie, w którym Roser już otwierała usta, żeby zarzucić go kolejną serią pytań.

– Pokazał mi list od swojego ojca, lekarza. Prosi mnie w nim o wielką przysługę, chce, żebym zatrudnił jego syna w sklepie, ponieważ chłopak rzucił studia medyczne, a rodzinie zależy, żeby znalazł stałą pracę w Barcelonie, jeszcze lepiej w zaufanym przedsiębiorstwie. – Podniósł kieliszek z winem do ust, pociągnął łyk i wbił spojrzenie w siostrę. – Odniosłem wrażenie, że doktorowi Closowi zależy, żebyśmy wszyscy mieli oko na jego syna.

– Wszyscy? – zapytała dziewczyna, zapominając o stygnącym na talerzu posiłku.

– Tak. Mieszka w domu swoich bliższych krewnych. Udało mi się wywnioskować z listu, że doktor jest bardzo zdegustowany brakiem zainteresowania medycyną ze strony syna. Logiczne, biorąc pod uwagę, że Ferran Clos jest jedynakiem i zgodnie z niepisanym prawem powinien kontynuować rodzinną tradycję. Jeśli dobrze rozumiem, jego dziadek też był lekarzem.

W tym momencie rozmowy matka wstała od stołu. Jej dzieci natychmiast uczyniły to samo.

– Proszę, nie przeszkadzajcie sobie. Pójdę się położyć.

– Mamó, jeśli nie będzie mama jeść... – Kobieta przerwała synowi, machając ręką

z mieszaniną złości i znudzenia, spojrzała na niego ostrzegawczo, dając do zrozumienia, że nie jest to odpowiedni moment na dyskusje.

Andreu popatrzył za nią, jak oddała się korytarzem, po czym wrócił do stołu.

– Martwię się o mamę.

– Śmierć ojca jest bardzo świeża – powiedziała Roser. – Spędzili razem całe życie... Musi być jej ciężko, Andreu.

– Wszyscy za nim tęsknimy.

Przez chwilę słychać było jedynie szcęk sztućców ślizgających się po talerzach. Jednakże Roser na usta cisnęło się jeszcze jedno pytanie. Wyrzuciła je z siebie, kiedy przeszli do deserów:

– I... zostanie u nas?

Andreu uśmiechnął się z przekąsem.

– Kto?

– Andreu, wiesz dobrze, o kogo mi chodzi. Ten chłopak, ten cały...

– Ferran?

Roser obracała w ustach to imię, delektując się jego słodyczą.

– Tak, Ferran.

– Ach, więc chodzi ci o niego? – odparł jej brat żartowniś. – Sam nie wiem, nie potrzeba nam więcej ekspedientów w dziale krawieckim, ale nie mogę odmówić pomocy krewnemu. Nawet najdalszemu. Zwłaszcza w tych okolicznościach. – Chłopak otarł usta serwetką, którą następnie złożył pieczołowicie i odłożył na stół. Wstał, a przechodząc obok siostry, nachylił się nad nią i wprost do ucha szepnął: – Zostanie.

Obecność Ferrana sprawiła, że wszystkie ekspedientki w Santa Eulalii chodziły jak nakręcone. Chłopak był miły, uważny. Uroczy. Znajdował dobre słowo dla każdego, zarówno dla współpracowników, jak i dla klientów. Miał też szósty zmysł, jeśli chodziło o handel. Mógł sprzedać każdemu wszystko, cokolwiek sobie założył. Praca szła mu jak z płatka. Poza tym nowe otoczenie sprawiło, że znowu zajął się rysowaniem; szkicował stroje i przerysowywał z czasopism modele, z czasem zaczął je zmieniać według własnej wyobraźni i dzięki temu powrócił do swojego prawdziwego powołania, o którym w wyniku zaistniałych okoliczności zdążył niemal zapomnieć.

Po powrocie z Paryża starał się wszelkimi sposobami pogodzić z ojcem i znaleźć najrozsądniejsze wyjście. Gniewu doktora nie złagodził jednak nawet stan zdrowia syna. Oczyma wyobraźni widział już, jak jego jedyna latorośl przepada na zawsze, a szanowane nazwisko rodziny zostaje utyłane błotem na nieznaną ziemi.

Kiedy Ferran odzyskał siły, nastąpiły dni, tygodnie i miesiące gorzkich wyrzutów, surowych min i pogróżek. Chłopak okrył rodzinę hańbą. Ojciec starał się znaleźć honorowe, dla wszystkich, wyjście z sytuacji, a matka, bogobojna i bojaźliwa, nie szczędziła wysiłków, by zmyć grzech nowennami i mszami zamawianymi w intencji ocalenia zbłąkanego syna. We dwójkę, ojciec i matka, ustalili, że pogrzebią w niepamięci paryską eskapadę syna, wymyślając historię, którą ludzie o ciasnych poglądach z ich otoczenia mogliby przełknąć. Tym sposobem paryski epizod przerodził się w pobyt na

leczeniu w zagranicznym sanatorium. A ponieważ nikogo to nie zdziwiło, duma i dobre imię rodziny Clos zostały, przynajmniej chwilowo, ocalone.

Ferran pozwalał im swobodnie działać, planując w tym samym czasie własną najbliższą przyszłość. Wiedział, że nie uda mu się teraz odzyskać utraconej w chwili porzucenia Paryża wolności, ale nie chciał marnować ani jednego dnia życia, siedząc w domu, w którym się dusił, i w miasteczku, które podcinało mu skrzydła. W czasie negocjacji z ojcem w jednym był nieprzejednany: chciał zamieszkać w Barcelonie. Doktor w końcu ustąpił. Pozwolił mu wyjechać do Barcelony, pod warunkiem że zamieszka tam, gdzie on zarządzi, i by zarobić na własne utrzymanie, podejmie pracę w miejscu, które on mu wybierze.

Ferran przystał na wszystko.

Od niespełna miesiąca pracował w Santa Eulalii i bez dwóch zdań był zadowolony. Mieszkał w Barcelonie. Pracował w miejscu, które mu odpowiadało. Jednak w dalszym ciągu tęsknił za utraconą niezależnością. Najsilniej marzył o tym, by jak najszybciej porzucić dom zgrzybiałych krewnych, u których mieszkał. Nie chciał też nadal być zależnym od rodziny, nie był gotów zaakceptować, że kierowali jego życiem. Musiał na nowo znaleźć drogę ku wolności. Takie było jego postanowienie, jego cel.

I właśnie wtedy spostrzegł zakochane spojrzenie oczu Roser.

Zwariowała na jego punkcie. Roser przeglądała się w lustrze, drżała, nie potrafiąc obronić się przed tym uczuciem, które narodziło się w zakamarkach jej duszy. Zdumiewało ją własne odbicie. Wyglądała jakoś inaczej. Miłość do Ferrana przeobraziła ją.

Znała go od niedawna. Jesień rozpoczęła swe panowanie w mieście i wyścieliła ulice dywanami z liści. Niebo często grzmiało przeszywane błyskawicami, ale Roser nie zwracała na to najmniejszej uwagi. Żyła w swoim świecie, świecie, który krążył wokół tego nowego uczucia, hipnotyzującego i gorączkowego. Odkąd pierwszego dnia zobaczyła Ferrana wchodzącego do sklepu, tak przystojnego, o doskonałych rysach i oczach, które przewiercały ciało na wskroś i wpatrywały się w duszę, wiedziała, że jej życie wkrótce zmieni się całkowicie, na lepsze lub na gorsze. Zakochała się, nie zamieniwszy z nim słowa, i bez słów oddała mu się bez reszty. Nie zdając sobie z tego sprawy, myślała tylko o nim, a nieznany lęk dręczył ją o każdej porze dnia i nocy. Czy tak właśnie wyglądała miłość? Niemożliwe! Jeśli było tak rzeczywiście, nie życzyła jej nikomu, nawet swojemu największemu wrogowi; bo któż byłby w stanie tak żyć, z nerwami na postronkach o każdej porze, pragnąc oglądać jedynie obiekt swojego pożądania, a jednocześnie obawiając się jego bliskości? A nocą ten ból serca, jakby przełamywało się na pół... A nad tą całą nową płataniną uczuć wisząca w powietrzu cisza. Tajemnica. Ona, która nigdy nie miała sekretów, teraz milczała, przekonana, że powinna to uczucie zamknąć na klucz w sercu. Aż wreszcie, nie mogąc dłużej wytrzymać, opanowana narastającą falą uczuć, poczuła niecierpiącą zwłoki potrzebę, żeby się przed kimś otworzyć. Laia wydała jej się najlepszą powiernicą, odpowiedniejszą niż przyjaciółki, z którymi znała się od dziecka; te dziewczęta, wychowane tak jak ona,

w surowości obyczajów, były głodne miłosnych historii, o których mogłyby fantazjować. Nie miała wątpliwości, że Laia wysłucha historii, nie zasypując jej pytaniami, bez ekscytacji, bo była ulepiona z innej gliny.

Dlatego też tej jesieni tysiąc dziewięćset osiemnastego roku ich wspólne wypadki po sprawunki i wizyty w pobliskich zakładach stały się jeszcze częstsze niż zazwyczaj, ku rozpaczy pani Dalmau. Roser, nad filiżanką czekolady z biszkoptami albo włócząc się powoli i bez celu po Ramblach, zwierzała się Lai ze wszystkiego, co działo się w jej duszy, i szukała nowych słów, żeby nazwać nieznane jej wcześniej uczucia, krusząc tym samym przygniatający ją kamień.

– Laitko, nie wiem, jak wyjaśnić ci to, co czuję. Oj, nawet sobie tego nie wyobrazasz! Odkąd zobaczyłam Ferrana po raz pierwszy, nie żyję. Czuję, że moje życie należy do niego. Nie jest już moje, tylko jego i nie mogę bez niego żyć. Pragnę, żeby na mnie patrzył i równocześnie boję się, żeby na mnie spojrział. A kiedy pomyślę, że nie wie nic o moim istnieniu... Rozumiesz, co chcę ci powiedzieć?

– Tak – wyszeptała Laia, jakby nie chciała zostać usłyszana. Roser nie zwracała na nią uwagi, wsłuchana jedynie w samą siebie.

Laia pozwalała jej mówić, słuchała jej w ciszy ze smutnym spojrzeniem, nieobecna, z uśmiechem na ustach, który często gasł, jeszcze zanim zdążył się na nich zarysować. Wiedziała, że Roser nie potrzebuje odpowiedzi, tylko pragnie jej towarzystwa. Spacerowały razem, a w tym czasie jesienne popołudnia powoli nikły przykryte liśćmi platanów, pożółkłymi i drżącymi.

Zupełnie jak ich serca.

Roser przyzwyczała się myśleć o nim skrycie. Ale pewnego popołudnia, po zamknięciu sklepu, Ferran Clos podszedł do niej i zapytał, czy mógłby odprowadzić ją do domu. Dziewczynie wskutek zdumienia i emocji serce stanęło w piersi. Nie mogła wykrztusić słowa. Oblewając się rumieńcem, szukała jakiejś koherentnej odpowiedzi i wreszcie odparła zachrypniętym głosem:

– Ja... Muszę poczekać na brata. Zawsze wracam z nim razem do domu.

– Z bratem? – zapytał Ferran, jakby nie wiedział, o kogo mogło chodzić.

Roser zamrugnęła zdenerwowana.

– Ach, przecież! Pani brat, oczywiście! Pani jest panienką Molins! Proszę wybaczyć moją zuchwałość.

– Nie ma czego, proszę pana.

– Łatwo zapomnieć, kim pani jest, widząc panią w sklepie, pracującą jak wszyscy.

Roser płonęły policzki, tak że nie była w stanie tego znieść. Obawiała się, że Ferran uzna ją za niespełna rozumu.

– Nie jestem nikim niezwykłym. Zaręczam panu.

Chłopak mówi dalej, ignorując delikatne protesty Roser.

– Poza tym nosi pani żalobę. Mój Boże! Co sobie pani o mnie pomyśli?!

Roser usłyszała kroki i odwróciła się, odrywając wzrok od hipnotyzującego blasku jego oczu. To Andreu schodził po schodach.

– Przepraszam, muszę już iść.

Ferran uklonił jej się uroczyście, z szacunkiem.

Parę tygodni później Roser znowu wpadła na Ferrana. To była pierwsza niedziela listopada, leniwy, słoneczny dzień. Matka panienki i paniczka Molins, pani Aurora, zachorowała i nie wychodziła z domu, nie poszła nawet na mszę. Andreu miał już narzeczoną i tę niedzielę spędzał w towarzystwie rodziny swojej wybranki, Anny Balasch, pochodzącej ze znamienitej barcelońskiej rodziny. Roser doskwierała samotność, znudzenie, zakochanie. Gdyby chociaż w niedzielę mogła liczyć na towarzystwo Laietki, swojej cierpliwej powiernicy!

Wyszykowała się do kościoła, a po drodze postanowiła udać się jeszcze do cukierni po drożdżowe ciasto na deser. Towarzyszyła jej najmłodsza służąca, Genoveva, dziewczyna potulna i miło usposobiona, za to małomówna.

Wyszły razem z rodzinnego domu przy ulicy París. Państwo Molins przeprowadzili się do tego nowoczesnego budynku o fasadzie żywo przypominającej styl art déco zaledwie pięć lat wcześniej. Mieszkali na pierwszym piętrze, w dużym mieszkaniu, z galerią o owalnych oknach od strony ulicy. Był to śliczny, aczkolwiek nieco dziwny dom w dzielnicy Eixample, której ulice były najbardziej przestronne i najjaśniejsze w mieście.

Ubrana w elegancki kostium z czarnej wełny, spódnicę i żakiet wcięty w talii, i w kapeluszu o szerokim rondzie, z dobraną pod kolor małą torebką, Roser w ciszy zeszła w dół ulicą Enric Granados, skręciła w Provençę i wzięła udział w mszy świętej odprawianej o dziesiątej w kościele Sant Sever i Sant Vicenç de Paül. W żadnym razie nie spodziewała się niespodzianki, która czekała na nią przy wyjściu.

Ferran, znawca jej zwyczajów, czekał na nią po zakończeniu mszy w drzwiach kościoła. Nie ośmielił się udawać, że było to przypadkowe spotkanie.

– Pewnie zastanawia się panienka, co tutaj robię. Mógłbym odpowiedzieć, że moja obecność jest dziełem szczęśliwego przypadku. Ale nie chcę ani nie mogę pani okłamywać. Śledziłem panią. Znam pani zwyczaje i podążam pani krokiem. Dzisiaj zobaczyłem, jak pani wchodziła do kościoła, i pomyślałem...

Roser zastygła w bezruchu, stała jak wrośnięta w ziemię, po czym ruszyła szybkim krokiem, przerywając ten wywód, który zachwycał ją i przerażał jednocześnie. Genoveva puściła się za nią biegiem. Ferran spokojnym krokiem ruszył za dwoma dziewczynami, uśmiech nie schodził mu z twarzy, przyklejony do ust, niczym nieodstępny papieros. Wystarczyło mu zaledwie parę szybkich kroków, by się z nimi zrównać. Wówczas delikatnie chwycił Roser za ramię.

– Proszę dać mi szansę.

Roser dotarła do domu w rozsypance, dużo później niż powinna. Powiedziała Genovie, że ma nadzieję, iż zachowa dla siebie zarówno to spotkanie, jak i długą rozmowę, którą odbyła z tym młodym mężczyzną. Służąca, miłośniczka romantycznych powieści, przekonana, że oto trafiła na stronicę jednej z nich, przypisała sobie rolę powiernicy i przysięgła za nic na świecie nie zdradzić się przed kimkolwiek. Roser przebrała się po powrocie do domu i poszła zobaczyć się z matką. Znalazła ją siedzącą w galerii o owalnych oknach. Czuła się trochę lepiej. Zjadły razem obiad, rozmawiając

o błahostkach. Kiedy nadeszła pora deseru, Roser zdała sobie sprawę, że zupełnie zapomniała o drożdżowym cieście.

Ta listopadowa niedziela tysiąc dziewięćset osiemnastego roku była pierwszą z wielu spędzonych przez Roser i Ferrana na zawiązywaniu bliższej znajomości, która z czasem przerodziła się w narzeczeństwo. Chłopak, uwodzicielski jak zwykle, opowiadał jej o swoich marzeniach, wizji przyszłości i jak bardzo zależało mu, żeby dzielić ją razem z nią. Roser myślała o tym, że nie mogła być szczęśliwsza ani bardziej zakochana. Tak minęły jesień i zima, aż nadeszła wiosna tysiąc dziewięćset dziewiętnastego roku.

Jedynie żałoba, którą nosiła po ojcu, wstrzymywała ją przed rozmową z bratem na temat tego, co czuła do Ferrana. I choć chłopak upierał się, że mają prawo jawnie cieszyć się swoją miłością i nie trwonić ani minuty młodości, zastanawiając się nad tym, co powiedzą inni, w głębi serca Roser nosiła narastające poczucie winy. Całe to szczęście wydawało jej się nieodpowiednie w zderzeniu ze smutkiem, który po tak wielkiej stracie ogarniał jej dom. Ale Ferran nadal nalegał, aż udało mu się ją przekonać, że powinni sformalizować swój związek. Dlatego też zdecydowała się pomówić z Andreu. Pewnego marcowego wieczoru czekała na powrót brata z tą samą niecierpliwością, z którą dziecko czeka na przyjscie Trzech Króli i przynoszone przez nich prezenty.

Była tak zdenerwowana, że mogła ustać, jedynie wyglądając przez owalne okna galerii. Przeczesała ulicę, szukając wśród przemierzających ją cieni sylwetki Andreu. Padało, liście platanów były skapane deszczem. Czas zatrzymał się w miejscu, Andreu nie nadchodził. Roser miała wrażenie, że zegar stanął, by okrutnie z niej zadrwić, gdy tymczasem miasto lśniło w zapadającym zmroku.

W końcu usłyszała skrzypienie, odgłos zamykanych drzwi i pospieszne jak zwykle kroki brata. Serce zabiło jej mocniej.

– Dobry wieczór, Roser. Co robisz tutaj sama?

– Andreu! Musimy porozmawiać.

Andreu nie zdziwiło, kiedy siostra oświadczyła, że spotyka się z Ferranem Closem. Był bystry i szybko odgadł, że to, co z początku wydawało mu się zwyczajnym zadurzeniem w przystojnym i eleganckim chłopcu, który podobał się wszystkim dziewczynom, przerodziło się w coś więcej. Widział, do czego to zmierza. Ale nie rozmawiał z nią na ten temat, myśląc prawdopodobnie, że jeśli uniknie rozmowy, stosunkowo dla niego niewygodnej, uwolni się również od lęków, które mogłyby okazać się prawdą. Ferran był młodym, wykształconym i przedsiębiorczym młodzieńcem. Nikt się na niego nie skarżył i szybko stał się jednym z najlepszych sprzedawców. Ale jakiś cień, niejasne podejrzenie, sprawiało, że Andreu był pewien, iż nie wszystko w życiu Ferrana jest takie jasne i oczywiste.

Po śmierci ojca Andreu nie tylko objął kierownictwo nad Santa Eulalią, przejmując na siebie wszystkie obowiązki, ale również stał się głową rodziny. Martwił się wielce o przyszłość siostry. W głębi serca, w jakiś niejasny sposób czuł, że powinien ją chronić właśnie przed Ferranem Closem. Ale nie wiedział dlaczego.

Dni, które nastąpiły po wyznaniu Roser, Andreu spędził na szukaniu informacji,

które mogłyby zaprzeczyć jego nieuzasadnionym, a może nawet krzywdzącym podejrzeniom lub je potwierdzić. Po kryjomu odwiedził krewnych, u których Ferran się zatrzymał, skontaktował się z daleką rodziną, którą mieli jeszcze w Caldes, wysłał listy. Jedyne, co udało mu się ustalić, było to, że Ferran wystąpił przeciw ojcu, bo chciał przerwać studia, i że spędził dłuższy czas za granicą na rekonwalescencji po poważnej chorobie.

W tym czasie oczekiwanie i nieufność Andreu w stosunku do Ferrana spędzały Roser sen z powiek. Często płakała, niepokieszona. Andreu zaczynał tęsknić za skrzącymi się radością oczami swojej siostry, nie chciał, żeby cierpiała z powodu jego uporu. Doszedł do wniosku, że wszystko to sobie wymyślił, że w rzeczy samej ów młodzieniec pochodził z dobrej, znanej rodziny, a jego jedynym grzechem było to, że nie chciał zostać lekarzem.

Poza tym, w głębi duszy, Andreu miał jeszcze dodatkowe powody, żeby zgodzić się na narzeczeństwo Roser. Dopiero po jej wyjściu za mąż, i to w dodatku za odpowiedniego mężczyznę, on sam mógł założyć rodzinę z Anną, w której był prawdziwie zakochany.

Wreszcie Andreu Molins wyraził zgodę. Narzeczeństwo można było uznać za oficjalne, choć ślub należało odłożyć ze względu na żałobę. Roser kompletnie oddała się panu swojego serca.

Ale nie tylko ona.

– Otwórz oczy.

Jest mu uległa. Zawsze. Otwiera oczy powoli, napotyka jego spojrzenie, jest tak blisko, że przez chwilę boi się utonąć w tych dwóch jeziorach jeszcze wyrazistszych wskutek pożądania.

Całuje ją. Zawsze z odrobiną agresji, napierając na nią mięsistymi wargami, wsuwając do jej ust język. Wysysa jej duszę. Wówczas jego oddech staje się głębszy. Unosi się na łokciach i wpatruje w jej nagie ciało. Opuszkami palców gładzi jej policzki, podbródek, szyję, ramiona; kiedy dociera do piersi, ona zastyga w bezruchu i zamyka ponownie oczy. Odwraca głowę, żeby nie widział jej twarzy, kurczowo zaciska w palcach szorstkie prześcieradło. Kiedy całuje jej sutki, ona pozwala sobie na cichy jęk rozkoszy wydobywający się z najskrytszych zakamarków. Poci się. Perłowe kropelki błyszczą na jej brzuchu. Pragnie, żeby zliział je miękkim językiem. Serce boli ją od tych nagłych szybkich uderzeń. W uszach słyszy szum pompowanej krwi i z ponadludzkim wysiłkiem dławi wydobywające się z jej ust dyszenie, przerywany oddech.

Ciała kochanków w odwiecznym tańcu stapiają się w jedno. On kładzie się na niej, wchodzi w nią coraz głębiej. Gwałtownie całuje ją po twarzy, kąsa w szyję, równocześnie zaczyna poruszać się najpierw bardzo powoli, dopóki nie wejdzie w nią cały, później szybciej. Już nie oddychają, dyszą.

Nie są dwojgiem, są jednym.

Połączeni.

Zespoleni.

Zlani w jedno.

On parska z satysfakcją. Kładzie się obok niej, po zaspokojeniu pożądania jego oczy znów stają się łagodne niczym morze w stanie ciszy. Odwraca się, żeby na nią spojrzeć, i zanurza jedną rękę w jej burzy loków rozsypujących się po poduszce, skotłowanych w dzikim bałaganie. Patrzą na siebie, ogarnięci błogością, którą czują zawsze po miłosnym zbliżeniu. Każde z nich zagubione we własnych myślach, tak bardzo od siebie różnych. On stara się unikać jej towarzystwa, pali powoli, nie odzywając się ani słowem. Ona przysuwa się do niego i przytula, drżąca i bezbronna. Wdycha zapach tytoniu i wpatruje się w unoszące się kółeczka dymu. Jej oddech głaszcze go po policzku niczym piórko. Z wolna zapada w sen, a bicie serca kochanka czujnie jej strzeże.

– Wstawaj! Musisz się ubrać. Trzeba opuścić pokój.

Laia nie poznała zwracającego się do niej zachrypniętego głosu. Szybowała jeszcze w świecie snów, z którego tak trudno było wrócić do rzeczywistości.

Otworzyła oczy. Ferran siedział na łóżku odwrócony do niej plecami w niezapiętej koszuli, wkładał buty. Laia wsparła się na łokciach i spojrzała na niego jeszcze zaspanymi oczyma. Nie mogła uwierzyć, że ten cudowny człowiek zechciał ją pokochać. Marzyła o nim przez wiele nocy, dochodząc do wniosku, że jeśli tego typu sny były nieprzyzwoite, ona grzeszyła co noc. Ale nie miała wyrzutów sumienia. Tak samo jak nie żałowała, że

oddała mu się bez reszty, ani tych potajemnych ukradkowych spotkań, które stały się dla niej prawdziwą racją bytu. Dlatego że życie przed Ferranem nie istniało! Jakże śmiała się teraz z tej innej Lai, której wystarczały niedzielne tańce i zwierzenia koleżanek wypowiedane półgłosem. Tamta Laia należała do przeszłości. Była niczym innym aniżeli małą dziewczynką. Na szczęście już nie istniała.

Nie miała jednak świadomości, że razem z tamtą Laią odeszły także beztroskie, radosne śmiechy, czyste spojrzenia. Niewinność. Nie wiedziała także, choć zaczynała już przeczuwać, że miłość w zależności od punktu patrzenia może sprawiać więcej bólu niż radości.

Ferran odwrócił się w jej stronę, a widząc, że nadal leży na łóżku, zaczął ją ponaglać.

– Nie zamierzasz się ubrać?

– Była śliczna, prawda?

Na kilka sekund, które wydawały się wiecznością, zatopił w niej spojrzenie.

– Kto? – zapytał, uśmiechając się pobłaźliwie.

– Dobrze wiesz, o kogo mi chodzi, ta tancerka z Paryża.

Zanim odpowiedział, wpatrywał się przez chwilę we własną nieuchwytną dłoń, w coś, co mimo że Laia starała się dojrzeć z całych sił, zawsze kryło się przed jej wzrokiem.

– Bébé była najpiękniejszą dziewczyną w Paryżu.

Laia знаła odpowiedź. Wiedziała dokładnie, jaka będzie. Bała się jej, a jednak chciała ją usłyszeć. Jawna sprzeczność, gorzka i smakowita jednocześnie. Nawet ona sama nie potrafiła zrozumieć, dlaczego zawsze podczas każdego spotkania poruszała ten temat.

– Nadal ją kochasz?

Chłopak spojrzał na nią z miną mężczyzny światowca, który zna wszystkie odpowiedzi.

– Jeśli kochało się naprawdę, to już nigdy nie przestanie się kochać.

– Mnie też kochasz naprawdę?

Ferran podczołgał się po nieposłanym łóżku w jej stronę. Przytulił ją i za całą odpowiedź mocno pocałował, z tym całym dzikim impetem, który zdawał się wkładać we wszystko, co robił.

Jak mogła pożądać tak bardzo ciepła tych ust, zastanawiała się Laia, odwzajemniając pocałunek. Dlaczego tak bardzo go pragnęła? Dlaczego to pożądanie sprawiało równocześnie tyle bólu? Odsunęła się przejęta nagłym dreszczem.

– A Roser? Też ją kochasz?

Ferran zerwał się na równe nogi z szybkością błyskawicy. Laię zaczęły piec oczy.

– Nie chcę z tobą o niej rozmawiać. Powiedziałem ci to jasno; ona jest poza tym.

– Czyli kim dla ciebie jest?

– Moją przyszłością.

– A kim ja jestem?

Odwrócił się na pięcie, wpatrując się w nią uważnie i groźnie. Po czym powtórzył beznamiętnie, upominając ją:

– Ubieraj się. Już późno.

Laia położyła dłoń na brudnej gałce od drzwi i ją przekręciła. Zawsze umawiali się w tym domu, w którym wynajmowano pokoje na godziny, żeby potajemni kochankowie, tacy jak oni, mogli skryć się przed światem. Znajdował się na ulicy Conde del Asalto, niedaleko ekskluzywnego London Bar, otworzonego jakieś osiem lat wcześniej, który szybko stał się miejscem spotkań artystów i cyganerii. Oczy Lai, jak zawsze, kiedy tamtędy przechodziła, zajaśniały do środka pękającego w szwach lokalu i utkwily w dwóch wielkich lustrach wiszących za barem, obramowanych girlandami z kolorowej sztukaterii, w których odbijali się siedzący na taboretach przy barze klienci.

Szła Ramblami powoli, oddając się rozmyślaniom, wpatrując w arabeski ze świeżych zielonych liści platanów, którymi obsadzony był bulwar. To właśnie wówczas, kiedy nie czuła przy sobie ujarzmiającej siły Ferrana, w głowie zaczynały narastać wątpliwości, a w sercu wyrzuty sumienia. Idąc na piechotę do domu, zastanawiała się, czy Ferran naprawdę darzy ją miłością. Czy naprawdę kocha ją tak jak tę Bebé, przez którą nie mogła zmrużyć oka, a o której opowiedział jej pierwszego dnia, kiedy się kochali, niczym myśliwy chełpiący się zdobytymi trofeami przed nową ofiarą. Bebé i Paryż. Jak rozblyskały mu oczy, kiedy zaczynał o nich mówić!

I choć imię dalekiej i nieznanej Bebé wzbudzało jej zazdrość, to tym, które wbijało jej się w serce niczym sztylet, było imię kogoś innego, należało do Roser. Jak mogła zrobić coś podobnego swojej przyjaciółce? Kim była? Potworem?

Zaręczyny Roser i Ferrana, które ogłosili w maju tysiąc dziewięćset dziewiętnastego roku, stały się ulubionym tematem plotek w magazynach, i choć od tego wydarzenia minęło już kilka miesięcy, nie mówiono o niczym innym. Młode panny sklepowe wzdychały z zazdrości, że to panience Molins przypadł książę na białym koniu, o którym wszystkie marzyły. Subiekci ściszonymi głosami obmawiali za plecami Ferrana, nie przebierając przy tym w słowach, i nazywali narzeczonego łowcą posagów i dręczycielem. Jeśli akurat przechodził obok, natychmiast wracali do przerwanych zajęć, udając całkowitą obojętność.

Doktor Clos wraz z małżonką przyjechali specjalnie z Caldes i krążyły słuchy, że oficjalne zaręczyny odbyły się w czasie rodzinnego obiadu w luksusowej restauracji w parku Ciutadella. Pani Dalmau zacięcie powtarzała wszystkim, którzy mieli ochotę jej słuchać, że wdowa Molins nie pojawiła się na obiedzie i tym samym zademonstrowała wyraźny sprzeciw wobec zaręczyn córki z Ferranem Closem.

– Niech Bóg ma nas w swojej opiece! Wcale mnie nie dziwi, że nie jest ukontentowana takim zięciem. Jak mogłoby mnie to dziwić? Kto to widział, żeby panienska z dobrego domu wychodziła za mąż za... za takiego gołowasa!

Same plotki i przypuszczenia. Im mniej ktoś wiedział, tym bardziej starał się udowodnić, że wie wszystko. Ale tylko ona, Laia, dowiadywała się o wszystkim z pierwszej ręki. Roser składała jej bowiem bardzo szczegółowe sprawozdania, nie zdając

sobie sprawy, że kiedy mówiła, w oczach przyjaciółki narastał gniew, a jej usta wykrzywiały się z goryczą, i że Laia ledwie potrafiła ukryć zżerającą ją zazdrość i zachować milczenie, poza tym, że trawiły ją wyrzuty sumienia.

I tak Laia dowiedziała się, że na obiedzie było ze dwadzieścia osób, krewni rodziny Closów i Molinsów oraz przyszłej żony Andreu; że pani Aurora, wdowa po Molinsie pojawiła się również, ale w porze deseru przyjechał po nią kierowca i opuściła zebranych, wymawiając się gorszym samopoczuciem.

– Wolałabym, żeby w ogóle nie przychodziła, wiesz, Laietko? Nie możesz sobie wyobrazić, jak wszyscy się poczuli, kiedy wychodziła, nim obiad dobiegł końca.

Roser nachmurzyła się nieco, przypominając sobie, jak potraktowała ich pani matka, ale nawet mimo tego afrontu jej oczy nie straciły blasku kobiety szczęśliwie zakochanej.

– I nie chodzi o to, że ma coś przeciwko Ferranowi, wiesz? Co takiego mogłaby mieć? Młody chłopak, pochodzi ze znanej i szanowanej rodziny, przy tym jest niezwykle pracowity... Nie! Chodzi o to, że wydaje jej się, że moje zaręczyny w tym momencie to oznaka braku szacunku wobec ojca i że nadal jesteśmy w żałobie. Matka żyje w innych czasach, nie wydaje ci się, Laiu?

Laia milczała. Jej myśli krążyły wokół ostatniego spotkania z Ferranem, myślała o jego oczach i spojrzeniach zmieniających się jak w kalejdoskopie.

– Poza tym wszystko dobrze się udało. Zarezerwowano dla nas jedno skrzydło restauracji. Przez wielkie okna widać było wodospad i jezioro... Było przepięknie, tak romantycznie! Nawet sobie nie wyobrazasz.

Nie. Laia nie chciała sobie tego wyobrażać. Nie chciała oczyma wyobraźni oglądać Ferrana w zatłoczonej restauracji pełnej dystyngowanych osób, u boku narzeczonej. Wolała wyobrażać sobie jego dłonie, silne i zachłanne, spoczywające na jej drobnych piersiach, które drżały, kiedy ich dotykał.

– Sukienka okazała się doskonała, wszyscy prawili mi komplementy. Naturalnie mamie też się nie spodobało, że wybrałam akurat tę okazję, żeby zdjąć żałobę...

Od kiedy Roser i Ferran oficjalnie się zaręczyli, Laia, na ile mogła, starała się unikać kontaktu z przyjaciółką. Nie było to takie trudne. Roser nieczęsto pojawiała się teraz w magazynach, a jeśli już, to była bardziej zajęta wybieraniem wyprawy panny młodej i materiałów na kreacje, które zamierzała nosić w swoim nowym życiu, niż szukaniem jej towarzystwa. Data ślubu została wyznaczona na następne lato, tysiąc dziewięćset dwudziestego roku. Było jeszcze tyle do zrobienia! Jednak gdzieś w głębi serca Roser żalowała, że nie może poświęcić przyjaciółce więcej czasu, i szukała jej, żeby opowiedzieć o tych wszystkich wspaniałych rzeczach, które jej się przytrafiały. Laia unikała jej towarzystwa. Wykręcała się nadmiarem pracy, byle tylko nie musieć uczestniczyć w jej eskapadach. Nie czuła się na siłach, by wysłuchiwać, jak Roser opowiada o Ferranie, i z czasem coraz bardziej oddalały się od siebie.

Jak każdej niedzieli od długich miesięcy Laia dotarła do domu później, niż było przyjęte. Zapadła noc, czarna, że oko wykol, bez księżyca. I jak co niedziela natknęła się

na matkę siedzącą w jadalni, ze splecionymi dłońmi opartymi o blat stołu, z surową miną malującą się na ustach.

Skoro tylko posłyszała szcęk przekręcanego kluczem zamka, Carmen odetchnęła z ulgą. Laia wreszcie wróciła do domu. Nic jej się nie stało. Część zmartwienia, które zalegało jej na barkach od kilku miesięcy, wyparowywała niczym eter, ale nie całe. Niedzielne oczekiwania na powrót córki uniemożliwiały jej sen. Kiedy w końcu stawała oko w oko z dziewczyną, domagała się wyjaśnień tego nowego i dziwnego zachowania. Odbływały nerwową rozmowę, ze strony Lai padały bezczelne odpowiedzi tak typowe dla młodego wieku. Carmen nie mogła dłużej wytrzymać, Laia też nie.

– Gdzie byłaś?

– Znowu to samo, mamó. Mówiłam już mamie, że umówiłam się z Marią, zagadałyśmy się...

– Nie kłam, dobrze wiem, że nie spotykasz się z przyjaciółkami od miesięcy.

– Jeśli mama wszystko wie, to po co pyta?

– Laia, na Boga. W coś ty się wpackowała, córeczko?

Nie miało sensu wymyślanie kolejnych kłamstw. Nie z jej matką. Laia zachowała milczenie i już miała udać się do swojego pokoju, ale powstrzymały ją słowa Carmen. Wydały jej się przecuciem, groźbą, kolejną w jej życiu, w życiu, które zostało wyrócone do góry nogami, które zamieniło się w burzę z piorunami, jedną z tych przecinających niebo światłem gwałtownych błyskawic.

– Posłuchaj, dziecko, są rzeczy na tym świecie, które nigdy się nie zmieniają. Mężczyźni zalecają się do dziewcząt, dziewczęta zachodzą w ciążę i całe ich życie obraca się wniwecz.

Laia stała nieruchomo odwrócona plecami do matki, szloch ugrzązł jej w gardle. Owładnął nią strach.

– Dlaczego matka mi to mówi?

– Bo mam tylko ciebie, maleńka.

Laia pobiegła do małego pokoju, którego okno wychodziło na wewnętrzne podwórko, chciała się wypłakać w samotności, uwolnić od klucia, które czuła w żołądku.

Carmen została w jadalni sama. Pewne podejrzenie nie dawało jej spokoju. Było tak potworne, że wszelkimi siłami starała się je odrzucić. Ale spojrzenie Lai, kiedy napotykała w magazynach tego młodego mężczyznę o przebiegłych oczach i podstępny obyciu, narzeczonego panienci Molins, było aż nadto wymowne. Zdradził ją rozkochany wzrok. Jeśli Laia sama się nie przyzna, matka postanowiła odkryć jej sekret na własną rękę. Spojrzała na zdjęcie męża.

– To nie może być prawda, Valentí! Zwariuję przez to cierpienie. Nie możemy stracić naszej córeczki przez chwilowy kaprys... Tak być nie może! Nie może!

Tej nocy, jak każdej niedzieli od miesięcy, ani Laia, ani Carmen nie mogły zasnąć. Pod zamkniętymi powiekami każdej z nich bezsenność kreśliła niewyraźne kształty, które rozmywały się w ciemności.

Usta niczym czerwone pulsujące i pękające na pół serce. Brwi, dwa cienkie maźnięcia pędzelkiem. W na wpół przytomnych oczach mgiełka z niedospania. Na scenie w Edén Concert Pepita Iris zaczyna śpiewać, klienci lokalu milkną, papierosy zastygają w pół drogi do ust, wszystkie oczy wbijają się w szczupłe ciało, które – mimo że pozbawione bujnych kształtów – nikogo nie pozostawia obojętnym.

Mówisz, że kobietą jestem podłą,

pełną jadu i interesowną.

Że niby puszę się jak paw,

zarozumialszej nie zna świat...

Ferran przymyka oczy i pozwala się ponieść muzyce.

Już ja dobrze wiem, czemu prawisz tak,

urazona duma nie jest ci w smak.

Miłość twa niespełniona jest,

bo nie stać mnie na czuły gest...

Szansonistką, ogromnie wzruszoną, targają emocje. Publiczność siedzi jak zaczarowana, twarze zacierają się w papierosowym dymie. Ramiączko zielonej sukienki z frędzlami ześlizguje się kusząco, odrobinę ją rozbierając. Pomruk wstrzymywanych oddechów jest coraz głośniejszy i stapia się z muzyką. Ferran wyczuwa wybuch namiętności na sali, on też daje mu się porwać. Rozpala go. Obezwładnia. Więż między artystką a publicznością zacieśnia się i wówczas następuje wyczekiwany refren:

Zapomnij, porzuć mnie.

Nie jestem dla ciebie.

Dłużej nie męcz się, zostaw mnie.

Nie możesz ze mną być, ale daj mi żyć,

daj mi żyć, daj mi żyć.

Ferran, pochłonięty muzyką, splata dłonie i opiera usta o palce wskazujące. Oczarowany, zupełnie zapomina o *brandy-cold*, która stoi na stoliku.

Szaleje na punkcie tej kobiety wartej grzechu i jednocześnie niewinnej niczym

najświętsza dziewica.

Ależ ślepo i na zabój jest w niej zakochany.

Za dnia Paralelo cuchnie potem i dymem. Potem tych, którzy muszą zarabiać na życie, pracując po czternaście godzin w fabrykach. Na niektórych ulicach, jak na Conde del Asalto, jest dużo sklepów z nabiałem, ale również szkół śpiewu i tańca. Przez ich okna na ulice wylewa się raczej dysharmonijne *arpeggio* i stukot kastanietów. Prawdziwe skarbonki marzeń, w których dziewczęta z najróżniejszych miejsc półwyspu starają się zapomnieć o swoim nędznym i smutnym przeznaczeniu, które zamieniło je w służące, robotnice albo prostytutki. Wiele z nich zmuszonych było nauczyć się słów piosenek na pamięć, ponieważ nie umiały czytać ani pisać, jednak wszystkie bez wyjątku liczyły, że staną się drugą Mercedes Serós albo reinkarnacją Raquel Meller.

Nocami dzielnica przeobrażała się. W czasie gdy w Europie dawał się jeszcze słyszeć szcęk zbrojnego oręża Wielkiej Wojny, Barcelona zamieniała się w miasto rozrywki, utracjuszostwa i najśmielszych igraszek. Większość teatrów i kawiarni była tutaj otwarta przez całą noc. Niektóre, na przykład Arnau albo Gayerre, wypełniały się mężczyznami o gęstych brodach, w koszulach i espadrylach, którzy mogli obejrzeć spektakl i napić się kawy, płacąc rozsądną cenę dwóch reali. Inne przyjmowały pod swój dach burżujów o znanych nazwiskach, w większości właścicieli łóż na pierwszym i drugim piętrze teatru Liceu. Byli to fabrykanci, maklerzy giełdowi i bankierzy, którzy nudzili się jak mopsy na włoskich operach i zdesperowani biegli znaleźć schronienie w ramionach szansonistek z Edenu, gdzie ponadto mogli trwonić zarobione pieniądze, oddając się grze w ruletkę albo w bakarata, a wszystko to dzięki katalońskiej neutralności wobec hazardu. W miarę postępującej nocy burżuazja i robotnicy zaczęli się ze sobą mieszać, odwiedzając te same lokale. Jedni od drugich przestawali się czymkolwiek różnić, jedni i drudzy byli spoconymi mężczyznami oddającymi się tym samym rozrywkom.

Nocami w dzielnicy Paralelo rządziły gra, alkohol i kabaret. Muzyka i francuski szampan. Striptiz, boks i koncerty. Taniec.

Ale przede wszystkim kuplet.

Pepita Iris na nowo znalazła się na scenie wśród pisków i gwizdów, żeby zaprezentować swój ostatni numer tej nocy. Przyszła kolej na *Hejże, Quima!*¹, kataloński kuplet, który maestro Joan Viladomat napisał specjalnie dla niej kilka lat wcześniej. Szansonistka poczuła dreszcz, który przeszedł publiczność na dźwięk pierwszych akordów. Znowu udało jej się zawładnąć słuchaczami.

Pewien młody stolarz

mieszka nieopodal

i kocha się we mnie.

*Widząc moje nóżki chude,
klepki swe rachuje z trudem.*

*Mówi: „Panienka
jest jak listewka,
a drewno przednie”.*

*Kiedy zbliża się do mnie,
to jak deseczka płonę,
a on woła: „Hej!”.*

*Hejże, Quima, moja śliczna,
jesteś cieńsza od pilniczka,
lecz każdy kocha cię!*

Uwierz, moja piękna, wierz.

*Nie wyciąłby tak ponętnej
deseczki sam Józef święty!*

Quima, moja śliczna.

Nie miała wspaniałego głosu, to prawda, ale w swój śpiew wkładała całą duszę. Nie była wielką tancerką, ale miała wycucie rytmu. Wiedziała, jak oczarować publiczność. Pepita uśmiechnęła się i nim rozpoczęła drugą zwrotkę, zalotnie zatrzepotała rzesami w kierunku publiczności.

Gdy na tańce idziemy,

to dostaję migreny,

tak się przylepia.

Mówi: „Moja ty jedyna!”

i guziki mi rozpina.

Ten hultaj wciąż to samo:

„Quimusi, moja damo,

Nie każ mi czekać!

Nie bądź tak niedostępna,

przecież nie jestem z drewna!”.

Hejże, Quima, moja śliczna,

jesteś cieńsza od pilniczka,

lecz każdy kocha cię!

Uwierz, moja piękna, wierz.

Nie wyciąłby tak ponętnej

deseczki sam Józef święty!

Quima, moja śliczna.

I gdy tymczasem brawa rozbrzmiewały nadal w sali Edenu, szansonistka porzuciła estradę i w pośpiechu, z frędzlami od sukienki pnącymi się po jej nogach niczym bluszcz i w jedwabnych pończochach ukazujących szczupłe kostki, podeszła do stolika, przy którym Ferran od kilku godzin do niej wzdychał.

– Idziemy, wstawaj! Przyszli już wszyscy, maestro i jego brat rzeźbiarz, Amichatis też...

Ferran złapał ją mocno za rękę i przyciągnął do siebie.

– Dziś będziesz tylko moja...

– No już, *wykwintnisiu*, nie zachowuj się jak dziecko – odpowiedziała mu, wyswobadzając się z uścisku.

Po niedługiej chwili cała banda złożona z sześciu czy siedmiu osób, z Pepitą w charakterze jedynej kobiety, opuściła Edén, by rozplynać się w spowitych mgłą ciemnościach. Większość ledwie trzymała się na nogach. Podcięty Pepe Amich, zwany Amichatisem, dziennikarz gazety „El Progreso” i słynny autor piosenek, oddał mocz w zaułku, uskarżając się, że oskubali go w Bar del Centre. Pepita podtrzymywała maestra, który nucił w przerwach między jednym czknięciem a drugim: *Hejże, Quima, moja śliczna, jesteś cieńsza od pilniczka...*

Ferran szedł z tyłu, przyglądając im się z uwagą. Słyszał, że maestro i Pepita byli kochankami. Mówiono, że pojechała razem z nim do Paryża, a po powrocie Viladomat kupił jej mieszkanie. Nie wiedział, czy dawać wiarę tym pogłoskom. Mogło tak być, właściwie czemu nie? Jednak zawsze gdy pytał o to Pepitę, ona zmieniała temat. Jeśli chodziło o maestra, któż to mógł wiedzieć? Za dnia wydawał się uczciwym człowiekiem, pracował od trzeciej do ósmej w swojej akademii śpiewu o wdzięcznej nazwie La Colosal przy ulicy Conde del Asalto numer sto sześć. On mieszkał na górze, na trzecim piętrze, razem z żoną i dwójką dzieci. Rodzina wydawała się zupełnie zgodna i normalna. Starszy syn też chciał zostać muzykiem. A jednak mimo tego pięknego rodzinnego obrazka Viladomat nocami przeobrażał się w zupełnie innego człowieka. Szwendał się po całym Paralelo w towarzystwie brata Josepa i nie wylewał za kołnierz. Mówiono, że płacono mu za prawa autorskie do części piosenek, które stały się niezwykle popularne i były wykonywane nie tylko w Barcelonie, ale również w Paryżu i Berlinie, co przynosiło mu spore zyski. Ale sam nie miał nigdy grosza przy duszy. Tak samo jak Amichatis. Obaj narzekali często na swój ciężki los, na częsty brak pieniędzy, które nie wiadomo jakim sposobem uciekały im z kieszeni. Trzeba jednak pamiętać, że artyści w latach, gdy Barcelona żyła pełną piersią, traktowali życie z pewną nonszalancją. I choć może na własną rękę nie szukali przygód, to kiedy one same wchodziły im w drogę, nie pozwalali im uciec.

Zaraz też banda nocnych marków dotarła pod dom maestra, który znajdował się bardzo niedaleko Edenu. Viladomat zaprosił wszystkich na ostatniego kielicha tej nocy – albo pierwszego tego ranka, w zależności jak na to patrzeć. Jego brat natomiast pożegnał się. Wolał iść do Lion d’Or, gdzie niemal z całą pewnością zabawa trwała jeszcze w najlepsze. Ferran za wszelką cenę starał się zbliżyć do Pepity i namówić ją, by tej nocy udali się do niego w towarzystwie jedynie nagiej namiętności. Chciał uchylić rąbka woalu tajemnicy, pod którym szansonistka chowała się, tańczyła i żartowała dzień po dniu, rozpalając go coraz bardziej. Ferran miał jedną obsesję: osiąść tę nową Salome, która zafascynowała go tak jak żadna inna kobieta wcześniej.

Ale Pepita znowu wywinęła mu się z rąk; kokietka, ulotna jak kamfora, weszła już z resztą bandy do akademii śpiewu na parterze. Żadne z nich nie uważało tego wieczoru za skończony. Ferran poszedł ich śladem. Nie miał innego wyjścia. Zresztą poszedłby za Pepitą do samiusieńkiego piekła, jeśliby go o to poprosiła.

Maestro grał na pianinie. Amichatis o tuszy wytrawnego łasucha i pijusa zwał się na rozklekotaną kanapę. Rozmiękczone od nadmiaru trunków głosem rzucił:

– Ej, ty, Viladomat! Ile dasz mi za piosenkę?

– Dwie pesety – odpowiedział maestro, przypominając sobie własne początki, kiedy kupno i sprzedaż tekstów piosenek były najszybszą drogą do komponowania i zarobienia na chleb.

Muzyk i autor tekstów piosenek połączyli siły w tej próbie umiejętności i wirtuozerii, w wyniku której, któż to wie, mógł narodzić się nowy przebój.

Ferran niespokojnym wzrokiem poszukał Pepity; niemal zlewała się z cieniami w saloniku, w którym za dnia sny przyszłych szansonistek walczyły o urzeczywistnienie. Znalazł ją siedzącą samotnie w rogu, wciągającą biały błyszczący proszek, który

wysypała z małego flakonika na wierzch dłoni. Objęła go spojrzeniem swoich rozjarzonych, rozgorączkowanych oczu. Z udawanym spokojem wyjęła z kieszeni aksamitną chusteczkę i wytarła nos. Podała mu flakonik:

– Chcesz?

Ferran nie odmówił.

Unikał jej. Najpierw naprędce wymyślał coraz to nowe i mniej prawdopodobne wymówki, które kłuły ją w serce. A potem ani słowa wyjaśnienia, ani uśmiechu, ani przeprosin.

Minęło już zbyt dużo niedziel, które Laia spędzała samotnie w swoim małym pokoju przy ulicy Piquer, nękana wymownymi, milczącymi spojrzeniami Carmen zaniepokojonej wyglądem córki. I zbyt dużo poniedziałków, kiedy cierpiała w pracy, zebrząc o odrobinę miłości, wyczekując jego nieuchwytnego spojrzenia.

Była zdesperowana. W domu, w pracy, na ulicy Laia żyła jedynie myślą o tej jego nagłej oziębłości, która łamała jej serce. Roztrząsała ją. Rozmyślała tylko o Ferranie i o tym, jak mogłaby do niego dotrzeć i wyjaśnić powód jego obojętności. Przekonywała samą siebie, że musi być coś na rzeczy, bo nie można przecież przestać kogoś kochać z dnia na dzień. Jedyne wyjaśnienie, jakie znajdowała, miało imię, a brzmiało ono Roser.

Laia doszła do wniosku, że tylko Roser mogła być przyczyną oddalenia się Ferrana. Był jej oficjalnym narzeczonym i może coś odkryła, albo on starał się właśnie, żeby niczego nie odkryła. Tylko rozmawiając z przyjaciółką, jeśli nadal mogła o niej myśleć jak o swojej przyjaciółce, mogła wpuścić nieco światła do tego niekończącego się, spowitego mrokiem tunelu, w którym się znalazła.

Teraz jednak Roser rzadko kiedy pojawiała się w magazynach, a Laię trawił smutek z powodu porzucenia. Aż nadszedł dzień, kiedy ujrzała przyjaciółkę wchodzącą do sklepu pod rękę ze swoim bratem Andreu, zadowoloną i uśmiechniętą, zdecydowaną rozwiać lodowate i szarawe mgły tegorocznej zimy. Laia musiała jak najszybciej znaleźć jakiś pretekst, żeby wyjść razem z nią i pomówić. Musiała jakoś zahaczyć o Ferrana, żeby dowiedzieć się, co takiego wpłynęło na zmianę jego uczuć. Wyciągnąć coś, co pomogłoby jej zrozumieć to bolesne i dziwne oddalenie. Ale nim zdołała zbliżyć się do Roser, poczuła, że serce zamiera jej w piersi. Nie czuła już jego bicia i brakowało jej tchu. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa i upadła jak długa na podłogę z głuchym łoskotem, który przeszył jej duszę.

Kiedy się obudziła, zobaczyła nad sobą zmartwioną twarz pani Dalmau, która wachlowała ją kartką papieru, oraz słodkie oczy Roser, które wpatrywały się w nią również, w czasie gdy ręce wtykały jej coś do ust.

– Laietko, lepiej ci? Zjedz tę kostkę cukru nasączoną ekstraktem z melisy. Od razu ci się poprawi.

W tym momencie do przymierzalni, do której zanieśiono Laię, weszła Carmen.

– Co się stało? – zapytała przestraszona.

– Zwykłe omdlenie, Carmen. Nic poważnego, już wraca do siebie.

Czując na sobie zmartwione spojrzenia, Laia znowu zamknęła oczy. Jednego była

pewna: Ferran ją porzucił. I miała pewne podejrzenie: możliwe, że nosiła w brzuchu jego dziecko.

Rambla de Cataluña była niekończącą się aleją obsadzoną po obu stronach platanami wyginającymi się teraz pod wpływem zimnego lutowego wiatru.

Andreu szedł po Annę, swoją narzeczoną, która mieszkała przy bulwarze, i we dwójkę, pod rękę, zeszli aż do Plaza Cataluña, by wypić aperitif w hotelu Colón, częściowo przebudowanym, dzięki czemu stracił swój modernistyczny charakter, zyskując estetykę bardziej zgodną z katalońskim stylem *novecentisme*.

Te wspólne chwile sam na sam w zawsze gwarnym kawiarnianym ogródku hotelu Colón zamieniły się dla nich obojga w odwieczny rytuał. Pokrzyżować im szyki mogła jedynie brzydka pogoda, ale wystarczyło choćby parę promieni zimowego słońca, by mogli usiąść i pomówić o tym wszystkim, o czym później, podczas rodzinnych obiadów w domu państwa Molins albo u państwa Balasch, rozmawiać nie mogli.

Jeśli ktoś pytał ich, od kiedy się kochają, Anna i Andreu odpowiadali zgodnie, że kochają się przez całe życie. Można było powiedzieć, że znali się dobrze od najwcześniejszych lat dzieciństwa, bo rodziny przyjaźniły się od zawsze. Jako dzieci bawili się razem, a Andreu ciągał Annę za te jej piękne grube kasztanowe warkocze mieniające się w rudych refleksach. Wychowali się niemal razem, a ich charaktery, zamiłowania i zainteresowania rozwijały się równolegle. Anna, tak samo jak Andreu, choć młoda, była rozsądna i poważna, nie interesowały ją głupoty i doskonale wiedziała, jakiego typu życie pragnie wieść. Ukończyła pedagogikę, dawała prywatne lekcje dzieciom z dobrych rodzin w zamian za hojne wynagrodzenia, a za darmo, jeśli jej uczniowie byli pozbawieni środków. Miała w życiu dwa główne cele: osiągnąć szczęście i uczyć najmłodszych.

Tego niedzielnego przedpołudnia, gdy siedzieli przy kieliszkach aromatycznego wermutu, Andreu opowiadał jej o kilku wydarzeniach, które mocno zaniepokoiły go w minionym tygodniu.

– Kazał przekazać mi wiadomość napisaną byle jak, zupełnie niepasującą do tak porządnego i eleganckiego chłopaka jak on. Pisał, że ze względu na sprawy rodzinne będzie zmuszony opuścić kilka dni pracy.

Anna zastanawiała się dłuższą chwilę, po czym odezwała się, marszcząc swój mały piegowaty nosek w charakterystyczny dla siebie sposób i nachylając się nieco do narzeczonego:

– Zgadzam się z tobą, nie załatwił tej sprawy jak należy, nie ma co do tego wątpliwości. Choć wszystko wskazuje na to, że jego nieobecność ma jakąś poważną przyczynę. Powiedziałabym nawet, że może chodzić o jakiś rodzinny problem, który spadł na niego zupełnie niespodziewanie.

Andreu pokręcił głową.

– Tak samo pomyślałem w poniedziałek i we wtorek, a nawet, będąc bardzo wspaniałomyślny, i w środę. Ale w czwartek również nie otrzymałem żadnych wiadomości od Ferrana Closa. I nadal nie pofatygowałem się, by dać znak życia.

– Wydaje się, jakby zapadł się pod ziemię.

– Ni mniej, ni więcej.

Anna poprawiła się na krześle.

– To bardzo dziwne. A Roser, nic nie wie?

– Też otrzymała list. Domyślam się, że musiał być podobny do mojego. Powiedziałbym, że choć stara się to ukryć, również się martwi. Myślę, że chce go chronić.

– Przypuszczasz, że wie, gdzie ukrywa się jej narzeczony?

Ferran pokręcił głową.

– Nie, Anno. Wydaje mi się, że nic nie wie, ale nie chce dać po sobie niczego poznać, woli dawać mi do zrozumienia, że wróci prędko. Myślę, że boi się, że go zwolnię.

– Jakie to wszystko dziwne! Czy kiedykolwiek wcześniej tak się zachowywał?

– Nigdy nie zniknął bez śladu, jeśli o to pytasz. Ale Ferran Clos to nietuzinkowy młodzieniec. Wiązę z nim wielkie nadzieje. Jego umiejętności mogłyby wspaniale przydać się w firmie. Mogę ci jedynie zdradzić, że ma żyłkę artysty, dzięki której mógłby stać się kimś znacznie więcej aniżeli zwykłym sprzedawcą. Mam parę projektów, do których doskonale by się nadawał. Ale...

Młody Molins zadumał się.

– Ale nie możesz pozwolić, by w ten sposób traktował pracę, prawda?

Andreu spojrział jej prosto w oczy.

– Nie mogę również pozwolić, by krzywdził Roser.

Nigdy nic podobnego nie miało miejsca w Santa Eulalii. Plotki kursowały z działu do działu i z kontuaru na kontuar, w miarę upływu czasu i przedłużającej się nieobecności Ferrana Closa zamieniając się w kłamliwe pogłoski na jego temat. Wszyscy wydawali się znać przyczynę jego nagłej nieobecności, ale tak naprawdę nikt nic nie wiedział. Młody dyrektor wznosił wokół siebie mur milczenia, przez który trudno było się przebić. Nie złożył żadnego wyjaśnienia mogącego wytłumaczyć nieobecność Ferrana. Ale z jego twarzy dało się wyczytać zmartwienie. Laia krążyła po magazynach, przypominając kupkę nieszczęścia; pracowała niechętnie, chowała się przed groźnymi spojrzeniami Dalmau, a przede wszystkim przysłuchiwała się uważnie wszystkim komentarzom. W sklepie, a nawet w pracowniach nie mówiono w tych dniach o niczym, co nie miało by jakiegoś związku ze zniknięciem Ferrana Closa. Snuto rozmaite przypuszczenia i stawiano coraz śmielsze hipotezy, dopóki w pobliżu nie zjawiała się jakaś uczennica, bardzo jeszcze niewinna albo zbyt łakoma dalszego ciągu opowieści. Wówczas miast słów na ustach pojawiały się drwiące uśmiechy, którym towarzyszyły porozumiewawcze wymowne spojrzenia.

Laia pogrążała się w coraz czarniejszej rozpacz, niczego nie była już zdolna zrozumieć i plątała się w domysłach. Pewna była jedynie tego, że Ferran Clos znajdował się już bardzo daleko od niej; możliwe, że nie pamiętał nawet jej imienia. Ani rysów jej twarzy. Może przestała już dla niego istnieć.

Pewnego ranka żal zaćmił całkowicie serce Lai, niczym wielka czarna burzowa chmura przesłaniająca niebo. Wydało jej się, że jest u kresu sił. Poczła się niezdolna do pracy. Nie mogła nawet oddychać. Powodowana tym czarnym smutkiem, schowała się w wąskim korytarzu nieopodal schodów prowadzących do piwnic. Znajdowały się tam

maleńkie pomieszczenia, w których personel trzymał swoje rzeczy osobiste. I wielka obskurna sala zastawiona stertą pudeł z różnościami i belami materiałów. Laia poszukała najbardziej ukrytego kąta, żeby w spokoju móc wspominać te nazbyt zachłanne pocałunki utracone bezpowrotnie, te gorące pieszczoty i te spotkania w obskurnym hoteliku. Były to najsilniejsze doznania w całym jej dotychczasowym życiu i pomyślała, że prawdopodobnie już nigdy więcej ich nie doświadczy. Dlatego że ona kochała Ferrana. Nadal go kochała. I w swojej naiwności sądziła, że on również ją kocha.

A jednak coraz częściej zaczynała zdawać sobie sprawę, że pocałunki i pieszczoty nie zawsze wypływają prosto z serca. Jakże zasmuciła ją ta refleksja! Twarz Lai poszarzała ze smutku i strachu, w gardle dławiała ją dokuczliwa gula, której nawet łzy, spływające w ciszy po policzkach, nie umiały rozpuścić. Oparła się o wilgotną ścianę. Podniosła głowę, chcąc odetchnąć zatęchłym powietrzem. I wtedy właśnie zobaczyła błysk zapalanej zapalki, a po chwili dwa żarzące się punkciki, jakby dwóch zapalanych papierosów.

W całej firmie palenie było zabronione, szczególnie w tym miejscu. Może to właśnie ciekawość sprawiła, że z jej krtani bezwiednie wydostał się krzyk:

– Kto tam jest?

– Naskarzysz na nas, Laietko? – zapytał Damià, z miną najgrzeczniejszego dziecka pod słońcem, które nigdy nic nie spsociło, a którą miał wyćwiczoną do perfekcji.

– Powariowaliście? O co wam właściwie chodzi? Chcecie puścić to wszystko z dymem?

– Ten zakątek jest bezpieczny. Już go sprawdziliśmy – zaczął bronić się Germán, pewny siebie i swoich racji.

– Powiedziałam: macie nie po kolei w głowach i wyrzucą was na ulicę.

– Nie, jeśli nic nikomu nie powiesz.

– Czy wy naprawdę nic nie rozumiecie? Dzisiaj przyłapałam was ja. Ale co będzie, jeśli jutro bądź pojutrze nakryje was... Sama nie wiem... Pan Bosch na przykład.

– Nie, niemożliwe! Ten nigdy tu nie schodzi. Boi się myszy – zakpił Damià, zaciągając się papierosem.

Laia, wściekła, wyrwała mu go i rzuciła na podłogę, po czym podeptała z taką furją, że po filtrze nie zostało ani śladu.

– A właśnie – odezwał się Germán, gasząc pospiesznie swojego papierosa, nie dając Lai czasu na interwencję. – Można wiedzieć, co ty tu właściwie robisz? Czyżbyś nie bała się myszy, Laiu?

– Milcz, głupcze! Nie widzisz, że płacze – zbeształ go Damià.

Laia wytarła zdradzające ją łzy rękawem sukienki.

– Płaczę czy nie płaczę, co wam do tego?

Germán i Damià wymienili porozumiewawcze spojrzenia, na ich usta wychynął chytry uśmiezek.

– Przejęłaś się bardzo zniknięciem Closa, co? – zapytał Germán, wbijając w nią słowa niczym rzutki.

A rzutki odniosły spodziewany efekt i przeszły skórę Lai, która poczuła, jak przez te małe dziurki wydostają się z niej smutek, zmęczenie i rozczarowanie.

– Zamknijcie się wreszcie! Nic wam do tego! – krzyknęła z wściekłością.

I wtedy nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Odchrząknęła. Postarała się uspokoić i na ile mogła, osłodziła swój głos.

– No dobrze... oczywiście, jeśli zechcielibyście wyświadczyć mi drobną przysługę, to być może... ale tylko być może, zachowałabym dla siebie to, co tu widziałam.

Uśmiech momentalnie zniknął z twarzy obydwu uczniów.

– Ładna historia! Teraz będziesz nas szantażować?

– Tak.

– No dobra. Mów, o co chodzi.

– Ferran Clos... Umielibyście mi powiedzieć, z kim kolegował się pan Clos? Chodzi konkretnie o to, z kim wychodził po pracy. Spośród ekspedientów oczywiście. Z kim najbardziej się przyjaźnił?

Germán i Damià spojrzeli po sobie, po czym wybuchnęli gromkim śmiechem. Odpowiedzieli równocześnie:

– Z Genisem!

Nie było tego za wiele. Prawie nic. Ale był to jedyny ślad, którego można się było trzymać i za nim podążyć. I tak zrobiła. Czekwała cierpliwie, aż nadarzy się okazja, by porozmawiać z Genisem Campsem w cztery oczy. Był to wysoki i szczupły ekspedient, o urodzie niemal kobiecej i sprężystych ruchach, typ samotnika, o którym prawie nikt nie wiedział. Laia nie miała czasu na wstępy ani szyfry. Zaczepiła go i przeszła natychmiast do sedna sprawy:

– Genís, bardzo proszę, niech pan mi powie, gdzie jest Ferran.

Młody ekspedient stanął jak wryty, zdumiony tym nagłym pytaniem. Zastanowił się przez chwilę, po czym odparł:

– Droga pani, nic mi nie wiadomo na ten temat. I nie rozumiem, jaki może mieć pani interes w...

Laia, w desperacji, z całej siły chwyciła go za rękę.

– Ale go mam. Proszę mi powiedzieć cokolwiek, co może mi pomóc w jego odnalezieniu. Muszę z nim porozmawiać.

Wypowiedziała te słowa dobitnie, z przekonaniem, nie uroniwszy ani jednej łzy, bo te wylewała samotnie nocami, starając się ukoić żal i gniew. Może to właśnie ta jej niezłomność i opanowanie sprawiły, że Genís zupełnie zmienił do niej nastawienie.

– Proszę o nim zapomnieć.

– To moja sprawa.

– Nie znajdzie go pani.

– Muszę spróbować. Proszę mi pomóc, Genís.

Camps odwrócił wzrok, który wbił wcześniej w bladą twarz Lai.

– Wiem, że noce spędzał ostatnio w Edén Concert. Opowiadał mi o nim kilkakrotnie. – Chłopak zamilkł. Czuł się skrępowany. – Jeśli pani go tam nie znajdzie,

proszę popytać o maestra Viladomata. To muzyk, przyjaźnią się.

Tak jak tamtego wieczoru kilka miesięcy wcześniej, ale nie tak znowu dawno, choć jej wydawały się wiecznością, Roser, dręczona niepokojem, siedziała wpatrzona we własną dal niewidoczną przez owalne okna galerii. I tak jak tamtego wieczoru czekała na powrót Andreu.

Tego popołudnia nawet słońce wydawało się blade. Ulice prezentowały się w zimowym przyodzieniu, szybko zmierzchało. Za chwilę miała zapaść czarna noc, gęsty mrok miał pochłonąć wszystko. Taki sam mrok spowijał jej serce! Ferran zniknął bez śladu już dziesięć dni temu i teraz rodzeństwo musiało odłożyć na bok własny strach, wątpliwości i przemilczenia, by zmierzyć się z sytuacją, która trwała już zbyt długo. Tego samego ranka Andreu poinformował Roser, że osobiście uda się porozmawiać z krewnymi, u których mieszkał Ferran, i postara się dowiedzieć czegoś z pierwszej ręki. Jeśli nie udałoby mu się do niczego dojść, miał w planach skontaktowanie się z doktorem Closem, co uważał jednak za ostateczność.

Roser usłyszała hałas, wyrwało ją to na chwilę z przygnębienia. Zdziwiła ją bardzo obecność brata, nie słyszała nawet, kiedy wszedł do domu.

– Roser...

Odwróciła się, przestraszona i wyczekująca.

– Andreu, ale mnie przestraszyłeś. Dowiedziałeś się czegoś?

Genoveva ukazała się w salonie, w białym fartuszkach i z chmurnym spojrzeniem, takim samym jak jej pracodawczyni, która dzieliła się z nią swoimi tajemnicami i smutkami. Zrobiła Andreu drinka i nie odzywając się ani słowem, by im nie przeszkadzać, oddaliła się, zostawiając ich samych.

Andreu zwałił się na kanapę wykończony. Kostki lodu zadzwoniły w szklance.

– Nie. Nikt nic nie wie.

– Coś musiało mu się przytrafić – skwitowała dziewczyna, zaniepokojona siadając naprzeciwko brata. Dzielili ich mahoniowy stolik i piętrząca się góra zmartwień. – Wiem, że coś mu się stało. Mam przeczucie.

– Nic mu się nie stało, Roser! – Andreu podniósł głos i natychmiast tego pożałował. Powtórzył to samo, jakby przepraszająco, szeptem: – Nic mu się nie stało. – Roser bacznie na niego popatrzyła, w jej oczach, błyszczących od ledwie powstrzymanych łez, malowały się pytania. – Musisz coś wiedzieć. Przygotuj się na najgorsze. – Roser spuściła głowę i popatrzyła na drżące dłonie spoczywające na kolanach. Andreu starał się mówić łagodnie. Ale mimo to słowa były ostre i przeszywające dreszczem, ostre jak brzytwa: – Jego krewni powiedzieli, że zabrał ze sobą wszystko. Wszyscyuteńko. Przez kilka dni nie wracał do domu, po czym pojawił się któreś nocy, spakował walizki i odszedł, nie mówiąc nic nikomu. Znaczy to, ni mniej, ni więcej, tylko że odszedł z własnej woli. Zniknął. – Cisza, która zapadła, dzwoniła Roser w uszach. Miała wrażenie, że naraz ze wszystkich kątów wyglądają cienie rzucające niejasne groźby. Andreu westchnął. Promienie zachodzącego słońca oświetlały budynki naprzeciwko, które odbijały się w szybie, barwiąc jego słowa ochrą: – Dziś napisałem do jego rodziny. Przyjadą pod

koniec tygodnia. Będziemy musieli powiedzieć też o tym mamie.

– Ale... dlaczego? Dlaczego?

Roser zerwała się z miejsca i pobiegła do swojego pokoju. Rzuciła się na łóżko, które objęło ją niczym wierny przyjaciel. Bezsilność, strach, smutek i te wszystkie pytania pozostające nadal bez odpowiedzi znalazły ujście, wylewając się z niej razem z potokami łez. Całym jej ciałem wstrząsał szloch, dopóki wyczerpanie nie wzięło góry i nie zasnęła.

Obudziła się o świcie. Genoveva zostawiła jej na nocnej szafce szklankę mleka i herbatniki. Nie słyszała, kiedy weszła. Nie mogła niczego przełknąć. Było jej zimno. Jej ciało czuło się równie zamrożone jak jej dusza. Piekły ją oczy. Trzęsa się jak osika.

Wstała i okryła ramiona szalem. Podeszła do nocnej szafki. Trzymała w niej listy od Ferrana. Pisał do niej raz w tygodniu, mimo że widywali się codziennie. Były to listy czułe, uczuciowe, w których mówił jej to wszystko, czego, jego zdaniem, nie ośmielał się wymówić na głos. W jednym z nich pisał: „Kiedy kreślę te słowa, na nowo przepełniają mnie uczucia, które zrodziły się w moim sercu, kiedy Cię poznałem”.

Zwierał się jej, opowiadając o swojej miłości i o tym, jak wyobrażał sobie ich wspólną przyszłość.

Jak to możliwe, że osoba tak wrażliwa mogła zniknąć w ten sposób, łamiąc jej serce? Nie mogła i nie chciała tego zrozumieć. Wszyscy się mylili. A może to ona się myliła?

Miała wrażenie, że bańka mydlana, w której żyła do tej pory, pękła i rozbryznięta się na jej twarzy, raniąc ją przy tym. Czuła pulsowanie w skroniach. Miniona noc pełna niespokojnych snów wydawała jej się nierealna. Nie mogła uwierzyć w te miesiące spędzone z Ferranem. Przyszłość zacierała się przed nią. Odurzona smutkiem i nagłym atakiem złości, Roser chwyciła listy, zmięła je i rzuciła na podłogę. Ale nie minęła nawet minuta, a już je podniosła i rozprostowywała, porządkowała i całowała. Podeszła do maszyny do szycia i wyciągnęła metalowe pudełko, w którym trzymała igły i nici. Wytrząsnęła zawartość na podłogę i schowała w nim listy.

Kiedy Ferran się pojawi, kiedy wróci, przeczytają je razem. I będą się śmiać. Tak, śmiać się do rozpuku. I będą się kochać jak nigdy wcześniej.

Laia wyszła z domu, nie zważając na protesty i utyskiwania matki. Za całe okrycie wierzchnie miała jedynie narzucony na ramiona wełniany szal. Burzę włosów upięła za pomocą dwóch spinek, nie mogły jednak utrzymać jej długich loków, w oczach malowała się desperacja.

Nie pozwolono jej wejść do Edenu. Nikt nie wydawał się zwracać na nią najmniejszej uwagi, nie licząc delikatnych popchnięć, kiedy do wejścia zbliżał się jakiś picuś-glancuś, wystrojony elegant idący pod rękę z jakąś lafiryndą. Z nabitego lokalu wydostawał się zapach spoconych ciał. Muzykę słychać było aż na ulicy, po której krążył spragniony rozrywki lud. Dzielnica Paralelo jak co noc oddawała się zabawie.

Laia zdecydowała, że poczeka na zewnątrz. Kapryśny księżyc to wyglądał zza chmur, to się chował, a ona wgapiła się w ludzi, którzy wchodzili i wychodzili z lokalu. Nie wiedziała, jak pozna muzyka, który według tego, co powiedział jej Genís, był

przyjacielem Ferrana. Jedyni muzycy, jakich kiedykolwiek widziała, grali w kapelach w niedzielę na wzgórzu Montjuïc. Podeszła do jakichś ludzi, żeby się zapytać. Ale potraktowali ją jak powietrze. Nikt jej nie widział. Nikt jej nie słyszał. Nagle naszła ją chęć, żeby zacząć krzyczeć, wypluć z siebie całą tę zgryzotę i obojętność innych względem niej. I właśnie wtedy poczuła czyjąś dłoń, która spoczęła jej na ramieniu. Bardzo delikatnie. Odwróciła się z szeroko otwartymi oczami.

– Genís!

Genís błyskawicznie cofnął dłoń, tak jakby strach i rozpacz dziewczyny poczęły przyklejać mu się do skóry. I jednym ruchem schował rękę do kieszeni marynarki.

– Laiu, nie powinna pani tu przychodzić. Jest bardzo późno. Samotna dziewczyna...

Laia spojrzała na niego, nie mogąc wydobyć z siebie słowa, miała czerwone od zimna policzki. Genís ciągnął dalej:

– Maestra nie ma w środku, ale wiem, gdzie można go znaleźć. Proszę za mną.

Szli w kierunku numeru sto sześć na ulicy Conde del Asalto. W ciszy. Szedł obok niej, a mimo to obecność tego chłopca była tak subtelna, że prawie o nim zapomniała. Była przemarznięta na kość i bezskutecznie starała się okutać szalem. Genís spojrzał na nią z ukosa. Zdjął marynarkę i zarzucił jej na ramiona.

– Dlaczego pan to dla mnie robi, Genís? – zapytała go wzruszona. Spinki, którymi starała się spiąć włosy, wypadły i teraz loki opadały jej na twarz.

– Wygląda pani jak sople lodu – odpowiedział, a na jego usta wychynał chłopięcy uśmiech.

– Wie pan, że nie o tym mówię.

– Pani go kochała, prawda? – zapytał ten mężczyzna o białej jak śnieg twarzy, która błyszcziała w świetle księżyca.

– Tak.

– Wszystko robi się z miłości.

Laia przypomniała sobie rozmowę, którą usłyszała kiedyś przypadkiem w magazynach. Przypomniała sobie również wyraz twarzy i gromki śmiech Damià i Germana, kiedy podawali jej imię rzekomego przyjaciela Ferrana. Wszyscy się z niego, z Genisa, naśmiewali, bo jak mówiono, był zniewieściały.

Mówili o nim, że „lubi od tyłu”.

Nie wiedząc zbyt dobrze dlaczego, już na samo wspomnienie zrobiło jej się smutno. Spojrzała z ukosa na tego wysokiego młodzieńca o posępnym wyglądzie, który szedł obok niej w ciszy, przygnębiony. I nagle Laia zrozumiała, że on również kochał Ferrana.

Dotarli pod numer sto sześć. Weszli do klatki otwartej dzień i noc. Jedyne drzwi, zza których dochodziły piosenki, krzyki i gwar, prowadziły do akademii La Colosal. Genís zadzwonił do drzwi. Po chwili wychyliła się sympatyczna twarz Joana Viladomata.

Ów muzyk był człowiekiem o niezwykłym poczuciu humoru, łatwym w obejściu i spontanicznym. Przywitał ich życzliwie i zaprosił do środka. Genisa widział wcześniej parokrotnie w towarzystwie Ferrana i zgodził się wysłuchać tego, co stojąca w drzwiach Laia, która za nic nie chciała wejść do środka, przysłała mu powiedzieć.

– A więc panienka szuka Ferrana? – zapytał po wysłuchaniu jej historii.

– Tak – odpowiedziała.

Viladomat zapalił papierosa, zaciągnął się nim głęboko i wypuścił chmurę dymu. Lai wydawało się, że patrzy nagle na Ferrana, jak bez pośpiechu pali w łóżku, nie odzywając się do niej ani słowem. Poczula, że robi jej się niedobrze. Połączenie zapachu tytoniu, alkoholu i potu było nieznośne. Chciała móc przestać oddychać.

– Sporo czasu mu to jeszcze zajmie.

– Ale gdzie jest? Nie powiedział panu, dokąd się wybiera?

– W Walencji. Pepita pojechała tam na występy na kilka miesięcy, a on, ladaco, pojechał za nią. Chyba się ze sobą spotykają.

Laia przyjęła ten cios z godnością. Mogłoby się wydawać, że na przestrzeni ostatnich tygodni jej serce zamieniło się w kamień. Jeśli ją to zdziwiło, jeśli poczuła ukłucie rozczarowania przeszywające jej serce, nie dała tego po sobie poznać. Choć w głębi duszy sparaliżował ją strach, a zakrzepła krew nie chciała płynąć w jej żyłach.

– Pepita?

– Szansonistka, droga pani. Pepita Iris. No, ale nie stójcie tak, zapraszam, napijcie się, wyglądacie na zmarzniętych. Trzeba wypić strzemiennego, żeby zakończyć tę jakże wspaniałą noc!

Laia nie ruszyła się z miejsca, wydawało jej się, jakby ktoś przybił ją gwoździami do posadzki.

– Pan... wybacz, wiem, że proszę o zbyt... mógłby pan przekazać mi wiadomość?

Maestro zaciągnął się znowu papierosem i spojrzał na nią przez dym.

– Droga pani. Aż takie to pilne? Nie może poczekać?

– Nie, nie może poczekać – odparła Laia.

Maestro przyjrzał się jej z bliska i zauważył jej pełne desperacji spojrzenie.

– Dobrze, mogę spróbować się z nim skontaktować.

– W takim razie proszę mi powiedzieć, że jego... znajoma, Laia, czeka na niego. I ma mu do powiedzenia coś bardzo ważnego.

Genís i Laia znaleźli się znów na lodowatej ulicy pełnej zaspanych cieni. Laia miała nieruchomy zimny wzrok sfinksa. Chłopak uparł się, że odprowadzi ją do domu. Po drodze nie zamienili ani jednego słowa. W czasie gdy czekali na nocnego stróża, któremu całe wieki zajęło otwarcie bramy, Genís zwrócił się do niej prawie szeptem:

– Bardzo mi przykro, Laiu, proszę mi wierzyć, bardzo mi przykro.

Na co ona wymownie tylko wzruszyła ramionami. Odwróciła się w jego stronę, a ich twarze znalazły się nagle naprzeciw siebie w bardzo bliskiej odległości. Wówczas dostrzegła, że Genís miał bardzo bladą cerę i małe, bardzo jasnoniebieskie oczy w kształcie migdałów. Złożyła na jego ustach pełen wdzięczności lekki pocałunek. Stróż w końcu otworzył bramę, a Laia rozpląnęła się w ciemności na pustych schodach.

Tej nocy dziewczyna poczuła, że wpada do najgłębszej studni. Posmakowała samotności na własnej skórze. Czula absolutną pustkę. Nicość. Nikogo. Ani krzty nadziei. Ta odrobinka, która została jej w duszy, po tych kilku miesiącach wątpliwości rozwiązała

się zupełnie. Nie mogła zdecydować się między tęsknotą za tym, którego nadal kochała, a poczuciem wściekłości i bezsilności z powodu porzucenia. Noc była prawdziwą torturą i wyznaczyła koniec i początek w życiu Lai.

Nazajutrz rano nie miała siły zwlec się z łóżka. Czuła, jakby całe jej ciało miało zaraz rozerwać się na strzępki. Usilne starania, by za wszelką cenę powstrzymać łzy, których nie godziła się wylewać, a do tego brak snu poskutkowały straszliwym bólem głowy. Powiedziała matce, że nie czuje się najlepiej. Nie była na siłach, żeby iść do pracy. Musiała wytłumaczyć ją przed panią Dalmau.

Carmen wyszła więc sama ze smutkiem wymalowanym na twarzy, nie odezawszy się ani słowem. Kiedy Laia usłyszała łoskot zamykanych drzwi, przymknęła powieki, tak że oczy zamieniły się w wąskie szparki. Usiadła na łóżku, oplatając ramionami kolana, musiała przetrwać smutki. Musiała pomyśleć.

Po kilku godzinach, około południa, wstała. Umyła twarz nad zlewem w kuchni, po czym weszła do pokoju mamy, żeby przejrzeć się w lustrze. Nie tak dawno to samo lustro pokazywało jej beztroskie oblicze, teraz jednak twarz wykrzywił grymas bólu. Miała zapuchnięte, podkrążone oczy i zapadnięte policzki. Schudła. Niesforne loki opadały na nagie ramiona. Wydało jej się, że straciły swój wcześniejszy jasnomiodowy blask.

Przez dłuższy czas przyglądała się sobie. Myśli przebiegały przez głowę szybko, w rytm bicia serca. Pomyślała, że w środku bije w niej jeszcze jedno serce. Dziecko Ferrana. Tego niegodziwca, który ją wykorzystał. Oszukał. Zarówno ją, jak i Roser, i Bóg wie, ile jeszcze innych kobiet. Najgorszym nie było zostać samą, nie. To, co bolało ją naprawdę, to świadomość, że została wymazana z pamięci przez kogoś, kogo ona nigdy nie będzie w stanie zapomnieć.

Laia podjęła wówczas dwie decyzje. Po pierwsze, nie wyleje już ani jednej łzy z powodu Ferrana ani żadnego innego mężczyzny, nie byli tego warci. Po drugie, jeszcze tego samego popołudnia, jak tylko jej mama wróci z pracy, o wszystkim jej opowie i wspólnie zadecydują, co należy robić dalej. Miała tylko ją, ją i miłość, którą mama ją darzyła i nigdy jej nie zawiodła.

Tak, jak tylko wróci, mocno ją uściska i powie, że jest w ciąży.

Ale Carmen nie wróciła.

Nigdy.

Czuwała przy niej przez całą noc. Nie uroniwszy ani jednej łzy. Z niedowierzaniem malującym się w jej wyschniętych oczach. Z ciężarem zalegającym na piersi, który uniemożliwiał oddychanie, dusił ją. Zdjęta smutkiem tak głębokim, że aż przejmował strachem.

Carmen zabił tramwaj. Mówiono, że go nie zauważyła, szła pogrążona we własnych myślach, czymś zafrasowana. Pojawił się znikąd, a ona znalazła się pod nim.

Jej mama.

Tramwaj.

Laia zastanawiała się, czy ona też zwariuje z samotności. Z bólu. Pani Engracia nie zostawiła jej samej ani na chwilę. Wdowa, jak Carmen, była nie tylko jej sąsiadką, ale również jedyną przyjaciółką. Obie przez te wszystkie lata dotrzymywały sobie towarzystwa. Teraz Engracia czuwała przy jej boku po jej śmierci.

Laia była niezwykle wdzięczna, że miała ją przy sobie. Inaczej nie wiedziałyby, co robić. Nie była obeznana ze śmiercią, Engracia tak. To ona przykryła meble na czarno, zasłoniła obrazy, lustra. To ona przyniosła Lai żałobną sukienkę nie wiadomo skąd; to ona czym prędzej udała się do stolarza, żeby wziął miarę na trumnę. To ona umyła i ubrała Carmen.

– Nie przejmuj się, dziecko, ja to zrobię. Jestem przyzwyczajona, ubierałam ojca i matkę, siostrę i męża.

Ułożyła ręce nieboszczki na piersi, splotła dłonie, włożyła w nie różaniec, którego Laia nigdy wcześniej nie widziała; w ich domu się nie modlono. I kiedy wszystko było już gotowe, to również Engracia powiadomiła dzwonnika, księdza i sąsiadów. Dom stopniowo zapełniał się ludźmi, Laia usiadła przy stole, przy którym co wieczór jadły razem z matką kolacje, zastanawiała się przez cały czas, czy mama zdawała sobie sprawę, że czeka ją śmierć, czy w ostatniej chwili, zanim przejechał ją tramwaj, miała czas, żeby pomyśleć o niej po raz ostatni, czy do końca niczego nie przeczuwała.

To była długa noc, wydawało się, że nie skończy się nigdy, panującą ciszę zagłuszały jedynie ledwie słyszalne hałasy niewiadomego pochodzenia. O brzasku lodowate powietrze zamieniło się w krople deszczu, które zaczęły bębnić o szyby. Laia usłyszała, jak ktoś powiedział, że to anioły płaczą za Carmen. Pomyślała, że nie istnieją ani anioły, ani niebo. Jedynie koszarne piekło, w które zamieniło się jej życie.

Laia była pogrążona w myślach, ręką podparła podbródek, wpatrując się w zaparowane okna, kiedy zbliżyła się do niej Engracia i powiedziała jej do ucha, żeby poszła pożegnać się z mamą, bo będą zamykać trumnę. Wstała i zataczając się lekko – trzęsły się pod nią nogi – weszła do pokoju. Podążyła za nią grupka kobiet, odmawiających *Ojcze nasz* i zanoszących się płaczem.

Można było odnieść wrażenie, że Carmen śpi. Miała błogą minę. Laia położyła jej rękę na czole i poczuła chłód śmierci.

– Żegnaj, mamó.

Ktoś wyprowadził ją stamtąd, by nie oglądała, jak zamykają trumnę.

Wychodząc z pokoju, wpadła na Andreu Molinsa.

– Laiu, nawet pani nie wie, jak nam przykro. Carmen była częścią naszej firmy. Mogę panią zapewnić, że będzie nam jej ogromnie brakowało. – Młody mężczyzna był bardzo przejęty. Zdjął kapelusz, który nerwowo obracał w rękach. Wyglądał, jakby stracił chwilowo pewność siebie. – Moja siostra Roser prosiła, bym przekazał pani najszczerze kondolencje. Jak pani wie, nie czuje się najlepiej i przebywa poza Barceloną u krewnych.

Zamilkł. Laia wbijała nadal spojrzenie w podłogę, niema, nieobecna.

Rozległo się bicie dzwonów. Pani Engracia wzięła Laię pod rękę.

– Samochód czeka na dole, Laietko. Ksiądz też już przyszedł.

Andreu cofnął się kilka kroków, ale zaraz znowu zbliżył się do Lai i powiedział:

– Proszę pamiętać, że może pani na mnie liczyć w każdej sytuacji.

Skierował się do drzwi, wkładając po drodze kapelusz. Engracia szepnęła Lai do ucha:

– Pan Molins to dobry człowiek, moje dziecko. Miałaś dużo szczęścia, że za wszystko zapłacił. Chciał dla Carmen jak najgodziwszego pogrzebu. Twoja matka była bardzo szanowana. – Kobieta starła wierzchem dłoni łzę spływającą jej po policzku. – Nawet sobie nie wyobrazasz, jak będzie mi jej brakować.

Brakować.

Brak.

Nieobecność.

Samotność.

Nicość.

Laia szła w gęstym deszczu za karawanem ciągniętym przez dwa konie, który zabierał Carmen pośród nierównych rzędów parasoli, objających się o siebie i przypominających skrzydła kruków.

Jakby czas zatrzymał się w niepocieszony nieskończoności.

Nie miała już nikogo. Straciła wszystko. Ojca. Matkę. Kochankę. Błyskawicznie stała się dorosła. Kiedy nie ma się ojca ani matki, człowiek błyskawicznie dorasta.

Była sama. Zupełnie sama. Zanim wróciła do pracy do Santa Eulalii, długo zastanawiała się nad wieloma kwestiami. Nie było już czasu na łzy, trzeba było zacząć podejmować ważne decyzje.

Odrzuciła możliwość pozbycia się tego życia, które w niej rosło. Dziecko Ferrana. Jej mama by jej na to nie pozwoliła, Laia dobrze to wiedziała. Carmen była silną kobietą. Szczodra. Zaakceptowałyby to nowe życie, kochałyby je, zaryzykowałyby własne życie, byle tylko wyprowadzić je na prostą.

A ona, czy była tak silna jak Carmen? Powinna. Nie mogła jej zawieść. To był czas decyzji.

Czas odpowiedzi.

Bez matki. Bez domu.

Dziecko.

Czas na decyzje.

Z bijącym sercem zapukała do gabinetu Andreu Molinsa. Usłyszawszy zaproszenie dyrektora, zaczerpnęła głęboko powietrza, poprawiła płaszcz i otworzyła drzwi. Na jej widok wstał zza mahoniowego biurka, na którym elegancka mosiężna lampa ze szklanym zielonym kloszem rzucała migotliwy pierścień światła. Podszedł do drzwi, żeby się z nią przywitać, i wskazał jej miejsce, żeby usiadła, nie przestając mówić z sympatią. Zainteresował się nią, jej stanem zdrowia w obliczu tego, co nazwał „nieszczęściem, które spadło na nas wszystkich”.

Na zewnątrz dzień chylił się ku końcowi, ciepłe popołudniowe światło wpadało do gabinetu.

– Jak już mówiłem, Laiu, może pani na nas liczyć, czegokolwiek będzie pani potrzebowała. Proszę nie wątpić, że pomogę pani we wszystkim, w czym będę mógł.

Zapadła cisza. Laia nerwowo zaplatała palce, zagubiony wzrok wbiła w podłogę, szukając w pamięci wyuczonych w samotności domu słów, które unosiły się teraz w jej głowie niczym bańki mydlane. Przygryzła wargę. Nabrała powietrza i poprawiła się w fotelu. Wbiła spojrzenie w twarz Andreu.

– Panie Molins, ja...

– Proszę mówić, Laiu.

– Przyszłam pomówić z panem o Ferranie Closie.

Wyraz twarzy dyrektora, do tej pory miły i sympatyczny, momentalnie uległ zmianie. Jemu najwidoczniej słowa również przychodziły z trudem.

– Nie rozumiem, Laiu...

– Wydaje mi się, że wszystkich państwa oszukał, że nie wiedzą państwo, kim naprawdę jest Ferran Clos.

– A pani wie?

Laia skinęła głową i od razu przeszła do meritum, opisując fakty z życia Ferrana: jego pobyt w Paryżu, Bebé, chorobę, powrót do Barcelony, dzielnicę Paralelo, Pepitę Iris, Valencię...

Twarz Andreu Molinsa bladła coraz bardziej w miarę postępującej historii rodem z wodewilu.

– A pani jak udało się tego dowiedzieć?

– Od niego.

Zapadła cisza. Molins skierował na Laię pytające spojrzenie.

– Mnie także oszukał. Spodziewam się jego dziecka.

Andreu oparł łokcie o biurko i schował głowę w ramiona. Obydwoje przez dłuższy czas milczeli. Wreszcie odezwała się Laia:

– Przypuszczam, że rodzina Ferrana nigdy państwu o niczym nie powiedziała. Bogaci ludzie ukrywają swoje grzeszki.

Andreu podniósł głowę i wbił w nią wzrok. Kiedy się odezwał, z jego oczu dało się wyczytać ból, w głosie natomiast pobrzmiwała złość.

– A pani, Laiu, dlaczego przychodzi z tym pani właśnie teraz? Dlaczego nie

powiedziała pani nic wcześniej, kiedy mieliśmy jeszcze szansę oszczędzić Roser tego wstydu?

Laia odniosła wrażenie, że historia, którą układała w bezsenne noce, rozpadła się niczym domek z kart. Postanowiła zwierzyć się Andreu Molinsowi, wyznaczyć mu wszystko, po czym przejść do negocjacji. Prawda w zamian za jej bezpieczeństwo. Jednak teraz, siedząc w jego gabinecie, zdała sobie sprawę, że to wszystko było pozbawione logiki. Molinsowie ukrywają prawdę, łatwo mogą to zrobić. Nie była im ona do niczego potrzebna. Byli tacy sami jak Closowie. Bogaci ludzie, ludzie, którzy ukrywają swoje ciemne sprawy. Nawet gorzej, teraz uznają ją za kulę u nogi. Pozbędą się jej czym prędzej, zapomną i będą dalej wiedli swoje wygodne życie. Po co tu przyszła? Na co liczyła?

Wydawało jej się, że poczuła na sobie lodowate spojrzenie Ferrana, i aż się wzdrygnęła. Podniosła oczy i napotkała inne spojrzenie: trudne do rozszyfrowania, należące do Andreu Molinsa.

Wstał, podszedł do okna, które wychodziło na ulicę, i przez dłuższy czas obserwował życie toczące się za szybą. Widział krawcowe, panny sklepowe i ekspedientów, którzy wychodzili z magazynów i rozpierzchali się po Ramblach, jedni wolnym krokiem, drudzy szybkim i energicznym zlewali się z tłumem innych pracowników, kwiaciarek, studentów i rzemieślników. Ulica była żywym organizmem. On za to czuł w środku pustkę, jakby jakiś huragan rozwał wszystkie jego uczucia.

W tym momencie pełnym napięcia Laia pomyślała, że zostały jej dwie możliwości: mogła wstać i wyjść, opuścić gabinet, magazyny i życie Molinsów raz na zawsze albo wytrwać do końca. Odetchnęła głęboko, nie odrywając spojrzenia od pleców Molinsa. Wybrała drugie wyjście. Słowa ćwiczone długo w samotności pokoju przyszły jej nagle z pomocą, wybawiając ją od ciszy. Powoli wyrecytowała je bez przekonania, zmęczona całą tą historią.

– Proszę nie pozwolić, by życie pańskiej siostry przepęłniło się goryczą jak moje własne. Roser wiele wycierpiała. Ja również, zaręczam. Ale ona ma rodzinę, która może ją ochronić. Ból minie. Będzie żyła dalej. Nie musi się nigdy dowiedzieć, kim naprawdę jest Ferran. Nie musi poznać tych wszystkich szczegółów ani przeżyć takiego poniżenia.

– Zrobiła pauzę. – Nie musi wiedzieć, że moje dziecko...

– Czego pani chce, Laiu? – przerwał jej Andreu, wpatrując się w nią zmęczonym wzrokiem i podchodząc w jej stronę.

– Jedni dochowują tajemnic lepiej, inni gorzej. Ja będę miała własny sekret. Chciałabym tylko móc tu zostać, w magazynach. Pracować. Nie mam dokąd pójść. Będę musiała wychować dziecko.

– I przyszła mnie pani o to prosić w zamian za pani milczenie... – Molins urwał. Podszedł do krzesła stojącego za biurkiem, usiadł na nim, przysunął się do blatu i głęboko się zamyślił. Kiedy się odezwał, jego głos był bardziej zachrypnięty: – Zarówno pani, jak i ja jesteśmy odpowiedzialni za nasze czyny, podobnie jak i za nasze przemilczenia. Nie winię pani, Laiu. Nie mam do tego prawa. Wszyscy mamy swoje tajemnice. – Przerwał na chwilę zamyślony, a ta chwila wydała się Lai całą wiecznością. – Zostanie pani w Santa Eulalii. Będą pani wypłacane dwie pensje: pani i Carmen. Dziecku niczego nie zabraknie. Moja siostra nie dowie się nigdy, kim jest ojciec dziecka ani kim naprawdę jest

mężczyzna, którego tak kocha.

Wstał. Spotkanie dobiegło końca. Laia podniosła się również. Trzęsły się pod nią nogi. W progu drzwi usłyszała jeszcze ostatnie słowa Andreu Molinsa:

– Nie musiała pani przychodzić, żeby sprzedać mi swoje milczenie. Było to zbędne. I tak bym pani pomógł, Laiu.

Barcelona, czerwiec 1926

Na dworze panował ciepły letni dzień. W środku natomiast uwijano się jak w ukropie. W magazynach Santa Eulalii w owo południe kłębiło się mrowie ludzi. Ferran Clos pokazywał personelowi szkice, nad którymi pracował. Wokół niego stali Andreu Molins, krawcowe i uczennice z pracowni krawieckich oraz świeżo mianowana kierowniczka salonu mody, szykowna Laia Calvet.

Ferranowi Closowi udało się tym samym częściowo zrealizować jedno ze swych marzeń: skończył pracę nad projektami, według których miała szansę powstać pierwsza własna kolekcja Santa Eulalii. Wykonał kawał dobrej roboty i zdawał sobie z tego sprawę, ale wiedział też, że w świecie mody niczego nie można być pewnym. Bo w przypadku mody chodziło w równej mierze o sztukę i technikę, co o marzenia i kaprysy.

Niczym nastolatek przed komisją egzaminacyjną po kolei prezentował swoje szkice, rozkładając je na wielkim stole do wykrojów i objaśniając cechy szczególne każdego z nich, z nerwowością, której nie udawało mu się ukryć. Oczy zebranych z uwagą wpatrywały się w każdy rysunek. Nowa kolekcja przestawała być snem, projektem należącym jedynie do samego Ferrana Closa, i stawała się rzeczywistością, w której wszyscy obecni, cały dom mody, powinni wziąć udział.

Szkice ubrań, wykonane ołówkiem i pokolorowane szybkimi ruchami pędzla akwarelą, przechodziły z rąk do rąk, a Ferran opowiadał o niektórych ich zaletach i starał się zaznajomić publiczność z najważniejszymi fasonami z kolekcji.

– Jak państwo widzą, jeśli chodzi o suknie wieczorowe, miałem na względzie zwiewność materiałów i dobór kolorów. Wpadłem na pomysł, żeby posłużyć się żorzetą, na przykład w tym różowym modelu, i jedwabną krepą albo jedwabiami, jak w przypadku tych kilku kolejnych. Jeśli chodzi o suknie codzienne... – Zaczął przeglądać rysunki, dopóki nie znalazł, czego szukał. – Natomiast projektując stroje zimowe, opierałem się na czerniach i granatach, ogólnie na ciemnych barwach. Szukałem jednak zawsze akcentów w żywszych kolorach. Na przykład tutaj – powiedział, pokazując trzymany w ręku projekt czarnej sukni z golfem. – Czerń z czerwonymi lamówkami z atłasu.

Lluïsa Ramoneda była młodą krawcową. Zarówno ona, jak i jej młodsza siostra, Josefina, dostały się do magazynów Santa Eulalii dzięki matce, krawcowej tak jak one, która pracowała tam przez całe życie. Lluïsa odznaczała się niezwykłym talentem; zdaniem niektórych miała dar. Mimo młodego wieku została już czeladnikiem, jednym z najlepszych w Santa Eulalii. Zarządzała pracownią, tą, w której pracowała wcześniej Carmen, numer trzy, i ośmieliła się zabrać głos jako pierwsza.

– Podobają mi się te projekty, przede wszystkim dlatego, że mają mało ozdób. Ta prostota kroju przydaje im elegancji...

Podniosła wzrok znad rysunku, oblewając się rumieńcem, ledwie świadoma, że wygłosiła swoje zdanie. Choć kiedy zostało już wypowiedziane, pełna szacunku cisza, w której wszyscy podziwiali pracę projektanta, została przerwana i ustąpiła miejsca fali żywego entuzjazmu. Było to preludium do pracy, jaką miały wykonać ręce tu obecnych:

wykroić, sfastrygować i zszyć każdy egzemplarz.

Po chwili głosy zlały się w gwar najróżniejszych opinii. Rozmawiano o atlasie, dyskutowano o tafcie, ktoś inny rozprawiał o fastrygowaniu i obrębianiu. Rysunki przechodziły metamorfozę, przeobrażały się, by wkrótce zamienić się w namacalną rzeczywistość.

Ferran Clos milczał, pozwalał, żeby mówili inni. Obserwował podekscytowany, jak szkice wymykały mu się z rąk i zaczynały przynależeć do wszystkich, tak samo jak później należeć będą do innych kreacje, które wyjdą z tutejszych pracowni. Był świadom, że w tym momencie rozpoczynała się kolejna faza projektu, nowe wyzwanie. Wiedział również, że nadszedł moment realizacji każdego szkicu. Konfekcja. Kolekcja nie odniesie sukcesu, jeśli stroje nie zostaną odpowiednio wykrojone i uszyte. Ten proces był ni mniej, ni więcej niczym budowanie domu; budynek mógł być bardzo piękny, ale do niczego nieprzydatny, jeśli nie został odpowiednio zbudowany.

Ferran wymienił porozumiewawcze spojrzenie z Andreu. Obydwaj się uśmiechnęli. Wspólnie pracowali nad projektem będącym o krok od urzeczywistnienia i wspólnie dzielali entuzjazm, który zaprojektowane szkice wzbudzały w pracownikach domu mody.

Laia w lot złapała ich spojrzenie, była tej samej myśli i podzielała ich zapał. Wtedy właśnie przez krótką chwilę poczuła na sobie spojrzenie Ferrana. Ścisnęło ją w dołku i bąkając pierwszą lepszą wymówkę, wyszła z pracowni; kręciło jej się w głowie i dostała nudności.

Schroniła się na najniższej kondygnacji, w tej ogromnej ciemnej hali, do której prowadziły majestatyczne ślimakowe schody. Wcześniej traktowano ją jak składnicę bel materiału, a teraz trwał w niej remont. W niedługim czasie miała bowiem zamienić się w scenę, lśniącą i doskonałą salę, w której będą się odbywać pokazy i która musiała spełniać nowe warunki rozbudowanego domu mody. Unowocześniono również szatnie, teraz przestronniejsze i bardziej funkcjonalne, które przeznaczono na garderoby dla modelek. To właśnie tam, zamknięta w jednym z pokoików przy akompaniamencie symfonii prac remontowych, Laia starała się uspokoić. Była zła sama na siebie, że zareagowała w tak dziecinny sposób. Minęło już siedem lat od ich niefortunnego związku, w czasie których musiała nie tylko stawić czoło ostatnim iskrom miłości do Ferrana, ale również zmierzyć się z zaproszoną przez nie nienawiścią. Trudno było zrozumieć, jak te iskry mogły od czasu do czasu rozpalać się na nowo. Wstydziała się łez toczących się po policzkach, jednocześnie zaciskając pięści z wściekłości.

Ależ była naiwna! Jak bardzo bolała ją w dalszym ciągu własna głupota! Najpierw pomyliła uczucie, którym darzył ją Ferran, z miłością. Potem żyła w przeświadczeniu, że porozumienie, które zawarła z Andreu Molinsem, stanowiło o jej definitywnej wygranej w walce, co uważała za sprawiedliwe. Tak, wierzyła w to. Wierzyła, że sprawiedliwości stało się zadość.

Ustalili, że zaraz po urodzeniu dziecka wróci do pracy w magazynach. W tym czasie Laia wyciągnęła Engrację z fabryki, w której w zamian za głodową pensję sąsiadka

traciła zdrowie. Od tego momentu Engracia została równocześnie nianią, kucharką i panią od sprzątanania, a jeśli zaszłaby taka potrzeba, również doradcą, jakiego potrzebowała młoda samotna matka. Były to dziwne miesiące, gorzki czas oczekiwania, kiedy to młoda dziewczyna spodziewała się owocu miłości, która nie przyniosła jej niczego prócz smutku i zmartwień.

Laia urodziła syna, Valentiego. Postarała się jak najprędzej wrócić do pracy w Santa Eulalii. Zostawiła niemowlę w rękach kobiety, która nigdy sama nie doczekała się dzieci, wobec czego wszystkie pokłady miłości chowane w sercu przelała na tego malca. W pracy na Laię czekała niespodzianka: Ferran!

Trudno powiedzieć, co kazało jej przypuszczać, że zniknął on raz na zawsze z życia jej i Roser Molins. Bez wątpienia był to fakt, że oszukał je oboje, wobec czego zasługiwał na karę. Nie wzięła jednak pod uwagę, że Andreu zmusi go do powrotu z Walencji, rozdzieli z Pepitą Iris, odbędzie z nim bardzo poważną rozmowę i, podobnie jak stało się to w jej przypadku, da mu drugą szansę. Bardzo ją to zabolalo!

Ferran wrócił więc na swoje stanowisko w Santa Eulalii i ożenił się z Roser, wprawdzie rok później, niż było to zamierzone – wymóg Andreu, który chciał w ten sposób sprawdzić szczerść jego zamiarów. Wkrótce po ślubie został dyrektorem działu projektów, wydawał się wprost stworzony do tej nowej roli, w której wybijał się dzień po dniu, spełniając pokładane w nim nadzieje szwagra. I choć Ferran nie wyrzekł się podwójnego życia – nocnych włóczęg po Paralelo, kokainowego flirtu, tytoniu, alkoholu i kontaktów z wszelką fauną, która zalewała po zmroku ulice, czyli jednym słowem, wszystkiego tego, czego domagał się jego przewrotny i gwałtowny charakter – nauczył się prowadzić je z dyskrecją, unikając ekscesów, które mogłyby go zdradzić.

Można było powiedzieć, że Ferran i Laia dostali swoją drugą szansę i choć Andreu nie zdawał sobie z tego sprawy, ponieśli karę, która się z tym wiązała. Karę w postaci codziennego widywania się w pracy, konieczności współpracowania ze sobą, czasem wręcz ścisłego, i udawania, że ich wspólna przeszłość nigdy nie miała miejsca i teraz nie wyrządzała im bólu.

Genís Camps, jedyny prawdziwy przyjaciel Lai, zapukał do drzwi malutkiego pokoju. Widział Laię przebiegającą przez sklep z wykrzywioną twarzą, stąpającą szybko, jakby czymś spłoszoną. Był przekonany, że coś jej się stało, dlatego poszedł za nią.

– Laiu, dobrze się czujesz?

Pytanie zadał swoim łagodnym głosem, zawsze działającym na Laię uspokajająco podczas rozmów o sprawach, które odważali się powierzać jedynie sobie nawzajem.

Laia szybkim ruchem wytarła łzy. Wychyliła głowę, pokazując swoją zmiętą twarz zaniepokojonemu przyjacielowi stojącemu za drzwiami.

– Tak, Genís, nic mi nie jest. – Wpatrywali się w siebie przez jakiś czas, tyle, ile potrzebował nieśmiały uśmiech, by zagościć na twarzy dziewczyny. – Idź na górę do sklepu, zaraz tam przyjdę.

Genís wprawdzie niechętnie, ale posłuchał jej, a Laia przez kilka kolejnych minut starała się zamaskować spustoszenie, jakie poczyniła w jej wyglądzie ta nagła fala

wspomnień. Chcąc doprowadzić się do porządku, wydobyła z wąskiej szafki grzebień i przybory do makijażu.

Laia Calvet w czasie ostatnich siedmiu lat bardzo się zmieniła. Swój czas, wysiłek i całą energię włożyła w pracę. Wyszlachtetniała. Nauczyła się wszystkiego, czego mogła jako panna sklepowa renomowanego domu mody Santa Eulalia. Ale to jej nie wystarczało. Miała własne pomysły, które z powodzeniem wcielała w życie. Andreu Molins, hojny szef i dobry przedsiębiorca, umiał zauważyć wrodzone zdolności Lai do tej pracy. Doceniał jej wysiłki i potrafił oddzielić wspomnienia i miotające nim emocje od jej niekwestionowanych umiejętności.

Laia została dobrą ekspedientką, dosyć szybko okazało się jednak, że stanowisko nie wyczerpywało jej możliwości. Zdawała sobie sprawę, że przedsiębiorstwo związane z szytą na miarę konfekcją damską zyskiwało coraz bardziej na popularności. Klientela była coraz liczniejsza i coraz bardziej wymagająca. Do Santa Eulalii przychodziły się ubierać najbardziej dystyngowane damy. W zakupionych tam strojach pojawiały się na ekskluzywnych przyjęciach, premierach teatralnych i najbardziej kosmopolitycznych spotkaniach. Lai nie wystarczało już samo pokazywanie i zachwalanie materiałów w sklepie. Jeśli Milę Alemany w pełni satysfakcjonowało bycie ekspedientką i wydawanie na okrągło poleceń biednym uczennicom, które kulily się pod jej despotycznym okiem, Laia, szczerze zainteresowana fenomenem mody i domyślająca się, że przyszłość Santa Eulalii podąży innym szlakiem, śniła o pracy innego rodzaju.

Moda się zmieniała i zmieniała także ją. Tak, Laia zmieniła się. Włosy, równie nieposkromione i kręcone co zawsze, nosiła teraz krótko przycięte, zgodnie z modą zapoczątkowaną na ekranie przez Clarę Bow, z przedziałkiem na bok i pofalowaną grzywką, która opadała delikatnie na twarz. Do pracy zazwyczaj wkładała kostium *tailleur* z cienkiej wełny w ciemnych kolorach, granatach, szarościach lub brązach, które pasowały do koloru jej włosów i oczu; sięgające tuż za kolano spódnice odsłaniały jej smukłe łydki, zawsze obleczone jedwabnymi pończochami. Kiedy nie pracowała, wołała zestawy w jaśniejszych barwach, lekkie płaszcze, a kiedy pogoda dopisywała, sukienki w żywych kolorach, luźne, ostatni krzyk mody, spódnice plisowane z jedwabnej surówki, szantungu albo chińskiej krepy, bez zbędnych ozdób; wystarczał haft angielski. Wychodząc, Laia nigdy nie zapominała o kapeluszu.

W wieku dwudziestu sześciu lat ta śliczna dziewczyna o nieco dzikiej urodzie stała się elegancką, szykowną kobietą, umiejętnie podkreślającą swoje wdzięki. Kobieta, która miała nadal jasną gładką cerę i wielkie kasztanowe oczy młodej dziewczyny. Zachowała również młodzieńczą sylwetkę.

Ale utraciła swój uśmiech.

Laia wyszła z małego pokoiku pracowniczego i przechodząc przez sklep, skierowała kroki do pracowni. Rozkojarzona, pochłonięta własnymi myślami i czekającą na nią pracą, ukołysana znajomym odgłosem kroków klientek i ekspedientek, nie zwracała uwagi na ludzi, którzy ją mijali, kiedy nagłe przecucie kazało jej unieść głowę. Tak, to była ona, Roser. Jak zawsze, gdy ją widziała, serce Lai głośno załopotowało jej

w piersi.

Obie kobiety zbliżyły się, nie odrywając od siebie wzroku. Roser wyglądała olśniewająco w lekkim kostiumie w kolorze akwamaryny, z plisowaną spódnicą i krótkim luźnym żakietem, oraz w kapeluszu *cloché* w tym samym kolorze. Od ślubu z Ferranem elegancja, którą przejawiała już za młodu, stała się jej nieodłącznym atrybutem. Kiedy się pojawiała, nie mogła przejść niezauważona.

– Dzień dobru, Laiu – odezwała się pogodnie, nie starając się jej wyminąć.

Laia wytrzymała jej spojrzenie. Żadna z nich nie była tą samą, co wcześniej, stały się dwiema kobietami zupełnie od siebie różnymi. Dwiema nieznanymi.

– Dzień dobry, pani Clos. – Laia starała się uśmiechnąć i dodała: – Szkice są niezwykle. Kolekcja pani męża wróży prawdziwy sukces.

Na twarz Roser wypłynął pełen dumy uśmiech.

– Nigdy nie wątpiłam, że Ferranowi uda się to, co sobie założył. Tyle się napracował! – Wpatrywały się w siebie intensywnie, być może dzieląc te same wspomnienia, a w ich sercach kotłowały się podobne zawile uczucia. – A, właśnie – dodała Roser – ja także chciałam pani pogratulować. Nie mogłam zrobić tego wcześniej, bo jakoś nie było okazji. Objęcie przez panią nowego stanowiska to wspaniała wiadomość dla nas wszystkich. Może mi pani wierzyć.

– Ach, oczywiście. Mam nadzieję, że podołam wyzwaniu.

– Ależ oczywiście, że pani mu podoła, Laiu.

Rozmowa utknęła w martwym punkcie. Wydawało się, że wszystko zostało już powiedziane. Laia spuściła głowę, zakłopotana. Po czym spojrzała ponownie na Roser, skrzepowana i zdenerwowana. Chciała jak najszybciej zejść jej z oczu.

Wówczas Roser zapytała:

– A jak miewa się pani syn?

Lai wydało się, że słowa grzęzną jej w gardle, nie chcąc wydostać się z jej ust. Zmusiła się więc, by powiedzieć:

– Jest już duży. Skończył sześć lat.

– No tak.

– Właśnie...

– Miło było panią zobaczyć, Laiu.

– Mnie panią również.

Roser ruszyła do windy. Laia puściła ją przodem. Ani jedna, ani druga nie obejrzały się za siebie. Laia przeczesła włosy palcami. Stała na środku sklepu i wydawało się, jakby zdążyła zapomnieć, że kierowała się do pracowni. Oddychała nierówno.

Ależ ma smutne spojrzenie, pomyślała.

Część druga
Blaski i cienie

Kiedy tylko mogła sobie na to pozwolić, Laia wyprowadziła się z malutkiego mieszkania przy ulicy Piquer, w którym mieszkała z mamą od urodzenia, i wynajęła dużo większe i wygodniejsze na ulicy Margarit, bardzo niedaleko, w tej samej dzielnicy, w stosunkowo nowym budynku z fasadą ozdobioną modernistycznymi sgraffitami. Valentí, Engracia i ona zajęli mieszkanie na drugim piętrze, z dwoma pięknymi balkonami wychodzącymi na morze liści od strony ulicy. Znajdował się w nim przedpokój oddzielony od krótkiego korytarza podwójnymi drzwiami z kolorowymi szybkami, trzy duże pokoje, jadalnia z salonikiem, przestronna kuchnia i łazienka z porcelanową wanną. Luksus dostępny dla nielicznych! Umieblowała pokoje skromnie, ale w dobrym guście. W rezultacie mieszkanie okazało się bardzo wygodne, a Laia prędko poczuła się w nim jak u siebie.

Ten czerwcowy poranek był ponury. Jak każdej pierwszej niedzieli miesiąca Laia wstała wcześniej, by udać się na cmentarz Montjuïc i zanieść kwiaty matce. I jak każdej pierwszej niedzieli miesiąca Engracia błagała ją, by pozwoliła sobie towarzyszyć, jej i Valentiemu, ale Laia się nie zgodziła.

– Znowu będziemy się kłócić, Engracio? Przecież chodzisz na cmentarz, kiedy ci się podoba.

– Powinniśmy pójść razem, we trójkę.

– Po co? Chłopiec nie znał swojej babci. Nie ma sensu zabierać go na cmentarz, by zaniósł kwiaty zupełnie mu obcej kobiecie.

Engracia zawsze z tymi samymi pretensjami, Laia zawsze z tymi samymi odpowiedziami. Później kobieta robiła znak krzyża i mamrotała pod nosem słowa, których Laia nie mogła ani nie chciała słuchać. Następnie dziewczyna brała bukiet, po który Engracia chodziła wcześniej rano, i szła dopełnić rytuału, w którym miejsce było jedynie dla niej i jej bólu.

Gdy tymczasem Engracia szykowała Valentiemu śniadanie i czuła radość w sercu, słysząc jego kroki zmierzające do kuchni i czując rączki, które czepiały się jej spódnicy, domagając się porannych pieścizot, Laia zostawiała za sobą ulicę Margarit i kierowała się na Paralelo, żeby wsiąść do tramwaju. Niebo miało coraz bardziej ołowiany kolor. Pomyślała, że się przejaśni, i nie wróciła po parasol. Dochodziła już do przystanku, kiedy nagle silny podmuch wiatru podwiał jej spódnicę i zaczęły padać pierwsze grube krople deszczu. Jedną ręką chwyciła mocniej bukiet, drugą kurczowo przytrzymała kapelusz, by nie zwiąło go jej z głowy, przyspieszyła kroku, chciała jak najprędzej minąć szeroką aleję i znaleźć się po jej drugiej stronie, bardziej osłoniętej. Kiedy tylko się tam znalazła, uderzył piorun i zerwała się burza. Niebo rozwarło się i lunęła ściana deszczu, a Laia nie mając innego wyjścia, znalazła się tuż pod nią. Jeszcze bardziej przyspieszyła kroku i chlupiąc bucikami w kałużach, które błyskawicznie się tworzyły, schroniła się pod daszkiem przy wejściu do teatru Victoria.

Było bardzo wcześnie i przy tej koszmarnej pogodzie nikt nie ośmielał się wyściubić nosa z domu bez uzasadnionego powodu. Laia szybko spostrzegła się, że w prowizorycznym schronieniu przebywa zupełnie sama.

Przejrzała się w szybie.

– Co za katastrofa!

I rzeczywiście: miała przemoczone do suchej nitki przyklejone do ciała ubranie; z kapelusza lała się woda, w butach jej chlupotało, a kwiaty z bukietu zostały pozbawione liści i poniosły przedwczesną śmierć z rąk bezlitosnej burzy. Oparła się o ścianę, by zdjąć buty i wylać z nich wodę, nie wiedząc za dobrze, co począc z bukietem. Dokładnie w tej samej chwili ktoś równie co ona przemoczony schronił się w jej, do tej pory samotnej, kryjówce.

Był to mężczyzna. Wbiegł pod daszek i momentalnie przystanął na widok Lai, która równie zdumiona jak on wyprostowała się, rezygnując ze zżucia obuwia. Chciał się z nią przywitać, toteż uniósł ręką rondo kapelusza, ale to spowodowało nagłe, zupełnie niespodziewane chluśnięcie i woda zalała mu twarz; prychnął na wpół przerażony, na wpół rozgniewany. Spojrzeli na siebie świadomi groteskowości sytuacji, w której oboje brali udział, i równocześnie wybuchnęli śmiechem.

Mężczyzna zdjął kapelusz i wyciągnął do Lai mokrą rękę.

– Proszę wybaczyć. Niezłe oberwanie chmury, nieprawdaż? Nazywam się Pau Amat.

Laia starała się zdusić w sobie wybuch śmiechu i spojrzała na jego dłoń, zanim ją uścisnęła.

– Laia Calvet.

Przez chwilę stali w ciszy, wpatrując się na zmianę to w kałuże, to w niebo, nadal w kolorze ciemnego ołowiu.

– Zaraz przejdzie – odezwał się w końcu mężczyzna. – Letnia burza, sama pani zobaczy.

Laia nie odpowiedziała. Uśmiech przywarł jej do warg, przypatrywała się z ukosa nieznanemu. Pau Amat wyglądał na nieco ponad trzydziestoletniego mężczyznę, był wysoki i raczej szczupły. Mimo przemoczonego stroju ubrany był nienagannie. Najbardziej rzucały się w oczy jego wydatny nos, świadczący o silnej osobowości, wysokie czoło, kędzierzawe, nieco dłuższe włosy i ciemne oczy o pogodnym spojrzeniu. Pod sumiastym wąsem o końcach skierowanych ku dołowi zarysowywały się wąskie usta, na których prawdopodobnie nieczęsto gościł uśmiech.

– Bez względu na wszystko muszę jakoś wrócić do domu – powiedziała w końcu Laia, poprawiając spódnicę i odrywając wzrok od twarzy mężczyzny, by omieść spojrzeniem własne odzienie w oplakany stan i zniszczone kwiaty.

– Daleko stąd pani mieszka?

– Nie, nie bardzo. – Mężczyzna przez dłuższą chwilę wpatrywał się w milczeniu w bukiet, nie mogąc zapanować nad ciekawością. – Szłam na Montjuï, na cmentarz – wyjaśniła Laia, nie czekając, aż zada pytanie.

Znowu zapadła między nimi cisza, wzajemnie dotrzymywali sobie towarzystwa. Obydwoje czekając na to samo. Szanując wzajemny dystans, nie czując skrępowania i patrząc na siebie ukradkiem od czasu do czasu.

– Już przestaje padać – odezwał się wreszcie Pau.

– Na to wygląda.

Wyszli spod daszku onieśmieleni, jakby nie mieli odwagi stąpać po mokrej i niebezpiecznej nawierzchni. Wiatr uspokoił się, ale niebo nadal było ciemnoszare. Na ulicach poza pojedynczymi powozami pojawiły się pierwsze samochody.

– Złapię taksówkę, żeby wrócić do domu. Chciałaby pani, żebym gdzieś ją podrzucił?

– Nie, nie ma potrzeby! Wrócę piechotą. Nie mogę iść tak na cmentarz. Sam pan widzi, w jakim stanie są kwiaty.

Oboje wbili wzrok w zniszczony bukiet; z połamanymi i pozbawionymi płatków kwiatami wyglądał, jakby wymierzono mu srogą karę. Uśmiechnęli się.

– Jest pani pewna, że nie...?

Ale Laia nie pozwoliła mu dokończyć. Wyciągnęła do niego rękę i pożegnała się.

Czarna noc zacierała kontury obserwowanych budynków. Laia, siedząc po ciemku w swojej sypialni, paliła papierosa. Ta niedziela zdawała się trwać w nieskończoność. Deszcz padał bez przerwy i Engracia nie mogła zabrać Valentina na spacer jak w każde niedzielne popołudnie. Przez cały boży dzień nie odstępował jej na krok, krzycząc wniebogłosy, nie było to bowiem dziecko, które łatwo utrzymać zamknięte w domu, a pogoda sprawiała, że był jeszcze bardziej nadpobudliwy. Jakże koszmarnie dłużyły się Lai niedziele! Jej życie, to prawdziwe, toczyło się w pracy, to tam czuła, że żyje naprawdę.

Na chwilę przed kolacją, nie mogąc znieść wybuchów hysterii Valentiego, zamknęła się w sypialni, wymawiając się straszliwym bólem głowy, który uniemożliwiał jej normalne funkcjonowanie.

– Jak to, nie zjesz kolacji z małym? – dopytywała się Engracia, a na jej twarzy malowały się te same odwieczne pretensje.

– Nie, nie mogę. Nie widzisz, że źle się czuję? Wykąpiesz go i dasz mu kolację. Życie nie kończy się dzisiaj.

– Laiu, dziecko potrzebuje matki. Całe popołudnie spędziłaś z nosem utkwionym w czasopiśmie. Nie zwracając na niego najmniejszej uwagi...

Laia poczuła, jak głęboko w trzewiach budzi się w niej głucha i zajadła wściekłość:

– Nie płacę ci, by wysłuchiwać tych kazań. Dziecko ma dobrą opiekę. Ma wszystko, czego mu potrzeba. Ma ciebie. Czego jeszcze chcesz? Żebym po całym tygodniu pracy w niedzielę bawiła się z małym na podłodze?

Zostawiła Engracię, która nie zdążyła już nic odpowiedzieć. Nie zносиła jej, kiedy zaczynała się tak zachowywać, kiedy chciała kierować jej życiem. Głucho trzasnęła drzwiami od pokoju. Przez dłuższy czas dał się słyszeć płacz Valentiego. W kogo wdało się to uparte dziecko?

Potem w domu zapanowała cisza, a ona zaczęła czytać, mimo że nie mogła się na niczym skupić. Nie posuwała się naprzód w lekturze, całą jej uwagę pochłaniał miniony deszczowy poranek i ten mężczyzna, Pau, z którym schronili się pod teatrem Victoria. Ciekawe... Nie знаła go zupełnie, wpadli na siebie w sytuacji nieco komicznej. Byłoby logiczne, gdyby poczuła się zakłopotana albo całe zdarzenie uznała za kłopotliwe. Stało się jednak wręcz przeciwnie. Chichotali jak dwoje dzieci przyłapanych na gorącym

uczynku. W towarzystwie Pau Amata, tego przystojnego i szarmanckiego mężczyzny, którego, wydawało się, zmył deszcz, poczuła się naprawdę dobrze.

Laia podniosła się z fotela przystawionego do drzwi balkonowych. Srebrny księżyc zalewał pokój metalicznoniebieskim nierzeczywistym światłem. Zapaliła lampkę na nocnej szafce. Zrobiło się już późno. Wkładając nocną koszulę, przypomniała sobie innego mężczyznę, równie uroczego i sympatycznego co nieznajomy, który całe jej życie wywrócił do góry nogami. Położyła się do łóżka. Lepiej cały ten dzień, ze wszystkim, co się wydarzyło, zostawić za sobą. Jutro zaczynał się nowy tydzień, a ją czekało dużo pracy. Za dużo, żeby dać się rozpraszać jakimś drobiazgom.

Czerwcową niedzielą. Deszczowa i smutna.

Państwo Clos wrócili do Barcelony. Roser nigdy nie przypuszczała, że ich powrót napełni ją takim smutkiem i że zatęskni za Caprodonem, miejscem, do którego udali się na swoje krótkie „zesłanie”. Cieszyła się tam drugim, niespodziewanym miesiącem miodowym, który nastąpił po trzech tygodniach intensywnej, pochłaniającej całkowicie pracy, kiedy Ferran rysował bez wytchnienia. Nie tylko całe dni spędzał zamknięty w gabinecie, ale nawet kilkakrotnie zdarzyło się, że w środku nocy zapalał światło, szedł po kartkę i ołówek, po czym pospiesznie starał się naszkicować pomysł, zanim ten ulotni się bezpowrotnie. Obsesyjna praca. Jednak po trzech tygodniach całe to szaleństwo dobiegło końca. Nadszedł czas wytchnienia i odpoczynku, a Ferran, prawdopodobnie za sprawą cudu spowodowanego przez sielankowy pejzaż i wszechobecny spokój, którym oddychało się w Camprodonie, ciałem i duszą oddał się swojej żonie, uwodził ją i kochał, tak jak na początku ich znajomości pełnej wzlotów i upadków.

Roser zdumiona obserwowała ten niespodziewany renesans namiętności u męża. Już od dawna, zdecydowanie za długo, podczas ich nielicznych zbliżeń okazywał niewielkie zaangażowanie, jakby ledwo ją kochał. Ale tam, pod bezchmurnym niebem Camprodonu, Ferran znowu zaczął kochać się z nią namiętnie, z ogromnym oddaniem, ze swoim nieodpartym urokiem uwodziciela.

W te niezapomniane poranki Roser zrywała się z łóżka i czym prędzej biegła otworzyć na oścież drzwi balkonowe. Wdychała świeże powietrze, które poruszało nieznacznie koronami drzew. To były cudowne dni błękitnego nieba. Nie mogła przestać się uśmiechać.

Wracała wówczas do łóżka i kulila się obok Ferrana, który nadal spał. Wpatrywała się w jego klatkę piersiową, miarowo unoszącą się przy każdym oddechu. Serce bijące w tej piersi najpierw przywróciło Roser do życia, po czym odebrało je. Doskonale pamiętała, jak Ferran rozkochał ją w sobie niemal bez słów. Jak potem zaczęło kiełkować w niej podejrzenie, że po tej pierwszej miłości nie zostało ani śladu, że pochłonięły ją kłamstwa i oszustwa tego mężczyzny, którego nadmiernie kochała, a któremu nie wystarczała jedna kobieta. Ale się myliła. Nadal była w nim zakochana. Kochała go bez reszty, a on, jak chciała wierzyć, a te dni wydawały się tego najlepszym dowodem, również był w niej zakochany.

Roser nie mogła uwierzyć we własne szczęście; obawiała się, że zaraz wymysknie

jej się z rąk, niczym kawałek odcinanego materiału. Wspomnienia posępnych dni rozdzierały ją od środka. Wówczas jej palce, jakby żyły własnym życiem, zaczynały pełzać po twarzy Ferrana, po czym wplątywały się w jego rozczochrane włosy, gładziły go, gdy tymczasem ona, nieobecna, pozwalała ukołysać się cieniom lepkiem od podejrzeń i zazdrości, od których nie umiała się wyzwolić. Wówczas Ferran odwracał się, uśmiechnięty i zaspany, a Roser wydawało się, że oto czerwone słońce przepędza jej wszystkie cienie.

– Wstawaj, śpiochu. Zobacz, jaki piękny dzień.

– Jeszcze nie. Przychodzi mi do głowy przynajmniej tysiąc pomysłów na to, jak możemy spożytkować ten poranek, nie wstając z łóżka.

I kochali się. Kochali się przepełnieni wiosną, która odświeżała ich uczucia.

Niemniej zaraz po powrocie do Barcelony Ferran znowu bez reszty oddał się przygotowaniom do pokazu, a Roser zaczęła wierzyć, że błogie dni w Camprodonie były jedynie owocem jej wyobraźni. Spędzała długie godziny zupełnie sama, a jeśli chciała zobaczyć męża, musiała udać się do sklepu, w którym wszystkich ogarniał ten sam zachłanny entuzjazm i gdzie wszyscy pracowali w pocie czoła, by przysłużyć się pokazowi. Santa Eulalia była bliska zrobienia ważnego milowego kroku. Ten pokaz miał znaleźć się na ustach całej Barcelony. Ale Roser nie umiała podzielać tego zapału, nieobecność Ferrana na nowo topiła ją w studni jej własnych frustracji.

Tej czerwcowej niedzieli, szarej i deszczowej, poczuła się bardziej samotna niż kiedykolwiek. Na obiad udała się do domu matki, która narzekała, że widuje ją niezmiernie rzadko. Anna, jej bratowa, została również zaproszona z dziećmi jej i Andreu, dwójką uroczych maluchów, dwuletnim Antonim i trzymiesięczną małą Anną. Jej obecność popsula jeszcze bardziej, jeśli to w ogóle było możliwe, nastrój Roser, którą w tych dniach przepełniał bezgraniczny smutek, a to dlatego, że mimo iż szalała z miłości do swoich bratanków, a nawet była matką chrzestną małej Anny, jej wesoła i hałaśliwa obecność zanadto przypominała jej o płaskości własnego brzucha.

Tego dnia padało. Roser poczuła się gorzej w porze deseru. Wstała od stołu i pobiegła do łazienki zwymiotować. Matka z Anną, zmartwione, przyprawiły ją o jeszcze większe zawroty głowy, zadając niezliczone pytania i wygłaszając swoje uwagi. Czyżby nie zdawały sobie sprawy, że naprawdę źle się czuła? Miała jedynie ochotę wrócić do domu, do swojego eleganckiego i przestronnego mieszkania przy Paseo de Gracia, gdzie mieszkała razem z Ferranem, i wyciągnąć się na łóżku.

I zamknąć oczy.

Tak, zamknąć oczy i wsłuchać się w szum padającego za oknem deszczu, który zabierał ze sobą jej cały smutek i te nieprzyjemne zawroty głowy.

I tak właśnie zrobiła. Matka oddała jej do dyspozycji samochód z szoferem i nim obiad dobiegł końca, Roser znalazła się z powrotem w swoim mieszkaniu, naturalnie uprzednio wysłuchawszy parudziesięciu domowych sposobów, które, zdaniem Aurory, pomagały skutecznie na zawroty głowy i złe samopoczucie, i obiecawszy Annie, że jeśli nudność nie miną, niezwłocznie ją powiadomi.

Teresa krzątała się po kuchni. Razem z kucharką zjadły obiad i teraz dziewczyna zmywała naczynia, podśpiewując wesoło pod nosem. Wyjeżdżając z Camprodonu, Roser zabrała ze sobą Teresę. Zawiązała się między nimi nić przyjaźni i zaufania, której nie chciała zrywać. Poza tym Genoveva, służąca, którą Roser wzięła ze sobą po ślubie do nowego mieszkania, wyszła za mąż kilka miesięcy temu, a Teresa była niewątpliwie idealną kandydatką, by zająć jej miejsce. Naturalnie pod czujnym okiem i słuchając się poleceń Remedios, wiernej służącej Molinsów, którą Aurora odstąpiła córce, by pomogła państwu Clos urządzać się w nowym domu. Któż nadawałby się lepiej, jeśli nie ta młoda dziewczyna, która wpatrywała się w Roser z podziwem i paliła się do tego, by jej służyć? Na początku Tomás i Agustina nie chcieli wypuścić z domowego gniazda swojej jedynaczki, jedynej, która mogłaby zająć się nimi, kiedy zaczną dokuczać im starość. Jednak w końcu ustąpili za namową błagającej ich Roser, która zapewniła rodziców dziewczyny, że przyszłość, jaka czeka Teresę w Barcelonie, jest dużo lepsza niż jej perspektywy na wsi. A Teresa była w Barcelonie szczęśliwa. Natychmiast się zaaklimatyzowała, przywykła do miasta, do pracy i do tego domu, a czułość, jaką obdarzała ją panienska Roser, bardzo szybko uleczyła ją z tęsknoty.

Wycierała właśnie ręce o fartuszek, kiedy usłyszała, że ktoś przekręca klucz w zamku. Pospieszyła do drzwi i zdumiała się wielce, widząc Roser tak szybko powracającą z obiadu, na dodatek tak bladą, że wydawała się ciężko chora.

– Proszę panienki, co się stało? Co panience dolega? Dobrze się panienka czuje?

Roser zasłoniła sobie usta ręką i pobiegła do łazienki, ku zaskoczeniu Teresy, która nie wiedziała, czy biec za nią, czy udać się do kuchni i zaparzyć jej ziołową herbatę, tak jak nauczyła ją jej matka. Wreszcie Roser wyszła z łazienki, w żołądku nie zalegało jej już nic. Wyciągnęła się na łóżku. Teresa pomogła jej się przebrać, umyła ją, uperfumowała i usiadła obok, by dotrzymać jej towarzystwa.

– Nie wiem, co mi jest, Teresito; coś musiało mi zaszkodzić.

Dziewczyna podniosła na nią swoje wielkie, czarne, nieco przestraszone oczy i zauważyła, że Roser zaczyna nabierać rumieńców.

– Nie wiem, co panience mogło zaszkodzić, skoro panienka prawie nic nie je.

Roser pomyślała, że dziewczyna ma rację. Od paru dni była jakaś nieswoja. I straciła apetyt.

– I jeszcze te zawroty głowy! Skąd mi się to wzięło! Musi to być coś poważnego. Może...

Teresa nie pozwoliła jej dokończyć.

– Na wsi, jeśli kobiecie kręci się w głowie, traci apetyt i wymiotuje, znaczy, że jest w ciąży. Oczywiście, może być tak, że w mieście wygląda to zupełnie inaczej. Skąd niby mam wiedzieć, jak to wygląda w mieście!

Roser błyskawicznie otworzyła oczy, które do tej pory miała zamknięte, by powstrzymać zawroty głowy. Bezwiednie podniosła rękę i położyła ją sobie na brzuchu. Nie ośmielała się uśmiechnąć. Od pięciu lat czekała na ten moment i prawie już straciła nadzieję. Wpatrywała się uważnie w Teresę, starając się równocześnie zapanować nad słowami, które plątały jej się w ustach:

– Ależ skąd... Moja droga, co ty opowiadasz? Co ty tam wiesz! Jeśli wcześniej nie

miałam dzieci, skąd teraz miałyby się pojawić? Coś naprawdę musiało mi zaszkodzić. Jutro pójde, niech mnie obejrzy jakiś lekarz i...

Nowa fala wymiotów przerwała im dyskusję. Wstała z łóżka i pobiegła z powrotem do łazienki, gdy tymczasem Teresa uśmiechała się od ucha do ucha, przekonana o słuszności swojej teorii.

W niedziele lubił wychodzić z domu wcześniej rano, zawsze też zabierał ze sobą leicę, by fotografować Barcelonę. Budynki, parki, pomniki, ulice... Obiektyw jego aparatu, tego małego kieszonkowego cudu techniki, uwieczniał wszystko, co napotkał na swej drodze. Pau Amat miał obsesję kamienia, jego oczy architekta częściej przykuwały budynki niż osoby. Spacerzy w pojedynkę po miejskich bulwarach były przyjemnością, której nie potrafił sobie odmówić.

Tej czerwcowej niedzieli obudził się bladym świtem, jak to miał w zwyczaju, z zamiarem udania się do dzielnicy Paralelo i zrobienia paru zdjęć trzem kominom należącym do zakładów energetycznych zwanych Kanadyjką, przez wzgląd na narodowość głównego udziałowca. Zszedł Ramblami, wdychając morską bryzę. Niebo wyglądało tak, jakby zaraz miało nastąpić oberwanie chmury. Kiedy dotarł do Paralelo, zerwała się burza, a z góry spadł prawdziwy wodospad. Przemókł do suchej nitki, a woda skapywała mu z kapelusza. Schronił się pod daszkiem przy wejściu do teatru Victoria.

Kiedy tylko się uspokoiło, złapał taksówkę i udał się do pracowni, która mieściła się przy ulicy Provença, na rogu Roger de Flor, o dwie przecznice od jego domu. Dotarłszy na miejsce, jako że był sam, zdjął mokre ubranie i rozwiesił na krześle, by podeschło. Zazwyczaj w niedziele po swoim spacerze zwykł spędzać kilka godzin w studio. Mógł wówczas w spokoju popracować, nienarażony na ciągłe interwencje swojego wspólnika, Ramona Riery, ani sekretarki, bardzo zaradnej, ale mało powściągliwej pani Casanovas.

Poza tym od kiedy władze miasta zatwierdziły jakieś pół roku temu, na zimę tysiąc dziewięćset dwudziestego piątego roku, projekt przebudowy placu Cataluña, przedstawiony przez zastępcę prezydenta miasta, Francisca de Paula Nebota, jego zwierzchnika w magistracie, miał więcej pracy, niż mógł wykonać, i dzień okazywał się za krótki. Pracował nawet w soboty i niedziele, co akurat sprawiało mu przyjemność.

Miał powody do zadowolenia. W wieku trzydziestu pięciu lat stał u szczytu zawodowej kariery i wiódł spokojne, stateczne życie rodzinne u boku żony Eleny. Kochał i ją, i swoją profesję. Kochał życie! Jeśli ktoś kazałby mu teraz wypowiedzieć jakieś życzenie, nie wiedziałby, o co poprosić.

Pau przyszedł na świat w Molins de Rey. Był synem mistrza murarskiego, który nazywał się tak samo jak on, Pau Amat. Kiedy ojciec dostał pracę w magistracie Sabadell, przeprowadził się tam razem z całą rodziną: żoną Ritą i trójką dzieci; Pau, jedyny potomek płci męskiej, był drugi z kolei. W domu się nie przelewało. Ale Pau Amat ojciec zrobił wszystko, co było w jego mocy, by marzenie jego jedynego syna, który chciał zostać architektem, mogło się spełnić. W tysiąc dziewięćset siedemnastym roku Pau uzyskał tytuł magistra w Barcelonie.

I już do Sabadell nie wrócił. Zaraz po rozpoczęciu studiów poznał na przyjęciu Elenę Novell, z którą ożenił się wkrótce po ukończeniu nauki.

Do domu dotarł na pół godziny przed obiadem. Już w sieni usłyszał tubalny głos

teścia, Eduarda Novella, przerywany czasami cichym szmerem wypowiedzi Eleny albo piskliwym jazgotem Claudiny, jego żony. Teściowie co niedziela bywali u nich na obiedzie.

Pau miał na sobie wymięte ubranie. Nie mógł pokazać się w takim stanie. Dlatego też, kiedy służąca pojawiła się przy drzwiach, podał jej mokry kapelusz i marynarkę, po czym zwrócił się do niej:

- Powiedz pani, że już dotarłem, ale muszę się przebrać.
- Przemókl pan na wylot.
- To mało powiedziane, Conchito, to mało powiedziane.

Conchita weszła do salonu, żeby przekazać Elenie wiadomość. Uczyniła to dyskretnie; podeszła do niej i wyszeptła jej na ucho. W tym czasie patriarcha rodziny Novell, jeden z najświetniejszych jubilerów w Barcelonie, zasiadając wygodnie na mahoniowej kanapie w stylu izabelińskim, z kieliszkiem sherry w ręku perorował w najlepsze.

– Zeszłoroczna wystawa w Paryżu była jedyna w swoim rodzaju, choć muszę przyznać, że wychodząc z Quai d’Orsay, poczułem się niekomfortowo na widok całego tego nagromadzenia prowizorycznych budynków, nie mówiąc już o ośmiu pryzmatycznych wieżach...

- Mnie wydały się kominami. Nie były to kominy? – przerwała mu żona Claudina.

Eduard Novell należał do rodu barcelońskich jubilerów i złotników. Novellowie byli właścicielami sklepu z biżuterią i pracowni przy ulicy Bailén. W zaledwie piętnastej wiosnie życia rozpoczął pracę w rodzinnej pracowni, ale dzięki własnej ambicji otrzymał nauki od najlepszych mistrzów i wyspecjalizował się w rysunku przydatnym w branży artystycznej. Po śmierci ojca przejął rodzinny interes, a z biegiem czasu został kluczową postacią barcelońskiego życia kulturalnego i artystycznego.

- Nie, nie były to kominy – odparł jubiler swojej małżonce.

– Och – bąknęła Claudina, kobieta niezwykle delikatna, szczupła i drobna, niczym figurka z porcelany. Jej filigranowość i wrażliwość silnie kontrastowały z gabarytami jej męża, który podobnie jak jego trójka dzieci, Eduard, Claudi i Elena, był wysoki i raczej krągły. Zdumiewało to i nikt właściwie nie potrafił wytłumaczyć, skąd ta mała kobietka czerpała energię potrzebną do kierowania żelazną ręką swoją rodziną, której była duszą i motorem wszelkich działań.

– Później natomiast, kiedy znaleźliśmy się już na terenie wystawy – ciągnął mężczyzna – cóż to był za chaos! Jakaż ekstrawagancja!

– Ależ, papo – weszła mu w słowo córka Elena, pełna entuzjazmu, który nadal budziły w niej wspomnienia paryskich targów – nie pamięta tato, jakie wrażenie wywarła na nas już od samego wejścia? Rozdziawialiśmy buzie ze zdumienia, ojciec pierwszy.

Elena Novell, z wyglądu bardzo podobna do ojca, nie była wielką pięknoscią, ale miała szczere spojrzenie, czasem lekko bezczelne, świeżą mleczną cerę i usta, z których nigdy nie schodził uśmiech. Mogła poszczycić się inteligencją, niezwykłą i błyskotliwą wyobraźnią oraz nowatorstwem. Te cechy popchnęły ją w kierunku rodzinnego interesu, któremu oddała się bez reszty, a że techniki emaliowania nauczyła się w Limoges i w Paryżu, udało jej się w nim nawet wybić i była uważana za biegłą artystkę, nadzieję

katalońskiego świata złotników. Elena i jej małżonek byli pochłonięci swoją pracą, którą kochali z całej duszy.

– Na paryskich targach architektura nie była najlepsza... – Pau, który właśnie dopiero co wszedł do salonu, dołączył do rodzinnej dyskusji. – Choć można powiedzieć, że sowiecki pawilon owszem, sam w sobie był próbką niezwykle rewolucyjnej architektury. Pamiętacie, jak wyglądał?

– Masz na myśli ten rodzaj dziwnego rusztowania pomalowanego na czerwono i pełnego jakiegoś żelastwa? – zapytała go teściowa, równocześnie wykonując rękoma wymowny gest świadczący o zgorszeniu, jakie odczuwała na samo wspomnienie sowieckiego pawilonu.

– Tak, choć to, co mama nazywa „żelastwem”, było wielce wartościową kolekcją starych przedmiotów.

Elena zaserwowała Pau kieliszek sherry, do tego szeroki uśmiech. Odezwała się:

– Nasze obie sale barcelońskich artystów robiły dobre wrażenie.

Eduard Novell obruszył się, twarz mu spochmurniała.

– Mimo że dyktator zrobił wszystko, co w jego mocy, by temu zapobiec.

– Co za wstyd, że kazał nam wystawiać osobno.

– Albo i nie, Eleno – odpowiedział jej Pau. – Może Primo de Rivera wyświadczył nam przysługę. Przypominasz sobie, jak, jak by to powiedzieć, skromny był hiszpański pawilon?

– I folklorystyczny, bardzo folklorystyczny – dodała Claudina, kiwając elegancką głową w loczkach, które zaczynały przetykać srebrne nitki. Miała dar wzbudzania sympatii i zarówno jej słowa, jak i sposób ich wypowiedzienia, wywoływały salwy śmiechu rozmówców.

– Nie wiem, czy król jest świadom tej niesprawiedliwości. Nie powinien pozwalać, by Primo de Rivera blokował inicjatywy wychodzące od Katalonii.

– Wszyscy wiedzą, że Alfons Trzynasty i Primo de Rivera zgadzają się niemal we wszystkim.

Wypowiedź Pau spotkała się z karcącym spojrzeniem Eleny i zmarszczeniem czoła u nieco oburzonego teścia. Claudina omiatała wszystkich swoim łagodnym wzrokiem i uśmiechała się przyjaźnie. Dobrze wiedziała, jak zresztą i wszyscy, że poglądy polityczne dzieliły zięcia i teścia. Była to jedna z niewielu kwestii, w której się nie zgadzali. Pau zdumiewało, że mężczyzna tak inteligentny jak Eduard Novell wierzył, iż to monarchia powinna decydować o postępie ekonomicznym i rozwoju gospodarczym Katalonii. Novell z kolei uważał idee zięcia za nieco niebezpieczne i zbyt postępowe, na przykład jego obronę architektury społecznie zaangażowanej. Tak jakby budowanie dla tysiąca najemców starających się o własne lokum mogło uczynić z niego sławnego architekta.

Elena wyprowadziła dyskusję na spokojniejsze wody:

– Już niedługo będziemy mogli się przekonać, czy Wystawa Światowa w Barcelonie będzie porównywalna z paryską.

– Z tej okazji znowu mogliśmy poczuć na sobie rękę dyktatora – dodał ojciec. – Jeśli dobrze rozumiem, wystawa miała się odbyć w tysiąc dziewięćset siedemnastym,

a nie przypuszczam, by nastąpiło to przed tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym.

– Ależ, papo, stało się tak w wyniku wojny w Europie.

Eduard Novell wydał usta i zaprzeczył ruchem głowy. Nie był wcale przekonany, że wojna była jedynym powodem opóźnienia Wystawy w Barcelonie.

– Przynajmniej roboty urbanistyczne na wzgórzu Montjuïc są już bardzo zaawansowane – dodał Pau.

– Nie mówiąc o tych na placu Cataluña – zawtórowała mu Elena, puszczając oczko do męża i uśmiechając się porozumiewawczo.

– Te nie są równie zaawansowane – odpowiedział.

Conchita weszła do salonu, by poinformować, że obiad jest już gotowy, i wszyscy wstali.

– Ależ ja mam pamięć! Kompletnie zapomniałam! – wykrzyknęła Claudina, zrywając się na równe nogi i wywołując przy tym wielkie poruszenie, z czego była dobrze znana.

– O czym, mamó?

– Rozmawiałam z Aurorą Ros i wiecie, co mi powiedziała? – Oczy wszystkich zwróciły się na nią. – We wrześniu w Santa Eulalii odbędzie się wielki pokaz mody, na którym zostanie przedstawiona kolekcja zimowa.

Elena uniosła brew, żywo zainteresowana.

– Pokaz mody? Jak w Paryżu?

– Czy taki jak w Paryżu, nie wiem, to się dopiero okaże... Powiedziała, że wyślą nam zaproszenia.

– Ależ to wspaniale! – rzekła rozentuzjasmowana Elena.

– Jestem pewna, córeńko, że będzie to prawdziwe wydarzenie towarzyskie. Barcelonie należy się coś takiego, zgodzicie się ze mną, prawda? Jeśli zależałoby to jedynie od was – w tym miejscu rzuciła spojrzenie pełne udawanej reprimendy na obydwu mężczyzn – życie byłoby koszmarnie nudne i oglądalibyśmy jedynie kamienie i wystawy.

– I biżuterię, Claudino, biżuterię.

Elena odwróciła się do Pau. Oczy błyszczały jej łobuzersko.

– Pójdziemy, prawda? – skonstatowała bardziej niż zapytała.

– Ależ, Eleno, stroje to babska rzecz.

– Nie ma mowy. Musimy iść. Nie możemy zawieść Roser i Ferrana. Są przecież naszymi dobrymi znajomymi.

Elena podała ramię matce i razem udały się do jadalni, podczas gdy Pau przewracał oczami, a jego teść poklepywał go po plecach ze współczuciem.

W czasie obiadu Pau był dziwnie rozkojarzony. Czyżby dlatego, że głównym tematem rozmowy był mający się niebawem odbyć pokaz mody, który za grosz go nie interesował? Prawdopodobnie miało to coś z tym wspólnego. Ale z całą pewnością nie była to jedyna przyczyna. Rzecz w tym, że nie potrafił wybić sobie z głowy tej młodej dziewczyny (jak powiedziała, że się nazywa? Laia?), na którą wpadł pod teatrem Victoria,

gdzie podobnie jak on schroniła się przed deszczem. Wytrącało go to z równowagi. Nie pamiętał, by jakiegokolwiek spotkanie, a już tym bardziej z kobietą, w dodatku całkiem nieistotne i przelotne, tak mocno wryło mu się w pamięć i powracało do niego z coraz większą natarczywością.

– Pau, co ci jest? Myślisz o niebieskich migdałach.

Pau odwrócił głowę i napotkał przed sobą okrągłą twarz Eleny, okoloną bujnymi czarnymi loczkami upiętymi w wysoki kok, których nie godziła się ściąć, mimo panującej mody na krótkie fryzury, z tymi jej wiecznie uśmiechniętymi oczami, twarz kobiety zadowolonej z dotychczasowego życia.

– Trochę boli mnie głowa – powiedział.

– Pewnie się przeziębilesz – włączyła się Claudina. – Zobaczcie, znowu leje jak z cebra. Cóż za koszmarny czerwiec!

Pau znowu wyłączył się z rozmowy. Teraz zamieniła się ona w wywód o katalońskiej meteorologii na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat, ubarwiony najrozmaitszymi anegdotkami, w których lubowali się państwo Novellowie.

Spojrzał na swoją żonę. Elena była jedyną kobietą w jego życiu. Był jej wierny myślą i uczynkiem od dnia ich ślubu, w czerwcu czternaście lat temu.

Pau był wzorowym studentem. Tak bardzo kochał swoje studia i przyszłą profesję, że poświęcał im cały swój czas. Wychodził rzadko, a w soboty i niedziele, kiedy nie musiał uczyć się do egzaminów ani przygotowywać żadnych prac, zwykł jeździć do Sabadell, by odwiedzić rodzinę. Większość jego kolegów ze studiów należała do wyższej klasy społecznej. Ubodzy chłopcy nie szli na studia, a jedynie ci pochodzący z najzamożniejszych rodzin albo odpowiednio ustosunkowanych szli na architekturę. Była to młodzież przywykła do obracania się w dobrym towarzystwie, które w przyszłości miało korzystać z jej usług, czym Pau nie zaprzętał sobie specjalnie głowy. Nie myślał jeszcze o swoich przyszłych klientach. A jeśli o kolegów chodziło, zadawał się jedynie z garstką. Zawarł jednak przyjaźń z Oleguerem Moraguesem. I to jedynie z nim wychodził od czasu do czasu się zabawić. Wreszcie to on namówił go do pójścia na przyjęcie, które zamożni jubilerzy, rodzina Novellów, wydawali w domu z okazji osiemnastych urodzin swojej młodszej córki, Eleny. Pau początkowo kazał się prosić, ale w końcu uległ namowom Oleguera, przekonany, że udaje się na przyjęcie dziewczyny z dobrego domu, ładnej, ale mającej fiu-bǫdziu w głowie.

Ależ się pomylił! Zdał sobie z tego sprawę natychmiast, kiedy ją poznał. Dlatego że ta Elena, która wtedy, dwudziestego siódmego czerwca tysiąc dziewięćset dwunastego roku, kończyła osiemnaście lat, niewiele, jeśli w ogóle, różniła się od tej dojrzałej kobiety, na którą teraz patrzył. Od pierwszej chwili ujęła go swoim uśmiechem, a przede wszystkim witalnością, entuzjazmem i inteligencją.

Tamtego dnia poruszyli wszystkie możliwe tematy zarówno ludzkie, jak i boskie, po czym szybko umówili się na następne spotkanie. W ten prosty, zwyczajny sposób zaczął się ich związek pozbawiony jakichkolwiek przeszkód, choć pełen momentów rozłąki, bo Elena, która zaczęła pracować w rodzinnej pracowni jubilerskiej, już studiowała w Szwajcarii, a później w Paryżu.

Eduard Novell sprawiał wrażenie stosunkowo zadowolonego z wyboru córki.

Uważał Pau za młodego inteligentnego mężczyznę, prawego i wielce pracowitego. W rezultacie, kiedy chłopak ukończył studia, jego przyszły teść pociągnął za odpowiednie sznurki, by dostał pracę w magistracie u Francisca Nebota, zastępcy burmistrza od robót publicznych. Pau przyjął pomoc Novella, uznając ją za zupełnie naturalną, i wykorzystał swoją szansę, co wszystkim wydało się normalne. Jeśli można było Pau coś zarzucić, to jedynie to, że pracował więcej niż wszyscy architekci w magistracie razem wzięci.

Po ukończeniu przez Elenę studiów w Paryżu pobrali się. Był to marzec tysiąc dziewięćset dziewiętnastego roku. Nie mieli dzieci. Elena odwiedziła wielu zagranicznych specjalistów, którzy orzekli, że nigdy ich mieć nie będzie. Dowiedziawszy się o tym, nigdy nie wrócili do tego tematu. Może nie byliby dobrymi rodzicami, oboje poślubieni swojej pracy.

I tak to trwało aż do dzisiaj. Czternaście lat.

Bez pęknięć.

Bez ingerencji osób trzecich.

Bez podejrzeń.

Podnieśli się od stołu, by przejść do salonu na kawę, kieliszeczek czegoś mocniejszego i cygaro. Pau odruchowo podążył za rodziną. Był zdumiony. Może nawet poirytowany. Dlaczego nie mógł zapomnieć o tej młodej dziewczynie?

Wciągnął w nozdrza głęboki aromat brandy i pociągnął łyk. Znakomita. Trunek wypalił mu gardło i przywrócił do rzeczywistości. Do jego życia. Do spokoju. Na zewnątrz czarne chmurzyska zaczynały się rozwiewać, gdzieś można było dojrzeć kawałki błękitu.

Nie było powodu do obaw.

Wszystko szło dobrze.

Jak zwykle.

Nowe salony, a wraz z nimi cały sklep dzień po dniu przygotowywały się do próby generalnej pokazu. Santa Eulalia była nie do poznania. Drżała z niecierpliwości. Niczym narzeczona niemogąca się doczekać wielkiego dnia.

Jednak Andreu Molins nie zwracał na nic uwagi. Zamknięty we własnym gabinecie, robił wszystko, by Santa Eulalię nie poniosło szaleństwo. Skoncentrowany na codziennej pracy, starał się, by planowane przyjęcie, dzięki któremu Santa Eulalia miała się znaleźć w blasku reflektorów, nie zakłóciło rutyny, żeby działała punktualnie jak w zegarku. Molinsowi bowiem zarówno do życia, jak i do zarządzania firmą niezbędna była systematyczność. Blask reflektorów zostawiał innym. Nie podjął jeszcze nawet decyzji, czy w ogóle pojawi się na pokazie. Choć uważał tego typu wydarzenia za niezbędne, raczej go one drażniły, niż sprawiały przyjemność.

Oddalony od zgiełku bitwy, która toczyła się na dole, Andreu, jak codziennie o tej porze, załatwiał właśnie sprawy z Ramonem Martinezem Rosellem, dyrektorem działu sprzedaży. Przepowiednia zmarłego właściciela, który wieszczył chłopakowi szybki awans w ich firmie, tym samym się spełniła. Od kiedy Andreu zaraz po śmierci ojca pojawił się w magazynach i poprosił go o tę dziwną listę, Ramón przyglądał mu się z uwagą i darzył go szacunkiem. Zresztą szacunek był odwzajemniony i łatwo byłoby uznać go za przyjaźń, gdyby nie fakt, że obaj mężczyźni byli bardzo skryci.

Drzwi uchyliły się, nawet nie skrzypnąwszy, i ukazała się w nich twarz Ferrana Closa, który wszedł do gabinetu, drapiąc się po głowie, a drugą ręką nerwowo szukając w kieszeni nieodłącznej paczki papierosów. Spojrzenie Andreu odwiodło go od tego pomysłu. Andreu nie przepadał za dymem papierosowym w gabinecie. Tak samo jak nie przepadał za niezapowiedzianymi wizytami.

– Stało się coś, Ferranie? Nie skończyłem jeszcze rozmawiać z Martinezem.

– Proszę się nie przejmować, panie Molins. Sam się z tym zaraz uporam – odparł dyrektor działu sprzedaży. – Panowie mają całe mnóstwo dodatkowej pracy związanej z pokazem.

Dobrze wychowany i jak zwykle o nienaganych manierach, Ramón Martínez zostawił ich samych.

Wówczas Ferran zajął miejsce naprzeciw szwagra, skrzyżował nogi, po czym zaraz je rozkrzyżował, skrzyżował znowu i tak jeszcze parę razy. Wbił wzrok w jakiś odległy punkt, pochłonięty własnymi myślami, podczas gdy Andreu wrócił do swoich papierów. Przejrzał je po raz kolejny. Zdjął okulary, które nosił już od jakiegoś czasu, okrągłe, w szylkretowych oprawkach. Piekły go oczy. Od kilku dni sypiał kiepsko i krótko. Zastanawiał się, czy pomysł, by zorganizować pokaz własnej kolekcji, był faktycznie tak dobry, jak wydawało się to na początku. Nigdy nie przypuszczał, że organizacja jednego pokazu może tak łudząco przypominać gotowanie się do wojny. A jeszcze wypadłoby dodać, że kiedy tylko prezentacja dobiegnie końca, pracownie, nie zaznawszy chwili spokoju, zawrą ponownie, przygotowując kostiumy dla teatru Liceu na nowy sezon. Tego klientki rokrocznie nie mogły im wybaczyć.

– Wszystko w porządku? – zapytał Andreu, kryjąc swoje własne obawy za szklami

okularów.

Ferran Clos obdarował go kpiącym spojrzeniem.

– W porządku? Mówić o porządku w tym momencie jest co najmniej nie na miejscu, Andreu! Z pracowni aż iskry lecą. Jak tak dalej pójdzie, dojdzie do pożaru. Kostiumy się szyją, a my ścigamy się z czasem; boję się, że w efekcie stracą swój styl i elegancję. Całe szczęście, że Lluïsa Ramoneda jest tak znakomitą krawcową. Dzień po dniu nam to udowadnia.

– To prawda, jest młoda, ale pracowita – odpowiedział Andreu ze wzrokiem zagubionym w papierach.

– Kiedy tylko etap szycia dobiegnie końca, przejdę się po pracowniach i zdecyduję, które projekty trzeba będzie odrzucić. To najbardziej niewdzięczne zajęcie, Andreu. Pomyśl, one wszystkie zrodziły się w mojej głowie, marzyłem o nich, rysowałem je, żyłem nimi. A teraz przyjdzie mi niektóre poświęcić. Nie mówiąc o protestach, już to widzę, krawcowych, które uszyły je i pokochały jak własne dzieci... Miałem już niejedną scysję tego rodzaju.

– Nic w tym dziwnego i dobrze, że tak się dzieje.

– Ale bez selekcji się nie obejdzie. A one, niczym pełne desperacji matki, przychodzą do mnie błagać o amnestię dla ich wykrojów. Beznadziejna sprawa!

Ferran przewrócił oczami. Nie trzeba było dobrze go znać, by zrozumieć, że jest zupełnie wykończony.

– Powinniśmy porozmawiać o porządku pokazu, Ferranie.

Ferran Clos otworzył oczy, które zamknął zaledwie ułamek sekundy wcześniej, chcąc odnaleźć utracony spokój, w ostatnich dniach wręcz nieistniejący.

– Oczywiście. – Chwila ciszy. Wymiana spojrzeń naszpikowanych wątpliwościami, które starali się ukryć. – Zdążymy ze wszystkim, prawda, Andreu?

– Jak najbardziej. Najpierw zaprezentujemy kostiumy...

– Potem stroje spacerowe, toalety wieczorowe, następnie suknie wieczorowe krótkie, wieczorowe długie i te na specjalne okazje.

– W takiej kolejności.

– To będzie prawdziwa uczta, Andreu!

Laia minęła się na schodach z całą grupą uczennic niosących pudła z najprzeróżniejszą zawartością: ze ścinkami, guzikami, kawałkami skóry... Prawdziwa fala białych fartuchów, a do tego personel każdego działu domu mody. Wszyscy w pocie czoła pracowali przy pokazie. Udało jej się, nie zderzywszy z nikim, dotrzeć do nowej sali na dole, gdzie czekało na nią kilku majstrów. Nie wahając się ani chwili, wskazała im, gdzie mają ustawić fotele, by ich nie uszkodzić podczas malowania sali. U jej boku stał Genís z ołówkiem i notesem. Rozplanowywał na rysunku ustawienie kwiatów i ich kolory tak, by uzyskać efekt harmonii całości. Mężczyzna o bujnym wąsie w ogrodniczym fartuchu wszystko sobie skrzętnie notował. Nagle Laia spojrzała z niepokojem na przyjaciela.

– Rozmawiałeś z muzykami, Genisie?

– Z muzykiem. To pianista i jeszcze się nie pojawił.

– Wystawi nas do wiatru. Zobaczysz – powiedziała na odchodne drżącym głosem.

Wspięła się po nowiuteńkich, bardzo nowoczesnych ślimakowych schodach, przeszła przez sklep, po czym ruszyła na górę, gdzie mieściły się pracownie. Panowała w nich niemal klasztorna aura: nie słychać już było śmiechów ani wyszeptywanych zwierzeń, ani nawet popularnych kupletów, które stanowiły ścieżkę dźwiękową dla szycia. Głowy wszystkich krawcowych pochylały się nad przygotowywanymi strojami, panowała pełna skupienia cisza. Laia szukała nowej czeladniczki, Lluïsy. Znalazła ją w jej pracowni, numer trzy, tej, która budziła w Lai tyle wspomnień. Wykańczała płaszcz rozwieszony na manekinie; był z szarego aksamitu, na dole obszyty lamówką w kolorze czerwonej porzeczeki, z wielkim stojącym kołnierzem. Dziewczyna wydawała się całkowicie pochłonięta pracą: oczy utkwione w materiale, usta pełne szpilek, w czasie gdy stojąca obok Milla Alemany szeptała jej coś do ucha. Przestała, kiedy tylko zobaczyła wchodzącą Laię. Sympatyczna piegowata twarzyczka Lluïsy oblała się zdradzającym wszystko rumieńcem. Milla odsunęła się od koleżanki i zadzierając wyniosłe głowę, minęła Laię.

– Nie ma pani nic do roboty w sklepie, Milu? – zapytała Laia.

Pełen pogardy uśmiech, po którym nastąpiła przepelniona jeszcze większą pogardą cisza, stanowiły jej jedyną odpowiedź.

Kiedy Milla wyszła, Laia, wzdychając, podeszła do Lluïsy, która nie odrywała oczu od płaszcza, nie mogąc ukryć zdenerwowania i poczucia dyskomfortu, które wzbudzała w niej ta sytuacja.

– Lluïso, szukałam pani.

– Czym mogę służyć, pani Calvet?

– Panienko Calvet – uściśliła Laia. Zapanowała cisza, której żadna z nich nie ośmielała się przerwać. W końcu odezwała się Laia: – Lluïso, wszyscy jesteśmy tu z pani zadowoleni i przypuszczam, że pani również cieszy się ze swojej pracy i z zaufania, jakim obdarza panią dyrekcja.

Lluïsa odwróciła wzrok od płaszcza i spojrzała na Laię.

– Ależ oczywiście, panienko Calvet. Ja... niech pani nie myśli, że ja...

– Jest z pani dobra dziewczyna, Lluïso. Widać to na pierwszy rzut oka. Jest pani bardzo pracowita. Pewnie samej pani przeszkadza, że panienka Alemany nachodzi panią w pracy i opowiada o mnie jakieś historie: że jestem samotną matką, że oszukuję pana Molinsa, opowiadając mu niestworzone rzeczy, że jestem niemoralna, że prowadzę niejasną grę...

Lluïsie zmienił się wyraz twarzy. Napięcie ustąpiło miejsca swobodnemu uśmiechowi. Była za bardzo otwartą dziewczyną, zbyt dobroduszną i zbyt wesołą, żeby cokolwiek ukrywać i intrygować.

– Od razu widać, że świetnie zna pani panienkę Alemany!

– Już od wielu lat w kółko opowiada to samo.

Obie się roześmiały. Lluïsa, dużo spokojniejsza, wyciągnęła z kieszeni fartucha chusteczkę i wytarła oczy. Pełne łez na skutek napiętej sytuacji.

– Proszę trzymać się od Mili Alemany z daleka, niech mi pani wierzy, Lluïso. Nie

chciałaby pani się w to bawić.

– Oczywiście, że nie, panienko! Wie panienka, ona tak przez cały dzień, najpierw jednej mówi o pani źle, a potem drugiej. Niektóre nadstawiają ucha, ale proszę mi wierzyć, tego typu rzeczy wcale, ale to wcale mi się nie podobają.

– Widzę, proszę się już tym nie przejmować.

– Jak na mój gust, zazdrości pani. Panienka Alemany nie może znieść, że jest pani wyżej od niej. Prawda, że tak jest?

Laia uśmiechnęła się i odwróciła, i już miała odejść. Ale się zatrzymała.

– Prawie zapomniałam. Pan Clos jakiś czas temu powiedział, że chciałby się z panią zobaczyć. Dostarczono już, zdaje się, buty do kostiumów *tailleurs* i chce je pani pokazać. Proszę zejść, kiedy będzie pani wolna, Lluïso.

– Dobrze, panienko Calvet.

Tego dnia nikt nie wiedział, o której skończy pracę. Do pokazu zostały zaledwie trzy dni, nadszedł czas próby generalnej. Po zwyczajnym dniu pracy, obsłużeniu jak zwykle wszystkich klientów, kiedy podwoje sklepu zostały wreszcie zamknięte dla kupujących, w salach na dole zajmowano się przygotowaniem sceny, na której za trzy dni miał się odbyć pierwszy pokaz Santa Eulalii.

Wszystko było gotowe: stroje, modelki, krawcowe i cała grupa techników. Kiedy wszystko znalazło się już na swoim miejscu, ucichły hałasy, krzyki i szepty i zapanowała podniosła cisza. Każdy zajmował wyznaczone miejsce, tworząc tym samym nowy, nieskazitelny świat. Dwa rzędy foteli, przykryte białymi sukniami, by ustrzec je przed zabrudzeniem i ciekawskimi aż do wielkiego dnia, wyznaczały śnieżnobiałą scenę. Światło rzucane przez żyrandole podkreślało niepokalaną biel, gdy tymczasem w zakamarkach pochowano towary luksusowe i akcesoria do pielęgnacji urody bez żadnego ładu i składu: kapelusze, pantofle oraz dodatki, wszystko razem wrzucone na łaskę losu.

Szepty ucichły zupełnie, kiedy pojawił się Ferran Clos. Usiadł na fotelu w pierwszym rzędzie. Przyszedł zaopatrzony w papier, ołówek i tytoń. Niektórzy subiekci i ekspedientki ulokowali się w pobliżu. Uczennice i krawcowe pilnowały wieszaka uginającego się pod futrami; na zewnątrz, w realnym świecie, lato wydawało swoje ostatnie tchnienie, podczas gdy tu, na dole, w tym odrębnym świecie, który istniał jedynie w Santa Eulalii, nadeszła zima.

Laia Calvet ukazała się na schodach i ogłosiła:

– Numer jeden!

Po czym usunęła się i zajęła miejsce w pierwszym rzędzie, a wszystkie pary oczu wbiły się w modelkę, która właśnie pojawiła się na wybiegu, by zaprezentować pierwszy strój, i posuwała się naprzód, lekko kołysząc biodrami.

Próbę uznano za rozpoczętą.

Minęły godziny.

– Będziemy siedzieć tu do rana – rzucił ktoś z widowni.

Sala wypełniła się papierosowym dymem. Ferran zapalał jednego od drugiego. Laia

posłała po kanapki i napoje.

Zmieniono kapelusze, dodano guziki, odjęto plisy, wydłużono spódnice. Ferran na prawo i lewo wydawał polecenia, które Laia przekazywała krawcowym. Niemal żaden model nie obył się bez poprawek, przedłużenia lub innych zmian. Niektóre stroje nadal eliminowano, zostawiając jedynie te w powściągliwym stylu Ferrana Closa, nowego projektanta Santa Eulalii.

Płynnie nastąpiło przejście i nadeszła kolej na krótkie sukienki wieczorowe. Na podium ukazała się modelka ze zmęczeniem wypisanym na twarzy, poruszała się jednak pewnie i z gracją. Tak jak było ustalone, prezentowała suknię wieczorową z różowego jedwabiu, całą w koronkach.

– Do niczego! Ta w ogóle mi się nie podoba.

W tym momencie Lluïsa Ramoneda wyszła z cienia, w którym stała do tej pory w towarzystwie krawcowych i szwaczek. Krzyknęła, wszyscy zamilkli i spojrzeli na nią ze zdziwieniem:

– Tylko nie ta, panie Clos, bardzo pana proszę!

– Panienko Ramoneda, to ja proszę... – powiedział Ferran, przewracając oczami i odpalając jednego papierosa od drugiego.

– Nie, niech pan zobaczy...

Lluïsa, jakby chodziło o matkę, która widzi swoje dziecko w niebezpieczeństwie, rzuciła się do stóp modelki, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki w jej dłoniach zaczęły pojawiać się szpilki, tak jakby były naturalnym przedłużeniem jej ciała. Z prawej strony, potem z lewej. Podniosła ramiona sukienki. W czasie trwania całego tego zabiegu z modelki niemal uszło życie. Wyglądała, jakby była w katatonicznym stanie.

– I jak się panu teraz podoba, panie Clos? – zapytała Lluïsa, gdy modelka, odzyskawszy siły vitalne, obracała się, by zaprezentować kreację ze wszystkich stron.

– Mnie się podoba – powiedziała Laia i spojrzała z ukosa na Ferrana, który nie odezwał się jeszcze ani słowem.

W rzeczy samej Ferran nie zabrał głosu. Przyjrzał się przez chmurę dymu prezentującej się modelce. Nagle zgniótł niedopałek w popielniczce, tak że o mało nie spadła, wstał i podszedł do modelki. Sala zamarła, jakby wszyscy jednocześnie wstrzymali oddech. Lluïsa Ramoneda była na skraju załamania nerwowego.

– Już mam! – wykrzyknął. – Tutaj z przodu, na górze, należy przyozdobić ją zieloną jedwabną krepą. Upniemy ją przy dekolcie, pozostawiając luźno opadające końce szarfy. Dalej! Proszę mi przynieść więcej materiału.

Lluïsa nie dała się prosić. Wprawne dłonie Ferrana przeniosły na ciało modelki wizję, która do tej pory znajdowała się tylko w jego głowie.

Nie było najmniejszych wątpliwości, że Ferran Clos był wielkim kreatorem.

Kiedy zaproponowane przez niego poprawki były już gotowe, Lluïsa popatrzyła na sukienkę, jej sukienkę, i z błyszczącymi oczami wykrztusiła:

– Mój Boże! Jaka piękna! Nigdy nie widziałam niczego równie eleganckiego. – I uśmiechnęła się.

Ferran pomyślał, że właśnie ocalił jeden z projektów przed spaleniem na stosie, od śmierci i zapomnienia. Nie wiedział natomiast i nie mógł tego wiedzieć, czy postąpił

słusznie. Moda bywała kapryśna, podobnie jak klientki. Może ta sukienka, która cudem uniknęła kaźni, stanie się numerem jeden całej kolekcji? A może wcale nie warto było zmieniać pisanego jej losu.

Dochodziła druga nad ranem. Pracownicy Santa Eulalii opuszczali podwoje magazynów, jakby to było popołudnie, a oni właśnie skończyli zwyczajny dzień pracy. Nic bardziej dalekiego od prawdy. Wyjątkowość tego dnia widać było na zmęczonych twarzach, a noc kończyła się niczym trunek wychylany przez świt.

Laia i Genís wychodzili razem, jak zawsze. Byli tak zmęczeni, że prawie nie mogli mówić. Patrzyli na siebie i uśmiechali się, stali na środku ulicy Pla de la Boqueria. Byli przyjaciółmi, znali się dobrze.

– Też nie chce ci się wracać do domu, prawda? – zapytał chłopak.

Laia skinęła głową. Noce zaczynały robić się coraz chłodniejsze, przeszedł ją dreszcz. Ledwie artykułując słowa, wykrztusiła:

– I tak nie dałabym rady zasnąć.

Nie musieli mówić nic więcej, wiedzieli, co robić. Razem zaczęli schodzić po Ramblach, kierując się w stronę portu. Wydawali się nie zauważać pijaków wylewających się z jakiegoś lokalu ani sprośnych spojrzeń rzucanych przez prostytutki, które mijali po drodze. Nie zwrócili też uwagi na stojącego na warcie nocnego stróża ani na to, co powiedział, kiedy wybiła druga.

– Druga nastąpiła, a ja stróżuję nadal...

Oboje szli na spotkanie z wydającym zmęczony pomruk morzem, które miało zabrać ze sobą te wszystkie długie godziny pracy, ich całe zmęczenie. Natychmiast otulił ich i ożywił pomieszany zapach soli, ryb i smaru. W ciszy kontemplowali czarną barcelońską toń morza, wciśniętą pomiędzy plamy z oleju. Był to smutny widok, zwłaszcza teraz, kiedy port spowijała cisza, a wokół nie było żywej duszy, tak jakby został skazany na kwarantannę z powodu jakiejś dziwnej, wysoce zaraźliwej choroby. Port był nieprzekraczalnym murem oddzielającym Barcelonę od morza.

Genís odwrócił się do przyjaciółki z ledwie dostrzegalnym uśmiechem malującym się na twarzy, swoim znakiem rozpoznawczym, niezwykle serdecznym i tklwym.

– Jest ci trudno, prawda?

Nie było potrzeby cokolwiek dodawać. Rozumieli się bez słów.

– Pracować z Ferranem? Coraz mniej – odpowiedziała. – Wiesz, na początku miałam taką skrytą głupią nadzieję, że do mnie wróci. Wierzyłam, że któregoś dnia zostawi Roser i zrozumie, że to ja jestem jego prawdziwą miłością. – Odwróciła się w stronę przyjaciela, żeby na niego spojrzeć, znowu wbijał wzrok w morską toń. Wdychał przesycone wilgocią powietrze. – Pozwalałam sobie na te mrzonki, żeby jakoś przeżyć.

– Rozumiem.

– Ale zmęczyłam się czekaniem na niemożliwe, Genisie.

– To jasne.

– Potem przyszła kolej na nienawiść. Ze wszystkich sił starałam się go nienawidzić, możesz mi wierzyć. Za każdym razem kiedy go widziałam, zastanawiałam się, jak

mogłabym mu zaszkodzić. Nocami obmyślałam tysiąc i jeden sposobów, żeby go zgubić, nawet zdając sobie sprawę, że nigdy nie wprowadzę ich w życie. Bo codziennie okazywało się, że te składane samej sobie przyrzeczenia są niczym krople atramentu w granatowym morzu, wpadają do niego i rozplývają się. – Laia wzięła Genisa pod ramię. Ruszyli w drogę powrotną. – Potem nastąpiła obojętność. Obojętność, która czasami bawi się ze mną w chowanego.

Genis przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nią w ciszy, a ona pozwalała na pieszczotę jego spojrzenia.

– Lecz ból pozostał...

Laia nic nie odpowiedziała. Ich kroki odbijały się echem po wybrukowanych Ramblach. Za kilka godzin pierwsze fioletowe promienie miały przebić się przez czerń nocy.

– A ty, Genisie? Nadal cierpisz z powodu Ferrana?

– Kocham go równie mocno jak pierwszego dnia, Laiu. Jak pierwszego dnia.

Ferran zatrzymał się przed wejściem i wpatrywał w Santa Eulalię. Wybiła dwunasta, wrzesień miał się ku końcowi, zakurzona i tętniąca życiem ulicę oświetlało łaskawe słońce. Dobrze jednak wiedział, że kiedy tylko otworzy drzwi, zima wybudzi się z letargu i stanie przed nim wystrojona w aksamity, mory, atłasy lub szarmezy, w najlepsze zimowe płaszcze, najśmielsze kostiumy i najbardziej wyszukane kapelusze.

Przeistoczona w modę. W czysty luksus.

W środku, w nowo otwartej sali, Laia kończyła ustawiać fotele. Z uwagą przyglądała się ich rozstawieniu i wolnemu miejscu, które zostawało między rzędami. Zaaferowana swoim zajęciem, podnosiła nici, które musiały spaść wczorajszej nocy i przespały się na dywanie. Na nowo rozstawiała kwiaty. Uśmiechała się zadowolona, po czym nagle po jej twarzy przemykał cień i unosząc jedną brew, szukała nowych niedociągnięć, zapomnianych drobiazgów, ścigając się z czasem.

W sklepie też pracowano ciężko. Począwszy od subiekta z największym doświadczeniem, na najniższej stopniem uczeniwy skończywszy, wszyscy uwijali się w pocie czoła, poświęcając wiele dodatkowych godzin na to, by sklep bławatny prezentował się ze swej najlepszej strony. Pachniały ustawione w rogach kwiaty, wystawy zostały zmienione na nowe i powieszono plakaty informujące o wielkim pokazie. Na pierwszy rzut oka wszystko było gotowe. Na pierwszy rzut oka niczego nie brakowało.

Ferran wszedł do środka, przemierzył sklep i skierował się do pracowni. Krawcowe były na nogach od szóstej rano. Nadal było dużo do zrobienia. Lluïsa wyszła mu na spotkanie tak zaaferowana, że prawie się z nim zderzyła.

– Lluïso...

– Panie Clos, nieszczęście...

Ferran zbladł przejęty.

– Chodzi o wczorajszą suknię, tę z szarej chińskiej krepy z haftowanymi czerwonymi kwiatami...

– Co z nią? Mów, kobieto, przyprawisz mnie o zawał.

Lluïsa westchnęła z żalnością.

– Hafty... są niegotowe.

Ferran poczuł się, jakby właśnie dostał obuchem w łeb.

– Ależ to niemożliwe! Niemożliwe! To gwóźdź sezonu. Mój faworyt. – Ferran zapalił papierosa i wypuścił wielką gęstą chmurę dymu, która u biednej Lluïsy wywołała atak kaszlu. – Pokazać w takim stanie, w jakim jest! – zdecydował w końcu po chwilowym zastanowieniu.

Lluïsa zaśmiała się głośno śmiechem niemal agonicznym i nerwowym. Popatrzyła uważnie na Closa, tak jakby chciała przejrzeć go na wylot.

– Nie mówi pan poważnie, prawda, panie Clos? Tylko tak, żeby nie dramatyzować – wybełkotała.

– Jakie znowu nie dramatyzować, do diabła! Pokazać ją w takim stanie, w jakim jest! – polecił podniesionym głosem.

– Jak to? Pokazać z dwoma haftami zamiast sześciu zaplanowanych? Ależ...

Ferran Clos wszedł do pracowni, nie dając Lluïsie dokończyć zdania. Biedna dziewczyna stała z rozdziawioną buzią i miała wrażenie, że świat rozmazuje jej się przed oczami, świszczając jej w uszach.

Czyżby postradała zmysły? Chcąc odpędzić od siebie strach, zaśmiała się jeszcze raz, tylko bardziej histerycznie.

Samochody zjeżdżały się ze wszystkich stron i parkowały jeden za drugim na Llano de la Boqueria. Wsiadali z nich panowie i panie, ustawiali się w grupkach przed wejściem do magazynów, machali do siebie, całowali się w oba policzki na powitanie i wymieniali pozdrowienia. W tym samym czasie na korytarzach Santa Eulalii słyhać było pospieszne kroki i szelest spódnic.

Pierwszy gość przeszedł przez próg i nie będąc tego świadomym, puścił w ruch całą maszynę, która miała pracować bez ustanku dopóty, dopóki wielkie przedstawienie nie dobiegnie końca. Wszyscy znajdujący się w środku wstrzymali oddech. W szatni dla pracowników, zamienionej teraz w przebieralnię dla modelek, ktoś podniósł alarm.

– Nadchodzą!

Mimo że każdy był kłębkim nerwów, wszyscy doznali nagle wrażenia, że teraz już nic nie zatrzyma nieubłaganie przesuwających się wskazówek zegara.

W sali suwano krzesłami, gwar rozmów przybrał na sile. Stopniowo w Santa Eulalii znalazła się niemal cała Barcelona, najbogatsze mieszczaństwo oraz arystokracja o rodowodach nieco nadjedzonych przez mole. Wszyscy z niecierpliwością wyczekiwali spektaklu, który miał się zaraz zacząć. Ferran Clos witał gości, starając się pokryć własny niepokój uprzejmością, Roser trzymała się jego boku, rozdzielając uśmiechy wśród przybyłych, witając państwa Novellów, państwa Magarola, państwa Guitardów... Anna Balasch obrzuciła salę nerwowym spojrzeniem i odetchnęła z ulgą, widząc wchodzącego męża. Andreu przewyciężył niechęć, którą wzbudzały w nim towarzyskie rauty. Obowiązki sprawiły, że szala przechyliła się na drugą stronę.

Laia dwoiła się i troiła, biegała między garderobami a pracownikami na górze, pomagała znieść ostatnie modele, prawie wyrывała je z rąk krawcowych, które uważały, że nie są jeszcze gotowe zmierzyć się ze swoim przeznaczeniem, tutaj przydałby się jeszcze jeden ścieg, tam należało uporać się z jedną fałdą i jeszcze obrębić dół spódnicy.

Minuty mijały z nadspodziewaną prędkością.

Sala była wypełniona po brzegi ludźmi, rozmowami, intensywnymi zapachami perfum, które mieszały się z ostrą wonią kwiatów i słodkim aromatem tytoniu. Niektóre panie poprawiały makijaż z obawą, że ich uroda zwiędnie w panującym w sali zaduchu. Zakładały nogę na nogę, po czym je rozkrzyżowywały. W powietrzu krążyły rzucane coraz to przelotne spojrzenia. Pianino wygrywało wciąż jeden akord.

Zegar wybił siedem uderzeń. Laia wydała dyspozycję – pierwsza modelka, drżąca z nerwów, a równocześnie z niecierpliwości, ruszyła na spotkanie z publicznością.

– Numer jeden!

Rozpoczął się pokaz.

W sali wznoszono szampanem toast za nową kolekcję Santa Eulalii. Goście biorący udział w tym pierwszym pokazie domu mody rozmawiali z kieliszkami w dłoniach, mieszając się z gospodarzami. Ciekawość pierwszych została w pełni zaspokojona, niepokój drugich ustępował miejsca sennemu odprężeniu, które za sprawą złotych bąbelków przemieniało się w poczucie radości. Ferran Clos przyjmował gratulacje, wpadał w objęcia i był obsypywany uperfumowanymi całusami, stał się ojcem sukcesu i, co do czego nie było już teraz najmniejszych wątpliwości, otwierał nowy rozdział w działalności Santa Eulalii.

– Boska kolekcja – rzucił ktoś, chwytając go za obie ręce i ściskając je z entuzjazmem.

– Nie mogę się doczekać, kiedy będziemy mogli oglądać te stroje na ulicy... – wzdychał inny cienki głosik należący do kobiety.

Ferrana przepełniało dziwne słodko-gorzkie uczucie. Z jednej strony zaczynał w środku odczuwać pustkę po skończonej pracy, po projektach, które przestały już do niego należeć. Z drugiej przepełniał go dziwny lęk o ich przyszłość, o to, co zgotuje im los. W pracowniach, w sali, dbali o nie z matczyną czułością. Co czeka je teraz? Dokąd zawędrują? Jakie ciała będą muskać?

Inny głos wydobył go z jego rozważań:

– Ta szara wieczorowa suknia, co za cudo! Zwróciliście uwagę, jakże elegancki jest ten akcent z dwoma asymetrycznymi haftami? Wprost doskonały! To bez wątpienia cała kolekcja.

Po ustach Ferrana przemknął uśmiech. Pomyślał o Lluïsie, która sama zniosła suknię z pracowni na dół, zdjęła ją ostrożnie z wiklinowego manekina, na którym smacznie spała, i wręczyła modelce, po czym zacisnęła mocno powieki, by nie widzieć reakcji publiczności. A to dopiero niespodzianka! Niedokończona suknia stała się przebojem całej kolekcji. Jakże kapryśna bywała moda.

Z tej gonitwy myśli wyrwało go delikatne muśnięcie w ramię. Roser starała się zwrócić na siebie uwagę, wpatrywała się w niego intensywnie wielkimi błyszczącymi oczami, a uśmiech, który zagościł na jej twarzy, sprawiał, że była piękniejsza niż kiedykolwiek. Odwzajemnił jej spojrzenie wzrokiem pełnym czułości. Jeszcze nie skończyły się niespodzianki.

– Panie... panowie... Bardzo proszę o chwilę uwagi... – Głos Ferrana przebił się przez panujący w sali gwar. Z czasem zapanowała cisza i wszystkie oczy zwróciły się w jego stronę. – Zacznę od tego, że zarówno Andreu Molins, dyrektor naszego domu mody, jak i ja chcielibyśmy podziękować państwu za liczne przybycie i za tak ciepłe przyjęcie, które zgotowali państwo pierwszej autorskiej kolekcji Santa Eulalii. Możemy państwa zapewnić, że jest to jedynie początek zupełnie nowego rozdziału. Od teraz będziemy pracować wytrwale i z entuzjazmem, żeby co roku móc zaprezentować państwu dwie kolekcje, wiosenno-letnią i jesienno-zimową. – Zamilkł na chwilę, co publiczność wykorzystała, by nagrodzić go gorącymi oklaskami. Ferran odczekał, aż ucichły. – Mam jeszcze jedną wiadomość, tym razem bardziej osobistą, którą, korzystając z obecności tylu naszych przyjaciół, chcielibyśmy się razem z żoną z państwem podzielić. – Zapadła

zupełna cisza. Ferran uśmiechnął się zdenerwowany i spojrzął na Roser, która spłonila się pod jego spojrzeniem: – Rzecz w tym... Niedługo zostaniemy rodzicami.

Głosy z sali nasiliły się i dotarły do przymierzalni, w której Laia opijała powodzenie pokazu razem z modelkami i krawcowymi.

– Co się stało? – zapytała Lluïsa, uchylając nieco drzwi i starając się dosłyszeć przyczynę tego zgiełku.

Drzwi otworzyły się na oścież, wpuszczając do środka pianistę, który wszedł, ociekając potem i luzując sobie węzeł krawata.

– Dziewczyny, dajcie szampana, dłużej nie wytrzymam.

– Wie pan, co się stało? Skąd te krzyki? – zapytała jedna z uczennic.

– Nic takiego. Wszystko wskazuje na to, że żona Closa jest w ciąży.

Laia gwałtownie odwróciła głowę, rozlewając przy tym trzymany w ręku szampan. Sama nie do końca wiedziała, co czuje. Jedyne, czego była pewna, to że natychmiast musi wyjść, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, nie mogła oddychać.

– Panienko Calvet, dobrze się panienka czuje?

Laia odpowiedziała skinieniem trudnym do zinterpretowania i wyszła z garderoby. Korytarz był przepelniony i niełatwo było utorować sobie drogę do schodów. Bezceremonialnie przepchała się w tamtą stronę, po czym pospiesznie ruszyła schodami w górę. Kiedy była mniej więcej w połowie, wpadła na kogoś.

– Przepraszam...

– To moja wina...

Laia podniosła głowę. Głos zabrzmiał dziwnie znajomo. Miała wrażenie, że hałasy dochodzące z dołu stawały się coraz cichsze.

– Laia?

– Pau?

– Tak, to ja. Pau Amat. Widzę, że jeszcze mnie pani pamięta – powiedział Pau, przypatrując jej się z uwagą, gdy tymczasem jego usta ozdobił uśmiech.

Laia instynktownie przeczesła ręką włosy, chcąc je nieco okiełznać.

– Co pan tu robi?

– Przyciągnęła mnie ze sobą żona. A pani?

– Pracuję tutaj. Jestem kierowniczką salonu mody.

– Ależ ten świat mały!

– To prawda.

Ich spojrzenia się spotkały. Żadne z nich nie wyartykułowało ani słowa. Gdyby ktoś ich zapytał, pewnie nie potrafiliby powiedzieć, czy czas biegł jeszcze naprzód, czy stanął w miejscu.

– Idę zaczerpnąć świeżego powietrza. Na dole panuje straszny zaduch.

– A ja właśnie stamtąd wracam.

– W takim razie... pewnie się jeszcze zobaczymy.

– Pozwoli pani, że jej przez chwilę potowarzyszę?

– Nie ma pan jeszcze dosyć? Mam na myśli: powietrza.

Obydwoje wybuchnęli śmiechem, wspinając się razem po schodach.

– Chyba jeszcze trochę mi nie zaszkodzi.

Przeszli przez sklep i wyszli na zewnątrz. Zostawili za sobą śmiechy gości i to niedające się opisać uczucie, na wpół złość, na wpół rozpacz, które było przyczyną ucieczki Lai. Teraz poczuła mrowienie w nogach i lekkie zakłopotanie. Uśmiechnęła się. Ramble nadal tętniły życiem, ludzie spacerowali w najlepsze. Oni też razem ruszyli przed siebie.

Szli, rozmawiali, a odległość między nimi robiła się coraz mniejsza. Uliczne latarnie zaczęły rozbłyskiwać, oświetlając im twarze. Laia pomyślała, że to było długie, bardzo długie popołudnie. A teraz powietrze było naelektryzowane nowymi uczuciami.

Byli kochankami. Już od trzech lat. Kochali się po cichu, w sekrecie, kryjąc się przed wszystkimi, obydwójce świadomi sytuacji tego drugiego. Od pamiętnego dnia, w którym spotkali się ponownie w Santa Eulalii, Laia wiedziała, że Pau jest żonaty. Ze swojej strony Pau zdawał sobie sprawę, że Laia pod żadnym pozorem nie ujawniłaby ich związku, który mógł poróżnić ją z Molinsami, przez co mogła stracić wszystko, co osiągnęła przez ostatnie lata. Łącznie z pracą.

Tak, obydwójce byli zupełnie świadomi, na czym stało to drugie. Wiedzieli o nieprzekraczalnych granicach. Znaleźli się tym samym w całkiem komfortowej sytuacji, najlepszej z możliwych, choć nie wypuszczali się na niebezpieczne wody i nie ośmielali wkraczać w swoją wzajemną prywatność ani rozmawiać o ukrytych pragnieniach.

Na początku Pau wszelkimi siłami starał się zdławić nawał uczuć, które nagle dały o sobie znać, mimo że doskonale wiedział, skąd się wzięły. Starał się oprzeć namiętności, którą wzbudzała w nim Laia. Jednak opierał się słabo i nie miał odpowiedniej broni, dlatego też niedługo trwało, nim się poddał. I za każdym razem kiedy wracał do domu po spędzeniu kilku godzin lub całego popołudnia w towarzystwie Lai, zastanawiał się, głęboko poruszony, patrząc w uroczą twarz Eleny, czy nadal ją kocha. Przekonany, że romanse na boku są nie dla niego, nie wiedział, czy opowiedzieć się za przyjemnością zakazanego owocu, czy za bezbrzeżnym smutkiem kłamstwa.

Jednak szybko zrozumiał, że Laia jest kimś znacznie więcej niż przelotną miłostką. Nie powszedniał mu jej widok ani jej historie. Pragnął być blisko niej. I nie chcąc się zastanawiać, czy przynosi mu to chlubę, czy raczej topi w otchłani kłamstwa, w którym żył, przyznał wreszcie przed samym sobą, że kochał ją z całej duszy, tak jak nigdy nie kochał Eleny.

Laią też targały sprzeczne uczucia. Zdradzała swoje własne postanowienia. Przez długie lata odmawiała sobie jakichkolwiek związków, po czym Pau wkroczył w jej życie, wdarł się w nie niczym huragan, gwałtownie, i znowu była to miłość zakazana. Może to właśnie sprawiło, że na początku starała się zwolnić, powstrzymać, zastanowić. Ale tak samo jak Pau, Laia również wybrała miłość, pogodziwszy się z tym, że będzie mogła marzyć, jedynie marzyć, że on należy całkowicie i tylko do niej. I postanowiła nie ubolewać nad tym, że nie jest tej klasy dziewczyną, którą jej matka chciałaby mieć za córkę.

Zostali kochankami. Ukrywali swoją miłość i spotkania w podupadającym mieszkanku niedaleko placu Bonanova, gdzie zbocze Tibidabo zaczynało się delikatnie wznosić. Pau przekształcił je w funkcjonalne studio, które Laia urządziła wedle swojego uznania, starając się stworzyć w nim dom, dom dla nich obojga. Schowani w nim, czuli się oddaleni od światów, do których przynależeli. Często po namiętnym zbliżeniu wsiadali w niebieski tramwaj i wjeżdżali na wzgórze Tibidabo, by z góry podziwiać miasto spowite we mgle.

Mimo wszystko byli szczęśliwi.

Na tyle, na ile mogli być.

Tego dziewiętnastego maja tysiąc dziewięćset dwudziestego dziewiątego roku Barcelona zdawała się popadać w delirium. Poranek okazał się rześki, kwiaty na balkonach pokryła poranna rosa. Na wzgórzu Montjuïc trwała w najlepsze uroczysta inauguracja Wystawy Światowej, którą swoją obecnością uświetnił król Alfons XIII wraz z królową, księciem Asturii, obydwoma infantkami, dyktatorem i całym tabunem wysoko postawionych urzędników wskazanych palcem przez ten niedemokratyczny rząd, nie licząc przedstawicieli Kościoła. Ponad siedemdziesiąt tysięcy gołębi poszybowało nad miastem w roli gońców tych niezwykle uroczystych wydarzeń, które zapowiadały salwy rozbrzmiewające od strony portu. Ten dzień poprzedziła epoka wielkich zmian w mieście, które wydawało się definitywnie wkraczać w nowoczesność. Z uwagi na Wystawę wszystkie latarnie gazowe zostały zamienione na elektryczne. Wybudowano również pierwszy drapacz chmur w mieście, należący do firmy telekomunikacyjnej Telefónica, biurowiec przy placu Cataluña. Doprowadzono linię metra do dworca Sants, a do miasta zjechały setki imigrantów, by pracować na budowach, które na zawsze miały zmienić oblicze wzgórza Montjuïc, od góry do dołu.

Para królewska z Palacio Nacional pozdrowiła zgromadzonych. Następnie tłum rozlał się niczym plama oleju po okolicy. Turyści mieszały się z barcelończykami w tej prawdziwej powodzi ludzkiej, która zalała położone u podnóża Montjuïc ogrody, zdaniem jednych w sposób magiczny i niezrównany, zdaniem innych, nieznoszących ścisłu ani tłumów, przygotowujący o zawrót głowy. Wszystkie klasy społeczne mieszały się między sobą, dzieląc jednakowy entuzjizm dla tego, co nowe. Jednak w czasie gdy wybrańcy siedzieli na werandzie restauracji La Pérgola, zbudowanej naprzeciwko ogromnych rozmiarów podświetlanej fontanny, rodziny robotnicze spacerowały z dziećmi w palącym słońcu.

Pau Amat na inaugurację przybył w towarzystwie Eleny i swoich teściów. Za nic w świecie rodzina Novellów nie przegapiłaby tej eksplozji nowoczesności, kiedy Barcelona, jako gospodyni, na nowo prezentowała się światu. Elena, elegancka w swojej skromności, w marynarce i spódnicy w koralowej czerwieni, w dopasowanym do całości kapeluszu *cloché* tego samego koloru i prostej białej bluzce z wiązaniem przy dekolcie, zachłystywała się wszystkim, co widziała, i zarażała swoim entuzjazmem Pau. On, który zawsze gdy tylko nadarzała się ku temu okazja, unikał rodzinnych wyjść, wprawiających go w zakłopotanie. Od kiedy rozpoczął swój romans z Laią, stworzył prawdziwy katalog wymówek, choć najlepsza i najskuteczniejsza okazywała się zawsze ta związana z pracą i koniecznością poświęcenia jej dodatkowych godzin. Tym razem było inaczej, naprawdę cieszyła go myśl, że na inaugurację Wystawy udadzą się wszyscy razem. Wcześniej odwiedził wzniesione pawilony i teraz dobrze czuł się w roli przewodnika. Nadal z Elena entuzjazmowali się sztuką, kulturą i pięknymi przedmiotami. Teraz jednak ta wspólnota zainteresowań i gustów wydawała mu się czysto bratersko-siostrzana.

Amatowie i Novellowie wspólnie ruszyli w stronę szczytu wzgórza po wcześniejszej przejażdżce na *tapis-roulant*, prawdziwym magicznym dywanie. Podczas gdy Elena, Pau i Novell senior cieszyli się jak dzieci jazdą na tych ruchomych schodach,

Claudina poprzysięgała sobie i zarzekała się, że więcej na podobny diabelski wynalazek nie wsiądzie.

– Ależ, mam, przecież nawet w magazynach Jorba są już schody ruchome.

– Nie widzę najmniejszego powodu, bym kiedykolwiek miała tam zaglądać. A już zwłaszcza jeśli zamiast normalnych zwyczajnych schodów mają podobny wynalazek – zapewniła Claudina, rzucając zabójcze spojrzenia w stronę grupy rozpychających się młodzików, wyrzucających z siebie wyrazy co najmniej nieprzyzwoite, co gorszyło ją jeszcze bardziej.

Dopiero w samo południe zaczęli odwiedzać pawilony. Belgijskim, włoskim i węgierskim Eduard Novell wydawał się nieco rozczarowany.

– Trudno powiedzieć, by wykorzystali dobre materiały, wyobraźnią też to nie grzeszy. Prawdę mówiąc, przypominają mi raczej wielkanocne lukrowane ciasto.

Elena i Pau zaśmiali się z żartu jubilera.

– Rzeczywiście – odparł Pau. – W większości przypadków mamy tu do czynienia z efemerycznymi budynkami wzniesionymi na tę okazję, zaprojektowanymi raczej z myślą o przechowaniu eksponatów, które są wystawiane, niż podyktowanymi zamysłem artystycznym. – Pau pochłonięty tematem, mówił jakby do siebie, nie przestając rozglądać się dookoła. – Ale muszę przyznać ojcu rację, dominuje tu bardzo już przebrzmiały neoklasycyzm.

Elena również nie była specjalnie zachwycona.

– Prawdę mówiąc, też spodziewałam się czegoś innego.

– Na mój gust tego typu wystawy to pewnego rodzaju muzea dziwactw.

– Dlaczego tak mama mówi? – zagadnął Pau teściową.

– Na Boga! A czy te przezrocyste wieże pełne liter nie wydają wam się dziwne? Albo ta jakaś niby-wieża Eiffla zrobiona z liter składających się na nazwę domu mody Jorba? – zapytała, patrząc ze złościwością na córkę, która wybuchnęła śmiechem.

– Ależ, Claudino, to reklamy przedsiębiorstw – odparł jej mąż.

– Dziwactwa!

– Mnie na przykład wydaje się, że prywatni przedsiębiorcy słusznie postawili na nowoczesność. Te ich próbki architektoniczne są dużo ciekawsze niż wybryki, o których wspomniała pani wcześniej – wyjaśnił Pau teściowej.

– Naprawdę tak sądzisz?

– Tego typu konstrukcje, takie jak ta Aslanda albo Nestlé, pomagają zrozumieć, w jakim kierunku podąży teraz architektura. Ale proszę nie bić na alarm, nie widzieliśmy jeszcze wszystkiego. Najlepsze zostawiłem na koniec.

Chwilę później Pau wykrzykiwał z błyszczącymi oczami, w których malował się bezgraniczny podziw:

– To jest to! Oto prawdziwy początek nowoczesnej architektury!

– Niemiecki pawilon! – zachwyciła się Elena. – Nadzwyczajny!

– Mies van der Rohe – podkreślił Pau, jakby samo to nazwisko wystarczyło za cały komentarz.

Oczy Amatów i Novellów spoczęły na budynku, w który wpatrywali się dłuższą chwilę, po czym zapadła pełna szacunku cisza. Jedyna możliwa reakcja na piękno

prostych form i surowość szlachetnych materiałów jak marmur i trawertyn.

Rozemocjonowany Pau skonstatował cicho:

– To jest właśnie architektura.

Teresa przekonała Blaiego, by w tę majową niedzielę wybrali się zobaczyć Pueblo Español. Słyszeli, że jest to niespotykana atrakcja.

– Jak się już w nim znajdziesz, to jest podobno tak, że nie ruszając się z miejsca, możesz podróżować po najpiękniejszych zakątkach Hiszpanii i oglądać tamtejsze zabytki. Powiedz, komu się jeszcze będzie chciało wydawać pieniądze na prawdziwe podróże, skoro od teraz w czasie jednego popołudnia na Montjuïc będzie można bez żadnych niedogodności wszystko zobaczyć. Nawet bogacze przestaną podróżować!

Blai nie był tak podekscytowany jak jego dziewczyna. Spotykali się od niespełna kilku miesięcy i zgodził się tylko z jednego powodu: był w niej bardzo zakochany. Bowiem Blaiemu Raurichowi, młodemu robotnikowi z Poblenou, dziewiętnastolatkowi, o dwa lata starszemu od Teresy, o oczach wielkiego dziecka, niebieskich i żywych, członkowi syndykatu tekstylnego, który ponadto miał przekonania anarchosyndykalistyczne, cała ta wystawa wydawała się świętem burżuazji, która może pokazać swoje bogactwa zdobyte dzięki wyzyskowi klasy robotniczej. Poza tym Pueblo Español, czyli miasteczko hiszpańskie, było dewiacją powstałą z chęci dyktatora, by zhiszpańszczyć Katalonię.

– Nie widzisz, że ten facet ma na nas alergię i starłby na proch wszystkich Katalończyków i całą Katalonię, gdyby tylko to od niego zależało?

– Co ty opowiadasz! I co to ma niby wspólnego z Pueblo Español, które po prostu jest pięknym miejscem do obejrzenia? – zapytała Teresa poirytowana.

– Nie wiesz, że to on ochrzcił plac Plaza de España? Plac Hisz-pań-ski...

– I co z tego? Ja chcę po prostu zobaczyć Pueblo Español. Nie opowiadaj mi tu żadnych bajek. Jeśli nie chcesz iść ze mną, pójdę sama!

I poszli razem. Oczywiście, że poszli razem! Około trzeciej byli już na miejscu. Musieli się przepychać, żeby wejść, a tłum ruszył się niczym ogromna fala, kiedy rozeszła się pogłoska, że zbliża się król.

– Tylko jego mi tu jeszcze brakowało! – wykrztusił Blai. – Słuchaj, jeśli zobaczą mnie moi towarzysze, gotowi pomyśleć, że jestem monarchistą.

Wchodzili do środka w ścisku, popychani przez tłum, gdy tymczasem Alfonsa XIII witano z wszelkimi honorami, a kiedy tylko znalazł się w środku, zaczął bratać się wesoło z tancerkami flamenco, podano mu też hiszpańskie wino. Musiał go sporo wypić, bo kiedy wyszedł pozdrowić poddanych z balkonów przy Plaza Mayor, wspiał się na jedno z okien i niczym linoskoczek pozdrowił gapiów, przyprawiając o zawał członków swojej świty.

– Och, zobacz, jaki z niego swój chłop! I jaki dowcipniś! – krzyczała Teresa, żeby Blai mógł ją usłyszeć ponad wznoszonymi przez tłumy wiwatami na cześć króla.

– Swój chłop? Teresa, kobieto, nie widzisz, że się upił? – I składając ręce w trąbkę, Blai krzyknął na całe gardło: – Precz z monarchią!!! Niech żyje anarchia!!!

Nikt go nie usłyszał i zarobił jedynie kuksańca od Teresy.

Kiedy tylko królewski orszak odjechał, tłumy szturmem wzięły w posiadanie Plaza Mayor. Usiedli na podwieczorek, popołudnie chyliło się ku końcowi, a Andaluźja, Galicja, Kraj Basków i wszystkie pozostałe Hiszpanie mieszały się ze sobą ten jeden raz w koleżeńskiej zgodzie.

– Nie powiesz, że nie jest pięknie! – wykrzyknęła Teresa, wychodząc z Pueblo Español. – Nigdy tego nie zapomnę. To było... to było... jak ze snu. – I złożyła pocałunek na policzku narzeczonego, równocześnie ciągnąc go za ramię: – A teraz fontanny! Do fontanny! Do fontanny!

Popołudnie bladło coraz bardziej, zwiastując koniec dnia, kiedy niespodziewanie kolorowy wybuch rozświetlił niebo. Fontanny biegnące wzdłuż Avenida de María Cristina zaświeciły się nagle w doskonałej synchronii, w tańcu, a na koniec zapalono Torre de la Luz, świetlistą fontannę, która na oczach widzów otworzyła się niczym kwiat i zaczęła się mienić wszystkimi kolorami: żółtym, czerwienią, bielą, niebieskim, indygo... Bez przerwy, za każdym razem inna, a równocześnie ta sama. Woda przemieniona w senne marzenie, w światło i kolor, podbijała serca barcelończyków dumnych ze swojego miasta bardziej niż kiedykolwiek.

Teresa uczepiła się mocno ramienia Blaiego, który na widok tego pięknego i niezwykłego przedstawienia zapomniał o pretensjach i skargach; jego oczy świeciły się niczym dwa niebieskie jeziora, rozdziawione usta upodabniały go do zaczarowanej istoty.

Równie zaczarowane o równie rozdziawionych ustach istoty uczepiły się swoich rodziców, Andreu i Anny, i biły brawo, wpatrując się w widowisko okrągłymi ze zdumienia oczami.

Równie okrągłymi ze zdumienia oczami wpatrywała się w nie i Laia, która u boku Genisa zapomniała na chwilę, że Pau nie należy do niej, a kobieta idąca z nim pod rękę była jego żoną, gdy tymczasem ona okłamywała samą siebie za każdym razem, kiedy myślała, że był jej i tylko jej.

Woda i światło.

Magia.

Magia, która oświetlała ostatnie momenty kwitnącej Barcelony, zostawiającej za sobą szczęśliwe lata dwudzieste, nieświadomej, że jej marzenia mają wkrótce zostać zmiażdżone przez zbliżający się nieuchronnie kryzys i recesję.

Blaski.

Cienie.

Wystawa Światowa sprzyjała, by mówić o Barcelonie; we wszystkich sektorach zostały podjęte najróżniejsze inicjatywy, również w sektorze mody. Andreu Molins wezwał Laię do swojego gabinetu, a ta pojawiła się natychmiast. Molins nienawidził czekać. Miał jej do zakomunikowania wspaniałe wieści.

– Panienko Calvet, zaproponowano nam, byśmy zorganizowali pokaz naszej kolekcji w Pawilonie Zjednoczonych Artystów na Montjuïc.

Laią szeroko otworzyła oczy. Otworzyła również usta, by wyrazić swoje zadowolenie, ale zabrakło jej słów. Była podekscytowana.

– Nie muszę pani oczywiście tłumaczyć, co to dla nas znaczy – ciągnął Molins. – Dla nas i dla barcelońskiego sektora mody. Zaprezentujemy bowiem nasze kreacje razem z innymi ważnymi markami: El Dique, Bastida... Wszystko wskazuje na to, że nasz sektor cieszy się renomą, umacnia się.

– To wspaniała wiadomość, panie Molins – odparła Laią, czując się nieco idiotycznie, że nie umie lepiej wyrazić tego wszystkiego, co czuła, co działo się w jej środku.

– Czeka nas wiele pracy, zresztą sama pani wie. I choć pokaz odbędzie się dopiero za kilka miesięcy, prawdopodobnie na początku przyszłego roku, od teraz to pani jako kierowniczka salonu powinna pracować ramię w ramię z panem Closem, żeby przygotować nasze wystąpienie.

Molins urwał, zapadła cisza, a Laią poczuła na sobie jego przeszywający wzrok. Spuściła oczy, czerwieniąc się. Natychmiast się uspokoiła. W rzeczywistości nie było czego się obawiać. Już nie. Ona podejździe do tego zadania z entuzjazmem tym samym co zwykle, a on, Clos, będzie ją traktował z tą samą co zwykle nienaganną i chłodną uprzejmością.

– Oczywiście, panie Molins, nie ma pan żadnych powodów do obaw. Będziemy ciężko razem pracować, by nasz udział w pokazie był wielkim sukcesem.

– Jestem tego pewien.

Andreu Molins zdjął okulary i zamyślony przetarł szkła. Z powrotem założył je na nos.

– Proszę mi powiedzieć, jak spisują się nowi pracownicy salonu? Radzą sobie? Czy jest wystarczająco dużo rąk do pracy?

Twarz Lai rozblęsnęła nowym blaskiem. Salon, jej salon, powiększył się i jakiś rok wcześniej został przeniesiony na pierwsze piętro. Powodzenie nowych kolekcji Closa było tak wielkie, że sala w podziemiu okazała się za małą. Teraz mieli do dyspozycji dwie zwykłe sale, salę z wybiegiem i trzy sale na przymiarki. Ta reforma została rozgłoszona na cztery strony świata.

– Oczywiście! Dwie ekspedientki i uczennice nam wystarczają. Może przydałby się jeszcze jeden uczeń, który mógłby wnosić i znosić bele materiału, nie traciłybyśmy wówczas czasu na bieganie po schodach z góry na dół.

– Bardzo dobrze. Proszę porozmawiać o tym z panem Boschem. Niech się tym zajmie. A jeśli chodzi o modystkę...

– Och! Co za cudo. Prawdę mówiąc, nasz salon stanowi zgrany zespół. Nie mogę się skarżyć, choć jeśli wszystko pójdzie tak, jak na to wskazuje, prawdopodobnie niedługo będziemy musieli jeszcze kogoś zatrudnić.

– Wszystko w swoim czasie, panienko Calvet.

Zapadła cisza. Andreu Molins wykorzystał ten moment, żeby wrócić do dokumentów, którymi się zajmował, zanim pojawiła się Laia.

– Jeśli nie jestem panu już do niczego potrzebna...

– Nie. Na razie nie.

Laia wstała i skierowała się do drzwi. Jednak zanim wyszła, odwróciła się jeszcze i wpatrując się w Molinsa, powiedziała:

– To będzie prawdziwy sukces. Mam na myśli... pokaz w Pawilonie Zjednoczonych Artystów. No dobrze, dziękuję, panie Molins.

Laia zeszła po schodach, uśmiechnięta od ucha do ucha. Praca sprawiała jej przyjemność, a nowe wyzwania dodawały skrzydeł. W jej głowie rodziły się już najróżniejsze pomysły, jak nowe zadanie przemienić w zawodowy sukces.

Zeszła do salonu, nie spostrzegłszy nawet, że na zewnątrz zaczęło całkiem mocno padać. Może właśnie z tego powodu w sklepie było niewiele klientów, mimo że minęła dwunasta, godzina największego ruchu.

Damià Solsona, który wraz z upływem czasu stał się niezwykle prężnym subiektem, obsługiwał właśnie pewną damę, jedną ze stałych klientek, która niewiele robiąc sobie z opadów, postanowiła udać się do Santa Eulalii po materiał, a następnie zanieść go do krawcowej, by uszyła jej nową suknię.

– Chciałabym kupić niebieską krepę, najlepiej w odcieniu turkusowym, w którym jest mi do twarzy.

– Oczywiście, droga pani Mora! – odpowiedział zaaferowany Damià, całkowicie pochłonięty planami na następny dzień, piątek, kiedy to jego przyjaciel Germán, przedstawiciel handlowy, który objeżdżał przez okrągły tydzień Katalonię, wracał na miejsce i mogli się razem spotkać i wyjść wieczorem na piwo, zakosztować barcelońskiej nocy i się zabawić. Pomimo że Damià był żonaty od niespełna roku, piątkowe wieczory zawsze spędzał z przyjacielem. Ta noc była tylko ich i obydwaj wyczekiwali jej z utęsknieniem.

Teraz musiał się mocno skoncentrować. Tego przedpołudnia sprzedaż ogólnie szła raczej opornie, a w konsekwencji słabe były również prowizje. Wydatki będące pochodną jego nowego stanu cywilnego wymagały od niego więcej wysiłku. Rozwinął belę niebieskiej krepy na kontuarze, falując ją przy tym z wdziękiem i wprawą, które można zdobyć jedynie w wyniku doświadczenia.

– Jak się pani podoba ta, droga pani Mora?

Kobieta pochyliła się nad materiałem, by go pomacać i sprawdzić jego jakość.

– Ależ, drogi panie, sam pan przyzna, że ten odcień z turkusem nie ma za wiele wspólnego.

Sprzedaż zawisła na cienkim włosku. Damià błyskawicznie wyjął inną belę

i rozwinął nowy materiał, tym razem zielony.

– Niech pani zerknie, jaką piękną zieleń właśnie dostaliśmy.

I nie dając klientce czasu ani okazji do zastanowienia się, zaczął szybko rozwijać kolejne bele, szarości, brązy, żółcie i czerwienie. Zza piętrzących się na kontuarze materiałów nie można było niczego dojrzeć. Damià usłyszał więc jedynie, jak nieco zbita z tropu biedna pani Mora zwraca się do niego:

– Ależ ja prosiłam pana o krepe w kolorze turkusowym, panie Solsona. Czyżby zdążył pan zapomnieć?

Damià wyszedł zza kontuaru, podszedł do klientki, po czym nachylił się nad nią, jakby chciał powierzyć jej wielki sekret.

– Droga pani Mora. Powiem pani w sekrecie i to jedynie dlatego, że chodzi o panią, a jest pani jedną z naszych najlepszych klientek: mam kilka metrów... Szczerze mówiąc, nie mam ich nawet ja. Leżą w pracowni. Boska krepa, z której szyją kreacje do nowej kolekcji.

Klientka otworzyła oczy, w jej rozszerzonych źrenicach dostrzegł pazerność.

– Do nowej kolekcji? Co pan powie...

– Tak, właśnie tak, jak pani słyszy.

– A pan, drogi panie Solsona, nie mógłby przypadkiem...?

– Droga pani, dla pani wszystko, zrobię co w mojej mocy. Jednak muszę przyznać, że dużo ryzykuję.

– Ach, jeśli byłby pan taki miły...

Damià, cały uśmiechnięty, ruszył w stronę schodów prowadzących do pracowni krawieckich, jednocześnie przyzywając do siebie jednego z młodych uczniów, żeby udał się za nim.

– Słuchaj, podejdź do pani Mory i zabaw ją przez chwilę, nie wiem, powiedz jej coś miłego.

– Co mam jej powiedzieć?

– Co ci tam do głowy przyjdzie! Pogawędź z nią o pogodzie, jeśli chcesz, cokolwiek, czy naprawdę trzeba za was cały czas myśleć?! – rzucił zniecierpliwiony. – Pozabawiaj ją tak z dziesięć minut. Albo nie! Z kwadrans. Dopóki nie zobaczysz, że zaczyna być zmęczona, i od czasu do czasu zerkaj w stronę schodów. Obowiązuje cię całkowita dyskrecja, rozumiesz?

– Że co?

– Jasny gwint! Że to wszystko masz robić z całkowitą dyskrecją.

– Tak, proszę pana.

– No dobrze, tak jak powiedziałem, z całkowitą dyskrecją weźmiesz kawałek krepy, który leży pod tą stertą, tej niebieskiej, i przyniesiesz mi ją do łazienki.

– Do łazienki?

– Tak. Będę tam na ciebie czekał.

– Dobrze...

– I nożyczki. Przynieś też ze sobą nożyczki.

Uczeń wpatrywał się w niego z rozdziawioną buzią i oczami w ślup.

– A spróbuj skrewić! – rzucił Damià groźnie na odchodnym.

Dwadzieścia minut później Damià wrócił do sklepu z paroma metrami tej samej niebieskiej krepy, którą pokazał cierplivej pani Morze w pierwszej kolejności.

– Udało mi się zdobyć tylko tyle. Ale na suknię, zdaje się, starczy. Nawet sobie pani nie wyobraża, ile mnie to kosztowało.

– Panie Solsona, wyświadczył mi pan ogromną przysługę. I to jeszcze z kolekcji!

– Jak się pani podoba?

– Doskonala.

– A kolor? – Takiego szukałam. Dokładnie taki chciałam nabyć.

Damià uśmiechnął się zadowolony. Czasami trzeba się było nieźle napocić, żeby wcisnąć klientce kawałek materiału. Ale jemu zawsze udawało się wyjść na swoje.

Uczniowie pokłócili się między sobą o to, kto odprowadzi panią Morę do drzwi i poda jej parasol, który zostawiła w stojaku przy wejściu. Ta nic nieznacząca fatyga, wręczenie jej parasolki, równała się otrzymaniu napiwku. W deszczowe dni uczniowie z Santa Eulalii przy odrobinie szczęścia mogli tym sposobem zarobić parę groszy.

W tym samym momencie, w którym w pełni usatysfakcjonowana klientka wychodziła ze sklepu, na progu pojawiło się przemoczone od stóp do głów ośmio- lub dziewięcioletnie dziecko, całe w błocie, w łachmanach i z twarzą obitą tak, jakby ktoś rzucił się na nie z pięściami.

Młody uczeń popatrzył na nie spod oka i zapytał:

– A ty, czego tu szukasz?

– Muszę wejść.

– Jasne. Uciekaj stąd, ale już!

– Mówię ci, że muszę wejść. Moja mama tutaj pracuje.

– I co jeszcze?! Zjeżdżaj! Już cię tu nie ma!

Zwabiony zamieszaniem przy drzwiach, Genís, obecnie już oficjalny kierownik sklepu, do którego zadań należało witanie klientek i pełna gotowość na każde ich skinienie, podszedł do nich.

– Odejdź, ja to załatwię – zwrócił się do ucznia.

– Ależ, panie Camps, ten chłopak chce tu wejść.

Twarz Genisa zasępiła się.

– Nie słyszałeś, co powiedziałem?

Młody uczeń posłuchał się go, a Genís położył chłopcu ręce na ramionach i wprowadził go do środka. Następnie pod ciekawskimi spojrzeniami pańien i chłopców sklepowych zaprowadził małego do łazienki. Kiedy się już w niej znaleźli, posadził go na niskim taborecie i zdjął z niego mokre ubranie. Wytarł go mocno ręcznikiem, po czym owinał go nim całęgo, żeby się nieco ogrzał.

– Valentí, można wiedzieć, co ci się stało?! O co poszło tym razem?!

Chłopiec wpatrywał się w swoje bosc stopy.

– Powiedz mi – nalegał delikatnie Genís.

– Chcę zobaczyć się z mamą.

– Zawołam ją, jak tylko powiesz mi, co się stało. Kto cię pobił?

– Taki jeden wyrostek ze starszej klasy, wziął się na mnie.

Genís, który do tej pory nachylał się nad Valentim, wyprostował się i westchnął.

– Znowu zaczęli obrażać twoją mamę, prawda?

Małemu do oczu napłynęły łzy. Otarł je pospiesznie ze złością. Z całą złością, jaka w nim wezbrała.

– Taki jeden idiota powiedział mi, że moja matka jest kurwą i że księża nie powinni pozwolić mi chodzić do szkoły, bo synowie kurew nie chodzą do szkoły dla normalnych ludzi.

– A ty się z nim pobiłeś oczywiście.

– A co? Masz mnie za tchórza?

Genís spojrział na małego z czułością.

– Wiesz co, Valentí? Odważniejszy nie jest ten, kto bije się z grupą parszywców, tylko ten, kto wie, z kim może się bić, a z kim nie ma to najmniejszego sensu.

Chłopiec spojrział na niego uważnie. W jego oczach nie było złości. Jedyne pytania, całe mnóstwo pytań.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi. Co chcesz przez to powiedzieć?

– Chodzi o to... – Przez głowę Genisa przebiegły jego lęki i dziecięce frustracje. W czasie tych kilku chwil zobaczył siebie sprzed lat, jako małego chłopca. Innego od wszystkich, kozła ofiarnego, z którego wszyscy się naśmiewali. Tchórza. Pedzia. – Chodzi o to, że nie ma sensu bić się z tymi łobuzami. To oni są tchórzami.

– Taaa... jasne.

– Wiesz, jaką przykrość sprawisz Engracii? Pewnie czeka na ciebie w domu i się zamartwia.

– Chciałem zobaczyć się z mamą.

– Wiesz dobrze, że nie możesz jej powiedzieć, dlaczego się pobiłeś, prawda?

Byłoby jej bardzo smutno...

Valentí spuścił głowę i przytaknął.

– W takim razie pójdę jej poszukać.

Dobłą chwilę później dało się zobaczyć wychodzącą ze sklepu Laię, która za rękę ciągnęła za sobą syna. Z jej twarzy można było wyczytać poirytowanie spowodowane tą niezapowiedzianą wizytą. Chłopiec miał zaczerwienione od płaczu oczy. Genís szedł za nimi, starając się uspokoić Laię, szepcząc jej miłe, pokrzepiające słowa.

– Nie usprawiedliwiaj go, Genís. Wiesz dobrze, że ma całkowity zakaz przychodzenia do sklepu. Nie chcę go tu widzieć!

Po ich wyjściu cały sklep wrócił do przerwanej tą niemiłą sceną pracy. Stojąca za kontuarem Mila Alemany cedziła przez zęby słowa, ledwie tłumiąc gniew.

– To niesłychane, że robi takie sceny w sklepie. Nawet za mniejsze ekscesy wyrzucano u nas ludzi na ulicę.

Stojąca obok niej Rosa, inna ekspedientka, układała materiały.

– Nie przesadzaj, Milu. Wyjątkowo rzadko się to zdarza. Nigdy wcześniej nie

widziałam syna panienci Calvet, a pracuję tutaj, cokolwiek by mówić, od bardzo dawna.

– Panienci Calvet... – parsknęła z kpina Mila.

– Słuchaj, wszyscy mamy coś do ukrycia.

– Ach, tak? Ja nie mam czego się wstydzić. A ona... Samotna matka! I jeszcze na takim stanowisku w Santa Eulalii. Czyżby pan Molins, taki religijny, nie zdawał sobie z niczego sprawy? Zastanawiam się, jak może się na to zgadzać albo dlaczego to robi.

Rosa zamilkła. Nie podobało jej się, w jaką stronę zmierza ta dyskusja. Poza tym obojętne, czy była samotną matką, czy nie, o stokroć bardziej wolała panienkę Calvet od panienci Alemany.

– I czyje to może być dziecko? Widziałas je? Jak dwie krople wody! Łatwo się domyślić, kim jest ojciec!

– To nie nasza sprawa – powiedziała dobitnie Rosa na odchodnym, zostawiając ją sam na sam z jej pretensjami.

– Twoja może nie. Ale moja tak. Nawet na pewno.

Laia poszła zaprowadzić Valentiego do domu. Czekala tam na nich Engracia bliska ataku nerwowego.

– Dziecko kochane, gdzieś ty się podziewał? Kiedy nie przyszedłeś na obiad... Mój Boże! Nie wiedziałam, co robić! Byłam dwa razy w szkole, ale nikt nie umiał mi powiedzieć co i jak. Duchowny robiący za woźnego powiedział, że widział, jak wychodziłeś o zwykłej porze... Mój Boże! – jęczała kobieta z nerwami na postronkach, obsypując czoło chłopca i jego policzki pocałunkami w dowód miłości, której Laia przypatrywała się z zazdrością.

– Chcesz wiedzieć, co mu się przytrafiło? – odparła z goryczą. – Kolejna bójka! A paniczek, co? Nie przyszło mu do głowy nic mądrzejszego, niż szukać mnie w sklepie...

– Laiu, kobieto...

– ...Przyszedł, wyglądając gorzej niż siedem nieszczęść, i wszyscy musieli go oglądać w tym stanie.

Valentí pociągał cicho nosem, jakby nie chciał jeszcze bardziej rozgniewać matki płaczem.

– Chodź, synku, zrobimy ci kąpiel, a potem coś zjesz.

Laia odwróciła się w stronę kobiety, kipiała ze złości.

– Mowy nie ma! Słyszysz, Engracio? Mowy nie ma!

– Co ty mówisz?

– Pora obiadu dawno minęła, czas wracać do szkoły.

Valentí i Engracia spojrzeli na nią, obydwójce równie przerażeni. Po brudnych policzkach Valentiego toczyły się nieme i posępne łzy.

– Ale...

– Na za dużo mu pozwalasz, Engracio. Dzieciak gwizdże na ciebie, a przy okazji i na mnie. Wie, że jest cienka linia, której przekraczać mu nie wolno, i co robi? Przekracza ją. A teraz co? W nagrodę czeka go ciepła kąpiel i dobry obiadek? – Chwyliła Valentiego

i potrząsnęła nim. – Rusz się, idź, umyj twarz i przebierz się, idziemy do szkoły, odprowadzę cię!

– Nie, mam, nie...

– Opanuj się, kobieto, nie wiesz nawet, co mu się przydarzyło... Ma poobijaną buzię – starała się powstrzymać ją Engracia, drepcząc za nią niczym żebraczka prosząca o jałmużnę.

– A co mu się miało stać? Ja ci powiem: z chłopaka jest niezłe ziółko, a ponieważ na wszystko mu pozwalasz, myśli, że wszystko mu wolno. A tak nie jest! I okazuje się, że tam, gdzie nie może ucześcić się twojej spódnicy, ludzie się bronią!

Ani płacz dziecka, ani błagalne prośby Engracii na nic się nie zdały. Laia zaprowadziła Valentiego do szkoły, po czym wróciła do pracy.

Kiedy z niej wyszła, przestało padać, deptała po liściach, które deszcz zerwał z drzew. W powietrzu unosił się zapach mokrej ziemi, ale ona nie zdawała sobie nawet z tego sprawy. Lekkim krokiem skierowała się na plac Cataluña, żeby wsiąść do pociągu i udać się do dzielnicy Sarriá. Nadal była poirytowana tym, co zdarzyło jej się z Valentim. Miała wrażenie, że wszyscy w sklepie szeptali za jej plecami, i źle się z tym czuła. Na szczęście była środa. Co środa spotykali się z Pau w jego pracowni przy placu Bonanova. Ustalili, że jeśli jedno z nich nie będzie mogło się pojawić na cotygodniowej randce, pierwsze, które przyjdzie na miejsce, poczeka godzinę, po czym odejdzie. Teraz zaklinała los, żeby nie przydarzyło się tak dzisiejszego popołudnia, bo bardziej niż kiedykolwiek potrzebowała zobaczyć Pau, poczuć jego pocałunki, ciepło jego skóry, i żeby jego słodkie słówka przegnały jej złość i rozgoryczenie.

Otworzyła drzwi swoim kluczem. Pracownia była pogrążona w mroku, ale na tle okna, skąd rozpościerał się widok na migotające światła Tibidabo i Vallvidrery, odcinała się wysoka sylwetka Pau. Odwrócił się w jej stronę, a ona rzuciła mu się w ramiona. Jej usta, mięsiste i zmysłowe, poszukały jego ust, spragnione pieścizot i pociechy. W tej magicznej chwili wszystko inne przestawało się liczyć, zniknęło. Istnieli tylko oni we dwoje. I cisza. I oddanie.

Po raz kolejny pieścili się ze słodyczą, z którą nauczyli się wzajemnie kochać. Pau przyswoił sobie jej wymiary i kształty, całą architekturę pożądanego ciała; poznał jej rytm, wiedział, jak ukoić ją najśłodszymi słówkami. Często nie wystarczały jej same słowa i szukała jego oczu, pełnych czułości, by wyczytać z nich te uczucia, których nie mogło wyrazić nic poza spojrzeniem.

Kiedy zaspokojone miłością ciała rozdzielały się, Laia pozwalała sobie na drzemkę. Dokładnie w momencie, kiedy senność zamykała jej powieki, czuła się prawdziwie i zupełnie szczęśliwa.

Laia wróciła do domu przed świtem, jak każdej środy, którą spędzała z Pau. Weszła do mieszkania niczym złodziej, nie robiąc najdrobniejszego hałasu, żeby nie zburzyć panującego spokoju. Engracia nie pytała jej o to, na co wiedziała, że nie otrzyma odpowiedzi, ale to trwało już za długo. Trzy lata. Trzy lata spotkań co środa. Sporadycznych wyjść co niedziela. Zniknięć nawet na cały dzień.

Nie, Engracia nie pytała, ale znała odpowiedź. Wiedziała, że Laia spotyka się z kimś po kryjomu. I cierpiała. Choć bardziej cierpiała na samym początku, kiedy Valentí pytał ją, gdzie jest mama, a ona musiała wymyślać jakieś fantastyczne historie i mnożyć pieszczoty, żeby go pocieszyć. W miarę upływu kolejnych tygodni i miesięcy w czasie tych trzech lat chłopiec przestał pytać.

Laia poszła do kuchni napić się wody. Była zmęczona, ale nie chciało jej się spać, jeszcze nie. Usiadła na krześle w jadalni. Okiennice były otwarte. Po deszczu nie zostało ani śladu, na zewnątrz panował skwar letniej nocy. Delikatny wietrzyk nie poruszał nawet listków platanów na ulicy. Na niebie wciąż jeszcze świeciły gwiazdy. Zmrużyła oczy, chcąc przypomnieć sobie i posmakować raz jeszcze pocałunków Pau. Wówczas go usłyszała. Cichy jęk, niczym miauknięcie porzuconego kota. Wstała. Dźwięk dochodził z pokoju Valentiego. Miał uchylone drzwi, bo nie mógł usnąć, jeśli były zamknięte. Podeszła, stąpając tak lekko, że wydawała się unosić w powietrzu. Płakał. Jej synek płakał. Laia stanęła w bezruchu za drzwiami, nie wiedząc, jak się zachować. Nie wiedząc, co robić. Chciałaby w tym momencie umieć szepnąć mu do ucha jakieś pokrzepiające słowa, tak jak Engracia. Słowa, których nie mógłby usłyszeć nikt inny, nawet panująca cisza. Ale nie umiała tego zrobić. Może, bo niby skąd to wiadomo, nie potrafiła go kochać?

Osunęła się przy ścianie tak, że usiadła w końcu na podłodze, naprzeciw drzwi, czuwając nad snem Valentiego. Siedziała tam, dopóki nie zasnął. Mleczny świt zaczął sączyć się przez szpary w oknach i całe mieszkanie wynurzyło się z ciemności.

Pau otworzył okno i wszedł do łóżka. Wyszukował dla siebie jeden z pokoi w mieszkaniu, które dzielił z Eleną, żeby nie budzić jej, kiedy wracał późno. Swoją nieobecność co sroda usprawiedliwiał przynależnością do komisji cechu architektów, która zajmowała się sporządzeniem przepisu regulującego członkostwo, żeby przedłożyć go Radzie Ministrów i uzyskać nakaz, by rejestracja w cechu była obowiązkowa dla wszystkich katalońskich architektów. W ostatnich latach, w obliczu dyktatury, działania komisji jeszcze bardziej się nasiliły, a w konsekwencji częstsze stały się i zebrania w szkole architektonicznej. Nie. Nie wszystko to było kłamstwem. Ale nie była to również cała prawda.

Wyciągnięty na łóżku, zupełnie rozbudzony, Pau rozmyślał o wszystkim, co smutna i poirytowana tej środy Laia mu opowiedziała. Nieczęsto wspominała przy nim o swoim synku Valentim. Mówiła, że nie chce łączyć przeszłości z teraźniejszością, którą podarowało jej życie. Od początku ich znajomości Laia stawiała sprawę bardzo jasno: wszystko, co dotyczyło jej syna i ojca jej dziecka, było jej własną sprawą i należało tylko do niej. To był jedyny sekret, jaki przed sobą mieli. A Pau uszanował jej decyzję w tej sprawie, tak samo jak w wielu innych przypadkach. Nigdy się nie zapytał. Nigdy nie domagał się odpowiedzi.

Ale tej nocy Laia otworzyła przed nim swoje serce. Opowiedziała mu o Valentim. Jak rósł nieco zdezorientowany wśród przesadnych pieszczot Engracii, a jej ciągłych nieobecności. Wydawała się poirytowana zachowaniem syna. Wydawała się poirytowana

samą sobą.

Sen nie nadchodził. Pau zastanawiał się, co by się działo, gdyby ten chłopiec był ich wspólnym dzieckiem, jego i Lai. Nigdy nie żałował, że z Eleną nie będą mieli dzieci. Nigdy za nimi nie tęsknił. Dlatego nie rozumiał za dobrze uczucia, które wzbierało w nim na myśl o tym chłopczyku. Nie zdawał sobie sprawy, dlaczego tak się dzieje, ale trzymanie się z daleka sporo go kosztowało. Czuł w stosunku do tego dziecka, które wychowywało się bez ojca, niczym nieuzasadniony żal i czułość. Pewien pomysł zaświtał mu w głowie, pomysł, na który, o czym dobrze wiedział, Laia nigdy się nie zgodzi. Nie chodziło o to, że chciał zostać ojcem tego chłopca, którego nawet nie znał. Ale chciał go poznać, porozmawiać z nim. Zrozumieć go i może w ten sposób zrozumieć lepiej sprzeczności, które wyczuwał w sercu Lai, kiedy opowiadała o swoim synu.

Przez okno wpadało blade światło. Niedługo miało zacząć świtać. Pau z trudem odegnał od siebie myśli, które unosiły się w pokoju niczym naostrzone noże. Musiał iść spać.

Sen spadł na niego niczym ciężka nagrobna płyta.

Po ciężkiej i mroźnej zimie wiosna tysiąc dziewięćset trzydziestego roku wychynęła nieśmiało, budząc miasto z letargu. Przez kolejne dni i tygodnie z nieba lał się strumieniami monotony deszcz. Teraz, kiedy wreszcie ustał, na każdym rogu można było się natknąć na nagrodę w postaci aromatycznej, niespodziewanej intensywnej zieleni zabrudzonej miejscami błyszczącą żółcią mimoz, zdobiących ogrodowe parkany.

Było niedzielne popołudnie, na ulicach kłębiły się tłumy ludzi spragnionych słońca i świeżego powietrza. Blai i Teresa wyszli właśnie z La Flor de Maig, lokalu należącego do spółdzielni, znajdującego się przy ulicy Wad-Ras w dzielnicy Poblenou. Lokal nosił nazwę jednego z najśłynniejszych utworów Anselma Clavego i co niedziela organizowano w nim tańce i wystawiano przedstawienia. I choć spółdzielnia zaczynała podupadać na skutek kryzysu ekonomicznego oraz w wyniku sporów między prezydiami, w dalszym ciągu była prężnie działającą instytucją o bogatej ofercie kulturalnej; prowadziła wieczorowe komplety, a do dyspozycji członków oddała dobrze zaopatrzoną bibliotekę i salę na niedzielne rozrywki, które tak bardzo cieszyły Blaiego.

– Jak ci się podobało przedstawienie? Co o nim myślisz? – zapytał Teresę, kiedy tylko znaleźli się na ulicy.

– Tak naprawdę guzik z pętelką zrozumiałam. Nawet sam tytuł sztuki jest zawily!

– *Upiory*! No tak, mógłby ją nazwać „Duchy”, prawda? – odpowiedział, drapiąc się po głowie.

Szli po ulicy Rambla del Poblenou, szukając tramwaju, którym Teresa mogłaby pojechać do centrum.

– Nadal nie rozumiem, co ma jedno do drugiego. Nie widziałam tam ani jednego ducha. Przecież trudno uznać, że ta dziewczynka na początku, ta młodzianka służąca z konewką, była duchem, prawda? Przynajmniej tak mi się wydaje.

Blai naprędce starał się wymyślić jakąś zgrabną odpowiedź. Nie był do końca pewien, czy on sam zrozumiał całkowicie tę sztukę przepelnioną symboliką, ale lubił pokazywać swojej dziewczynie, że dużo wie.

– Jej autorem jest pewien Norweg, anarchosyndykalista, zwie się Ibsen.

– To wszystko wyjaśnia, teraz wiem, co mnie zmyliło: aktorzy mówili pewnie po norwesku. Dlatego mam głowę jak balon.

– Ech, kobieto! – wykrzyknął Blai, poirytowany.

– Kochaniutki, ale z ciebie dąsałski! Wszystko bierzesz do siebie. Przecież nie ty napisałeś tę sztukę. I nie powiesz, że nie była skomplikowana. Weźmy na przykład to słońce na zakończenie. Możesz mi wytłumaczyć, po co ono tam było?

Na to akurat Blai znał odpowiedź, w lot pojął jego sens. Pochylił głowę, przysuwając się bliżej Teresy, i ścisłym głosem, kładąc nacisk na każde z wypowiedzanych słów, powiedział uradowany, wpatrzony swoimi błękitnymi oczami w daleki horyzont:

– Słońce! Początek nowego dnia. Zwiastujące początek nowej epoki.

– Niby kiedy?

Spojrzał na nią rozczarowany.

– Teraz, kobieto. Kiedy tylko idee anarchosyndykalistyczne zostaną narzucone całemu światu. Wówczas wszystko się zmieni. Jesteśmy o krok od wielkiej zmiany, Tereso.

Dziewczyna prawie wybuchnęła gromkim śmiechem, właściwie ledwie udało jej się powstrzymać.

– A ty dalej swoje, uparty z ciebie osioł!

– O co ci chodzi, mała? Czy kiedyś cię okłamałem? – zapytał Blai, urażony.

Na jej ustach zastygł grymas, była pełna powątpiewania, jak ktoś, kto już w nic nie wierzy.

– Do garnka raczej twoich anarchosyndykalistycznych poglądów nie włożymy.

– Słuchaj, Teresito, nie chcę znowu się kłócić. Podoba ci się, że musisz posługiwać w domu jakichś panisk, którzy mają wszystko, nie muszą robić absolutnie nic, podczas gdy my, żeby nie umrzeć z głodu, musimy harować jak woły?

– Znowu to samo! Możesz być pewien, że jest mi dobrze. Znacznie lepiej niż innym...

Blai był oburzony i nie pozwolił jej dokończyć.

– Jasna sprawa. Dobrze ci nosić te podarowane kiecki i udawać panienkę z dobrego domu. Wycierać gluty jej córeczkom, które przyszły na świat po to, by dalej wyzyskiwać najbiedniejszych.

– Odczep się od maleńkich, to są dwa aniołki!

Zatrzymali się na środku Rambli i nie zdając sobie z tego sprawy, zaczęli mówić coraz głośniej. Mijający ich przechodnie przystawali, by obejrzeć przedstawienie, które stawało się coraz donośniejsze, w miarę jak w parze zakipsiały emocje.

– Nie rozśmieszaj mnie... Aniołki się znalazły!

– Blai, zaczynasz działać mi na nerwy!

– Szmergla musiałaś dostać, jeśli wierzysz, że ci ludzie, u których pracujesz, są porządni!

– Możesz być pewien, że są, nawet bardzo! Dużo bardziej niż ty i ci tam... twoi... Te twoje... anarchosyndykalistyczne upiory!!! – Teresa odwróciła się w stronę podziwiającego ich zbiegowiska: – A wy, na co się gapicie? Za bilety zapłaciliście, czy co? – Ludzie rozeszli się, pękając ze śmiechu i komentując zdarzenie. Dziewczyna odsunęła się i popatrzyła na Blaię tak, jakby chciała zabić go wzrokiem. – Nie ma najmniejszej potrzeby, żebyś mnie dzisiaj odprowadzał do domu. Jeszcze zarazisz się nieprawością od tych, którzy jak twierdzisz, są tacy nieprawi.

– Przestań gderać, kobieto.

– Ani mi się śni. Nie życzę sobie, żebyś mnie odprowadzał. No już, idź sobie, miłej zabawy!

Odwróciła się z arystokratyczną godnością i zostawiła go samego, a on stał tam niczym platan na Rambli del Poblenu.

Nie pierwszy raz przydarzało im się coś podobnego. Od roku, kiedy zaczął się ich związek, często się kłócili, potrafili jednak machnąć ręką na różnice poglądów, żeby żyć ze sobą w pokoju. Bo się kochali. Blai i Teresa kochali się miłością, na którą, tak jak na każdą prawdziwą miłość, składały się wymagania i wyrzeczenia, a kiedy się kłócili,

dystansowali od siebie i dąsali obydwój, zarówno on, jak i ona, a potem usychali za sobą z tęsknoty. Tydzień wydawał się nie chcieć skończyć nigdy, a oni marzyli o niedzieli, kiedy znowu się spotkają i postarają się być wobec siebie bardziej wyrozumiali.

Mimo to, kiedy Teresa z pełnymi łez oczami, które mrużyła szybko, by się nie rozpląkać, wsiadła w końcu do tramwaju torującego sobie drogę przy dźwiękach dzwoneczka, pomyślała, że tym razem posunęli się za daleko. Niektóre niemiłe rzeczy, które Blai wielokrotnie jej powtarzał, zapadały głęboko w duszę i niezwykle trudno było się ich pozbyć. Jak ten głupi osioł mógł nie rozumieć, że ona w domu panienki Roser czuła się po prostu szczęśliwa. Że kochała dziewczynki, Carlotę i Aurorę, z całego serca, a opieka nad tą parką była jedną z najwspanialszych rzeczy, które jej się kiedykolwiek przytrafiły. Dlaczego jej własny chłopak nie potrafił tego uszanować?

Wysiadła na placu Cataluña i skierowała się w stronę Paseo de Gracia; do swojego domu, pomyślała. Bo właśnie w tym domu czuła się najbardziej u siebie w ciągu osiemnastu lat, które spędziła na tym świecie. Cokolwiek uważał na ten temat Blai i czemukolwiek dawał wiarę.

Zanim weszła, wytarła oczy, żeby zetrzeć z nich wszelkie ślady zawodu. Ręką wygładziła sukienkę i poprawiła włosy. Nie chciała, by panienka Roser zauważyła, że znowu pokłóciła się z Blaim. Nie chciała znowu słuchać, że chłopak na nią nie zasługuje.

Nie mogła się jednak domyślać, co miała jej do zakomunikowania.

Kiedy tylko dał się słyszeć odgłos zamykanych drzwi, Roser pospieszyła do przedpokoju. Teresa najpierw bardzo się zdziwiła, a zaraz potem zmartwiła. Na twarzy Roser wypisane było cierpienie.

– Źle się panienka czuje? – zapytała, wbijając oczy w brzuch Roser Molins, zaokrąglony w wyniku niespełna czteromiesięcznej ciąży.

– Nie... chodzi o to... Chodź, przejdźmy może do salonu.

Dziewczyna szła za nią z sercem łomoczącym w piersi. W czasie gdy szły do salonu, utwierdzała się w przekonaniu, że Roser w żadnym razie nie mogła wiedzieć o tym, iż znowu pokłócili się z Blaim.

Nie. Nie może być. Panienka przecież nie ma szklanej kuli, pomyślała. Co w takim razie mogło się stać?

– Usiądź, proszę.

– Chodzi o dziewczynki... Coś im się stało? Dobrze się czują? – zapytała przejęta Teresa ze ściśniętym sercem.

– Nie. Dziewczynkom nic nie jest. O to nie musisz się martwić. Chodzi o... twoją matkę. O Agustinę.

Dziewczyna opadła na fotel, tak jakby nagle jej ciało zaczęło bardzo dużo ważyć, a ona nie miała siły go utrzymać. Popatrzyła uważnie na Roser, choć tak naprawdę jej nie widziała. A słowa, które panienka do niej kierowała, zacierały się, tak jakby dochodziły do niej z bardzo daleka i wytracały po drodze całą swoją moc.

– Dostała udaru i...

Roser przygryzła dolną wargę. Wlepiała w dziewczynę swoje błyszczące oczy pełne

łez, a ona spojrzała na nią szeroko otwartymi oczami, bardzo czarnymi, bardzo przestraszonymi.

– Nie żyje, prawda?

– Tak. Tak. Nie żyje.

Roser wybuchnęła płaczem i przytuliła Teresę.

– Moja malutka, nawet sobie nie wyobrażasz, jak mi przykro!

Dziewczyna siedziała nieruchomo, niezdolna odwzajemnić uścisku. Kiedy Roser ją puściła, wstała i chwiejnym krokiem przeszła się po pokoju. Zatrzymała się przed balkonowym oknem.

Nie płakała. Nie mogła płakać. Miała wrażenie, że jej głowa przestała pracować. Jej matka nie żyła? Potarła ręką powieki, tak jakby chciała przegnać ten obraz.

– Teresito, musimy się spakować.

Odwróciła się od szyby.

– Co znaczy „my”, i to, że „musimy”?

– Jedziemy do Camprodonu.

– Kto?

Roser odetchnęła głęboko, była cierpliwa.

– Ty, ja, dziewczynki.

– Ależ, panienko, jest panienka przy nadziei.

– A co to ma za znaczenie? Czuję się dobrze. Nie jedziemy na koniec świata, tylko do Camprodonu. – Podeszła do niej i znowu serdecznie ją objęła. – Nie pamiętasz? Tamtego lata, kiedy spodziewałam się małej Aurory, też tam pojechaliśmy. Myślisz, że teraz, ze względu na mój stan, nie pojedę pożegnać się z Agustiną? I kto dotrzyma towarzystwa Tomasowi, który tak bardzo będzie go teraz potrzebował? Ojej. Musisz być wykończona. Chodź, usiądź, poproszę, żeby zaparzano ci ziółka.

– Nie. Chciałabym pójść do mojego pokoju – powiedziała z przekonaniem Teresa.

– Później... później zajmę się pakowaniem.

Roser patrzyła za nią, jak wychodzi z salonu, stąpając, jak gdyby nogi miała z ołowiu. Teresa wyszła i zamknęła się w swoim pokoju. Usiadła na łóżku w bezruchu, w ciszy i siedziała tak, a tymczasem dzień zaczął chylić się ku zachodowi, światło gasło. Myślała cały czas o matce: przypominała sobie jej twarz, charakterystyczne miny, głos. Nie chciała zacząć jej zapominać. Zastanawiała się też, jak powiadomić Blaiego, że nie zobaczą się w następną niedzielę. Nie pójdą do La Flor de Maig ani razem nie zatańczą. Nie będą mogli pokłócić się o żadną bzdurę.

Nie mogła uronić ani jednej łzy.

Z domu do szkoły pijarów mieszczącej się przy Ronda de San Pau Valentí miał piechotą piętnaście minut. Pokonywał ten dystans czterokrotnie w ciągu dnia. W wieku dziesięciu lat był już wystarczająco duży, by chodzić samemu, choć zdarzało się i tak, że przychodziła po niego Engracia i załatwiali razem sprawunki albo udawali się na podwieczorek. Na samą myśl o tym podwieczorku ciekła mu ślinka.

Minęły dopiero dwa lata, odkąd w roku szkolnym tysiąc dziewięćset dwudziestym

ósmym na tysiąc dziewięćset dwudziesty dziewiąty otwarto nowy budynek, który zajmował cały kwartał przy Rondzie, od ulicy San Antoni aż po Caller de la Cera. Nie pozostało na nim ani śladu po „tragicznym tygodniu”, w czasie którego spalono nie tylko ściany, sale i sam kościół, ale również ukradziono historyczne zapiski obejmujące niemal sto lat działalności. Mimo to w szkole nie przestano udzielać lekcji dzieciom z dzielnicy. Zaraz zbudowano prowizoryczne klasy, wykorzystując do tego ściany nośne, a szkołę udało się wskrziesić z ruin.

Valentí uczęszczał do niej od czasów przedszkolnych. Dobra sytuacja materialna, którą cieszyła się teraz Laia, pozwoliła jej zapisać go do szkoły prywatnie. Z tego właśnie powodu, w przeciwieństwie do innych uczniów niepłacących za lekcje, chłopiec mógł przystąpić do matury. Również w niektóre niedziele i święta Valentí chodził do szkoły, organizowano wówczas projekcje filmowe i odbywały się przedstawienia teatralne. Poza tym każdego lata chłopiec spędzał tydzień na koloniach w miasteczku Puigcerdá, które szkoła organizowała dla swoich uczniów.

Spośród wszystkiego, co wiązało się z nauką, Valentemu najbardziej podobała się koszykówka. Zespół szkół Escuelas Pías przy Rondzie był pierwszym miejscem w całej Hiszpanii, w którym można było uprawiać ten mało znany gdzie indziej sport, a chłopiec z czasem stał się pierwszorzędnym graczem. Dzięki temu jego chudziutkie ciało nie tylko nabrało masy mięśniowej, ale też, co ważniejsze, Valentí zaczął zawierać nowe przyjaźnie, opierające się na szacunku i podziwie, którymi darzyło go, jak na dobrego zawodnika przystało, wielu kolegów. I choć pogarda z uwagi na jego sytuację dziecka bez ojca, drwiny, a nawet bójki nie zniknęły całkowicie, powoli zaczęły odchodzić w zapomnienie. Tymczasem Valentí rzucał kosze i nawiązywał pierwsze prawdziwe przyjaźnie.

Rok wcześniej Pau nie znał Valentiego. Nigdy go nie widział nawet na fotografii. Laia nie nosiła przy sobie zdjęć chłopca, a jeśli nawet, to mu ich nie pokazywała. Nie mógł więc wiedzieć, że chłopiec był wysoki, a przynajmniej dość wysoki jak na swój wiek, i szczupły. Nie miał pojęcia, że jego oczy były czarne i przepastne, łudzaco podobne do oczu Carmen, jego babki, w której spojrzeniu mieszkało światło Andaluzji razem z jej wszystkimi tajemnicami. Nie wiedział także, iż włosy chłopca miały kolor orzecha laskowego, ciemniejszy zimą i jaśniejszy latem, zupełnie jak włosy jego matki. Ani że jego skóra jest nieco ciemniejsza od słońca. Nie był też świadomy, że Valentí miał zawsze nieco arogancki wyraz twarzy, tak jakby nie zgadzał się ze światem, a w sumie jego sylwetka była stosunkowo nieproporcjonalna, rzecz naturalna u chłopca, który rósł jak na drożdżach.

Ponieważ Pau nie wiedział tego wszystkiego, doszedł do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli zaszyje się gdzieś w pobliżu wejścia do budynku przy ulicy Margarit, w którym mieszkała Laia, i z ukrycia będzie obserwował wszystkich wchodzących i wychodzących. Uznał to za rodzaj zabawy, której poświęcał godziny uszczknięte z czasu pracy, zajmując się tym, czym w życiu nie przypuszczał, że przyjdzie mu się zająć.

Jego związek z Laią obrał zupełnie niespodziewany kierunek. Rzecz w tym, że do własnego życia zaczął podchodzić z roztargnieniem, tak jakby pierwszoplanowym aktorem był ktoś inny, bardziej bohaterski i ciekawszy od niego samego. Różniący się

niemal we wszystkim od Pau Amata, którego dobrze znał.

Wśród sąsiadów, wchodzących i wychodzących głównym wejściem, których obserwował z ukrycia, nietrudno mu było rozpoznać Engracię. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że to ona, kiedy pewnego popołudnia zobaczył nadchodzącą kobietę z dzieckiem. Nie wiedząc dlaczego, tego dnia, kiedy po raz pierwszy zobaczył Valentiego, Pau poczuł się głęboko szczęśliwy, jakby osiągnął wreszcie upragniony cel.

Innego popołudnia Pau czekał przy głównym wejściu do Escuelas Pías od strony Ronda de San Pau. Stał tam przez dłuższy czas i musiał nieźle wyteńczyć wzrok, by wśród masy bezmyślnych wyrostków, wylewających się na ulicę po skończonych lekcjach, dojrzeć sylwetkę Valentiego. Gdy tylko go zobaczył, przyspieszył kroku, aż udało mu się go dogonić. Kiedy się z nim zrównał, zdjął kapelusz i pozdrowił go.

– Cześć, Valentí.

Chłopiec spojrzał na niego, w jego oczach nie czaił się strach ani zdziwienie. Tylko ciekawość.

– Kim pan jest?

– Nazywam się Pau.

– Nie znam pana.

– Możemy chwilę porozmawiać?

W tym momencie przez głowę Valentiego przewinęły się wszystkie pouczenia Engracii, od najmłodszych lat przestrzegającej go przez obcymi i opowiadającej, co przytrafia się dzieciom, które zatrzymują się, by porozmawiać z nieznanymi. Valentí ile sił w nogach rzucił się więc do ucieczki i za chwilę nie było po nim śladu.

Pau nie dał za wygraną. Spróbował po raz drugi kilka tygodni później. Tym razem na chłopca przed głównym wejściem czekała Engracia. Kiedy wyszedł, ucałowała go i wręczyła mu paczuszkę, którą Valentí natychmiast rozpakował, wpatrując się w nią zachłannie.

Pau powtórzył całą operację. Podszedł do nich i uchylając kapelusza, przywitał się.

– Dzień dobry.

Chłopiec zastygł w pół gestu z tabliczką czekolady w ręce.

– To on, facet w kapeluszu.

Engracia spojrzała na niego podejrzliwie.

– Można wiedzieć, kim pan jest? O czym chce pan rozmawiać z chłopcem?

Mężczyzna rozejrzał się wokół.

– Możemy pójść w jakieś spokojne miejsce, w którym będziemy mogli porozmawiać?

– Absolutnie nie! – odparła Engracia, biorąc chłopca pod rękę i odwracając się plecami do Pau.

– Chciałbym go tylko poznać, Engracio. Porozmawiać z nim.

– Kim pan jest? Skąd pan nas zna?

Na podstawie spojrzenia, którym Engracia go obrzuciła, i jej pospiesznego nerwowego mrużenia powiek domyślił się, że brała go za ojca dziecka. Ojca, którego nikt nie chciał znać.

– Jestem przyjacielem Lai. Ja nie... – Spojrzał z ukosa na Valentiego, nie wiedząc

zbyt dobrze, co powiedzieć, świadom, że stąpa po grząskim gruncie. – Chciałbym jedynie go poznać. – Zbliżył się do kobiety i ściszył głos. Valentí niewzruszony pałaszował w najlepsze czekoladę, tak jakby problem przestał go dotyczyć i należał teraz jedynie do Engracii. – Jego matka rzadko o nim wspomina. Wiem, że ma pewne problemy... W każdym razie chcę tylko pomóc.

Odwrócił się, ubolewając nad całą tą absurdalną sytuacją, do której doprowadził.

– Pan jest... przyjacielem Lai? – wybełkotała Engracia, którą sporo kosztowało znalezienie właściwego słowa.

Pau odwrócił się do niej i odwzajemnił spojrzenie. Zrozumieli się.

– Proszę mi wierzyć, chciałem go tylko poznać. Móc z nim porozmawiać. – Zaśmiał się nerwowo. Nie przypominał samego siebie. – To nie był najlepszy pomysł.

– Idziemy na zakupy, jeśli pan chce, może pan nam potowarzyszyć.

Pau Amat uśmiechnął się. Engracia złapała za rękę Valentiego i ustawiła go tak, że znalazł się między nimi. W ciszy odpłynęli w długie słoneczne popołudnie, które pachniało wiosną.

Od tamtego dnia minął już rok.

Ogród pachniał latem, które chyliło się ku końcowi. Na zachodzie niebo wydawało się utkane z pomarańczowych i liliowych nici, w które wplątywały się górskie szczyty. Teresa spojrzała w górę i zobaczyła, że na ciemniejącym niebie zaczęło pokazywać się zatrzęsienie migoczących gwiazd. Dreszcz przeszedł jej po plecach, więc weszła do domu. Zamknęła za sobą drzwi balkonowe. Nie tak dawno położyła dziewczynki spać, opowiedziała im bajkę i pocałowała w czółka na dobranoc. Teraz minęła po drodze ich pokój z dwoma łóżeczkami i usłyszała ich śmiechy; żyły beztrudnie, nieświadome wszystkich niegodziwości i nieszczęść tego świata.

Doszła do pokoju Roser. Przez na wpół otwarte okiennice wpadała jeszcze do środka odrobina zmierzającego dnia. Wydało jej się, że dzisiejszy zachód słońca przepelniała słodka melancholia. Stąpając bardzo ostrożnie, podeszła do łóżka. Panienska wydawała się spać w najlepsze. Oddychała równo, a jej blada skóra odznaczała się w pościeli. Teresa przez dłuższą chwilę wpatrywała się w nią, robiąc sobie wyrzuty, z którymi nie potrafiła sobie poradzić. Wtem wymsknęło jej się ciche westchnienie i postanowiła jak najszybciej opuścić pokój.

– Nie śpię.

Teresa odwróciła się i spojrzała na Roser przestraszonymi oczami, panienska tymczasem wskazała jej miejsce, zapraszając, żeby usiadła przy niej. Po czym wzięła ją za rękę. Bardzo kochała swoją Teresitę. Bardziej niż za pokojówkę, uważała ją za członka rodziny. Córkę Agustyny. Była jej niewyobrażalnie wdzięczna za opiekę, którą rozciągała nad jej córeczkami, a która wychodziła daleko poza poczucie obowiązku. Teresa bowiem kochała dziewczynki.

– Znowu płakałaś, prawda?

– Nie, panienko.

– Jak to nie? Przecież widzę. Masz spuchnięte oczy. Mnie nie oszukasz.

Roser uśmiechnęła się do niej, a dziewczyna spuściła głowę, chcąc ukryć zdradzające ją oczy.

– Kiedy pomyślę... że z winy...

– Nie chcę więcej słyszeć tego słowa, Teresito! Wzniosła oczy ku niebu, zniecierpliwiona. – Wina! A czy twoja mama ponosi winę za to, że spotkała ją nagła śmierć?

– Ale my... Nie powinna panienska ze mną przyjeżdżać...

– Straciłam dziecko, to prawda. Takie rzeczy się zdarzają i już, nie jest to niczyja wina.

– To był chłopiec... – bąknęła dziewczyna zdławionym od szlochu głosem.

– Chłopiec, który nie miał się urodzić. Tak było zapisane.

Teresa złapała się za brzuch; znowu poczuła, jak wszystko przewraca jej się z nerwów w żołądku, czuła się tak zawsze, kiedy myślała o straconej ciąży, o zmarłej matce, o samotności swojego ojca.

– Ma panienska ochotę na szklankę mleka?

– Nie, niczego mi nie potrzeba. Chciałabym tylko, żebyś przestała płakać po kątach.

Roser poczuła się gorzej po pogrzebie Agustiny. Początkowo myślała, że sprawiły to smutek i zmęczenie podróżą. Jednak tej samej nocy dostała silnego krwotoku, a nowe życie, które nosiła w sobie, wypłynęło z niej między nogami.

Lekarze, którzy się nią zajęli, uspokoili ją, nic nie wskazywało na to, żeby nie mogła zająć znowu w normalną ciążę. Doradzili natomiast, żeby nie wracała do Barcelony, dopóki zupełnie nie wydobrzeje. Zostały więc w Caprodonie na całe lato: ona odpoczywała i starała się stanąć na nogi, dziewczynki bawiły się na świeżym powietrzu, a Teresa dotrzymywała towarzystwa ojcu w czasie jego pierwszych miesięcy wdowieństwa. Ferran przyjeżdżał często w niedzielę i zostawał do poniedziałku lub do wtorku. W sierpniu spędził z nimi nawet cały tydzień. Odwiedził ich też Andreu z Anną i trójką dzieci. Wspólnymi siłami udało im się odegnąć smutek Roser i ją pocieszyć. Ale Teresie... nikt nie potrafił przywrócić uśmiechu.

Teraz Roser poczuła się już na siłach, by wrócić do domu. Do Barcelony. Od trzech dni planowały podróż. Chciała odzyskać swoje życie. Pragnęła, żeby dziewczynki wróciły do normalności. Całe to lato było niespodziane, smutne. I długie. Bardzo długie. Pozbawione radości. Jediną muzykę dla uszu stanowiły niewinne śmiechy Carloty i Aurory. Nadchodzący wielkimi krokami wrzesień wskazywał, że wszystko wróci na swoje miejsce.

– No już, moja kochana, idź odpocząć, czeka cię teraz dużo pracy.

Dziewczyna wstała i skierowała się w stronę drzwi.

– Panienko...

– Słucham.

– Chodzi o to, że...

Na twarzy Roser pojawił się łobuzerski uśmiech.

– Dostałaś list od narzeczonego, prawda?

Oczy Teresy rozbłysły w pokoju spowitym mrokiem.

– Tak... jeśli panienska...

– W porządku. Chcesz, żebyśmy na niego odpisały jutro po śniadaniu?

Dziewczyna poczuła, jak serce z tej chwilowej radości zabiło jej mocniej.

– Dziękuję.

– Dobranoc.

– Dobranoc, panienska.

„...tak, że przyjedziemy do Barcelony w najbliższy czwartek, jeśli Bóg zechce i nic nieprzewidzianego się nie wydarzy...”

– Barcelona pisze się wielką literą.

Teresa sapnęła. Ależ była z niej niezguła! Obojętne, ile lekcji udzieliłaby jej panienska Roser, nigdy nie nauczy się poprawnie pisać. Dlatego musiała mieć ją obok, kiedy pisała do Blaiego, nie tylko, żeby poprawiała jej wszystkie błędy, które sadyła, nie zdając sobie z tego sprawy, ale też dlatego, że nie umiała napisać tego, co chciała wyznać swojemu chłopcu po tak długim czasie rozłąki. W przeciwieństwie do niej panienska Roser mówiła i pisała piękne rzeczy!

– Dobrze. O czym jeszcze chciałabyś mu powiedzieć?
– W najbliższą niedzielę, kiedy będziemy już na miejscu, niech po mnie przyjdzie.
– Teresa spojrzała na Roser. – Jeśli oczywiście panienka nie ma nic przeciwko, żeby po mnie przyszedł.

– Oczywiście, że nie mam! Po obiedzie, jak zwykle. Ale powinnaś coś jeszcze dodać, zanim przejdiesz do sedna, nie sądzisz?

– Teraz to już naprawdę nie rozumiem. Co takiego miałabym dodać?

– Mogłabyś mu powiedzieć, że bardzo się za nim stęskniłaś i że się cieszysz na myśl o waszym spotkaniu.

Teresa zaczerwieniła się aż po czubki włosów.

– Ale, sądzi panienka, że wypada dziewczynie mówić takie rzeczy?

Perlisty śmiech Roser Molins wypełnił cały salon i zakradł się we wszystkie kąty. Był to śmiech, z którym nie poradziły sobie ani zdrady, ani smutki.

– Myślę, że będzie uszczęśliwiony, mogąc przeczytać coś tak miłego. On przecież pisze ci w listach miłe rzeczy. A ty lubisz je czytać.

Teraz Teresa uśmiechnęła się nieśmiało.

– Tak, ale sądzi panienka, że on sam je pisze? Widzi panienka, on też niespecjalnie radzi sobie z wypowiedzianiem się na piśmie.

– To nie ma znaczenia! Ważne, że ci je mówi, bo tak czuje. Możesz na przykład napisać: „Nie wiesz, jak bardzo nie mogę się już doczekać niedzieli i naszego spotkania...”

– „...spotkania...” – powtarzała Teresa to, co dyktowała jej Roser.

– „Bardzo się za Tobą stęskniłam”.

Teresa pisała powoli, stawiając niepewnie litery swoim dziecięcym charakterem pisma. Wtem podniosła oczy znad kartki, jakby właśnie przypomniała sobie o czymś niezwykle ważnym, wręcz najważniejszym z całego listu.

– Panienko! Musimy mu jakoś powiedzieć, żeby nie zabierał mnie w niedzielę do La Flor de Maig. Niech mnie tam nie zabiera, co to, to nie. Tak długo się nie widzieliśmy... Chciałabym z nim pospacerować, wziąć go pod ramię, pójść na Ramble albo dokądkolwiek indziej. Ale nie do La Flor de Maig. Jak możemy mu o tym powiedzieć, żeby zrozumiał?

Dnia piętnastego każdego miesiąca Pau ustawiał sobie wszystko tak, żeby móc odebrać Valentiego ze szkoły. Czekał na niego przed bocznym wejściem do pijarów od ulicy San Antoni, gdzie spotykał Engracię. Kiedy chłopiec się pojawiał, wsiadali we trójkę do samochodu i mknęli ulicami odchodzącymi od Rondy.

Ustalili własną tradycję: kierowali się na Ramble, po czym Pau zatrzymywał samochód przed Nurią albo barem Canaletas, gdzie na plakacie widniał napis „Wędliny, ciastka, kawa i napoje orzeźwiające”. Valentemu ogromnie podobała się okrągła lada zajmująca cały środek lokalu, który wszyscy nazywali „basenem”. Spędzali tam we trójkę dłuższą chwilę, pani Engracia pochylała się nad parującą kawą z mlekiem, Valentí pochłaniał słodczyce, na które przyszła mu akurat ochota, a Pau dla ochłody zamawiał

zazwyczaj piwo. Zawsze przynosił chłopcu jakiś prezent i wręczał mu go po podwieczorku. Czasami były to kredki, innym razem książki albo jakaś makieta do składania.

Zdarzały się dni, kiedy Valentemu buzia się nie zamykała i opowiadał o wszystkim, co mu się przydarzyło. A były i takie, kiedy siedział nadąsany i nie odzywał się ani słowem. Wówczas Pau starał się go rozweselić i jeśli akurat dopisało mu szczęście, udawało mu się wyciągnąć z serca małego wbitą w nie zadrę.

Laia nie wiedziała nic o tych spotkaniach. We trójkę, zgodnie, byli zdania, że nie powinna o nich wiedzieć. Upierał się przy tym zwłaszcza Valentí, który nie mógł nacieszyć się przyjaźnią Pau, tak jakby chodziło o prezent niespodziankę albo tajemnicę, której należało strzec przed wzrokiem matki.

W czasie jednego z tych popołudni Valentí wstał, żeby pójść do łazienki, i zostawił Pau i Engracię samych, siedzących naprzeciw siebie.

– Dlaczego pan to robi?

Pau nie wydawał się specjalnie zaskoczony pytaniem.

– Sam nie wiem, Engracio. Miałem taką potrzebę. Laia mało mówi mi o chłopcu, a jeśli już ten temat się pojawia, to zazwyczaj wtedy, kiedy mały coś przeszkobie. Na początku myślałem, że mógłbym jakoś pomóc. Teraz, po prostu... lubię się z nim spotykać, słuchać, co opowiada. Proszę mi wierzyć, nie mam żadnych ukrytych zamiarów.

– Laia miała szczęście, że pana poznała. Dobry z pana człowiek, panie Pau.

– Ze mnie? Nie. Wcześniej może i tak było. Ale teraz nie. Za dużo nakłamałem.

– Wszyscy czasami kłamiemy.

Valentí wpadł jak huragan, przerywając ich rozmowę. Chciał jak najszybciej opowiedzieć Pau o tym, jak poradził sobie na ostatnim meczu koszykówki w szkole. Był podekscytowany.

Przy innym stoliku ktoś przypatrywał im się uważnie. Łatwo było dośpiewać sobie resztę historii, nawet za łatwo.

Wyczekała, aż Laia zostanie sama w sali, i wtedy postanowiła przypuścić na nią szturm. Wiedziała, że dziewczyna wychodziła ostatnia. Nigdy nie śpieszyło jej się do domu.

Znalazła ją zajętą pakowaniem kostiumu do wielkiego pudła. Było to zamówienie, które musiało zostać dostarczone bez ani jednego zagniecenia szczęśliwej właścicielce mającej wkrótce zacząć go nosić. Laia była całkowicie skoncentrowana, w rękawy żakietu wkładała bibułę, wygładzając każdą fałdkę. Nawet jej nie zauważyła.

– O, proszę, panienska Calvet jeszcze tutaj. Nigdy niespieszno pani wracać do domu, prawda?

Laia aż podskoczyła.

– Pani Milu! Ależ mnie pani przestraszyła!

– Pewnie ma pani coś do ukrycia.

Laia nie dała się sprowokować; przez te wszystkie lata nauczyła się puszczać uwagi

Mili mimo uszu.

– Niech pani posłucha, musiałam skończyć pakować ten kostium, jutro z samego rana trzeba go wysłać. Proszę powiedzieć, czym mogę pani służyć, Milu? Jeśli nie jest to nic pilnego, zostawmy to do jutra.

Mila Alemany podeszła do niej jeszcze bliżej o parę kroków. W jej oczach można było wyczytać pogardę, którą czuła do Lai od dawna, a która przez tyle lat nie mogła znaleźć ujścia. Kiedy się wreszcie odezwała, miała chrapliwy głos.

– Przyszłam panią ostrzec. Bo kiedy ja się do czegoś zabieram, robię to w sposób przemyślany i z podniesionym czołem.

Wszystko wskazywało na to, że zajmie to dłuższą chwilę. Laia nachyliła się z powrotem nad pakowanym kostiumem, starając się ukryć ironiczny uśmiech, który wykrzywił jej usta. Ten ruch wystarczył, by dokumentnie wyprowadzić Milę z równowagi.

– Nie będzie pani tak do śmiechu, kiedy się pani dowie, że postanowiłam porozmawiać o pani z panem Molinsem. Koniec z pani kłamstwami, czas, żeby poznał prawdę na temat pani i...

– O czym pani mówi?! – przerwała jej Laia, która zaczynała tracić cierpliwość.

– O pani i ojcu pani dziecka. Gdyby tylko pan Molins znał prawdę...

– Ależ, co pani opowiada? Oszalała pani zupełnie? Jak pani śmie?

Te raptem kilka sekund, w czasie których Laia straciła nad sobą panowanie, wynagrodziły Mili wszystkie wcześniejsze upokorzenia. Uśmiechnęła się. Czuła się niemal szczęśliwa. Wszystko szło tak, jak to sobie zaplanowała. Śledzenie synka Lai przez długie tygodnie, kiedy szedł do szkoły i kiedy z niej wracał, wreszcie przyniosło spodziewane owoce. Udało jej się w końcu zobaczyć go z ojcem. No i oczywiście, ona już dobrze wiedziała, o kogo chodziło. Był architektem, a jego żona należała do rodziny Novellów, zarówno ona, jak i jej matka były stałymi klientkami Santa Eulalii. Poza tym była to przyjaciółka Roser Molins. Cóż za skandal! Żonaty mężczyzna, w dodatku mąż tak dobrze znanej kobiety z poważanej rodziny. Wreszcie udało jej się zdemaskować panienkę Calvet.

– Wiem, i mam co do tego stuprocentową pewność, kim jest ojciec pani dziecka, a kiedy tylko dowie się o tym pan Molins, a co do tego, że się ode mnie o tym dowie, może panienka nie mieć najmniejszych wątpliwości, przestanie już tu pani pociągać za sznurki. – Podeszła do niej jeszcze bliżej, oczy wychodziły jej z orbit i powtórzyła ściszym głosem: – Przestanie pani.

– Ależ, co pani opowiada?

– Już ja dobrze wiem, jest pani...

– Dostyc tego!!!

Naraz w sali dał się słyszeć trzeci głos, gromki i wzburzony. Obie kobiety odwróciły się jednocześnie w jego stronę.

– Pan Clos? – powiedziała Mila, a w jej zaczerwienionych oczach nadal kipiała nienawiść.

– Powiedziałem dosyć! Za kogo pani się ma, panienko Alemany?! Jak pani może w ten sposób grozić panience Calvet?!

– To, co wiem...

– Niby taka świętoszka, a tu widzę, że z pani jest prawdziwa jędza, zgorzkniała do szpiku kości, tryskająca jadem. Proszę natychmiast zabrać swoje rzeczy, odejść i więcej nie pokazywać się tutaj na oczy!

– Zwalnia mnie pan?

Ferran Clos podszedł do niej na tyle blisko, że przez krótką chwilę wydawało się, iż wypowiedziane przez niego słowa przylepią się do twarzy Mili.

– Z ust mi to pani wyjęła.

– Pan Molins...

– Pan Molins jest tego samego zdania. Mamy dosyć pani zachowania, nie tego typu manier oczekujemy od naszych pracowników. I proszę mi wierzyć, jeśli zniknie pani natychmiast, istnieje jeszcze szansa, że uda mi się przekonać szwagra, by napisał pani list polecający, przez wzgląd na lata przepracowane w Santa Eulalii. Ale jeśli tylko ośmieli się pani do niego iść i zawracać mu głowę swoimi głupimi i ohydnyymi insynuacjami... – Zrobił dramatyczną pauzę. Pełna napięcia cisza zalała salę i wcisnęła się pomiędzy sukna i manekiny. – Może mi pani wierzyć, że w Barcelonie pracy pani już nie znajdzie.

Przez kolejnych kilka sekund wydawało się, że czas stanął w miejscu. Atmosfera zgęstniała. Mila Alemany zrobiła dwa kroki w tył. Oczy jej miotaly błyskawice i bełkotała jakieś niezrozumiałe słowa. Przeżuwała własną porażkę. Przeżuwała poniesioną klęskę. Następnie wybiegła jak oparzona.

Laią popatrzyła za nią.

– Nie wiem... nie wiem, co powiedzieć – zwróciła się do Ferrana.

– Nie musisz nic mówić. Pozbyliśmy się jej wreszcie. Wydaje mi się, że wszyscy pracownicy, kiedy tylko się o tym dowiedzą, każą wystawić mi pomnik.

Zaśmiali się nerwowo, w ich spojrzeniu i głosie nadal wyczuwało się napięcie.

– Ona... Jak... jak mogła się dowiedzieć?

Ferran Clos obrzucił Laię jednym z tych spojrzeń, które tak dobrze pamiętała. W dalszym ciągu pamiętała.

– O niczym nie wiedziała. Co takiego mogła wiedzieć?

Podszedł do niej nieco bliżej. W powietrzu dawało się wyczuć seksualne napięcie, naładowane było pocałunkami, w które ich usta już nigdy się nie złączą, i utraconymi bezpowrotnie pieścizotami. Wszystkimi niewypowiedzianymi uczuciami. Dłoń mężczyzny, drżąca z pożądania, dotknęła policzka Lai. Ona zamknęła oczy i pozwoliła sobie na chwilę zapomnienia. Sekundę. Raptem dwie. Następnie odsunęła od siebie jego dłoń i spojrzała uważnie we wpatrujące się w nią łakome oczy.

– Dziękuję, panie Clos. Mnie również wydaje się, że Mila o niczym nie wiedziała. Bo niby co takiego mogła wiedzieć? – Ruszyła w stronę schodów. – Do widzenia – rzuciła, nie odwracając się, żeby nie musieć na niego spojrzeć.

Młodzięcze niezdecydowanie Germana i Damià z czasem ustąpiło politycznemu zaangażowaniu. Jak niemal zawsze, to Germán pociągnął przyjaciela w stronę nowych zainteresowań. Z nich dwóch to on był bardziej przebojowy, natychmiast zapalał się do nowych wyzwań i to on wreszcie był zawsze o pół kroku do przodu, podczas gdy Damià, mąż i ojciec, miał związane ręce i nogi, jeśli chodziło o udział w nowych przygodach. A jednak, mimo rodzinnych pęt, Damià był gotów zawsze podążyć za Germanem, dokądkolwiek by zmierzał. Również w jego powolnym wspinaniu się po szczeblach kariery politycznej. Spore znaczenie odegrały w niej przyjaźnie, które Germán zawierał w czasie swoich ciągłych podróży po wszystkich zakątkach Katalonii w charakterze przedstawiciela handlowego. Wszystko zaczęło się od nowych lektur: tygodnika „Mirador”, który jak mu powiedziano, czytywało wielu zacnych intelektualistów, i późniejszej prenumeraty *Słownika języka katalońskiego*, wychodzącego w tomach, pod redakcją Pompeu Fabra. I tak w niedługim czasie udało mu się skompletować może i małą, ale za to bardzo treściwą biblioteczkę. Damià błyskawicznie sięgnął po lektury przyjaciela i we dwóch, zawsze razem, zaczęli chadzać do popularnych towarzystw kulturalno-naukowych.

Stąd do politycznego zaangażowania był już tylko krok. I go postawili. Germán, przekonany, że za całe zło odpowiada dyktatura Primo de Rivery, przystał do nielegalnych opozycjonistów. Współpracował z grupami działającymi pod przewodnictwem Francesca Macii, lidera katalońskiej opozycji przeciw dyktaturze, opowiadającymi się za niepodległą Katalonią, po czym wstąpił do niepodległościowej partii Estat Català, kierowanej też przez Macię. Damià przyglądał się z bliska tym poczynaniom, nieco ostrożniejszy od przyjaciela, ale nie mniej entuzjastycznie nastawiony. W tamtym okresie Germán nawiązał kontakt z najbardziej prominentnymi członkami organizacji CADCI, zrzeszającej osoby związane bezpośrednio z handlem i przemysłem, która została rozwiązana przez Primo de Riverę. Dyktatorowi było jednak mało i przejął także jej siedzibę przy Rambla de Santa Mònica, po czym kazał w niej ulokować Sindicato Libre. Germán często opowiadał Damià o swoich nowych przyjaźniach:

- Koniecznie musisz przyjść na zebranie, które organizuje Jordi Compte.
- Wiele ryzykujecie. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda? CADCI została zdelegalizowana.
- Dlatego nie przychodzisz? Nie mówisz mi, że się boisz.
- To nie dlatego, ale...
- Zdelegalizowana czy nie, sam siebie nadal uważam za członka i moim zdaniem to właśnie tam spotyka się nasza najbardziej wartościowa młodzież, budowniczy jutrzejszej Katalonii. Katalonii, która niedługo nastanie, bo, możesz mi wierzyć, godziny dyktatora są policzone.

Damià nie był może tak optymistycznie nastawiony jak jego przyjaciel, jeśli chodziło o przyszłość polityczną Katalonii, niemniej w tej kwestii Germán faktycznie niewiele się mylił. Z rosnącą nadzieją obydwaj byli świadkami powolnej klęski Primo de Rivery, opuszczonego przez wszystkich, którzy wcześniej w niego wierzyli i stali u jego

boku: ugrupowania polityczne i społeczne, izby handlowe, intelektualiści, nawet niektóre ugrupowania wojskowe zaczynały spiskować przeciwko dyktaturze. W obliczu tej całkowitej klęski sam Alfons XIII zaczął rewidować swoje nastawienie wobec dyktatora, obawiając się, że jeśli nadal będzie stał u jego boku, zaszkodzi koronie.

Wiele bolesnych porażek miało także miejsce w przeciwnej drużynie, po stronie walczących o odzyskanie niepodległości kraju. Nie szukając daleko, mniej więcej w tym samym czasie nie powiodła się zbrojna akcja w Prats de Molló, w ramach której Macià razem z Estat Català, popierani przez grupy katalońskich anarchosyndykalistów, chcieli najechać Hiszpanię od strony francuskiej Katalonii.

Wreszcie w styczniu tysiąc dziewięćset trzydziestego roku Primo de Rivera ustąpił. W wyniku prowadzonej przez niego polityki, opierającej się na zajadłym prześladowaniu każdego przejawu katalońskości, wystąpiło przeciwko niemu całe społeczeństwo regionu. Za rządów dyktatora zdelegalizowano wszystkie katalońskie partie nacjonalistyczne, zakazano jakichkolwiek publicznych wystąpień. Dla przykładu warto tu wspomnieć o pamiętnym incydencie, kiedy to w obecności Alfonsa XIII zabroniono publicznego wykonania katalońskiego tańca narodowego, sardany *La santa espina*, bo zdaniem Primo de Rivery była hymnem rozbudzającym ohydne idee i kryminalne aspiracje.

Ale Primo ustąpił. Nikt nie przypuszczał, że to się kiedykolwiek stanie. Mimo że wcześniej mówiono, iż jest bardzo chory i ma zamiar usunąć się z polityki. Rzecz w tym, że po jego ustąpieniu wydarzenia nabrały niespodziewanego tempa.

Tego dnia odbywały się chrzciny czwartego dziecka Andreu Molinsa i Anny Balasch, chłopca, któremu nadano imię Pere i który przyszedł na świat po Antonim, Annie i Joaquinie.

Po uroczystości kościelnej gości zaproszono do domu rodziny Molins i Balasch na znakomity podwieczorek. Po wielu latach zamieszkiwania w samym centrum miasta w przestronnym i wygodnym mieszkaniu Molinsowie, którzy marzyli o wielodzietnej rodzinie, kupili ostatnio dom z wielkim ogrodem na obrzeżach dzielnicy Sarrià. Pragnęli oglądać, jak ich dzieci dorastają w tej wspaniałej rezydencji o wielkich oknach i wysokich sufitach ze sztukaterią we wszystkich pokojach, otoczonej naturą. Jeśli Anna na cokolwiek się skarżyła tego jakże szczęśliwego dnia, to jedynie na to, że malutki przyszedł na świat w środku zimy, a siarczysty mróz uniemożliwiał im zorganizowanie przyjęcia w ogrodzie. Na podwieczorek zaproszono nieco ponad trzydzieści osób, zarówno rodzinę, jak i przyjaciół, a to dlatego, że Andreu znacznie okroił listę gości. Przyjęcie okazało się prawdziwym sukcesem, Anna była doskonałą gospodynią i nie zostawiała nic kwestii przypadku. Na środku salonu kazała ustawić wielki stół w otoczeniu starych krzeseł tapicerowanych adamaszkami, przystrojono go czerwonymi różami w szklanych naczyniach i zastawiono wszelkiego rodzaju rozkoszami dla podniebienia, nawet dla najbardziej wybrednych smakoszy, przygotowanymi przez cukiernię Foix. Powietrze drgało przepelnione brzękiem sztućców i cienkiego szkła. Wszystkie lampy zostały zapalone, lustra błyszczały nieco zaparowane w wyniku różnicy pomiędzy panującą w środku temperaturą pokojową a zimnem na zewnątrz. Najmłodszym podano

w oddzielnej salce gorącą czekoladę z biszkoptami.

Panie, znudzone zimą, która uniemożliwiła im pokazanie się w towarzystwie tak, jakby tego pragnęły, wykorzystały tę okazję, by przewietrzyć swoje najlepsze toalety z ostatniej kolekcji. Były więc eleganckie zamszowe płaszcze obszyte bobrami, o dopasowanych fasonach, które wymagały nienagannej sylwetki, niemające sobie równych kostiumy składające się z żakietu i spódnicy z astrachanu, z kołnierzem z gronostaja, albo *tailleur* z plisowaną spódnicą oraz kołnierzem i mankietami ze skóry.

Anna Balasch znowu dała wyraz swojemu nienagannemu gustowi i prostej elegancji, podejmując gości w sukni z bawełnianej popeliny w pistacjowym kolorze, współgrającej z kolorem jej oczu, z przedłużonym stanem i spódnicą w kontrafałdy. Bez dwóch zdań była piękną młodą mamą.

Roser znowu była w ciąży, a malutka Carlota, taka śliczna w swojej niebieskiej sukience z aksamitu z nadrukowanymi atlasowymi aplikacjami, wśród najmłodszych gości prezentowała się jak królowa. Mimo jej młodego wieku dawało się zauważyć, że miała silny charakter i lubiła dominować.

Po wspólnym podwieczorku panowie przeszli do biblioteki; była to pora na drinka i cygaro. Andreu zaproponował gościom swój najlepszy koniak i hawańskie cygara, które chował na specjalne okazje, takie jak ta. Rozmowa zaczęła toczyć się wartko w kłębach dymu o intensywnym zapachu. Ekonomia, polityka, jednym słowem kwestie, których nie należało poruszać w obecności pań, stały się głównym tematem męskich rozmów.

– Ostatnie lata były fatalne – narzekał Joaquín Creixells, bankier, którego Molins obdarzył zaufaniem i powierzył mu swoje oszczędności.

– Sławetna recesja – odezwał się przedsiębiorca z branży tekstylnej, bliski krewny Balaschów. – Ceny wzrosły bardziej niż zarobki. Na ulice znowu tłumnie wyszły manifestacje i protesty.

Joan Ros, wuj Andreu, który już jakiś czas temu przeszedł na emeryturę, uśmiechnął się szyderczo, przyglądając się przedsiębiorcy znad trzymanego niedaleko ust kieliszka.

– A czy to przypadkiem nie wy, przedsiębiorcy, opowiedzieliście się za dyktaturą, mówiąc, że należy położyć kres społecznym konfliktom i rewolwerowcom?

Jego rozmówca gotował się już do odpowiedzi, gdy wtem włączył się Ferran Clos.

– Przedsiębiorcy? A czy przedsiębiorcą nie jest każdy, kto zatrudnia u siebie ludzi pracujących po dziesięć godzin dziennie za nędzne stawki? – powiedział z łobuzerskim uśmiechem.

Zapadła niewygodna cisza. Andreu spojrział na niego z ciekawością znad okrągłych okularów. Nikt nie wiedział, co miała znaczyć ta uwaga Closa. Zazwyczaj nie zabierał głosu na tematy społeczne ani polityczne, sprawiał wrażenie, jakby interesowała go wyłącznie jego własna sztuka, i poświęcał się jedynie pracy. Nikt z obecnych nigdy by nie przypuszczał, że z dnia na dzień mógłby zamienić się w obrońcę uciśnionych.

Prawdopodobnie on sam był równie zdziwiony tym nagłym własnym komentarzem, bo wziął do ręki kieliszek koniaku i opróżnił go jednym haustem. Następnie zapalił kolejnego papierosa i nie wdawał się więcej w dyskusję. Tak naprawdę, pomyślał Andreu, Ferran był nieodgadnionym człowiekiem. Nigdy niedającym się

dokładnie poznać.

Rozmowa tymczasem zeszła na tematy mniej kontrowersyjne. Andreu, który dzisiaj zrobił wyjątek i postanowił sobie nie żałować, zaciągając się z ochotą cygarem, przysłuchiwał się jej w milczeniu. W jego domu, za życia ojca, rzadko rozmawiano o polityce. Antoni Molins głosował zawsze na Francesca Cambó i jego konserwatywną partię Lliga Regionalista de Catalunya, przyjmującą ideologię katalońskiego nacjonalizmu. Jednak trudno byłoby uznać go za zajadłego narodowca. Andreu dobrze pamiętał rady, jakich udzielił mu ojciec na ten temat – zawsze powtarzał, by nie mieszał się do polityki.

„Nasza praca wymaga utrzymywania dobrych stosunków ze wszystkimi, niezależnie od ich opcji politycznej”, powtarzał mu często. Po czym dodawał: „A głosując, zaufaj mi, oddaj swój głos na partię konserwatywną. Na jednego z naszych”.

– Macià nie jest jednym z naszych – odezwał się w tym momencie bankier Creixells. – A Companys... jeszcze mniej. Doprowadzi kraj do ruiny, możecie mi wierzyć, pomnicie moje słowa.

Andreu nie był pewien, czy proroctwa bankiera się spełnią. Creixells był rozsądnym, prawym mężczyzną. Osobą, której można było zaufać. Kiedy kilka miesięcy wcześniej, po ustąpieniu Primo de Rivery, poradził mu, żeby część swoich oszczędności ulokował za granicą, jako że sytuacja w kraju wydawała się niepewna, zastosował się do jego zaleceń. Wiedział, że powinien. Jednak w sprawie tego, co przyniesie im polityczna przyszłość, Andreu Molins nie był już taki pewien jak bankier.

W marcu w Sants odbył się zjazd lewicy. Tak samo jak inni aktywiści i sympatycy Katalonii, Germán i Damià mieli na zawsze zapamiętać te dni, które naznaczyły narodziny Esquerra Republicana de Catalunya, Katalońskiej Lewicy Republikańskiej. Ta nowa partia polityczna powstała jako rezultat połączenia się Estat Catalá Francesca Macii, Partit Republicà Català Lluisa Companysa i grupy *L'Opinió* Joana Lluhiego.

Germán był przekonany, że bezpowrotnie położono kres pewnej epoce.

– Widzisz? Wreszcie wolność. Wolny kraj, Katalończycy wreszcie zostali uznani za naród. Nie ma już powrotu, Damià.

– Historia lubi się powtarzać.

Germán go nie słuchał, nie chciał, wiedział, że byłby wówczas zły na przyjaciela, który zawsze wydawał się widzieć szklankę do połowy pustą.

– ...ośmiogodzinny dzień pracy, prawo do strajku... – Staął i pociągnął Damià za ramię. – Sam powiedz, nie cieszysz się, że twój syn będzie rósł w nowym kraju, o który walczyliśmy?

Damià spojrział mu głęboko w oczy. Głos mu zadrżał:

– Jestem tak szczęśliwy, że aż się boję.

Germán złapał przyjaciela za ramiona i objął go jak nigdy.

To były czasy, kiedy wydawało się, że każdy nosi w sobie polityka. Wszędzie rozmawiano o polityce. Santa Eulalia nie stanowiła pod tym względem żadnego wyjątku; pracowali tam różni ludzie o najróżniejszych poglądach, reprezentujący praktycznie

wszystkie opcje. Byli tacy, którzy mówili o wolności nienaruszającej obecnego ładu i bronili monarchii, tacy, którzy opowiadali się za republiką, i wreszcie tacy, którzy mówili, że nie wierzą ani jednym, ani drugim, i ich zdaniem tym samym był król, co prezydent. Ci ostatni odzywali się nieco ciszej i starali się maskować.

Pomału zaczęli wracać z wygnania politycy republikańscy, zainicjowano mityngi. Mury w całym mieście były zalepione plakatami wyborczymi. Zbliżał się dwunasty kwietnia, wszyscy byli podekscytowani, rozmowy zamieniły się w zażarte dyskusje prowadzone podniesionym głosem.

Kiedy nadszedł dzień wyborów, dwunasty kwietnia, marzenia Germana i Damià stały się niezaprzeczną rzeczywistością. Esquerra Republicana de Catalunya uzyskała większość głosów. Obaj subiekci mieli na zawsze zapamiętać południe czternastego kwietnia. Przez radio usłyszeli, że około wpół do drugiej po południu dwie baterie opuściły koszary w Atarazanas, kierując się na plac Sant Jaume, gdzie miano ogłosić republikę. Obydwaj chłopcy porzucili pracę i ruszyli biegiem w stronę placu. Zebrały się już na nim tłumy ludzi, którzy poruszeni, tak jak oni, przyszli wziąć udział w tym historycznym momencie. Dał się słyszeć dźwięk żołnierskich trąbek, dochodził od strony ulicy Ferran. Dotarłszy na plac, żołnierze ustawili się pod balkonem pałacu należącego do Generalitat. Była ich niemal setka. Macià wyszedł na balkon. Na placu zapadła cisza naelektryzowana wszystkimi możliwymi emocjami.

Katalończycy!

Szanując uczucia i tęsknoty narodu, który właśnie oddał na nas swój głos, proklamuję Republikę Katalońską będącą integralną częścią Federacji Iberyjskiej.

Wszyscy się odsłonili. Damià spojrzał na Germana, miał oczy pełne łez. Również i on czuł podchodzący do gardła szloch, który starał się stłumić, by nie wybuchnąć płaczem. Nagle Damià zrozumiał, że jego wzruszenie, tak samo jak wzruszenie Germana i tych wszystkich kobiet oraz mężczyzn, którzy zapełniali plac, docierało do nich z bardzo daleka i że otrzymali właśnie od historii niezwykle prezent, stając się świadkami tego niepowtarzalnego wydarzenia, które zasługiwało na wszystkie łzy, jakie mogli wylać.

Mamy nadzieję, że wszyscy będziecie potrafili zasłużyć na tę wolność, którą sobie sami przyznaliśmy, i na sprawiedliwość, którą z waszą pomocą ustanowimy. Będziemy wspierać się, wyznając nieśmiertelne wartości, takie jak prawa człowieka i prawo narodu, których, nawet jeśli przyjdzie nam za nie zginąć, nie pozwolimy sobie odebrać.

– „Nawet jeśli przyjdzie nam za nie zginąć, nie pozwolimy sobie odebrać” – powtórzył Damià ściszone głosem.

I w tym momencie łzy potoczyły mu się po policzkach, a on nie zrobił nic, by je powstrzymać.

Następny dzień był wolny od pracy, ulice zapełniły się republikańskimi flagami. Był piętnasty kwietnia, ciepły dzień, wiejący od morza wietrzyk przeganiał niewinne

chmury niezapowiadające deszczu. Słońce świeciło nad miastem. Nawet małe dzieci spacerowały w papierowych frygijskich czapkach na głowach. Młodzież śpiewała i tańczyła, a dorośli podziwiali to przedstawienie z balkonów. Cały kraj zasnął monarchią, a obudził się republika.

Andreu, jak zwykle, mimo że tego dnia magazyny były zamknięte, skierował kroki do gabinetu. Jedynie tutaj, w tym tak dobrze znanym sobie miejscu, które dawało mu poczucie bezpieczeństwa, mógł spokojnie pomyśleć. Od góry Rambli dawały się słyszeć donośne krzyki i pieśni śpiewane z radością przez tłumy witające nastanie republiki, a on zastanawiał się, co przyniesie jemu, jego rodzinie, interesom, ta niespodziewana zmiana. Wierzył, że republika też będzie stała na straży porządku. Prawdę mówiąc, na pierwszy rzut oka niewiele się zmieniło. Sytuacja wydawała się całkowicie opanowana.

Co mogło się wydarzyć?

Przypomniawszy sobie słowa ojca. Niezależnie od koloru flagi wiszącej przed firmą, przed Santa Eulalią, wszystko nadal wyglądało tak samo. On był handlowcem, nie politykiem, a jego praca wymagała utrzymywania dobrych stosunków ze wszystkimi, bez względu na ich opcję polityczną.

– To, czego pan wydaje się nie rozumieć, proszę wybaczyć tę bezpośredniość, to fakt, że ta nowa architektura, którą tak pan krytykuje, nie jest kolejną modą czy przemijającym trendem, który za kilka lat zostanie zastąpiony innym, równie krótkotrwałym jak poprzedni. Nie. Tu chodzi o zmianę społeczną, od której nie ma odwrotu, czy pan tego nie widzi? Stąd moje zainteresowanie i zaangażowanie w tę sprawę. Dlaczego nie chce pan tego zrozumieć?

Tej niedzieli podczas rodzinnego obiadu w domu Pau i Eleny burza zdawała się wisieć w powietrzu. Jedna z tych gwałtownych. Jedna z tych, które powodują poważne zniszczenia.

Eduard Novell był poruszony do żywego, oddychał z trudem, a w jego oczach czaiła się wściekłość. Nie zwracał najmniejszej uwagi na swoją żonę Claudinę, która pod stołem, nie chcąc rzucać się w oczy, klepała go porozumiewawczo w kolano.

– Kiedy ja wcale nie opowiadam ci o trendach ani o zmianach społecznych, w które, między nami mówiąc, zwyczajnie nie wierzę. Mówię o tobie. O was. O waszej rodzinie i o nieodpowiedzialności, którą wykazałeś się, rzucając pracę w magistracie. Stałą posadę, wysokie stanowisko... A pracownia architektoniczna? Można wiedzieć, dlaczego z niej też zrezygnowałeś? Nietrudno się domyślić, że twój wspólnik raczej nie zajmuje się tą nową architekturą, której tak bardzo chcesz się poświęcić.

Życie Pau zmieniło się do tego stopnia, że w zasadzie można byłoby powiedzieć, iż jego obecna egzystencja nie miała nic wspólnego z tą sprzed kilku lat, ze spokojnym, stabilnym życiem, w którym każda rzecz zajmowała swoje stałe miejsce. A mimo to dopiero teraz przestał wreszcie odczuwać bliskość nieprzeniknionych zaświatów, gotowych lada moment go pochłonąć. Teraz był pewien każdego czynionego kroku. Niemal był z siebie dumny. W głębi duszy gratulował sam sobie, że wraz z Laią poznał prawdziwą miłość, i ufał, że w niedługim czasie uda im się znaleźć sposób, by połączyć swoje życia. To wszystko było jedynie kwestią czasu. Doszedł również do wniosku, że relacja z Valentim wlała w jego życie ciepło, którego wcześniej nigdy nie zaznał, toteż uwzględnił i syna Lai w snutyh na przyszłość planach.

Jeśli z czegoś czuł się naprawdę dumny, to z nowo obranego kierunku na ścieżce zawodowej, urzeczywistniającego wreszcie jego ideały. Wcześniej, choć nigdy o nich nie zapomniał, był zmuszony, w wyniku codziennych obowiązków związanych z wykonywaną pracą, zepchnąć je na drugi plan.

– Moja żona i ja – odezwał się Pau szorstko, wbijając gniewne spojrzenie w Eduarda Novella – jesteśmy całkowicie zgodni co do tej zmiany. I nikt inny nie ma prawa wypowiadać się w tej kwestii, która dotyczy tylko nas.

– To, co mówisz, jest pozbawione sensu. Straciłeś rozsądek, mój chłopcze! – skwitował teść.

Zmiana, o której była mowa i która zdominowała rozmowę podczas niedzielnego obiadu, weszła w życie już jakiś czas temu, wszystko zaczęło się od Międzynarodowej Wystawy Sztuki Dekoracyjnej i Wzornictwa w Paryżu. Od tego momentu coś, co do tej pory pobrzmiwało jedynie w duszy Pau, gwałtownie wyłoniło się na powierzchnię

i nieśmiało dało o sobie znać w wychodzących spod jego ręki projektach, które zaczęły odzwierciedlać nowy język architektonicznego racjonalizmu.

Jego refleksje zaczęły torować sobie drogę. Skontaktował się z młodszymi od siebie architektami, nierzadko ze studentami, którzy wykazywali się postawą krytyczną i wydawali mu się interesujący, na przykład Josep Lluís Sert. Zagraniczne podróże pomogły mu z kolei zbadać zasięg nowych kierunków racjonalistycznych. Punkt zwrotny przypadł na połowę marca tysiąc dziewięćset dwudziestego ósmego roku, kiedy Le Corbusier przyjechał do Barcelony wygłosić wykład w jednym z najważniejszych audytoriów w mieście, Sali Mozart. Wówczas go oświeciło: nowoczesna architektura modernistyczna, racjonalizm, oba te prądy miały w architekturze zadomowić się na dobre. Powstały jako praktyczny system mający sprostać ludzkim potrzebom. Pau poczuł, zbadał, a następnie przyjął, że nowe kierunki miały za zadanie polepszyć warunki życia mieszkańców miast, i zdecydował, że chciałby uczestniczyć w rozwoju tej nowej architektury.

Oglądając Wystawę Światową w Barcelonie w tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym, łatwo zauważył demonstracyjny architektoniczny akademizm, który spotkał się z krytyką nawet samego Novella, i umiał wyciągnąć daleko idące wnioski na podstawie porównania budowli należących do przestarzałego historycyzmu z nowoczesną architekturą europejską. Wystarczyło, że rzucił okiem na niemiecki pawilon barceloński zaprojektowany przez van der Rohe, by w jego świadomości zapaliła się czerwona lampka: chodziło o coś wychodzącego poza ramy sztuki, architektury i estetyki. Był to dla niego decydujący moment, który utwierdził go w obranym kierunku.

Zaledwie rok później w Barcelonie założono grupę GATCPAC, zrzeszającą artystów i techników katalońskich zaangażowanych w rozwój architektury nowoczesnej. Pau Amat oddał jej całe serce i nawiązał kontakt z awangardowymi architektami, przedstawicielami katalońskiego racjonalizmu, takimi jak między innymi sam Sert, Josep Torres i Clavé czy Raimon Duran y Reynals.

Jednak osobą, z którą nawiązał najbardziej zażyłe stosunki zarówno na poziomie zawodowym, jak i osobistym, był pewien architekt z Manresy, Pere Armengou. Na tyle się zgadzali, że Pau natychmiast zaangażował się w kilka projektów, które Armengou planował zrealizować w Manresie. Dzięki nowoczesnej architekturze w Pau na nowo ożyły marzenia, które zawsze odkładał na później, i błyskawicznie pojął, że praca i zaangażowanie powinny służyć jego ideom i że nie może się dłużej rozdawać. Dlatego rzucił pracę w barcelońskim magistracie i przestał współpracować ze swoim wspólnikiem z biura architektonicznego. I właśnie dlatego tej niedzieli teść czynił mu gorzkie wyrzuty.

Pau spojrział mu prosto w oczy.

– Zawsze uważałem pana za człowieka racjonalnego. Teraz słucham tego, co pan mówi, i nie poznaję pana. Dlaczego decyzję, którą podjąłem, uważa pan za taką straszną? Dlaczego tak bardzo boi się pan tego, że nowoczesna architektura wyjdzie naprzeciw potrzebom ludu? Wyjdzie na ulicę? Jakie granice, pana zdaniem, przekroczyłem? Jakie zasady niby zdradziłem?

W jadalni zapadła śmiertelna cisza. Jedzenie stygło na półmiskach, a Elena i Claudina miały nieobecny wzrok. Stary Novell obdarzył zięcia lodowatym spojrzeniem.

– Przykro mi, że po tylu latach ma pan do mnie tak mało zaufania. – Eduard Novell uparcie milczał, a Pau pozwalał sobie na coraz więcej, mając prawdopodobnie dosyć milczenia. Mając dosyć ukrywania swojego prawdziwego ja. – To oczywiste, że to wszystko pana przerasta. Może lepiej byłoby, gdyby powiedział pan po prostu: Słuchaj, chłopcze, nie rozumiem twoich decyzji, ale rób, co uważasz za słuszne.

Nagle ojciec Eleny poderwał się od stołu. Serwetka, która do tej pory leżała na jego kolanach, upadła na ziemię, tworząc na niej białą kałużę. Twarz wykrzywił mu gorzki grymas. Głos drżał z oburzenia.

– Claudino, wstań, proszę, wychodzimy. Straciłem cały apetyt.

– Tato, proszę...

Nawet błagalne prośby Eleny, jego córki, nie powstrzymały Eduarda Novella, który opuścił jadalnię i dom z wysoko podniesioną głową, jak ci wszyscy, którzy uważają, że tylko oni mają zawsze rację.

Elena wróciła do jadalni. Miała posępną twarz, oddychała z trudem, starając się pospiesznie łapać powietrze, wyglądała, jakby za chwilę miała się rozpląkać. Nagle straciła odwieczną pewność siebie i czuła się zagubiona w tej całej nieprzyjemnej sytuacji, której nie spodziewała się w najgorszych snach.

– To nie było konieczne! – powiedziała, stając naprzeciw Pau, który nadal siedział przy stole. – Nie musiałeś się do niego tak odzywać, obraziłeś go.

– Eleno, na miłość boską. Kiedy mówię mu, co myślę, to się obraża, za to on ma prawo rozporządzać moim życiem, naszym życiem, i nic się nie dzieje.

Elena ruchem ręki dała mu do zrozumienia, żeby się do niej nie zbliżał.

– Zawsze wszystko robił z myślą o nas. To on załatwił ci pracę. Był z ciebie dumny.

Pau pokręcił głową.

– Nie okłamuj się. Jeśli jest z kogoś dumny, to z ciebie. Nie zniósłbyś myśli, że wiesz życie na niższym poziomie niż ten, do którego przywykłaś. Dlatego załatwił mi pracę. Zrobił ze mnie męża skrojonego na miarę. Na twoją miarę. A ja zawsze zgadzałem się na wszystko bez protestów. Pokorny jak baranek. Teraz, gdy ośmielam się sam decydować o moim życiu, nie może tego znieść. Czy naprawdę tego nie rozumiesz?

Elena spojrzała na niego ze złością, Pau nigdy wcześniej jej takiej nie widział.

– Jeszcze mnie o to pytasz? Nie, nie rozumiem. Naprawdę niczego nie rozumiem!

Odwróciła się na pięcie i ruszyła do drzwi.

– Dokąd idziesz?

– Zobaczyć się z ojcem. Jestem mu winna przeprosiny.

Ale Elenie nie udało się spotkać z tatą. Kiedy weszła do wielkiego mieszkania przy Ronda de la Universidad, w którym się wychowała, powitała ją Claudina i poprosiła, żeby nie przeszkadzała ojcu.

– Wiesz, jaki jest. Lepiej będzie, jeśli zostawimy go w spokoju. Niech przejdzie mu złość. Jeśli pójdziesz do niego teraz, powie ci rzeczy, których później będzie żałował. Czyżbyś go nie znała?

Elena miała zawód wypisany na twarzy. Claudina zaprowadziła ją do salonu i zarządziła, żeby podano herbatę i ciasteczka.

– Nic w końcu nie miałyśmy w ustach, więc herbata i ciasteczka będą jak znalazł.

– Ależ, mam, jak mama może w takiej chwili myśleć o jedzeniu?

Claudina uśmiechnęła się. Uśmiech był jej najskuteczniejszą bronią. Kiedy dzieci były małe, jej sympatyczny uśmiech niczym najlepsze lekarstwo działał kojąco na ich wszelkie zgryzoty i wybuchy hysterii. Ileż rzeczy udało jej się uzyskać jednym zaledwie uśmiechem!

Najspokojniej ujęła w dłonie obie ręce córki i zapytała:

– A o tamtym wiesz coś nowego? Chodzi mi o...

– Mamo, nie mówiłaś nic tacie na ten temat, prawda?

– Niech Bóg uchowa! Wówczas, a i owszem, musiałybyśmy uciekać przed nim, gdzie pieprz rośnie. Nie masz powodów do obaw, mam zasznurowane usta.

Dziewczyna odetchnęła z ulgą, jakby zrzuciła z siebie wielki ciężar. Jednak zaraz z powrotem pogrążyła się w gęstym smutku, który wydawał się ją więzić.

– Tak, mam. Miałam rację. Teraz jestem już pewna – powiedziała cienkim głosem, jakby bała się, że ktoś mógłby ją usłyszeć.

Claudina ręką, w której wcześniej trzymała dłoń córki, chwyciła się za serce.

– Dobry Boże... – Matka i córka wpatrywały się w siebie przez dłuższą chwilę, obie zagubione i równie przerażone. – Jak się dowiedziałaś?

– Kazałam go śledzić.

– Córeńko, co za historia.

Elena odwróciła wzrok, jakby zawstydzona.

– A co miałam zrobić, mam? Musiałam mieć pewność. Nie mogłam dłużej wytrzymać. Teraz przynajmniej już wiem. Pau spotyka się z inną kobietą. W dodatku od dawna. Mają mieszkanie, w którym odbywają się ich schadzki. A od niedawna widuje się też często z chłopcem jedenasto- czy dwunastoletnim, który jak się wydaje, jest synem jej i...

Nie miała siły dokończyć. Padła na kolana na podłogę i oparła głowę na łonie matki, szukając ciepła. Od stóp do głów przechodziły ją dreszcze, była przybita, krwawiło jej serce, a oczy miała pełne gorących łez.

– Córeńko...

Claudina pogładziła delikatnie jej jedwabiste, błyszczące włosy, kruczoczarne, które tyle razy w przeszłości czesała. Pomyślała, że córka ma wszystkie przymioty, była piękna, mądra i nie brakowało jej pieniędzy. Jak ktokolwiek mógł wzgardzić nią w ten sposób? Doszła do wniosku, że wszyscy rodzice zawsze dwoją się i troją, żeby ich dzieci były szczęśliwe, oraz że rozczarowanie i smutek Eleny zostaną jej w sercu już na zawsze.

– To wszystko moja wina, mam... – powiedziała Elena, szlochając niczym małe dziecko. Malutka dziewczynka, w którą na powrót chciała się zamienić.

– Ależ, córeńko, co ty opowiadasz?

– Nie dałam mu dzieci. Myślałam, że on też ich nie potrzebuje, że jesteśmy szczęśliwi tylko we dwoje i... Sama mama widzi. Znalazł sobie rodzinę. Prawdziwą, kompletną rodzinę.

Claudina odstłoniła twarz, którą córka starała się za wszelką cenę ukryć w fałdach jej spódnicy.

– Spójrz na mnie i posłuchaj uważnie: nie jesteś niczemu winna. To on cię zdradził. Słyszysz? – Wyjęła z rękawa chusteczkę, po czym otarła córce spływające po policzkach łzy. Swojej ukochanej córeczce. – Tak lepiej, a teraz powiedz mi, co dalej zamierzasz?

Elena spojrzała matce w oczy, szukając odpowiedzi na to pytanie, które zadawała sama sobie wielokrotnie.

– Nie wiem, mam, naprawdę nie wiem.

– Pamiętaj, że obojętne, co postanowisz, zawsze stanę po twojej stronie, możesz na mnie liczyć.

Elena nie mogła dłużej się powstrzymać i wybuchnęła płaczem. Wyobraziła sobie swoje życie jako walizkę, do tej pory pełną wszystkiego, czegokolwiek pragnęła, a w której teraz, po tej katastrofie, wałały się już tylko pojedyncze strzępki.

W środę Pau wyczekiwał niespokojny spotkania z Laią. Pragnął się z nią kochać, osiąść ją, poczuć, że należy do niego. Przede wszystkim jednak chciał opowiedzieć jej o wszystkim, co mu się przydarzyło. Dlatego że od owej niedzieli, kiedy Pau zrzucił wreszcie maskę, którą przywdziewał przed Novellami, między nim a Eleną zaległa pełna przemilczeń cisza. Cisza, która groziła wybuchem i rozerwaniem ich na strzępy.

Chciał móc opowiedzieć Lai o nowych projektach wypełniających jego życie i zobaczyć zachwyt w jej oczach. Szczery podziw, który dawał mu siłę i napawał go dumą. Podziw, z którym już dawno nie patrzyły na niego oczy Eleny. Utracony zachwyt, zastąpiony teraz, co widział wyraźnie, przez zimne błyski i ostre spojrzenie, które sprawiały, że narastała w nim chęć, by od niej uciec.

Zrobił, co było w jego mocy, by nie stracić zimnej krwi i nie pospieszyć się zanadto. W czasie tych trzech dni pełnych ciszy podjął szereg decyzji, które uważał za niecierpiące zwłoki. Nie mógł już dłużej czekać. Dłużej milczeć. Jakaś nowa siła, niespożyta, przerastająca jego samego i jego wolę, przyspieszała jego działania. Zdawał sobie jednak sprawę, że zanim podejmie jakąkolwiek nieodwracalną decyzję, musi porozmawiać z Laią.

Właśnie dlatego przyszedł wcześniej do ich małego studia przy ulicy Bonanova. Jakżeby się cieszył, gdyby akurat tego popołudnia Laia, wiedziona tą samą nagłą potrzebą, czekała już tam na niego niecierpliwie. Kiedy wszedł do środka, szybko zauważył, że okiennice są zamknięte, a jedynie przez szpary przeciska się odrobina światła. Otworzył je. Niebo pociemniało. Od początku czerwca padało każdego popołudnia. W tym roku lato guzdrało się, jakby niespieszno mu było nadejść.

Jedynie myśl o tym, że niedługo będzie mógł porozmawiać z Laią, opowiedzieć jej o swojej decyzji, żeby, dla dobra ich wszystkich, zakończyć swoje małżeństwo i rozpocząć z nią nowe życie, osładzała dłużący mu się w nieskończoność czas oczekiwania. Obawiał się też, że Laia nie przyjdzie na spotkanie.

Kiedy usłyszał znajomy zgrzyt zamka, serce zabiło mu mocniej. Ruszył jej na spotkanie niczym podekscytowany nastolatek i pocałował ją w usta. Był to namiętny

pocałunek, który ona odwzajemniła, pełna pożądania, przywierając do niego całym ciałem. Kiedy ich usta się od siebie oderwały, poszukali się spojrzeniem. Oczy Lai błyszczały ze szczęścia, a Pau poczuł w środku ukłucie, które przeszło go na wskroś, zwiastując, że zaraz nastąpi coś niezapowiedzianego. Z trudem odpędził od siebie to wrażenie, starając się nie myśleć, że czasami jedna spadająca gwiazda może otworzyć puszkę Pandory.

– Nie mogłem się ciebie doczekać. Mam ci tyle do opowiedzenia.

Laia uśmiechnęła się podekscytowana i zasłoniła mu ręką usta.

– Och, nie! Ja też mam ci coś do powiedzenia. A jak dobrze wiesz, panie mają pierwszeństwo.

Podeszli do drzwi balkonowych, trzymając się za ręce. Znowu padało. Po szybie spływały krople deszczu. Mimo to na zewnątrz było ciepło, w powietrzu czuło się lato. Laia otworzyła drzwi i głęboko odetchnęła. Po czym usiedli naprzeciwko siebie.

– No dobrze, mów... – odezwał się Pau, niecierpliwy, walcząc sam ze sobą i pośpiechem.

– Jestem taka szczęśliwa... – zaczęła Laia, odwlekając jeszcze chwilę to, co miała do powiedzenia.

Pau drżącą ręką zapalił papierosa, a Laia niczym zaczarowana wpatrywała się w żar. Nagle nachyliła się w jego stronę i położyła mu dłonie na kolanach.

– W lipcu nie pojedę do Paryża na pokaz zimowej kolekcji...

Przez dłuższy czas wpatrywał jej się w oczy.

– Ach, nie?

– Nie. W lipcu tam zostanę! Jadę do Paryża na trzy miesiące. Molins chce, żebym się nauczyła, ponieważ wymagania wobec salonu są coraz większe. Chce, żebym podszkoliła mój francuski, obejrzała wszystkie kolekcje. Mam nawet list polecający do Chez Rochas – wypowiedziała jednym tchem, po czym nabrała powietrza i ciągnęła dalej: – Wyobrażasz sobie? Będzie to rodzaj stażu... Chez Rochas! Właśnie otworzyli nowy salon w alei Matignon, w samym sercu paryskiej dzielnicy mody!

Pau osunął się na oparcie krzesła i zgasił papierosa w popielniczce. Spojrzał przez okno. Padało mocniej niż przedtem. Burzowe niebo napełniło go jeszcze większym smutkiem. Myślał pospiesznie. O wszystkim.

– Nic nie mówisz. Nie cieszysz się?

– Trzy miesiące? Jestem po prostu zdziwiony.

Nie był to jeszcze koniec świata. Ale była to ostatnia rzecz, na jaką miał teraz ochotę.

– To wielka szansa...

– A twój syn?

Laia spojrzała na niego z uniesionymi brwiami.

– Dlaczego nagle poruszasz ten temat? Nie sądzisz, że to moja sprawa?

Pau poczuł, że serce wyrywa mu się z piersi. W ciągu kilku minut wszystko się zmieniło. Poczuł złość. Wielką. Wiedział, że powinien się cieszyć ze względu na nią, to była dla niej wspaniała szansa. Starał się nie przelewać na nią gwałtownych emocji, których doświadczał, więc zmusił się do uśmiechu. Ale czuł się niezręcznie, niczym

oszust.

– Oczywiście, przepraszam. Zaskoczyłaś mnie.

Rzuciła mu się na szyję szczęśliwa. Podał się temu uściskowi z zamkniętymi oczami. Poszli ze sobą do łóżka, a kiedy tylko skończyli się kochać, ona ubrała się i wyszła. Miała tyle rzeczy do zrobienia, wyjaśniła. Został sam, wpatrując się w puste miejsce obok. Ślad po niej.

Na nogach niczym z waty zagłębiał się w podejrzone zaułki dzielnicy Pequín, zalanej przez wrześnie deszcze i tonącej w błocie. Nie był pewien, czy go tu znajdzie, ale jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mu, że intuicja go nie myli. Zatrzymał się, dysząc, zdjął kapelusz i przeczesał palcami krótkie włosy. Nie przypominał sobie, by kiedykolwiek najadł się takiego strachu, był taki zaniepokojony. Ogarnął spojrzeniem okolicę: najlichsze baraki, najbrudniejsze i najbardziej odrażające w całej Barcelonie.

Kiedy minęła go Cyganka handlująca czosnkiem i wykrzywiła usta w bezzębnym uśmiechu, pomyślał, że sceny, które tak bardzo lubił fotografować, nagle ożyły.

– Co robisz tutaj w naszych *tiros*, okolicach, taki panicz? Oj, *barbi*, laluniu! Uważaj ty lepiej, żeby cię przez jakiś *descuit*, nieuwagę, nie orznęli!

Pau spojrzał na ten strzęp człowieka ledwie przypominający kobietę, która raz po raz wyrzucała z siebie katalońskie słowa, z oczami wielkimi jak talerze i coś warknęła.

– Zjeżdżaj, chamie! Nie musisz się od razu wkurwiać! – rzuciła na odchodnym, miotając przekleństwa i wyklinając go od najgorszych.

Poszedł dalej, zagłębiając się w zabłocone ulice, które – wydawało się – chciały go pochłonać, podobnie jak niepokój, który przepelniał mu serce. Zapadał zmierzch, światło stawało się coraz bledsze, dzielnicowe szynki były przepelnione i wydobywał się z nich gęsty dym pełen najróżniejszych cuchnących woni. Nagle Pau się zatrzymał. Niedaleko siebie usłyszał krzyki i piski, które zwróciły jego uwagę. Podeszedł bliżej. W miejscu, w którym się znalazł, bójkę zdarzały się często i lepiej byłoby przejść niezauważonym. Ale coś nieokreślonego pociągnęło go w tę stronę i Pau w końcu zbliżył się do grupki cieni otaczających dwóch bijących się na pięści mężczyzn. Jeden z nich był wysoki i szczupły, miał przetłuszczone włosy, a w oczach wściekłość; drugi, jego przeciwnik, był lepiej zbudowany i miał postrach samym spojrzeniem.

Nie było mu łatwo utorować sobie drogę w tym tłumie, który krzycząc, gwizdząc, rzucając przekleństwa i okrzyki, zachęcał do walki. Wówczas po przeciwnej stronie zobaczył nieruchomy cień, który przykuł jego całą uwagę. To był on? Krzyknął i spróbował przedostać się na drugą stronę zaimprovizowanego ringu, ale po drodze potknął się o ciało jednego z bokserów leżące na ziemi. Poczł wyładowanie elektryczne, które rozeszło mu się po całym ciele. Odskakując na bok, stracił równowagę. Zatoczył się i upadł na brzuch. Usiłował jeszcze podnieść głowę, ale z powrotem opadła mu na ziemię. Potem miał wrażenie, jakby się pocił. A potem już nic.

Wrzesień w Paryżu. Laia otworzyła oczy, w których przejrzało się szare zimne światło wpadające przez okno pokoju hotelu Mont-Thabor. Rozbudziła się całkowicie, porzucając schronienie ciepłej pościeli, i ziewnęła. Natychmiast ziewnięcie przemieniło się w najszczęśliwszy na świecie uśmiech. Wstała powoli i podeszła do okna. Otworzyła je. Świeże powietrze wypełniło jej płuca.

Jej jedynym zmartwieniem tego poranka była kwestia, w co się ubrać na spacer z Monique, nową przyjaciółką poznaną w Chez Rochas. Może była to dobra okazja, żeby

zaprezentować się po raz pierwszy w intensywnie zielonym kostiumie *tailleur*, który doskonale podkreślał kolor jej włosów. Uwielbiała spacerować paryskimi uliczkami elegancko ubrana, w butach na nieprawdopodobnie cienkim obcasie, które wyszczuplały nogi, ale zmuszały do stawiania drobnych kroków.

Podczas kąpieli starała się odgadnąć plany Monique na ten dzień. Zawsze ją zaskakiwała. Przyjaciółka mawiała, że jesienią w Paryżu nastają szare deszczowe dni, a ulice wyludniają się, ale Laia zupełnie się z nią nie zgadzała. Wręcz przeciwnie, uważała, że wrzesień w Paryżu był momentem delikatnej przemiany, przejścia między letnim lenistwem a okresem wzmożonej energii, pełnej obietnic i planów.

Uczesała się i umalowała przed wielkim lustrem w łazience. Zdecydowała, że wieczorem zadzwoni do domu. Minęły już dwa dni od ostatniej rozmowy i była przekonana, że przyjdzie jej wysłuchiwać skarg Engracii. Uśmiechnęła się. Z ręką na sercu mogła powiedzieć, że brakowało jej nawet reprimend Engracii! Pomimo dzielących je kilometrów ta tęsknota miała słodki, wcale nie gorzki, posmak.

Tęskniła także za synem. W czasie tych dwóch miesięcy spędzonych w Paryżu dużo o nim myślała. Była świadoma, że nie zawsze zachowywała się tak, jak powinna. Nie wychowała go z odpowiednim rygorem i Valentí rósł uczepony spódnicy Engracii, łasy na jej pieśczoły. Jak najszybciej musiało się to skończyć! Valentí miał już jedenaście lat, robił się coraz starszy. Kiedy tylko wróci do domu, zajmie się bardziej osobiście jego wychowaniem, wprowadzi zasady. Nie chciała, żeby zszedł na złą drogę. Niedługo chłopiec wejdzie w trudny wiek, jak zapewniali ją wszyscy dookoła. Trzeba będzie pomyśleć o zmianie szkoły. Może przydałaby się nawet szkoła z internatem?

Podeszła do szafy i wyjęła z niej zielony kostium *tailleur*. Ostrożnie rozłożyła go na łózkę i spozrzała na niego z uśmiechem. Zaczęła się ubierać.

Przez ostatnie tygodnie długo zastanawiała się także nad swoim związkiem z Pau. Myślała o nim z mieszaniną tęsknoty i rozczarowania. Nie mogła powiedzieć, że nie była w nim zakochana. Co to, to nie, ale stawało się dla niej coraz bardziej oczywiste, że czas nadwątlił ich relację. Przez długie lata, po Ferranie Closie, Laia postanowiła nie przywiązywać się do nikogo ani do niczego. Wówczas pojawił się Pau, a jej wcześniejsze zamierzenia odeszły w niepamięć. Żyła w głębokiej ciszy zakazanej miłości, zakochana w kimś, kto nigdy nie mógł do niej należeć.

Pobyt w Paryżu, dystans do wszystkiego i do wszystkich, otworzył jej oczy na inne możliwości. Często w czasie tych paru miesięcy, spacerując wieczorami po oświetlonych bulwarach albo w czasie pracy w ogromnych salach Chez Rochas wysłanych królewskimi obiciami, w świetle rzucanym przez żyrandole, odkrywała ze zdziwieniem, że inne życie było możliwe. Życie, w którym Pau niekoniecznie poradziłby sobie tak znakomicie. Przez te wszystkie lata nigdy nie myślała, że ich miłość mogłaby dobiec końca. A jednak wiedziała, że wszystko go ma. I uświadamiała sobie, że w rzeczywistości ich związek nie wymagał od nich wielu wyrzeczeń. Umościli się w nim wygodnie, chcąc dopełnić swoje życie, każde z nich własne, dzięki miłości, zachowując jednocześnie bezpieczny dystans. Nigdy nie znaleźli, być może nawet nigdy nie szukali, nici, którymi mogliby uszyć wspólne życie. I jeśli Laia była czegoś pewna, to tego, że czas na ich poszukiwanie dobiegł końca. Czwała, że w jej życiu rozpoczyna się nowy etap pełen niezwykłych

możliwości. I nie chciała zamykać przed sobą żadnych drzwi. Nauczyła się, płacąc za to wysoką cenę, że żar namiętności może oslepić, uniemożliwiając zobaczenie czegokolwiek. A teraz chciała mieć oczy szeroko otwarte.

Przejrzała się w dużym lustrze z góry na dół i doszła do wniosku, że wygląda doskonale. Była gotowa zejść na śniadanie.

Zjechała trzy piętra windą i skierowała się do małego, uroczego pokoju stołowego, w którym serwowano śniadania. Nie zdążyła nawet usiąść, kiedy kelner przekazał jej wiadomość z recepcji: jest do niej pilny telefon. Z Barcelony.

Podeszła do aparatu z bijącym sercem.

– Tak? Słucham?

W miarę jak słuchała roztrzęsionego głosu Engracii zdającej jej relację przez słuchawkę, twarz Lai poszarzała.

Tego poniedziałku Valentí nie wrócił do domu po popołudniowych zajęciach. Zaniepokojona Engracia czekała przez kilka godzin, siedząc w fotelu w kuchni. Przygotowała zieloną fasolkę z ziemniakami na kolację i nawet zmusiła się do włożenia do piekarnika biszkoptu, który, o czym dobrze wiedziała, chłopak uwielbiał. Robiła, co mogła, żeby skupić się na pieczeniu, odrzucając złe przeczucia, które z minuty na minutę trapiły ją coraz bardziej.

Wyjęła biszkopt z piekarnika i przełożyła go na półmisek stojący na stole w kuchni. Wyszedł doskonale, taki najlepiej jej smakował: puszysty i złocisty. Spojrzała na niego uradowana. Nie umiałaby powiedzieć, jak długo trwała w tej pozycji, wpatrując się w ciasto. Zareagowała dopiero wówczas, kiedy na policzkach poczuła lepką wilgoć łez toczących się po twarzy. Wstała i powłócząc nogami, poszła poszukać kartki i ołówka. Trzęsącą się ręką napisała dziecięcym charakterem pisma analfabetów wiadomość do Pau. Kiedy Laia wyjechała, powiedział jej, że może być spokojna, jeśli cokolwiek zdarzyłoby się podczas jej nieobecności, mogła na niego liczyć. Wyjęła kilka monet z blaszanej puszki, w której trzymała pieniądze na zakupy, i zeszła do stróżówki. Zawołała Quimeta, średniego syna dozorczyńni, ośmioletniego, bardzo sprytnego chłopca i wręczyła mu wiadomość, pieniądze i adres jednego z barcelońskich hoteli ze słowami:

– Idź i przekaz to temu panu. Tutaj masz jego nazwisko. A tutaj adres. Jeśli go nie znajdziesz, powiedz w hotelu, żeby przekazali mu to najszybciej, jak to możliwe.

W ciągu półtorej godziny pojawił się u niej Pau. Zobaczywszy go, Engracia oparła głowę o jego pierś i wybuchnęła płaczem. Kiedy się uspokoiła, Pau powiedział:

– Będzie pani musiała zadzwonić do Lai. – Kobieta skinęła głową. – Proszę się uspokoić, Engracio. Jestem pewien, że Valentiemu nic się nie stało.

– Chłopak wychowuje się zupełnie sam, niczym jakiś dzikus, panie Pau. Ja nie mogę mu ciągle robić za matkę. Jest samotny. Bardzo samotny.

Pau objął kobietę. Po czym zastanowił się, co robić dalej.

Engracia siedziała w jadalni, podczas gdy Laia chodziła po niej w tę i z powrotem,

niczym lew zamknięty w klatce. We wtorek rano dowiedziała się o zniknięciu syna i czym prędzej wyruszyła w drogę. Na miejscu pojawiła się w środę rano. Zaraz potem poszła na komisariat, gdzie powiedziano jej, że pracują nad tą sprawą, ale obecnie nie mają jeszcze żadnych informacji, że dzieci w tym wieku uciekają bardzo często. I że będzie lepiej, jeśli zaczeka w domu.

Nie wiedziała, co robić. Wchodziła do pokoju Valentiego i buszowała w jego rzeczach, szukając jakiegokolwiek wskazówki, sama nie wiedziała czego. Wychodziła i przelewała swoje niepokoje na Engracię, zasypywała biedaczkę pytaniami, na które ta nie umiała ani nie wiedziała, co odpowiedzieć.

Mijały godziny.

Laia wyszła na balkon. Po pierwszym deszczowym tygodniu września miało się wrażenie, że do miasta wróciło lato. Żar lał się z nieba, które z kolei poczerniało i wydawało się coraz groźniejsze. Jedynie białe stropodachy odcinały się w ciemności.

Engracia zawodziła w rogu, siedząc nieruchomo, z rękoma niczym martwe ptaki spoczywającymi na spódnicy. Laia westchnęła głęboko, miała zamiar wyjść. Pójdzie znowu na komisariat, coś przecież musiała robić. Dokładnie w tym samym momencie ktoś zadzwonił do drzwi. Lotem błyskawicy znalazła się w przedpokoju.

Otworzyła.

To byli Pau i Valentí.

Od strony kuchni roznosił się smakowity zapach, który wnikał we wszystkie kąty i przypominał im, że od kilku godzin nie mieli nic w ustach.

W czasie gdy Engracia kończyła przygotowywać obiad, Valentí się kąpał. Przyszedł wyziębiony, wygłodzony i przerażony w wyniku tych niespełna dwóch dni spędzonych poza domem. Pau również nie wyglądał najlepiej. Ukradziono mu marynarkę, a ubranie, które miał na sobie, było podarte i ubłocone. Na twarzy widniały sińce po otrzymanych razach.

Laia zaserwowała mu kieliszek czegoś wystarczająco mocnego, żeby przywrócić go do życia, i starała się opatrzeć mu rany.

Następnie usiedli naprzeciwko siebie. Sami. W ciszy.

– Czy mógłbyś mi to wszystko wyjaśnić?

Pau podrapał się po rozbitym podbródku. Grał na zwłokę, tak jakby trudno mu było znaleźć odpowiednie słowa, mogące wyrazić to, co miał jej do powiedzenia.

– Kiedy Engracia zawiadomiła mnie, że Valentí zniknął, zacząłem się zastanawiać, co się z nim mogło stać. Nie tak dawno zabrałem go ze sobą do dzielnicy Pequín, gdzie robiliśmy zdjęcia. Zainteresował się fotografią. Zrobił już kilka...

Lai wydawało się, że śni na jawie. Był to jakiś koszmar.

Pau ciągnął dalej. Ukrywanie czegokolwiek nie miało już sensu.

– Powiedział, że jak dorośnie, też chce zostać fotografem i robić zdjęcia miasta. Wyjaśniłem mu, że do dzielnicy Pequín nie może chodzić sam, dopóki nie będzie bardzo duży. Zapytał dlaczego. Odpowiedziałem mu: „Można tam iść tylko wtedy, jeśli umiesz sam sobie poradzić, inaczej nie będziesz mógł stamtąd wyjść. Zgubisz się i nikt cię nigdy

nie znajdzie”.

Podniósł wzrok i utkwił spojrzenie w Lai. Było ostre, zabójcze, a oczy niczym dwa noże wbijały mu się w skórę. Nie otworzyła ust, a Pau mówił dalej:

– Dzisiaj po południu, po upewnieniu się, że policja nie jest zdolna dojść do niczego, wróciłem do dzielnicy Pequín. Serce podpowiadało mi, że go tam znajdę. Sam, zupełnie niechcący, podpowiedziałem mu, gdzie najlepiej ukryć się w Barcelonie, tak żeby nikt cię nie znalazł. Na ulicy zaczęła się jakaś szarpanina, z którą nie miałem nic wspólnego, ale zostałem w nią wciągnięty. Okradziono mnie, pobito i zostawiono na pastwę losu. Kiedy się ocknałem, zobaczyłem, że Valentí sprowadził pomoc i... gdyby nie on...

Lai zerwała się z miejsca i odwróciła do niego plecami. Skrzyżowała ręce na piersi, wyciągnęła się jak struna.

– Od jak dawna znasz mojego syna?

– Nie wiem... Od... jakichś dwóch lat.

– Nie mogę w to uwierzyć!

– Laiu, porozmawiamy o tym później. Teraz najrozsądniej będzie dowiedzieć się, dlaczego Valentí uciekł. Co mu się stało. Może jest to jakaś forma protestu przeciwko sytuacji, w której...

Lai była nieugięta.

– Chcesz teraz bawić się w tatusia?

– Nie! Po prostu się o niego martwię, nic więcej!

Odwróciła się, stając z nim twarzą w twarz, rozwścieczona. Z jej spojrzenia dało się wyczytać, że nadal nie mogła uwierzyć w to, co się działo.

– I dlatego zabierasz go ze sobą, żeby fotografować dzielnicę Pequín, w której mieszka najgorsza hołota z całej Barcelony? I co jeszcze? Dokąd jeszcze go zabrałeś? Jak często się spotykaliście? A może zabierałeś go do domu, żeby poznał twoją żonę?

Na twarzy Pau zastygł grymas bólu. On także wstał. Podszedł do niej. Bolało go wszystko, ale najbardziej serce.

– Nie! Nic nie rozumiesz! Martwiłem się o niego. On czuje się samotny, Laiu.

– Też zamierzasz mnie uczyć, jak powinnam go wychowywać? Ty, który nie masz własnych dzieci!

Chciał odeprzeć zarzuty, więc mówił dalej, tłumacząc się:

– Nie mieszkam już w domu. Zostawiłem Elenę. Teraz, dopóki nie znajdę czegoś innego, zajmuję pokój w hotelu. Jeśli chciałabyś...

Lai przymknęła na chwilę powieki. Po czym wpatrując się w niego szeroko otwartymi oczami, powiedziała lodowatym głosem:

– Nie spodziewałam się tego po tobie. Zdradziłeś mnie. Oszukałeś mnie. Wynos się!

Pau poczuł, że ziemia osuwa mu się spod nóg. Widział i słyszał lodowate zimno w jej oczach i w jej głosie, które przenikało powoli całe jego ciało, zamrażając jego marzenia i projekty.

– Laiu, Laiu... poczekaj, pozwól mi to sobie lepiej wyjaśnić. Ja...

Usłyszeli za sobą czyjś krzyk. Odwrócili się równocześnie i zdążyli jeszcze

zauważyć, jak Engracia podnosi obie ręce do piersi i z wyrazem bólu na ustach upada na podłogę.

To była skromna uroczystość. Po prawej kobiety, na przedzie nieznana siostrzenica Engracii, za nią cztery sąsiadki i dozorczyńni, a Laia z Valentim obok. Po lewej stronie w ławkach mężczyźni: dwóch dalekich krewnych i sąsiedzi. W jednej ławce zasiadły gorliwe dewotki, które uczestniczyły w tego rodzaju ceremoniach, a w głębi, mający za towarzystwo jedynie samotność, siedział Pau.

Ksiądz wychwalał skromność i dobroć tej prawdziwej chrześcijanki, którą znał od wielu lat i która zawsze była, jak powiedział, gotowa wszystkim pomóc.

Kiedy trumnę z ciałem Engracii wyprowadzano długim korytarzem głównej kościelnej nawy, Valentí nie potrafił powstrzymać szlochu, z którym walczył przez całą uroczystość. U jego boku kroczyła wyprostowana Laia, ubrana cała na czarno, a jej błyszczące wilgotne oczy schowane były pod krótką woalką kapelusza. Nie zatrzymała się, kiedy mijala Pau, ale Valentí spojrzał na niego i zwolnił kroku. Odwzajemnił jego melancholijne spojrzenie i powiódł za nim wzrokiem, dopóki postać chłopca, który stał już niemal na ulicy, nie zamieniła się w kontury zarysowującej się pod światło sylwetki.

Kiedy wszyscy wyszli, Pau na nowo usiadł w ławce i zamknął oczy. Natychmiast zobaczył inną parę oczu. Przysiągł sobie, że zachowa na zawsze w pamięci ich kolor miodowo-burzowy i czającą się w nich zawsze czujną inteligencję, tę samą, z którą patrzył Valentí.

Oczy dziecka.

Oczy, w których odbijały się tęsknota i smutek.

„Jest niedziela, piąty listopada tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego roku. Prasa informuje, że jutro, w poniedziałek, w Pałacu Muzyki Katalońskiej odbędzie się prelekcja pana Francesca Cambó na temat Ligi Katalonii i najbliższych wyborów, która będzie transmitowana przez radio. Na deskach teatru Poliorama wystawiany jest *Święty płomień*, sztuka Williama Somerseta Maughama. W ramach rozgrywek piłkarskich hiszpańskiej ligi dzisiaj zmierzą się ze sobą między innymi: Español z Donostią, Oviedo z Barceloną i Arenas z Madrytem. Gazety polecają pastylki Aspaimé, które całkowicie wyleczą każdy kaszel, i Cerebrino Mandri, boskie remedium dla pokrzepienia ciała.

Na północy, pod germańskim niebem, zbierają się burzowe chmury, obywatele pochodzenia niearyjskiego konsolidują się, domagając się od urzędujących władz przyznania im tych samych praw, którymi cieszy się reszta obywateli niemieckich”.

Laia nie czytała niedzielnej gazety i nie martwiła się tym, co działo się pod niemieckim niebem, nie była również na bieżąco, jeśli chodziło o nowinki teatralne czy sportowe. Umówiła się na kolację z Genisem i pieczołowicie stroiła się przed lustrem. Stanowczo za długo się nie widzieli, a ona musiała się komuś zwierzyć. W ostatnim okresie wszystko wydawało się iść nie po jej myśli, a problemy jeszcze się nawarstwiały. Od śmierci Engracii ich życie rodzinne zaczęło toczyć się po równi pochyłej. Początkowo myślała, że sprawy przybiorą pomyślny obrót, kiedy znajdzie jej godną zastępczynię. Ale już dawno zaprzestała poszukiwań. Zdała sobie bowiem sprawę, że osoba, której tak gorliwie szukała, po prostu nie istnieje. Zatrudniała więc, żeby jakoś pokryć jej brak, kolejne kobiety, które robiły co w ich mocy, by sprostać jej oczekiwaniom, ale nigdy im się to nie udawało.

Niemniej jej największy problem, prawdziwa udręka, miała swoje imię. Nazywała się Valentí.

Pięć minut po wpół do dziewiątej Laia dotarła do Au Pingouin na ulicy Escudellers. Genís czekał na nią przed wejściem. Wzięła go pod ramię i niczym szczęśliwa zakochana para weszli do lokalu. A ponieważ świetnie wiedzieli, że budzą zainteresowanie, gra pozorów sprawiała im przyjemność. I naprawdę wyglądali jak para filmowa. Ona w ciemnozielonej koktajlowej sukience z aksamitu, krojonej ze skosu, która odsłaniała jej ramiona i plecy, a do tego jeszcze te fale, w które układała swoje piękne kasztanowe włosy, zasłaniające jej pół twarzy. On, bardzo wysoki, o wyjątkowo jasnych włosach i z tymi oczami, które niekiedy wydawały się szare, a innym razem zielone, i przydawały jego wyglądowi germańskich cech, w dwurzędowej marynarce i z białą muchą, ostatni krzyk mody, w której wypadało się pokazywać jedynie wieczorem i która była żywym dowodem męskiej fantazji lat trzydziestych.

Usiedli i zamówili: przystawkę Pingouin dla Lai i minestrone dla Genisa. Na dobry początek wypili także po powitalnym koktajlu, a Laia poruszyła temat, na który zwykła żartować:

– Widziałeś, jak wszyscy na nas patrzą? Nie wydaje ci się, że dobrana z nas para?
– Genís rzucił jej drwiące spojrzenie znad swojej Mary Pickford, koktajlu na bazie jasnego rumu i soku ananasowego. – Musimy wyglądać na doskonale dobrane małżeństwo –

ciągnęła Laia swoją grę, zachwycona. – Nie, co ja plotę! Doskonale dobrane małżeństwo, phi, a cóż to takiego?! Musimy wyglądać na parę kochanków. Otóż to, jak para kochanków. – Genís sęczył dalej drinka, nie odrywając wzroku od Lai i rozciągając usta w uśmiechu. Wiedział, do czego zmierza. – Oczywiście, jeśli to ty byłbyś moim kochankiem, wszystko wyglądałoby inaczej, nieprawdaż? – On uśmiechnął się jeszcze szerzej i zmrużył oczy, delektując się ostatnimi kropelkami Mary Pickford. – Dlatego że ty, Genisie, jesteś ulepiony z innej gliny. Taki lojalny, tak niezdolny do okłamania kogokolwiek.

Genís odstawił kieliszek na blat stołu. Dokładnie w tej samej chwili pojawił się kelner z ich zamówieniem. Podał im talerze i zabrał puste kieliszki. Poczekali, aż skończy, nie odzywając się ani słowem, nie przestawali się uśmiechać, patrząc na siebie, grali dalej. Kiedy odszedł, Genís odezwał się:

– I jak zwykle dochodzimy do tego samego wniosku, moja droga przyjaciółko. Jeśli byłbym twoim kochankiem, nie mógłbym być tym, kim jestem, nie byłbym sobą, to byłby ktoś inny, kto wobec ciebie zachowywałby się inaczej i, czego możemy być pewni, dałby się ponieść nieodpartemu pociągowi fizycznemu, a co za tym idzie, kochałby cię w zupełnie inny sposób niż ten, w który ja cię kocham.

Laia poprawiła się na krześle. Nie zdążyła jeszcze spróbować swojego dania. Uśmiech wybiegł jej na usta, zaczepny, wyzywający, gdy tymczasem ich niewinna gra zaczynała wchodzić na poziom bardziej intymny, którego Genís był gorliwym strażnikiem.

– A jak mnie kochasz, jeśli można wiedzieć? Powiedz... jak przyjaciółkę? Jak siostrę? Jakkolwiek by to było, jestem pewna, że kochasz mnie w zupełnie inny sposób niż swojego „barona”, prawda?

Oczy Genisa nieco spochmurniały. Jakby zapowiadając burzę. Niemal równocześnie spuścił je na talerz i zmusił się do przelotnego uśmiechu. Genís nie lubił mówić o swoich uczuciach ani o swoich związkach. Nauczył się, że najlepiej dla niego samego było trzymać swoje życie intymne, zbyt skomplikowane, pod kluczem. Ale z Laią było inaczej. Laia była kimś więcej aniżeli przyjaciółką. Była bezpieczną przystanią, do której mógł przybić jego samotny okręt.

Odsunął od siebie talerz i nalał im jeszcze po kieliszku wina, gotów do rozmowy.

Abelardo Mascarell i Mainat, dla przyjaciół i znajomych Lalo, nie należał do arystokracji innej aniżeli finansowa. Oznaczało to mniej więcej tyle, iż nie miał żadnego tytułu, ale za to posiadał od groma pieniędzy. Właśnie dlatego ktoś w Santa Eulalii nadał mu przydomek „baron”, który przylgnął do niego na dobre.

Kiedy Genís go poznał, Lalo miał czterdzieści lat i jak na swój wiek prezentował się bardzo dobrze. Nosił się nienagannie i zgodnie z panującą modą, nawet jeśli noszenie skrojonych na miarę garniturów i jedwabnych koszul wymagało od niego podjęcia morderczej walki ze spędzającą mu sen z powiek nadwagą, która groziła mu przemianą w przysadzistego mężczyznę. Rzecz, której obawiał się do tego stopnia, że aby tylko jej uniknąć, był zdolny wyrzec się dobrej strawy i napitków nawet na dłuższy czas. Jedynie

w ten sposób, hamując apetyty i zamięłowania bon vivanta, utrzymywał w ryzach zaczątkowe krągłości swojego ciała. Z twarzy w dalszym ciągu przypominał młodego lekkoducha i fanfaron, którym był przez całe życie. Jego małe szklane oczy wpatrywały się we wszystko obojętnie i z arogancją. Do tego miał wąskie usta, na których zwykł zarysowywać się drwiący uśmiech. Włosy i broda zaczynały siwieć. Mimo eleganckiego arystokratycznego wyglądu, który Lalo Mascarell chciał za wszelką cenę zachować, i obsesji, by nie zaniedbać własnej tuszy, było w nim coś odpychającego, jakaś fizyczna cecha, może na przykład skóra rozciągnięta na policzkach niczym na bębnie. A może coś subtelniejszego, odwieczny wygląd zadowolonego amanta. A może, któż to wie, tym, co odsuwało go od innych, nie było nic zewnętrznego, tylko coś, co tkwiło w jego wnętrzu, jakaś duma, która tchnęła okrucieństwem.

Jego ojciec, Facundo Mascarell, odniósł prawdziwy sukces. Zainwestował oszczędności odkładane przez pół życia, przepracowanego w przemyśle włókienniczym, w małe przedsiębiorstwo zajmujące się przędzalniami bawełny. I poszczęściło mu się. Wielka wojna, która wybuchła w tysiąc dziewięćset czternastym roku, sprzyjała szczęściu Mascarella ojca. Zdobyte zyski zainwestował w nowe przędzarki oraz krosna i na własne oczy mógł zobaczyć, jak jego fortuna powiększa się, czyniąc z niego bogatego człowieka.

Dzięki dobrej ocenie sytuacji ojciec dorobił się fortuny, która pozwoliła mu między innymi wysłać syna na studia za granicę. W roku tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym, czując, że jego dni są policzone, ojciec kazał po niego posłać. Zanim przeniósł się na tamten świat, udało mu się zaznajomić syna z tajnikami firmy i poradzić mu, żeby jak najszybciej się ożenił i skończył z hulaszczym, rozwiązłym życiem. Biedny człowiek w najśmielszych oczekiwaniach nie mógł przypuszczać, do jakiego stopnia nieprzyzwoity jest jego potomek, który wyrósł na prawdziwego rozpustnika i było mu zupełnie wszystko jedno, czy idzie do łóżka z kobietą, czy z mężczyzną, a jego bagaż doświadczeń był wypakowany przygodami nienadającymi się do opowiedzenia.

Po śmierci ojca Abelardo przejął firmę i natychmiast udowodnił, że niedaleko pada jabłko od jabłoni. Pod jego rządami Przędzalnie Mascarell rozrastały się zarówno jeśli chodzi o liczbę pracowników, jak i o wielkość interesu. Ulepszył maszyny i urządzenia w fabryce znajdującej się w dzielnicy Las Corts, w Barcelonie, otworzył biuro przy ulicy Diputación, w którym mieściła się administracja, i stamtąd zarządzał całą firmą.

Jeśli chodziło o pierwszą kwestię, związaną z tajnikami zarządzania, nie było najmniejszych wątpliwości, że zmarły Mascarell mógł spoczywać w pokoju. Firmie nic nie groziło, syn miał zarządzanie w małym palcu. Natomiast drugą kwestię, tę związaną z ożenkiem, Lalo odwlekał tak długo, jak tylko mógł. I byłby znowu odłożył ją na później, gdyby sytuacja życiowa nie zmusiła go do nagłej decyzji.

Po powrocie do Katalonii w tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym roku, po kilku latach kosztowania niczym nieograniczonej wolności, młody Mascarell nie miał najmniejszej ochoty się żenić. Dziewczeta z jego klasy społecznej, które widywał często na przyjęciach, koncertach i w teatrze operowym Liceo, wydawały mu się prowincjuszkami chętnymi do jak najszybszego zamążpójścia. W dzielnicy Paralelo, w samym sercu barcelońskiej rozrywki, kołysały się szyldy przedstawiające girlsy, które jemu wcale nie wydawały się prowokujące. Miłosne pragnienia Lala podążały bowiem

w zupełnie inną stronę. Te najskrytsze, o których nie można było mówić nawet szeptem w towarzystwie zdolnym przemykać oko na wiele, ale nie na wszystko, znajdowały zaspokojenie jedynie w niektórych lokalach Ravalu, potocznie zwanego chińską dzielnicą, w których zbierała się arystokracja o podobnych skłonnościach.

W jednym z takich lokali, prawdziwej świątyni rozpusty, Lalo znalazł bezpieczne schronienie. La Criolla była zapuszczoną norą, mieszczącą się w starym przemysłowym budynku przy ulicy Cid. Wśród stałych bywalców – przestępców, handlarzy narkotyków i alfonsów – przeważali prostytutki i homoseksualiści. To ci ostatni rozslawili lokal, w którym wymalowani i poprzebierani w lubieżne damskie łaszki próbowali sprzedawać swoje wdzięki najlepszemu oferentowi. Lalo Mascarell nie był jedynym mężczyzną z pozycją, który odwiedzał La Criollę. Wręcz przeciwnie, rozwiązłość, perwersja i wulgarność speluny zdawały się przyciągać tu wielu potomków katalońskiej burżuazji, a nawet arystokracji, poszukujących silnych wrażeń albo po prostu mających skłonności do voyeuryzmu.

W lokalu, w którym nawet grana muzyka wydawała się rozdarta, a namiętności wybuchały z wielką siłą, zwady i burdy były na porządku dziennym. Trudno było nie zostać w nie wplątany. I choć Mascarell zdawał sobie sprawę, że balansuje na krawędzi, i bardzo uważał, by nie stracić gruntu pod nogami, pewnej paskudnej nocy wmieszał się w awanturę. Jego nazwisko zostałoby splamione, gdyby nie wstawił się za nim właściciel lokalu, Pepe, który uchronił go od publicznego skandalu. Lala ta zabawa kosztowała wcale niemałą sumkę. I stała się momentem przełomowym w jego życiu. Abelardo Mascarell zobaczył bowiem stosunkowo wyraźnie, czym ryzykował, a do głowy przyszła mu druga rada ojca i poczuł, jakby wymierzono mu głośny policzek. Musiał sprawić, by jego życie, choć pozornie, stało się dystygowane, a on sam zaczął cieszyć się nieposzlakowaną opinią. Uznał, że powinien się ożenić.

Nietrudno było mu znaleźć odpowiednią kandydatkę. Szukał dziewczyny od siebie młodszej, a miał już wówczas trzydzieści osiem lat, uległej, dobrze ułożonej, wychowanej w poszanowaniu wartości i tradycji mieszczańskich, nie nazbyt inteligentnej ani zbyt rzucającej się w oczy. Przyszłej wzorowej matki dla swoich dzieci, która będzie odpowiednio prezentować się u jego boku. Znalazł wszystkie te przymioty w osobie Marii Isabel Roury i ożenił się z nią pewnego pięknego dnia wiosną tysiąc dziewięćset trzydziestego drugiego roku, dnia, który wstał pochmurny, ale chwilę później wyszło blade słońce.

Od tej chwili całe życie Marii Isabel Roury de Mascarell zależało od woli i zachcianek jej małżonka. Ściśle rzecz ujmując, Lalo i Genís poznali się, kiedy Mascarell, towarzysząc żonie, która była w czwartym miesiącu ciąży i chciała odnowić swą garderobę, zjawił się w Santa Eulalii.

Laia i Genís wybrali to samo danie główne, obydwójce zamówili *filets de barbue au gratin*, zapiekany filet z flądry. Laia podniosła do ust kieliszek i upiła łyk. Delektowała się przez chwilę winem, które łaskotało ją w język, po czym odstawiła kieliszek, oparła łokcie o blat stołu i splotła palce u rąk.

– Doskonale pamiętam ten dzień, w którym zjawił się w sklepie z żoną. Nieczęsto się zdarza, by mężowie pomagali żonom w wyborze garderoby.

– Lalo jest nietuzinkowy – zauważył Genís, obrzucając talerz roztargnionym spojrzeniem.

– Tak przypuszczałam. – Laia zaśmiała się pod nosem. – Nie pozwolił jej nawet nic powiedzieć. Sam zdecydował, w których sukniach wygląda dobrze, a w których nie. – Zaczęła mówić, naśladując Mascarella: – Ta nieźle leży, ale nie podoba mi się jej kolor. Tę drugą należałoby podłużyć... W tej za dwa miesiące się już nie dopniesz. – Genís jadał dalej w milczeniu. – Powiedz, w stosunku do ciebie też się tak zachowuje?

Genís odłożył sztućce na talerz i wytarł usta serwetką. Spojrzał jej prosto w oczy i głęboko westchnął.

– Powiedzmy, że nie wybiera dla mnie ubrań.

– No, ładnie! – wykrzyknęła Laia z błyskiem złości wypisanym w jej miodowych oczach. – Jesteś za dobry. Na pewno robi z tobą, co chce. Tyle lat nieodwzajemnionej miłości, a teraz oddajesz się temu...

Genís wyciągnął rękę i położył ją delikatnie na dłoni Lai.

– Nie martw się. Umiem o siebie zadbać. Poza tym chciałaś porozmawiać ze mną o Valentim, prawda? Pogadajmy w takim razie o nim.

Laia spuściła wzrok. Doskonale wiedziała, kiedy powinna Genisowi odpuścić, nigdy nie zrobiłaby nic, przez co przyjaciel mógłby się poczuć nieswojo.

– Och, Genisie! Sama nie wiem, co z nim począć. Jak dobrze wiesz, nie przepuścili go do klasy maturalnej ze względu na słabe stopnie. Zaczął handlową szkołę zawodową, ale w tym roku zawiesili go już dwa razy i powiadomili mnie, że trzeciej szansy nie dostanie, bo jeśli znowu narobi bigosu, ostatecznie go wyrzucą. Jestem zrozpaczona. Robi, co chce. A ja...

Głos jej się załamał. Nadeszła pora na niewygodne pytania Genisa.

– Nie widuje się już z Pau? On miał na chłopca dobry wpływ.

Laia nie odpowiedziała od razu. Włożyła do ust kawałek ryby i powoli go żuła. Kiedy w końcu się odezwała, w jej głosie pobrzmiwała nuta gorczy.

– Pau! Valentí był z nim bardzo zżyty. Ale ten przeprowadził się do Manresy, gdzie pracuje razem z tym architektem, z tym swoim przyjacielem... Nie pamiętam, jak się nazywa.

– Armengou. Z tego, co mówi się na mieście, kończą kompleks szkolny, ponoć imponujący. Nazywa się chyba Renaixença.

Laia spojrzała na niego ze złościwością.

– Jak ty to robisz, że zawsze wszystko wiesz?

– Lubię być na bieżąco. A dzięki mojej pracy nic w tym trudnego. W Santa Eulalii witam klientki, towarzyszę...

– Podlizujesz się im... Właśnie, a można wiedzieć, skąd się bierze ta twoja doskonała pamięć? Jak to możliwe, że rozpoznajesz każdą klientkę, która odwiedziła sklep jedynie parę razy? – Genís zabawnie machnął ręką, jakby odganiając tę uwagę. – A kiedy mówisz: „Droga pani Iks, czyżby zrobiła pani coś z włosami?”, nie boisz się, że coś mogło ci się poplątać?

– Prawdę mówiąc, czasami więcej działasz dobrą miną niż nawet najlepszą pamięcią. Rozumiesz? Dzięki minie możesz pokazać, że wiesz więcej niż w rzeczywistości, albo że pamiętasz coś, o czym zdążyłeś zapomnieć. Z drugiej strony uwaga o fryzurze to pewniak. Wszystkie cały czas zmieniacie uczesanie.

Laia nie mogła się powstrzymać i wybuchnęła śmiechem.

– Ładny uśmiech, wymowne spojrzenie, całowanie po rękach...

– ...i nie uronić ani słowa z tego, co mówią. Stąd wiem, że Pau Amata nie ma już w Barcelonie.

– Od kiedy przeniósł się do Manresy, Valentí przestał się z nim widywać. I tęskni za nim – musiała przyznać Laia.

– A ty? Też za nim tęsknisz?

– Rozmawiamy teraz o moim synu, panie Camps. Ale jeśli już koniecznie musi pan wiedzieć... – Laia odetchnęła głęboko, żeby nie udusić się tą porażką, po czym powiedziała: – Skłamałabym, jeślibym powiedziała, że o nim nie myślę. Bardzo mi go brakuje. Dużo bardziej, niż przypuszczałam. – Podniosła wzrok znad talerza, starając się opanować drżenie głosu. – Najwidoczniej jednak mój żołądek świetnie nadaje się do trawienia wszelkich zawodów.

Skończyli jedzenie i kontynuowali rozmowę przy aromatycznej kawie.

– Ciekawe, nie sądzisz? – odezwał się Genís, pociągając za nić, którą Laia zaczęła snuć. – Dokładnie wtedy, kiedy on zostawia żonę, w momencie, w którym moglibyście zacząć wreszcie razem nowe życie, właśnie wtedy go rzucasz. Nie daje mi to od dawna spokoju: dlaczego tak postąpiłaś, Laiu? I nawet nie próbuj wciskać mi tego kitu o Valentim i o tym, że Pau ukrył przed tobą relację z chłopcem.

Laia zapatrzyła się w zamyśleniu w przestrzeń, jakby mogła znaleźć odpowiedź w jakimś odległym nieuchwytnym punkcie.

– Nic nie dzieje się bez powodu.

Przez kilka kolejnych sekund żadne z nich się nie odezwało.

– Niech idzie do pracy – rzucił nagle Genís.

– Kogo masz na myśli?

– Valentiego. Niech zacznie pracować.

– Chyba nie zrozumiałaś tego, co ci mówiłam. W zawodówce go nie chcą. Do jakiej pracy mam go niby posłać? Nigdzie się nie nada.

– Myślę, że powinnaś porozmawiać z Molinsem. Santa Eulalia to dobre miejsce, żeby mieć go pod kontrolą. I skończył już czternaście lat. Doskonały wiek, żeby zacząć praktykę.

Laia wpatrywała się w Genisa szeroko otwartymi oczami.

– W Santa Eulalii? Oszalałeś! – prawie wrzasnęła.

Genís wymownie wzruszył ramionami.

– Myślę, że to najlepsze rozwiązanie, żeby mieć go na oku.

Dopili kawę w milczeniu. Laia nie mogła przestać się zastanawiać nad cudaczną propozycją, którą złożył jej Genís. Wiedziała, że to było niemożliwe. Prawie miała ochotę ją wyśmiać.

Życie często daje nam powody do śmiechu. Nawet całkiem sporo.

Valentí rozpoczął praktykę w Santa Eulalii w styczniu tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego roku. Laia dojrzała do rady Genisa i doszła do wniosku, że przynajmniej na ten moment było to najlepsze rozwiązanie dla jej syna. Porozmawiała o tym z Andreu Molinsem. On nigdy nie zapomniał o istnieniu dziecka Lai. Z daleka, pozostając w cieniu, dbał o to, żeby nigdy niczego mu nie zabrakło. Upewnił się, że chłopiec mieszka wygodnie i ma możliwości, by zdobyć wyższe wykształcenie. Dlatego też zmartwiła go wiadomość o jego buncie i zgodził się na jego pracę w sklepie.

Valentí został uczniem, a pieczę nad nim trzymał odtąd Damià. W rzeczy samej to Laia osobiście poprosiła Damià Solsonę o tę przysługę, a on bez przeszkód się zgodził. Nic go to nie kosztowało, a przy tym miał już doświadczenie w pracy z charakternymi praktykantami. Jednakże kiedy zobaczył ich pierwszego dnia, jak chłopak idzie u boku matki, wezbrało w nim dziwne uczucie na w pół wzruszenia, na w pół zdziwienia. Ten młodzik o długich i nieco potarganych włosach, wielkich przenikliwych oczach, czarnych jak węgiel, o żywym spojrzeniu oraz szlachetnych rysach, mimo że w środku się w nim gotowało, przypomniał mu ukochanego przyjaciela, za którym tak tęsknił. Wyglądał tak jak on w wieku czternastu lat, przyjaciel, z którym razem dorosli i poznali, co to życie.

Teraz Germán nie pracował już w Santa Eulalii. Nie jeździł po Katalonii i nie odwiedzał salonów krawieckich, wcielając w życie modne wśród przedstawicieli domu mody hasło: „W każdej dziurze próbkami służę”. Germán odszedł z Santa Eulalii z powodu polityki i przyjaciel, Damià, widywał go ostatnio bardzo rzadko. Jakże za nim tęsknił!

Od ogłoszenia katalońskiej republiki zaangażowanie Germana w politykę rosło, a Damià spadało. Jako ojciec dwójki dzieci, dziewczynki i chłopca, nie mógł poświęcać tyle czasu polityce, która odsuwała go od pracy i życia rodzinnego. Germán natomiast oddał jej się ciałem i duszą. Przystąpił do paramilitarnej organizacji Escamots, plutonów państwa katalońskiego przekształconych w gwardię obywatelską, której jedynym celem była obrona świeżo powstałej republiki. Później, kiedy rząd katalońskiej republiki zmienił się w regionalny Generalitat de Catalunya, Escamots zreorganizowali się i znaleźli na szczycie. Na przestrzeni ostatnich dwóch lat przyjaciele widzieli się raptem kilka razy, a Damià odniósł wrażenie, jakby spotykał się z obcym człowiekiem, trudno było mu dojrzeć starego przyjaciela pod zieloną koszulą munduru i skórzanymi szelkami.

Germán zmienił się nie do poznania. I Damià czuł, że w głębi duszy przyjaciel miał do niego pretensje, że on nie zmienił się także, że nie poświęcił swojego życia dla sprawy, w którą również wierzył, ale nie w ten sam sposób, co Germán.

Z tego powodu, choć tęsknił za starym przyjacielem, Damià przyjął z otwartymi ramionami nowego ucznia, zdeterminowany, by zrobić z niego prawdziwego mężczyznę i nauczyć go wszystkiego, czego sam nauczył się w Santa Eulalii, w tej prawdziwej szkole życia. Laia z kolei doszła do wniosku, że dzięki dobremu osądowi Genisa podjęła właściwą decyzję.

To była ostatnia niedziela września. Teresa i Blai spacerowali Ramblami i ulicą Ferran, korzystając z ładnej pogody i jeszcze letniej temperatury. Było wczesne popołudnie, promienie słońca nadawały drzewom złoty połysk. Oni, przeciwnie, wydawali się nachmurzeni i mieli raczej wisielcze humory.

– Powinniśmy podjąć decyzję, Tereso. Spotykamy się już od pięciu lat.

– To jeszcze nie musztarda po obiedzie. Jesteśmy młodzi, mamy przed sobą całe życie – odparła.

Szli bardzo blisko siebie, jednak w tej wąskiej przestrzeni, która ich od siebie oddzielała, wydawała unosić się wzajemna niechęć.

– Słuchaj, ja nie chcę tak żyć.

– Tak, czyli jak? – zapytała dziewczyna, która za wszelką cenę unikała wzroku narzeczonego.

– Właśnie tak! Wiesz, co ci powiem? Nie podoba mi się nic a nic, że możemy widywać się jedynie w niedziele. Wiesz, co ja bym chciał? Chciałbym założyć rodzinę i...

– Ja też! Możesz być tego pewien. Ale mam tylko dwadzieścia dwa lata, ty jesteś o dwa lata starszy.

Blai był zdecydowany wytoczyć działa i stoczyć decydującą walkę tego popołudnia. Wszystko przemyślał i podjął decyzję.

– Słuchaj, przez całą noc się nad tym zastanawiałem. W czasie ostatnich pięciu lat zaoszczędziłem, ile mogłem, zresztą dobrze o tym wiesz. Ty też oszczędzałaś. Nie musielibyśmy się martwić o podstawowe rzeczy do domu, cztery meble na krzyż też nam wystarczą...

– Co ty pleciesz? Czy nie widzisz, że brakuje nam najważniejszej rzeczy? Mieszkania! Nie mamy pieniędzy, żeby je wynająć.

Chłopak odgarnął kosmyk, który łaskotał go w czoło, i złapał Teresę pod ramię, żeby zwrócić na siebie jej całą uwagę. Ona tymczasem robiła wszystko, co w jej mocy, by na niego nie patrzeć.

– O tym chciałem z tobą pomówić. Znalazłem małe mieszkanie, w sam raz dla nas.

– Gdzie?

– W Poblenou, niedaleko fabryki, rzecz jasna.

Teresa zatrzymała się nagle, a Blai wraz z nią. Idący za nimi przechodnie musieli ich wyminąć. Niejeden odwrócił się, żeby obrzucić ich piorunującym, gniewnym spojrzeniem.

– Daj spokój, no już! Po co ten pośpiech. Musimy jeszcze dużo odłożyć, zanim się zdecydujemy.

Blai oderwał wzrok od oczu Teresy, które teraz dla odmiany podążyły za jego spojrzeniem, gubiącym się w dalekiej nieokreślonej nicości. Ruszyli z miejsca.

– Znasz to uczucie, kiedy coś cię denerwuje i rzucasz to w kąt z nadzieją, że zniknie? – Blaiowi dziwnie zadrżał głos. Teresa poczuła nagle, jak wzbiera w niej głębokie poczucie winy. Nie chciała na niego patrzeć. Nie chciała widzieć jego nachmurzonych oczu. Wbiła wzrok w noski swoich trzewików, które stuknęły o płyty Rambli. – Ja jestem dla ciebie właśnie taką zbędną rzeczą.

– Nie mów tak, bo aż krew ścina mi się w sercu – niemal krzyknęła Teresa, podnosząc głowę.

– Mam tak nie mówić? Nigdy nie odejdziesz z tego domu, prawda? Tak bardzo jesteś przywiązana do swoich państwa. Do panienki Roser. Dlaczego? Co takiego jej zawdzięczasz?

Dziewczyna wzruszyła ramionami. Nieznacznie drżały jej kąciki ust. Oczy napęłniły się łzami.

– Nie płacz, kobieto, nie ma powodu.

Zatrzymali się znowu. Stali naprzeciwko siebie, a wydawało im się, że są od siebie bardzo daleko. Chłopak ujął podbródek Teresy i podniósł jej głowę. Przez dłuższą chwilę wpatrywał jej się w oczy. Potem pocałował ją delikatnie w usta. Odwrócił się, a jego sylwetka poczęła rozplýwać się w tłumie. Powoli zaczął się oddalać, gubiąc się między gałęziami drzew rosnących przy Rambli, tworzącymi arabeski. Dziewczyna śledziła go wzrokiem, dopóki Blai nie zamienił się w odległy punkt. A potem w cień. W cień, który zabrał ze sobą pięć lat jej życia. I szansę na rozpoczęcie nowego. Życia, na które ona nie mogła sobie pozwolić, bo należała do Roser Molins i jej córeczek, i za każdym razem, kiedy myślała, by je zostawić, serce stawało jej w gardle, a chmura ciężkiego smutku zalegała na czole.

Powiedziała Blaiowi: „żegnaj” cichutko, szeptem. Mimo to wydało jej się, że to żegnaj odbiło się echem po całej Rambli i wszyscy mogli je usłyszeć, a teraz patrzyli na nią potępiająco. Zrobiła pół obrotu i skierowała się do domu, choć miała wrażenie, że nogi odmawiają jej posłuszeństwa.

Nastał październik, a wraz z nim strajk generalny w Barcelonie. W piątek, piątego, całe miasto zostało sparaliżowane przez strajk zorganizowany przez kataloński Sojusz Robotniczy za cichym przyzwoleniem Generalitat. Trzy dni wcześniej Alejandro Lerroux utworzył rząd, mianując trzech ministrów z Hiszpańskiej Konfederacji Niezależnej Prawicy (*Confederación Española de Derechas Autónomas*, w skrócie CEDA). Natychmiast w całym kraju ogłoszono strajk generalny. W Katalonii zderzenie między instytucjami katalońskimi a hiszpańskimi było nieuniknione.

W niedzielę w południe w domu państwa Clos panowała dziwnie nerwowa atmosfera. Ferran i Roser nie wyściubiali nosa z domu, poza tym Roser przykazała Teresie, żeby zajęła się dziewczynkami, nie wychodząc z nimi na ulicę. Około dwunastej trzydzieści pojawił się Andreu Molins z żoną. Przyszli bez dzieci. Teresa usłyszała, jak Roser prosi Remedios, by przygotowała coś do jedzenia, ewidentnie tego obiadu nie planowano. Nie było to rodzinne spotkanie, jedno z tych, jakie zazwyczaj odbywały się w domu Closów lub Molinsów, w czasie których krzyki i śmiechy dzieci stanowiły miłe tło dla toczących się rozmów. Nieobecność dzieci i poważne miny malujące się na twarzach dorosłych kazały przypuszczać, że była to zupełnie nowa sytuacja.

Równie nowa jak cały ten tydzień dla Teresy, który ponadto był bardzo trudny. Nie mogła skupić się na pracy, wokół siebie widziała jedynie zionącą pustkę, której nigdy wcześniej nie czuła. Nawet po śmierci matki. Zajmowała się dziewczynkami jak zawsze

i wypełniała wszystkie swoje obowiązki, starając się, na ile mogła, zdusić w sobie smutki. Nie chciała, żeby panienska Roser zauważyła, że coś ją trapi, bo wydawało jej się, że nie zniesie żadnego „lepiej, że stało się to teraz, aniżeli miałoby się przytrafić później” czy „znaczy to ni mniej, ni więcej, że chłopak nie jest ciebie wart”. Nie. Tego by nie zniosła. Jednak Roser Molins niczego nie zauważyła. Przez cały tydzień ona również wydawała się czymś rozkojarzona i zamknięta w swoim świecie.

Jednym z najtrudniejszych momentów okazał się pewien poranek, nie pamiętała już, którego to było dnia, kiedy ubierała małą Aurore. W wieku zaledwie pięciu lat malutka była bardziej przebiegła niż lis i nic nie mogło ująć jej uwagi. Teresa ubierała ją w milczeniu, z gardłem ściśniętym żalem, kiedy usłyszała, jak dziewczynka zwraca się do niej w te słowa:

– Teresito, zapomniałaś języka w buzi?

Dziewczyna nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Nie, malutka.

– Coś źle zrobiłam?

Uścisnęła ją z czułością.

– Dlaczego tak mówisz, księżniczko?

– Zobacz! – Dziewczynka otarła jej swoim paluszkiem jedną łzę. – Zobacz, płaczesz. To znaczy, że jesteś zła, prawda? Już mnie nie kochasz?

Teresa przycisnęła dziewczynkę do piersi i pocałowała ją. Pocałowała ją mocno, nie mogąc powstrzymać łez ani szlochu.

– Och, moje serduszko! Teresita cię bardzo kocha... Nie jestem zła na moją lalczkę, jak bym mogła. Jestem tylko trochę smutna.

– Dlaczego?

Na to pytanie nie miała przygotowanej odpowiedzi. Teresa zwolniła uścisk i odsunęła się od drobnego ciała, po czym wyszczerzyła zęby w udawanym uśmiechu. Położyła obie dłonie na głowie dziewczynki i zaczęła układać jej złote loki.

– Widzisz? Już mi przeszło. Ale z tej Teresity głuptas, prawda? Nikt nie wie, co jej czasami przyjdzie do głowy.

Najgorsze były noce. Sen nie nadchodził, a wspomnienia czały się na nią, wychodząc ze wszystkich kątów, niczym cienie. Czowała się bardzo samotna i nie wiedziała, dokąd uciekać, zasłuchana w ciszę, która szczelnie wypełniała przestrzeń w jej małym pokoju dla służącej, w jej domu. Bo to był jej dom, prawda?

Naturalnie słyszała o strajku, ale szczerze mówiąc, nie zwróciła na niego większej uwagi, dlatego że własne problemy zdawały jej się znacznie poważniejsze niż te świata zewnętrznego. W każdym razie pojęcie o tym, co działo się na ulicach, przydało jej się jedynie po to, by jeszcze bardziej, o ile to możliwe, zatęsknić za Blaim, jej Blaim, który zawsze opowiadał o wolności i o walce. Czasami naprawdę potrafił ją zranić! Nie rozumiała tej jego formy walki. Często mówiła pod nosem, że któregoś dnia Blai wpadnie w poważne tarapaty i na tym skończy się ta cała wolność i te wszystkie historie.

Lecz w niedzielę Teresa zdała sobie sprawę, że to, co miało miejsce na ulicach Barcelony, było poważne, a wówczas nie tylko zatęskniła za Blaim, ale zwyczajnie zaczęła się o niego martwić. Pomyślała, że za wszelką cenę musi dowiedzieć się, co się

dzieje.

– Porządek publiczny do tej pory nie został zakłócony – mówił Andreu Molins w salonie podczas oczekiwania na obiad. – Z samego rana odbyła się demonstracja, która doszła do placu San Jaime i jak widać, rozeszła się w pokojowej atmosferze.

Anna, jego żona, nie wydawała się przekonana.

– Wszystko jednak stoi. Na ulicach nie widać tramwajów ani taksówek. Sami przyjechaliśmy samochodem, po drodze, na placu Cataluña, widzieliśmy karabiny maszynowe.

Ferran i Roser wymienili niespokojne spojrzenia.

– Karabiny maszynowe? Naprawdę? I kto...?

– Chyba republikańskie oddziały szturmowe – weszła im w słowo Anna. – Plutony wyszły na ulice. Jedno jest pewne, to wszystko jest... niepokojące! Nie wiem, jak wam to wytłumaczyć, ale ten strajk nie przypomina mi żadnego z wcześniejszych.

Po słowach Anny zapadła chwilowa cisza.

– Co zamierza Generalitat? – zapytał Ferran, który nigdy nie umiał rozeznaczyć się w politycznych konfliktach.

Andreu postarał się streścić całą sytuację w kilku słowach:

– Na podstawie doniesień prasowych z ostatnich dni można dojść do następującego wniosku: jeśli Madryt, czyli rząd centralny, nie rozwiąże tej kwestii, możliwe, że Katalonia postara się rozwiązać ją sama.

– Prawdę mówiąc, radio przez cały dzień nawołuje, żeby wyjść na ulicę. Stanąc do walki. To ludowe powstanie.

Znowu zamilkli. Całą czwórkę ogarnął niepokój, który narastał w miarę upływu czasu.

Zjedli obiad, komentując nadal całą tę sytuację, która spędzała im sen z powiek. Ledwie skończyli, natychmiast przenieśli się z powrotem do salonu i włączyli odbiornik radiowy.

W tym czasie ludowy zapal nasilał się. Na Ramblach krzyki ludzi mieszały się z łoskotem trzepoczących flag. Przekazywano sobie hasła, żeby iść na plac Republiki, gdzie istotnie vis-à-vis Palacio de la Generalitat zebrało się mrowie ludzi skandujących „Re-pu-bli-ka-ka-taloń-ska”, podochoconych pełną entuzjazmu patriotyczną gorączką.

Zarówno Molinsowie, jak i Closowie nie odstępowali radia na krok. Stabilizacja, która była gwarantem ich spokojnego życia, ich codzienności, zdawała się wisieć na włosku.

– Nie rozumiem! – wykrzyknął Ferran. – Mamy do czynienia z sytuacją, w której wszyscy chcą rządzić, a w rzeczywistości nie rządzi nikt.

– A to może okazać się bardzo niebezpieczne – podsumował jego szwagier.

– Jeśli broń jest na ulicach, a emocje wydają się tak rozbuchane, mamy do czynienia z rewolucją, prawda? I zakończy się to wojną – powiedziała Roser, dając upust swojemu strachowi, który przenikał ją do szpiku kości przez cały dzień.

Nikt jej nie odpowiedział. Zapewne dlatego, że nikt nie znał odpowiedzi.

Radio w dalszym ciągu wyrzucało w eter przemowy i hasła. W końcu kiedy na zewnątrz słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, usłyszeli silny i wyraźny głos prezydenta Companysa. Było dziesięć po ósmej wieczorem. Swoje słowa skierował do Katalończyków i w czasie dziesięciominutowego przemówienia proklamował *estat català*, Państwo Katalońskie, które miało stanowić część Federacyjnej Republiki Hiszpańskiej.

Kiedy prezydent skończył, w salonie zapadła całkowita cisza. Ciosowie zapomnieli nawet zapalić światło i teraz w panującym półmroku starali się zrozumieć i przetrawić to, co właśnie usłyszeli. Pierwszy odezwał się Andreu Molins, przerażony i pełen najwyższego oburzenia:

– Niemożliwe... Słyszeliście to samo co ja? Nie mam już najmniejszych wątpliwości, Roser, to oznacza wojnę. Właśnie zmusili Madryt do użycia siły.

– Mój Boże! – odparła jego siostra. – To się źle skończy.

Dokładnie w tym samym momencie w salonie spowitym mrokiem pojawiła się jeszcze jedna osoba, która niezauważona postępowała w ich kierunku. Roser wstała, żeby zapalić światło, i dopiero wówczas zobaczyła Teresę. Ubrana była jak do wyjścia, a w rękę trzymała małą walizkę. Trzęsła się jak osika i miała zaczerwienione oczy.

– Teresito, co się stało? Dokąd idziesz? Nawet sobie nie wyobrażasz, co dzieje się teraz na ulicach.

– Wiem, panienko. Idę do Poblenou poszukać mojego narzeczonego. Blaiego. Muszę teraz przy nim być.

Roser obrzuciła spojrzeniem Ferrana i swojego brata, po czym znów wbiła wzrok w tę drobną i jednocześnie tak zdeterminowaną osóbkę.

– Ależ, drogie dziecko...

– Bardzo proszę, panienko Roser, niech panienka nic nie mówi. To jest to, co muszę zrobić.

Ferran starał się interweniować:

– Nie zdajesz sobie sprawy, że nie dasz rady dotrzeć do Poblenou, może ci się po drodze coś stać. Poczekaj do jutra i...

– Poradzę sobie.

Teresa zrobiła pół obrotu i gotowała się do wyjścia. Jednak zanim opuściła salon, zwróciła się do Roser, która w dalszym ciągu nie mogła uwierzyć własnym oczom:

– Panienko... dziękuję. Dziękuję za wszystko. Przepraszam.

I odeszła.

Część trzecia
Strach i godność

Santa Eulalia zmieniała się z prędkością, której wymagał od niej charakter świątyni mody, i stawała się punktem odniesienia dla barcelońskiej *haute couture*. W roku tysiąc dziewięćset trzydziestym czwartym przeprowadzono ważne zmiany w magazynach, widoczne zarówno od wewnątrz, jak i z zewnątrz. Remont ten tchnął w przedsiębiorstwo przy Ramblach nowe życie i popchnął je ku nowoczesności. Nowinki wpłynęły zarówno na wygląd salonów, jak i sklepu bławatnego, mimo że klientela, która kupowała tkaniny, różniła się znacząco od tej przychodzącej po stroje z kolekcji, i nie mieszały się one ze sobą. Sklep bławatny cieszył się sławą i renomą, zyskując jeszcze większy prestiż. Nastaly nowe czasy. Nie wystarczyło już doskonale obchodzić się z klientami i mieć szeroki wybór materiałów znakomitej jakości. Coraz częściej niezbędne okazywały się drobne detale, które przeistaczały zwyczajny sklep w luksusowy lokal handlowy. Począwszy od kwiatów, szyldów, nowych aranżacji wystaw, a zakończywszy na reklamie, plakatach i ogłoszeniach, Santa Eulalia zmieniała się, podążając z duchem czasu, wierna duchowi mody. Sklep zatrudniał teraz nawet odźwiernego w liberii, który szedł za klientkami i otwierał przed nimi oraz zamykał drzwi ekskluzywnych samochodów zatrzymujących się pod numerem jeden Pla de la Boqueria. Odźwierny, o którym mowa, nazywał się Julián Recasens i był jednoręki, prawą rękę stracił bowiem w wyniku nieszczęśliwego wypadku w fabryce, gdzie wcześniej pracował. Ta okoliczność nie przeszkadzała mu jednak w wykonywaniu obowiązków i, mówiąc zupełnie szczerze, inwalidztwo Reki – jak nazywali go wszyscy w firmie – błyskawicznie stało się dla nich niezauważalne.

W pierwszy majowy poniedziałek tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku Ferran Clos już od ponad dwóch godzin zmagał się z materiałem na ciele jednej z modelek. Szarfa opadała luźno przewieszona przez jedno ramię, a on swoimi zręcznymi palcami prawej ręki starał się ją udrapować za pomocą szpilek. Był niczym magik, gotów wyczarować suknię z niczego. Ktoś, kto nigdy wcześniej nie widział go przy pracy, pomyślałby, że to czary, a jego – obserwując, jak materiał nabiera formy i z niczego powstaje suknia – uznałby za czarodzieja.

Już jakiś czas temu Ferran zarzucił rysowanie, nie robił także szkiców. W Paryżu przyswoił sobie nową technikę, *moulage*, polegającą na cięciu materiału na oko i pracy bezpośrednio na ciele modelki. Była to doskonała metoda dla kogoś, kto tak jak on odznaczał się wyjątkowym zmysłem obserwacji, a pracując z materiałem, z łatwością umiał zauważyć jego techniczne możliwości i ograniczenia. Tworzenie od razu z sukna zajmowało go coraz bardziej i stało się podstawą projektów wychodzących spod jego ręki.

Ferran pracował na początku z tkaniną dużo gorszej jakości, jednak podobną do tej, z jakiej miała zostać uszyta sukienka, aby uniknąć możliwych różnic w zachowaniu się materiału. Z tej pierwszej tkaniny powstawała *toile*, innymi słowy forma z powbijanymi szpilkami. Kiedy pierwszy etap projektowania dobiegł końca, Ferran Clos przekazywał pałeczkę Lluïsie. Ona rozkładała materiał i na podstawie linii szpilek odrysowywała wykrój na specjalnym płótnie używanym w krawiectwie.

Tworzyli zgrany zespół. On – kopalnia pomysłów, oryginalnych twórczych

koncepcji; ona – z doskonale opanowaną techniką szycia, ciesząca się sławą nawet i poza murami Santa Eulalii. Draperie Lluïsy Ramonedy były znane w całej Barcelonie.

W tamtym okresie Ferran zatrudniał także rysowniczkę, chudą, nierzucającą się w oczy dziewczynkę o mysiej twarzy, która była obiektem drwin najzuchwalszych uczniów, godnych następców Damià i Germana w ich najlepszym okresie. Miała na imię Natalia i była prawdziwą profesjonalistką. Urzędowała na poddaszu, gdzie składowano materiały do najnowszej kolekcji. Miejsce to nazywano salonem z kamienia. Nikt nie wiedział dlaczego. To właśnie tam, kiedy Ferran kończył swoje *moulages*, Natalia sporządzała rysunki i odpowiadające im niezbędne kopie, które należało wysłać do krawcowych kupujących projekty razem z wykrojami. Naturalnie jej obowiązki na tym się nie kończyły. W okresie wzmożonej pracy, na przykład w maju tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku, kiedy trwały przygotowania do zimowej kolekcji, Natalia zajmowała się wszystkim po trochu: zносиła bele materiału, o które prosił ją akurat Clos albo krawcowe (nauczyła się rozpoznawać gatunki po zapachu, spędzając w ich towarzystwie cały boży dzień), zanosila im również biżuterię i futerka dopełniające całości stroju, pomagała modystce, kiedy ta miała za dużo pracy, pakowała suknie, które należało jak najprędzej dostarczyć... Ach! I chodziła po ślimaki z drożdżowego ciasta na śniadanie, kiedy wypadła akurat jej kolej (a z nieznanых powodów wypadła bardzo często, bo Reca w tajemniczy sposób zwykł się ulatniać, kiedy nadchodziła pora udania się do cukierni).

Laia nadal zarządzała salonem, w którym zatrudniono jeszcze kasjerkę i ucznia do noszenia bel materiału. Lotny umysł i duch przedsiębiorczości wciąż pozwalały jej wymyślać nowe ulepszenia. Pracujące w salonie ekspedientki zaczęły nosić mundurki, w które przebierały się teraz na górze, w pokoikach zaaranżowanych obok salonu z kamienia. Laia powierzała im proste czynności, takie jak telefonowanie do klientek i umawianie ich na przymiarki. Chcąc przyspieszyć i jednocześnie ułatwić codzienną pracę, wymyśliła system karteczek, na których wynotowywano uwagi i postępy kolejnych przymiarek; wkrótce okazał się on niezastąpiony. To, że salony mody cieszyły się swoistego rodzaju autonomią, pozwalało jej poświęcać się także innym zajęciom: często jeździła do Paryża, gdzie kupowała wykroje, z których później powstawały piękne suknie, prezentowane na pokazach obok autorskich projektów Closa. I to ona zajmowała się obsługą najbardziej dystyngowanych klientek, zarówno należących do arystokracji i szlachty, jak i żon ministrów, nowobogackich albo słynnych artystek, dla których zwykła organizować prywatne pokazy. Klientki wybierały materiały i modele, po czym szyto na ich miarę wybrane kreacje. Wszystkie dawały sobie doradzać Lai Calvet, mistrzyni sztuki delikatnej sugestii. Dobierała im odpowiednie kolory i dbała, by nie wybierały krojów, w których mogłyby wyglądać niekorzystnie. W całej firmie znana była anegdota o sławnej śpiewaczce o wyjątkowo krągłych kształtach, która zakochała się w bardzo dopasowanej sukni wieczorowej o odcieniu intensywnej czerwieni. Jedynie dzięki Lai udało się uniknąć katastrofy, do której mógł doprowadzić ten wybór, zważywszy na figurę ogromnej artystki. Przekonała ją, żeby zmieniła model na inny, uszyty z jedwabnej satyny w sinym kolorze, elegantszy, a przy tym nierzucający się tak bardzo w oczy.

Z kolei Andreu Molins prawie nie wychodził z biura. Był prawdziwym filarem Santa Eulalii, tak samo jak wcześniej jego ojciec, na którego widok pracownicy odrywali się od wykonywanej pracy i kłaniali w pas, z szacunkiem, podziwiając jego powagę i elegancję. Dbał o ludzi zatrudnionych w Santa Eulalii i wprowadził wiele ulepszeń z myślą o tych, których uważał za członków jednej wielkiej rodziny. Na miejscu mieli więc do dyspozycji lekarza i pielęgniarkę, a ci, którzy zamierzali odpocząć, mogli spędzić piętnaście dni płatnego urlopu w El Brull. Kilka dobrych lat wcześniej utrwalił się także zwyczaj obchodzenia święta krawcowych dwudziestego dziewiątego września. Z tej okazji wydawano wspaniały obiad dla wszystkich pracowników. Był to dzień przemówień, suto zastawionego stołu i zabaw młodych praktykantów, którzy ćwiczyli się w dostojnej sportowej dyscyplinie, przerzucając z jednego stołu na drugi serwetki i kapsle.

Temperament, którym odznaczał się Andreu w wieku czterdziestu jeden lat, będąc ojcem pięciorga dzieci: Antoniego, Anny, Joaquina, Perego i Andreu, dał się u niego zauważyć już w młodym wieku. Miał zaledwie dwadzieścia dwa lata, kiedy stanął na czele całego przedsiębiorstwa i pokonawszy początkowe obawy, zaczął podejmować decyzje i zarządzać firmą żelazną ręką. W ostatnich latach stał się jeszcze bardziej religijny (w gabinecie na stole zawsze leżała Biblia). Nie tolerował u innych braku starań i niepunktualności, miał też swoje dziwactwa. Na przykład codziennie kazał sobie dostarczać z banku nowe banknoty, dlatego że nie znosił starych i pomiętych. Mówił mało, a jeśli już się odzywał, robił to ściszym głosem. Żaden z pracowników nie słyszał, by kiedykolwiek użył słowa uznanego za niecenzuralne lub na kogoś krzyknął. Dalej pokładał zaufanie w tych, którzy wykazali się skutecznością i lojalnością. W sprawach, które uważał za ważne dla poprawnego działania Santa Eulalii, nadal radził się Ramona Martinezza.

I tym oto sposobem, w czasie gdy młoda Republika doświadczyła już tysiąca turbulencji, manewrując między rządami reformistów i reakcjonistów, a lewica, jednocząc się we Froncie Ludowym, zareagowała, wygrywając lutowe wybory, życie burżuazji toczyło się utartym torem. Nadal żyła wygodnie, hołdując odwiecznym zwyczajom, ubierała się szykownie w stroje szyte na miarę i kupowała materiały w najlepszych sklepach.

Takich jak Santa Eulalia.

Pod numerem pierwszym na Pla de la Boqueria kolejny dzień pracy dobiegał końca, w miarę jak ciemności zaczynały spowijać stragany z kwiatami przy Ramblach. Za chwilę zwiną plandeki markiz, a wiskozy i flanele razem z jedwabiami i aksamitami spoczną szczelnie opatulone, aby chronić swój delikatny blask przed nocnym kurzem i ciszą. Nie będzie słyhać muzyki nożyczek sunących po materiale ani odgłosu tych wszystkich kroków, ani hałasu kasy sklepowej, ani brzęku monet przechodzących z rąk do rąk.

Magazyny zasną. Prawdopodobnie ktoś, kogo praca nigdy się nie kończy, będzie czuwał nad ich snem. Lecz większość ekspedientów, krawcowych i krawców oraz uczniów wyjdzie na zewnątrz, może ktoś będzie na nich czekać, żeby wspólnie obejrzeć,

jak blask miasta zaczyna niknąć w rozplywającej się czerwonej mgiele.

Na Genisa przed sklepem czekał mercedes-benz 290 cabriolet, zaparkowany w bliskiej odległości od tramwajowych szyn. Był to model z tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego roku, czarny, błyszczący, nieskazitelny. Z szoferem. Na tylnej kanapie nikt nie siedział. Na widok samochodu młody Genís potarł oczy, tak jakby chciał wymazać tę zjawę, odgonić ją, zmusić do ucieczki z wiatrem, sprawić, by stała się niewidzialna. Był to moment pełen wątpliwości, wspomnień, emocji i przeczuć. Następnie skinął głową i uchylił kapelusza, witając się z kierowcą, który nie patrzył w jego kierunku. Kiedy nogi wreszcie przestały odmawiać mu posłuszeństwa, zbliżył się, otworzył drzwiczki i wsiadł do środka.

Wszystko odbyło się w mgnieniu oka. Jak gdyby wcale się nie wydarzyło. Genís nie zdążył się nawet zorientować, że przed wejściem do Santa Eulalii czeka ktoś jeszcze. Był to Germán. Bardzo się zmienił. Schudł, miał zapadnięte policzki. Długie potargane włosy spadały mu na czoło. Zapuścił krótką brodę, która jeszcze bardziej, o ile to w ogóle możliwe, wyostrzała mu rysy. A do tego te oczy, tak intensywnie błękitne, połyskiwały dziko niczym odmęty jeziora skrywającego wiele sekretów. Palił papierosa i w zamyśleniu puszczał kółka z dymu.

Kiedy zobaczył Valentiego idącego obok Damià, rzucił niedopałek na ziemię i wyszedł im na spotkanie. Uściskał swojego starego przyjaciela, którego w ostatnich latach tak rzadko widywał, i poklepał go przyjaźnie po plecach.

– Jak się masz, młody?

Damià wyswobodził się z uścisku, starając się przybrać jak najlepszą minę.

– Jasny gwint! Nie spodziewałem się ciebie tutaj.

– Przychodzę po tego – powiedział Germán, podchodząc do Valentiego i targając mu włosy.

Damià nachmurzył się jeszcze bardziej. Spojrzał na Valentiego.

– Ufasz temu gałganowi? Uważaj, bo jeśli nie będziesz miał się na bacności, zwiedzie cię na manowce – powiedział, śmiejąc się, jakby żartem, choć głos mu drżał.

– Jestem na tyle duży, że mogę chodzić, z kim mi się podoba.

Germán położył dłoń na ramieniu Damià w ramach pożegnania, nie chcąc przedłużać rozmowy.

– Bawcie cię dobrze!

Damià stał przed sklepem niczym wrośnięty w ziemię, patrząc, jak się oddalali. Nagle wydało mu się, jakby te wszystkie lata przyjaźni z Germanem nigdy nie istniały. Przeklął dzień, kiedy przedstawił mu Valentiego, syna Lai, którego chciał chronić. Chronić przed czym? Przed kim? Pokręcił głową. Może przesadzał. Nie było wątpliwości, że młody Valentí wolał gwałtowny charakter Germana od nudnego subiekta i ojca rodziny, w którego on się zamienił. Może właśnie o to chodziło: był zazdrosny. Wściekły.

Skierował się w górę Rambli.

„Obym nigdy nie musiał tego żałować”, pomyślał, a serce ścisnęły mu dziwne i trwożne przecucia. Oby.

Germán i Valentí ruszyli Rambla de Santa Mónica. O tej porze bulwar tętnił życiem i wibrował okrzykami przechodniów, klaksonami aut i dzwoneczkami tramwajów. Weszli do lokalu należącego do CADCI, który jak zwykle pełen był głównie młodych ludzi zajętych swoimi sprawami. Germán przywitał się z kilkoma osobami, paru innym wydał jakieś polecenia, a Valentí przyglądał mu się z bliska z szeroko otwartymi oczami. Po jakiejś godzinie wyszli na ulicę i udali się Ramblami aż do portu. Obeszli pasaż Paseo de Colón, idąc po szynach tramwajowych. Zostawili go za sobą wraz z jego okazałymi budynkami i doszli na Plaza de Palacio. Natychmiast skręcili w prawo i znaleźli się na Plaza de las Ollas. Weszli do tawerny, w której panował nie lada ścisk i gdzie tłoczyli się pijący i głośno przeklinający klienci. Nad szklankami z winem kontynuowali rozmowę, którą zaczęli jeszcze na zewnątrz.

– Nie daj sobie wmówić, że Escamots się rozwiązali, rząd chce, żebyśmy tak myśleli. Wcale nie. Po tym, co stało się z satyrycznym tygodnikiem ilustrowanym „El Be Negre”, powiedzieli nam „stop”. Banda hipokrytów! Ja nie zamierzam się poddawać, będę trwał dalej przy nich, razem walczył, dlatego że to nie politycy poprowadzą Katalonię ku wolności. Wolności nie da się wynegocjować, kupić ani sprzedać. Trzeba ją zdobyć! I już!

Germanowi pociemniało w oczach, które teraz patrzyły groźnie. Jego walka, doświadczenia ostatnich lat, ekstremalne, często brutalne, oplotły go niewidzialnym gąszczem, który zaczynał siać w nim spustoszenie. Niewiele zostało z młodzianiska cieszącego się życiem, który umiał śmiać się z przeszłości. Valentí nie postrzegał go w ten sposób. Nie wiedział o tym. Nie mógł nawet tego przypuszczać, bo nie miał porównania. Dopiero co poznał Germana i był nim zauroczony. Widział w nim jedynie bohatera. Chciał iść jego śladem. Odnalazł w nim kogoś w rodzaju ojca, którego od zawsze szukał we wszystkich napotykanym mężczyznach.

– Młodzi, tacy jak ty, jesteście naszymi zmiennikami. Ty też weźmiesz udział w walce, Valentí. Wiem o tym, od kiedy cię zobaczyłem. Nie masz powołania na subiekta, prawda?

Zaśmiali się, obydwaj zadowoleni. Germán wyciągnął papierosy. Poczęstował chłopca jednym. Zapalił swojego i zaciągnął się nim powoli. Palił spokojnie jak ktoś, kto robi to od dawna. Valentí przeciwnie, palił niespokojnie, jak ktoś, kto musi się dopiero nauczyć delektować dymem, szybko, z tym samym pośpiechem, z którym chciał wreszcie zacząć żyć.

Germán wpatrywał się w chłopca przez chmurę dymu. Panująca w knajpie atmosfera była męcząca i burzliwa, choć oni zdawali się tego nie zauważać.

– Przez te wszystkie gadki jeszcze pomyślisz, że chcę ci robić za ojca. Co to, to nie, na tym się nie znam.

Valentí podniósł wzrok i spojrzał na niego uważnie, jakby słowo „ojciec” obudziło w nim jakieś uśpione uczucia. To, co zostało powiedziane, zostało powiedziane, i nie można było niczego cofnąć. Zresztą Germán nie należał do ludzi, którzy się wycofują, ani w rozmowie, ani w działaniach.

– Nie wiesz, kto jest twoim ojcem?

Chłopak wolno pokręcił głową, po czym rzucił wyraźne i stanowcze „nie”.

– Matka nigdy ci o nim nie opowiadała?

– Nie. – Zgasił papierosa o krawędź stołu i rzucił niedopałek na podłogę. – Przez jakiś czas, kiedy byłem mały, miałem może z dziesięć lat, spotykała się z takim jednym typem. Fajny gość. Myślałem nawet, że to on jest moim ojcem, choć w głębi duszy wiedziałem, że to nieprawda.

– Jak mogłeś być tego pewien? Spytałeś się go o to?

– Nie było potrzeby. Takie rzeczy się po prostu wie i już. Nie był nim. Mimo że ja bardzo chciałem, żeby było inaczej. Marzyłem, że ożeni się z moją matką, przeprowadzi do nas i zostanie moim tatą. Opiekował się mną, wiesz? A ja chciałem, żeby już na zawsze tak było.

– I co się stało?

– Zerwała z nim.

– Aha...

– Moja matka nie umie kochać. Nie kocha nikogo. – Zrobił pauzę. – No dobra, może kocha Genisa. Trochę.

– Nie wyobrażam sobie Genisa w roli ojca. – Spojrzeli po sobie. – Wiesz... to pedzio.

Rozmowa stopniowo traciła na powadze, aż obaj wybuchnęli gromkim śmiechem. Śmiali się i śmiali, dumni ze swojej męskości.

Nawet nie zauważyli, że upłynęły długie godziny. Kiedy wyszli z cuchnącej knajpy, gwiazdy niczym główki od szpilek wbijały się w ciemne niebo. Ale noc była jeszcze młoda, a oni mieli sobie wiele do opowiedzenia.

Laia gwałtownie wyrwała się ze snu, słysząc łoskot zamykanych z hukiem drzwi. Valentí wrócił do domu. Znowu nad ranem. Skąd wracał? Z kim się spotykał? Któregoś dnia, kiedy go o to zapytała, odpowiedział wymijająco, niezbyt sympatycznie, nie patrząc jej w oczy. Miał dopiero szesnaście lat, był jeszcze dzieckiem. A może nie? Może stał się już mężczyzną, a ona tego nie zauważyła?

Zamknęła na chwilę oczy. Wstała z łóżka, starając się nie robić hałasu, i otworzyła okno. Czuła, że się dusi. Na niebie jak zwykle błyszczały gwiazdy. Jak w te noce, kiedy wracała do domu, czując jeszcze w ustach smak pocałunków Ferrana, a gdzieś głęboko w sercu ukrywając jego kłamstwa, żeby nie mogły jej zboleć. Ona wtedy też odpowiadała swojej matce na pytania wymijająco, nie mając odwagi spojrzeć jej w oczy. Była dwa lata starsza niż Valentí teraz. I była już kobietą. Może chodziło o to samo. Może jej syn spotykał się z jakąś dziewczyną. Może się zakochał. Nie byłoby w tym nic dziwnego.

Zamknęła okno i wróciła do łóżka. Nigdy nie wiedziała, jak obchodzić się ze swoim synem, teraz nic się nie zmieniło. Kiedy Engracia jeszcze żyła, łatwo było spychać na nią wszystkie obowiązki i problemy Valentiego, winić ją za wszystko. Absolutnie wszystko było jej winą. Biedna Engracia! Rozpieszczała go, na wszystko mu pozwalała. Tak wówczas myślała Laia. Nie zdążyła jej powiedzieć, jak bardzo ją zabolęło, że ona także ukryła przed nią relację Pau z chłopcem. Umarła tak nagle! Ale nie miała do niej pretensji.

Nie mogła jej winić. I tak bardzo odczuwała jej brak! Była dla niej niczym druga matka.
Zrobiło się już bardzo późno, a ona musiała wcześniej wstać. Nie mogła źle wyglądać. Nie w pracy. Ukryje sińce pod makijażem, a zmartwienia w sercu. Bardzo głęboko. Dobrze schowane. Razem z innymi. Żeby zbytnio nie bolały.
Tej nocy nic jej się nie przyśniło.

Dwudziestego lipca tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku Andreu Molins, wierny swoim stałym przyzwyczajeniom, wstał z łóżka, ubrał się, poszedł do jadalni i usiadł przy stole na swoim miejscu, gotów jak co rano zjeść skromne śniadanie. Jak zwykle. Jak gdyby pod koniec tego tygodnia słowa, kłótnie, konsensusy i nieporozumienia nie obróciły się w krew, śmierć i ciszę. Bowiem pod koniec tego tygodnia w Barcelonie prowadziły ze sobą rozmowę jedynie karabiny i pistolety.

Molins o tym nie zapominał. Lecz nie chciał przyznać przed samym sobą, jakoby ten poniedziałek różnił się od jakiegokolwiek innego. Życie toczyło się dalej. I nie mogło się zatrzymać, choćby po mieście parę godzin wcześniej niósł się huk wystrzałów. Strzały na Ramblach; na placu Cataluña; na Paseo de Gracia; w różnych dzielnicach. Wszędzie wzniesiono barykady. Przelano krew.

Razem z Anną spędzili całą niedzielę przyklejeni do radioodbiornika, za nic w świecie nie wychodząc z domu. Obydwoje w ciszy i z wyczekiwaniem wsłuchiwali się w wygłaszane hasła i przemówienia. Odezwy.

„Prawdziwymi złodziejami są ci, którzy bogacą się na naszej pracy, są nimi burżujskie skurwysyny”, grzmiał Durruti, podczas gdy La Pasionaria zagrzewała lud do walki słowami „że jesteście gotowi walczyć do ostatniego naboju”.

Molinsowie, kiedy udało im się wreszcie nawiązać łączność, skomunikowali się z Roser i Ferranem, którzy potwierdzili to, co działo się w centrum miasta.

– Wydaje się, że ci bezkoszulowcy opanowali Barcelonę, Andreu. Chodzą po ulicach z karabinami, pistoletami i pałkami – referowała mu Roser drżącym głosem. – Na samochodach i ciężarówkach powiewają zatknięte flagi anarchistowskich FAI i CNT. Z naszego domu słychać strzały, a przez okna widzimy uzbrojonych ludzi. To wszystko napawa strachem, Andreu, panicznym strachem...

Skończył śniadanie, niepokojąc się o siostrę. Wówczas do jadalni weszła Anna. Na jej twarzy, zazwyczaj tak pogodnej, pojawiły się sińce po nieprzespanej nocy. Nie przypominała samej siebie. Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w męża z szeroko otwartymi oczami. Powoli składał serwetkę, wygładzając starannie każde zagięcie, tak jak zawsze.

– Co robisz, Andreu? Dlaczego ubrałeś się jak do wyjścia?

Andreu podniósł głowę i na nią spojrzał. Zdobył się na uśmiech, spokojny i pełen otuchy, jak miał nadzieję.

– Idę do sklepu – powiedział swoim zwykłym opanowanym głosem.

Anna przyskoczyła do niego błyskawicznie. Była wzburzona.

– Jesteś nienormalny?! Chcesz, żeby cię zabili?

– Anno, bardzo proszę, opanuj się! Nie ma potrzeby, żebyś od razu tak się unosiła.

Złapała go za ramię i pociągnęła. Potrząsnęła nim. Andreu nigdy nie widział jej w takim stanie.

– Andreu, jest wojna, a ty dobrze o tym wiesz. Nie możesz jak gdyby nigdy nic iść do sklepu. – Łza zaczęła toczyć się po zarumienionym policzku Anny Balasch. – Dzisiaj nie. Nie idź... – zaczęła błagalnie, wiedząc, że gdy Andreu podjął już jakąś decyzję,

trudno było go od niej odwieść.

– Nie rozumiesz, że muszę iść? To ja powinienem stać na czele firmy, zwłaszcza w takim dniu jak dzisiaj. Może trzeba będzie wydobyć jakieś dokumenty, wyciągnąć pieniądze... Muszę podjąć ważne decyzje. Jeśli nie pójdę, skąd będę wiedział, jak wygląda nasza sytuacja? Byłby to rodzaj dezercji.

– A jak zamierzasz się tam dostać? Przecież nie samochodem, prawda? Tramwaje nie jeżdżą, zostały zarekwirowane. Andreu, błagam... jeśli nie dla mnie, zrób to dla swoich dzieci.

Andreu delikatnie wyswobodził się z uścisku i pogładził rękę do tej pory kurczowo wczepiającą się w jego ramię. Chciał, żeby i żonie udzielił się jego spokój, którego tak naprawdę chyba sam nie czuł.

– Nic się nie stanie. Sama zobaczysz. Musimy zaufać boskiej opatrności.

Z oczu Anny uciekła cała radość i cały blask, teraz były to dwa wzburzone morza.

– Jak zamierzasz się tam dostać? Idę z tobą!

– Anno...

W tym momencie ktoś zadzwonił do drzwi. Andreu i Anna spojrzeli po sobie w milczeniu, czas stanął w miejscu, przesycony niepewnością. Strach ścisnął im gardła. Do pokoju weszła bardzo zdenerwowana służąca:

– Przyszedł...

Nie dając czasu, by go zapowiedziano, i nie przestrzegając etykiety, która w tych okolicznościach wydawała się zbyt czarna, Julián Recasens wtargnął do jadalni państwa Molins. Miał twarz wykrzywioną grymasem, a pusty prawy rękaw prochowca zwiślał luźno włożony do kieszeni.

– Panie Molins, musi pan pójść ze mną.

Zapadła cisza, powietrze w pokoju zgęstniało do tego stopnia, że ostre poranne światło zamieniło się w ledwie widoczny cień.

– Co masz na myśli?

– Pan Martínez zajmie się wszystkim w sklepie. Wie pan, że byli już u nas? Ci z FAI. Szukają pana. Musi pan ze mną pójść.

– Nie ma mowy!

– Posłuchaj go, Andreu – odezwała się Anna. – Bardzo cię proszę. Martínez wie, co robi.

– Pan Clos ma wszystko przygotowane. Ale teraz musi pan ze mną pójść...

– Ja nie...

– Jasna dupa! Mógłby pan z łaski swojej przestać być taki kurewsko uparty? Tu chodzi o pana życie!

Andreu Molins spojrział na Recasensa zza okularów szeroko otwartymi oczami, które następnie pełne lęku przeniosły się na Annę. Żona wzrokiem prosiła go, żeby zrobił to, co mówił Recasens. Błagała.

Andreu zaczerpnął sił z własnej słabości, zdołał się uśmiechnąć i lekko skinął głową.

– W takim razie chodźmy.

– Nie, nie w tym stroju. Nie zaszedłby pan tak daleko, dobry człowieku.

Annie wróciły siły. Policzki zaróżowiły się i wyglądała niemal jak zwykle.
– Pójdę po coś odpowiedniejszego.

Ubrany w nie swoje rzeczy, przebrany, Andreu Molins wyszedł na ulicę razem z Recasensem, towarzyszył im upał i duchota tego tragicznego lipca. Upał, który zgniatał powietrze i sprawiał, że nie było czym oddychać. Ruszyli w stronę centrum, idąc przez cichą Barcelonę, która wydawała się drzemać po tych dwóch dniach przemocy. Na ulicy było niewielu ludzi, a ci, którzy się na niej znajdowali, kryli się w cieniu. Wyprawa była długa. Mężczyźni nie zamienili ze sobą ani słowa. Szli po Carretera de Sarriá, żeby jak najszybciej znaleźć się w centrum. W miarę jak zbliżali się do celu, zobaczyli plakaty z antyfaszystowskimi symbolami, pełne podżegających do walki haseł wypisanych czerwonymi literami. Od czasu do czasu mijały ich jakaś ciężarówka albo samochód. W środku siedzieli mężczyźni w koszulach z podwiniętymi rękawami i pasami na amunicję.

Andreu Molins był nieobecny, szedł pochłonięty własnymi myślami. Zastanawiał się nad swoim życiem. Kierował nim zawsze porządek. Bez niego, bez skrzętnie poukładanego życia, jak mógł dalej trwać? Jak mógł nadal oddychać pośród całego tego bałaganu i chaosu, którego tak bardzo się obawiał? Spojrzał w niebo. Słońce wznosiło się coraz wyżej. Pomyślał, że spóźni się do pracy, i sam zdziwił się na tę myśl.

Praca.

Dom.

Santa Eulalia.

Przyszło mu do głowy zdanie, które często powtarzał jego ojciec: „Strach ograbia ludzi z godności”. Zdobył się na wysiłek i wyprostował się. Nie, nie zamierzał się bać. Nie pozwolił sobie na to, zbyt dużo ludzi było od niego zależnych.

Na drodze napotkali pierwsze barykady. W centrum powyrywano kamienie brukowe. Wszędzie było pełno szkła. Minęli czyjeś zwłoki, które zdawały się ucinać sobie drzemkę, leżąc nad zaschniętą kałużą krwi z otwartymi oczami, zaskoczonymi nagłą śmiercią. Musiał opanować przerażenie i niepokój. Tak wygląda wojna, pomyślał Andreu i nie potrafiąc tego uniknąć, w wyobraźni zobaczył przerażający obraz ukochanego sklepu, spowitego ołowianą ciszą zalegającą na kontuarach; zdawało mu się, że widzi pracownie krawieckie z nagimi manekinami, wielkie, puste stoły. Zapomniane szpule nici. Pomyślał o swoich dzieciach. O przyszłości, która je czekała, tak różnej od tej, jaką dla nich zaplanował, i o przerażonych tego poranka oczach Anny. Poczul ucisk w klatce piersiowej, a wielka gula goryczy podeszła mu do gardła.

Dotarli na Paseo de Gracia, pod dom jego siostry. Andreu był zmęczony. To było wewnętrzne zmęczenie, które narastało w nim wobec odczuwanej samotności. Co stało się z niańkami, które zazwyczaj spacerowały tędy z dziećmi w wózkach? A z młodymi panienkami, które wychodziły po mszy z parafii Niepokalanego Poczęcia i spotykały się ze swoimi eleganckimi adoratorami? Gdzie podziało się odwieczne życie?

Wielkie drzwi wejściowe do luksusowego budynku były otwarte. Weszli piechotą na górę, idąc po szerokich schodach z sercem szaleńczo łomoczącym im w piersi.

Recasens cały czas rozglądał się wokół, rzucał pełne niepokoju spojrzenia w dół klatki schodowej, jakby bał się, że są śledzeni.

Zadzwonili do drzwi i otworzyła im Remedios, stara, zaufana służąca Roser, jedyna, która od nich nie odeszła. Zaprowadziła ich do salonu. Czekał tam na nich Ferran Clos ubrany w najzwyczajniejsze ubranie, bez kapelusza. Chodził w kółko po pokoju, sadząc ciężkie kroki. Był zdenerwowany. Kiedy zobaczył wchodzącego szwagra, podszedł do niego rozemocjonowany. Uścisnęli się. Ferran potykał się o słowa, usiłując opowiedzieć mu wszystko naraz.

– Roser wyjechała z dziewczynkami. Udało mi się je stąd wydostać. Dzięki znajomościom. To wszystko fatalnie wygląda, Andreu. Czekałem na ciebie, żeby móc do nich dołączyć. Pojedziemy do Francji. Może do Paryża. Mamy tam przyjaciół i będzie nam stamtąd łatwiej zorganizować wywiezienie was z kraju. Tymczasem zostaniesz tutaj, u nas w domu, w ukryciu. Z Remedios. Potem...

– Nie wyjadę do Francji. Moje miejsce jest tutaj, blisko Santa Eulalii. Nie rozumiesz tego? Nie rozumiecie? Obojętne, co się stanie, muszę czuwać nad Santa Eulalią.

– Ależ, panie Molins... – starał się przerwać mu Recasens.

Ferran przewrócił oczyma, po czym wbił je niczym dwie strzały w posępną twarz szwagra. Jak niby miał przemówić mu do rozumu i wytłumaczyć, że żarty się skończyły? Że go szukali?

– Słuchaj, Andreu, dzisiaj rano anarchiści z FAI pojawili się w sklepie. Przeszukali go. Ramón udowodnił, że ma jaja jak dwa arbuzy. Przyszedł do pracy wcześniej niż zazwyczaj, obawiając się najgorszego. Miał czas, żeby przenieść pieniądze i dokumenty w bezpieczne miejsce. Opowiedział mi, że podjął tych facetów i rozmówił się z nimi w imieniu wszystkich pracowników. Na razie wydało im się w porządku, że stanie na czele firmy przekształconej w kolektyw. Powiedzieli mu, że ponieważ widać, że wie, o co chodzi, i wygląda na człowieka, na którym można polegać, na towarzysza, zostanie doradcą komitetu związkowego, dopóki nie zbierze się walne zgromadzenie pracowników.

– Tak dzieje się we wszystkich fabrykach i przedsiębiorstwach, w których pracuje ponad setka ludzi, panie Molins – wtrącił się Reca.

Ferran ciągnął dalej, opowiadając o zdarzeniach mających miejsce tego ranka, kiedy świat stanął do góry nogami.

– Zapytali go o te faszystowskie świny, które ubierają barcelońskich burżujów, ale udał, że nie wie, o co chodzi...

– Byłem tam – dorzucił swoje trzy grosze Recasens. – Powiedział im: „A któż to może wiedzieć, gdzie mogą być o tej porze”. I zaczął się śmiać, jakby stał po ich stronie. To ich uspokoiło. Ale szukają pana, panie Molins. Niech sobie pan to wbije do głowy.

Andreu wpatrywał się w nich, nie wierząc własnym uszom. Jego świat rozbijał się w drobny mak. Rozsypywał się w drzazgi. Tymczasem Recasens ciągnął swoją historię:

– Kiedy tylko sobie poszli, zaraz kazał dzwonić do pana Closa.

Ferran nadal wbijał swoją parę niespokojnych oczu w szwagra. Odezwał się błagalnie:

– Andreu...

– Na razie zostanę tutaj. Anna z dziećmi pojedzie z wami do Paryża, jak tylko będzie to możliwe. – Andreu spojrział na Ferrana przez szkiełka okularów. Gula, którą miał w gardle, robiła się coraz większa, słowa ledwie się przedostawały, pourywane, zmęczone. – A teraz jedź już; zobaczysz, jakoś sobie poradzimy.

Obaj mężczyźni uścisnęli się rozemocjonowani. Ferran otworzył usta, żeby jeszcze coś powiedzieć, „do widzenia” albo „do rychłego zobaczenia”. Ale nie mógł wymówić słowa. Opuścił salon z oczami pełnymi łez.

Od kilku dni w domu Blaiego i Teresy spano krótko i źle, i to nie tylko z powodu duszącego upału, który panował w ich mieszkanku w Poblenou, wychodzącym jedynie na małą galerijkę osłoniętą przez labirynt murów przylegających budynków. Również ciąża Teresy nie była przyczyną, jeszcze wczesna, ledwo zauważalna i niewywołująca żadnych dolegliwości. Rzecz polegała na tym, że od niespełna miesiąca czegoś oczekiwali i to oczekiwanie zamieniło się w prawdziwy koszmar. Zarówno aktywiści z FAI, jak i ci z CNT, syndykatu, do którego należał Blai, otrzymali rozkazy, by być w gotowości, spodziewano się bowiem wojskowego puczu wspieranego przez prawicę.

Blai, zaprawiony w bojach i od pięciu lat rozwijający swoją działalność rewolucyjną, wiedział doskonale, czego można się spodziewać po tej faszystowskiej eskalacji. Teresa również. Dlatego żyli w ciągłej obawie, spodziewając się nadejścia wielkiej fali, która zaleje wszystko. Jej huk był już słyszalny, choć jeszcze nie płynęła, choć jeszcze nie było jej widać. A on poza tym żył ze ściśniętym sercem, zastanawiając się, czy będzie umiał ją przeskoczyć albo nawet zatrzymać, powstrzymać jej niszczycielską siłę.

– Boję się, Blai. Na jakim świecie przyjdzie żyć naszemu dziecku, które jeszcze nawet się nie urodziło? – rozpacziała Teresa, leżąc na łóżku z głową opartą na piersi swojego mężczyzny i czuwającymi oczami wpatrującymi się w mrok. Bała się, że jedwabna nić, która połączyła ich życia i którą tak trudno było uprząć, mogła przerwać się w najgorszy możliwy sposób.

– Kobieto, teraz nie jest moment, żeby się wycofać. Źle nam się żyło, nam, którzy nie jesteśmy w czepku urodzeni. Ale możesz być pewna, że to się już skończyło. Nasze dzieci będą żyły w świecie, który sami dla nich zbudujemy. Wystarczająco dużo czasu straciliśmy przez ostatnie pięć lat! Należy stanąć do walki.

Blai mówił rozgorączkowany, głaszcząc żonę po miękkich włosach, utkwivszy spojrzenie w lepszej przyszłości. Jednakże zdarzały się noce, których Blai nie spędzał w domu z Teresą, tylko z towarzyszami, trzymając straż na ulicach w swojej dzielnicy, z legitymacją związkowca w kieszeni i pistoletem schowanym za paskiem spodni.

Dnia osiemnastego lipca, w sobotę, kiedy po zakończeniu swojej zmiany o dwunastej w południe opuścił fabrykę, dowiedział się z natarczywie krążących pogłosek o wojskowym powstaniu w różnych częściach kraju. Mająca na horyzoncie przerażająca fala pokazywała swój grzebień, zbliżając się nieubłaganie. Skierował się zaraz do syndykatu, nawet nie wpadając do domu. Panowało tam poruszenie. Byli

w stałym kontakcie ze wszystkimi syndykatami w ich regionie, robiono przegląd wszelkiej dostępnej broni. Jej część pochodziła jeszcze z czasów Somatents, katalońskiej straży obywatelskiej, rozbrojonej po ogłoszeniu Republiki. W sumie, raczej znikomy arsenał, mając na uwadze to, co się kroilo.

W nocy z osiemnastego na dziewiętnastego lipca klasa robotnicza oraz siły lewicy wystąpiły w obronie Republiki. Znakiem do walki w dzielnicy Poblenou były przyćmione z uwagi na sporą odległość echa pierwszych wystrzałów. Na ich dźwięk zaczęły wyć fabryczne syreny, to było zaproszenie, na które czekali, by rzucić się na ulice. Z zakotwiczonych w porcie statków dochodziły gwizdy syren okrętowych, dołączających się do koncertu, one również krzyczały o wolność.

W domu zapłakana Teresa, trzymając się za brzuch, by ochronić nowe życie, które nosiła w sobie, również usłyszała znaki świadczące, że to, czego od kilku dni się obawiali, stało się przerażającą rzeczywistością. Siedząc na krześle w ciasnej jadalni, ubolewała, że zapomniała tych kilka modlitw, których uczyła ją w dzieciństwie Agustina. Serce jej się krajało, ale na szczęście oczom został oszczędzony spektakl, który podziwiała oczy Blai: niezgody przemienionej w końcu w krew i śmierć.

Na Plaza Cataluña Blai zobaczył śmierć z bliska. Śmierć, która przemieszczała się po placu zygzakami, chowała za pomnikami, mierzyła do niego z karabinu. Tam też po raz pierwszy zobaczył zabitych. Ich ciała zostały ułożone na środku placu, byli nieruchomi, jakby zdumieni tym dziwnym zaszczycem, że oto stali się pierwszymi ofiarami wojny, która jeszcze się nie rozpoczęła. Widmo śmierci krążyło między rzeźbami i Blai poczuł strach i obrzydzenie. Później śmierć stała się jego towarzyszką, a on przyzwyczaił się do jej obecności.

Tej nocy Recasens wrócił do dzielnicy Sarriá, do domu państwa Molins, z wiadomością dla Anny od męża. Przyjęła go ze spuchniętymi zaczerwienionymi oczami, jednak na widok zarówno jego, jak i listu na jej twarzy pojawił się uśmiech i na chwilę zajaśniała dawnym blaskiem swojej spokojnej urody. Musiała nalegać, by Recasens zgodził się cokolwiek zjeść, i w końcu służąca w jadalni podała mu półmisek wędlin, gdy tymczasem ona, drżąc z niecierpliwości, rozrywała nerwowo kopertę, uśmiechając się na samą myśl o tym, jak zganiłby ją Andreu za to szaleńcze zachowanie.

Rozpoznała drobne pochylone pismo męża, choć na początku nie była zdolna rozczytać słów. Podekscytowana, oddychając nierówno, musiała skupić się z całych sił, by zrozumieć cokolwiek, wpatrując się w wyrazy, które tańczyły jej przed oczami.

Najdroższa Anno, żono i towarzyszko!

Ileż to już razem we dwójkę przeżyliśmy, a mimo to nie potrafiliśmy wyobrazić sobie tego, co nas teraz spotyka. Wydaje mi się, że gdy piszę te słowa, mogę Cię zobaczyć. Twoje oczy, te, które zawsze oświeślały mi drogę i moje życie, są zaczerwienione od ciągłego płaczu. Lecz mimo tego nieszczęścia, które na nas spadło, wiem też, że przez cały dzień opiekowałaś się naszymi dziećmi, czuwając, by nie cierpiały bardziej, niż to konieczne. To dodaje mi otuchy.

Litery wydawały pojawiać się i znikać, naśmiewały się z niej, bawiły w kotka i myszkę.

Zależy mi, żebyś wiedziała, że czuję się dobrze i obecnie nic mi nie grozi ze strony tych, którzy z nienawiści i w imię błędnie rozumianej wolności chcą nam wyrządzić krzywdę. Nie powiem Ci, gdzie jestem. Nie chcę narażać Was na niebezpieczeństwo, powierzając Wam tę niewygodną tajemnicę. Dlatego że przyjdą do naszego domu. I zapytają. I będą mnie szukać. I nie chcę, żeby Was niepokoiłi. Niedługo skontaktuje się z Tobą Ferran i wywiezie Was z kraju. Nie zaznam spokoju, dopóki Ty i dzieci nie znajdziecie się razem z Ferranem i Roser z dala od niebezpieczeństw. Do tego momentu, kochana Anno, poczciwy Recasens będzie nam służył za posłańca.

Szczęściem w nieszczęściu, prawdziwym błogosławieństwem jest móc cieszyć się lojalnością tych, którzy byli i są nadal częścią tej wielkiej rodziny, naszej firmy.

Cała ta sytuacja nie potrwa długo, kochana Anno. Wkrótce znowu będziemy razem.

Opiekuj się dziećmi. Powiedz Antoniemu, że teraz to on jest głową rodziny i musi się wobec tego zachowywać, jak na pana domu przystało. Ma już dwanaście lat, a ponadto w jego żyłach płynie krew Molinsów i Balaschów. Annie, Joaquimowi i Peremu przekaz, że mają być posłuszni i odważni. A małemu Andreu, żeby o mnie pamiętał.

Twój ukochany mąż, który bardzo Cię kocha

ANDREU

Anna pocałowała kilkakrotnie kartki z wiadomością od męża, po czym zasiadła do pisania, żeby przekazać odpowiedź Recasensowi, który jadł bez apetytu i był wyraźnie zmęczony.

List Anny pełen był słodczy, która płynęła prosto z jej serca. Opowiedziała Andreu o dzieciach i o tym, jak spędzili razem ten straszny dzień. Prosiła go, żeby mimo wszystko powiedział jej, gdzie się zatrzymał, bo nie wiedziała, czy długo wytrzyma – obojętnie ile miałyby to potrwać, nawet jeśli stosunkowo krótko – nie widząc się z nim. I zapewniała, że żadna ziemską siłą jej z ich domu nie ruszy, że będzie tu na niego czekać z nakrytym stołem, a wszystko zostanie na swoim miejscu, tak jak lubi, tak jak zawsze, a ten koszmar rozwieje się i znów zaświeci słońce.

Ale słońce wcale nie tak prędko miało znowu zaświecić.

Parę dni później, zgodnie z obawami Andreu, przerażona służąca zapowiedziała przybycie grupy uzbrojonych mężczyzn. I zgodnie z przypuszczeniami bojówkarze starali się go znaleźć. Dowiedziawszy się o ich przybyciu, Anna poszła po dzieci, wzięła na ręce małego, rocznego Andreu i wszyscy razem wyszli im na spotkanie. Przywitała ich z wysoko podniesionym czołem, ukrywając swój strach bardzo głęboko. Odpowiedziała na ich pytania. Na te, na które mogła.

– Nawet gdybym chciała, nie mogłabym panom wskazać, gdzie jest mój mąż. Celowo mi tego nie powiedział, przewidując, że dojdzie do podobnej sytuacji, i zachował wszelkie środki ostrożności. Taka jest prawda. – Nie spuściwszy oczu ani na chwilę, mówiła dalej, powstrzymując łzy i drżenie głosu, które mogło ją zdradzić. – Ale powiem panom jedno: proszę udać się do Santa Eulalii i zapytać o niego pracowników. Jeśli znajdzie się choć jeden, który będzie miał mu coś do zarzucenia, przysięgam, że sama poruszę niebo i ziemię, żeby dowiedzieć się, gdzie się ukrywa, i panom powiem. Niech panowie zrobią, co powiedziałam, i wrócą, żeby dać znać, jak panom poszło.

Zapadła głęboka cisza, którą zburzył stukot obcasów oddalających się męskich oficerów.

Anna przez dłuższą chwilę nie śmiała się poruszyć. Kiedy wreszcie to zrobiła, spojrzała po dzieciach: Antoni miał poważną minę, Annie drżały usteczka, Quim i Pere patrzyli przerażonym rozbieganym wzrokiem... Mały Andreu zaczął płakać, dając wyraz strachowi, który dopadł ich wszystkich.

Anna pozwoliła sobie na jedno głębokie westchnienie, miała złe przeczucia. Pomyślała, że przede wszystkim musi chronić dzieci. Andreu oczekiwał tego od niej, poza tym wiedziała, że następnym razem kiedy pojawią się ci mężczyźni, przyjdą po to, żeby ich wszystkich zabrać. Wyczytała to w ich oczach. Dlatego poprosiła służącą, żeby pomogła jej spakować walizki. Zdecydowała, że pojedą do Camprodonu.

Pierwszy rok wojny.

Tunel zdawał się coraz dłuższy. Coraz mroczniejszy.

Kalendarz stanął w miejscu.

Wszyscy podejrzewali, że nie przeżyją roku wojny. Teraz zaczęli podejrzewać, że nie przeżyją dwóch lat.

Mówiono, że pod miasteczkiem Brunete nacjonałiści radzili sobie lepiej, a poległych, zwłaszcza po stronie republikańskiej, było więcej.

Na ulicach powietrze wydawało się uperfumowane prochem. Racjonowano żywność, obywatelom rozdano po pięć kartek żywnościowych, które odpowiadały produktom spożywym i opałowym. Były to: chleb, mięso, ziemniaki, jajka i węgiel. Potem doszły do nich oliwa i ryż. Nigdzie nie było można dostać mydła. A mleko tylko na receptę. Brak produktów pierwszej potrzeby i w konsekwencji długie kolejki, żeby je zdobyć, osłabiały opór ludności.

Laia została całkiem sama w mieszkaniu przy ulicy Margarit. Valentí, idąc za przykładem Germana, zgłosił się na ochotnika, jeszcze zanim na dobre wybuchła wojna, fałszując swoją datę urodzenia. Od tamtej pory minął już blisko rok. Na początku prawie nie miał kontaktu z matką. Teraz pisywał częściej. Z jego listów tchnęła samotność i desperacja. Strach. Laia zrobiłaby wszystko, byle tylko mieć go przy sobie, móc go przytulić i pocieszyć. Teraz wreszcie dotarło do niej, co to znaczy nie mieć Valentiego przy sobie. Nie móc go zobaczyć. Ani usłyszeć jego głosu. Tak bardzo bolał ją zmarnowany czas, że kiedy myślała o synu w nocy, rwała sobie włosy z głowy i płakała w samotności pustego mieszkania. Stopniowo sprzedała niemal wszystko, żeby jakoś przetrwać. Od czasu wybuchu wojny nie pracowała. Kiedy doszło do kolektywizacji, Santa Eulalia zaczęła szyć wojskowe mundury dla oddziałów republikańskich. Salony mody zlikwidowano, a Ramón Martínez powiedział, że lepiej będzie, jeśli przestanie pokazywać się w sklepie.

– Boję się, Laiu. Pytali o ciebie, o tę, która obsługiwała i ubierała te wszystkie bogate burżujki. Dla nich, dla tych z syndykatu, nie jesteś zwykłą pracownicą. Widzą w tobie jedną z nich. Nie są zdolni pojąć, czym zajmował się dom mody w czasach Republiki.

Laia przestraszyła się. Miała wrażenie, jakby świat, jej świat, rozpadał się na kawałki. I tak właśnie było. Świat się walił.

– Ramón, ale co ja pocznę? Nie mam żadnych oszczędności. Jeśli to potrwa dłużej...

– Nie przejmuj się, kobieto, nie potrwa. Reka będzie wpadał do ciebie co tydzień. Nie zostawimy cię samej sobie. Andreu Molins nigdy by mi tego nie wybaczył.

I tak się stało. Laia siedziała w domu, sama i zdesperowana. Recasens odwiedzał ją, przynosząc to, co akurat mógł: jedzenie albo parę groszy... Często przychodziła też Lluïsa. Laia z niecierpliwością wyczekiwała jej wizyt, nie tylko, żeby zobaczyć, co tym razem przyniosła, ale ze względu na towarzystwo. Na tę chwilę, kiedy mogły razem usiąść i porozmawiać o wszystkim i o niczym, nad kubkiem, który chciałby być filiżanką kawy,

choć nim nie był.

Przez pierwsze miesiące wojny Laia nie robiła praktycznie nic więcej, tylko wystawała w kolejkach. Ogromnych, niekończących się kolejkach, na długie godziny stania. A wszystko po to, żeby w końcu zdobyć paczkę herbatników. Aż jej się to znudziło i wówczas zaczęła spędzać dni, leżąc w łóżku, przykryta po sam czubek nosa, żeby ochronić się przed zimmem i samotnością, na którą lekarstwem był jedynie Genís.

Bez wątpienia to właśnie on był prawdziwym oparciem dla Lai w tych trudnych chwilach. Został powołany, żeby zasilić oddziały republikańskie, ale nie zdołał ukończyć nawet szkolenia. Tak samo jak kilka lat wcześniej w przypadku służby wojskowej, wywinął się z powodu powracających ataków epilepsji – wojskowi lekarze orzekli, że jest niezdolny do walki. Może był to jedynie świetny pretekst, żeby odsunąć od służby tych, którzy nie odznacжали się męskością wymaganą od przyszłych żołnierzy. Co do tego obie strony konfliktu wydawały się zgodne. Genís, uznany za nieużytecznego, na nowo podjął pracę w Santa Eulalii, która, by nie budzić religijnych skojarzeń, zmieniła nazwę na bardziej laicką Santeulalię. Ten niegdyś atrakcyjny mężczyzna teraz starał się nie rzucać w oczy. Ukrywał się pod swoim nowym wizerunkiem, tak różnym od pełnego uroku usposobienia, którym dawniej oczarowywał obsługiwanych klientów. Stał się niemal niewidzialny, wykonywał zlecane mu zadania, nie zamieniając z nikim ani słowa, po czym zamykał się w swoim odziedziczonym po rodzicach mieszkaniu w Clot, które opuszczał jedynie po to, żeby odwiedzić Laię. Przynosił jej, co tylko mógł, nawet za cenę odjęcia sobie tego od ust, siadali i rozmawiali o starych dobrych czasach. O nieszczęściach nie rozmawiali prawie nigdy.

Ramón Martínez odwiedzał Andreu raz w tygodniu lub raz na piętnaście dni, zachowując wszelkie środki ostrożności, wybierając zawsze inny dzień i godzinę, tak żeby nie wzbudzać podejrzeń. Molins został w mieszkaniu siostry przy Paseo de Gracia z Remedios, która dbała o niego. Miał dobrą kryjówkę w jednym z pokoi niewychodzących na ulicę i jedynie w nocy, kiedy nie mógł zostać zauważony, szedł do salonu albo do gabinetu i siadał tam w ciszy, nie zapalając światła, nawet jeśli akurat był prąd, i oddawał się rozmyślaniam. Snuł plany na przyszłość w ramach ćwiczenia własnego umysłu, by nie popaść w desperację.

Mieli z Remedios ustalony plan na wypadek, gdyby pojawił się ktoś i o niego zapytał. Wszystko było obmyślane. Ale na szczęście w mieszkaniu przy Paseo de Gracia nigdy nikt się nie zjawił. Remedios, teraz już bez swojego fartuszka pokojówki, tego samego, który zaczęła nosić jeszcze u starych Molinsów, jego rodziców, kiedy jako młoda dziewczyna przybyła ze wsi i najęła się u nich do pracy, zajmowała się domem i pokazywała na oczy sąsiadom. Wchodziła i wychodziła z mieszkania, szła po zakupy, tak by wszyscy widzieli, że mieszkanie nie stoi puste.

Ramón wyczekiwał pory, kiedy budynki przesłaniała purpurowa woalka zachodzącego słońca, i zachowując wszelką ostrożność, ruszał w stronę Paseo de Gracia. Wolnym krokiem chodził po ulicy w górę i w dół, jakby był zwykłym spacerowiczem, który wyszedł zaczerpnąć świeżego powietrza, a kiedy widział, że ma drogę wolną i nikt

go nie obserwuje, wchodził do klatki Closów i wdrapywał się na trzecie piętro. Pukał do drzwi w umówiony wcześniej z Remedios sposób. Dopiero kiedy stał przed Andreu, ośmielał się odetchnąć z ulgą.

Pewnej nocy pod koniec tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego roku Andreu słuchał Ramona, nie przestając mu się przypatrywać. Ten mężczyzna, miłośnik zapasów w stylu klasycznym i kolekcjoner jedwabnych krawatów, zaczął się teraz nosić jak robotnik. Robotnik, który zdejmował przed nim czapkę na znak szacunku i nigdy nie stracił dla niego uznania. Obojętne jak ubrany, Ramón Martínez Rosell był nadal jego wiernym współpracownikiem, człowiekiem, któremu mógł zaufać, i jedynym łącznikiem pomiędzy nim a Santa Eulalią, jego firmą, domem ich wszystkich, za którym tak tęsknił. Andreu Molins był w pełni świadom, że bez wizyt Martineza, bez tych długich rozmów, dzięki którym mógł, choćby na odległość, partycypować w działaniu sklepu, oszalałby.

Często obydwaj mężczyźni wspominali moment kolektywizacji firmy rok wcześniej i tego, jak potoczyły się jej losy.

– Sam pan wie, bo kilkakrotnie już to panu mówiłem, że mieliśmy prawdziwe szczęście ze sklepem, bo wiedzieliśmy dobrze, jak obsadzić stanowiska. Kiedy ci z syndykatu wrócili po czterdziestu ośmiu godzinach i zobaczyli, że udało nam się wszystko zorganizować, odetchnęli z ulgą i zaakceptowali niemal wszystkie nasze wybory.

– To prawda, jednak w dalszym ciągu martwię się o Laię Calvet i ekspedientki z salonu mody. Pójdiesz się z nimi zobaczyć, prawda, Ramón? I o Boscha, biedny Bosch...

– Proszę się nie martwić, Andreu. Jak pan wie, w wyniku podjętych działań, zaraz po pierwszym zgromadzeniu pracowników, musiałem pójść na pewne ustępstwa. Upierali się, żeby zwolnić wszystkich pracowników salonu mody, jakby byli diabłami w ludzkiej skórze. A jeśli chodzi o pana Boscha... Zawsze był człowiekiem prawicy.

– Zupełnie nieszkodliwym!

– Ale nie mogłem zatrzymać go w firmie.

– I to jeszcze w jego wieku! Co za nieszczęście! Prawdziwa katastrofa!

Zamilkli. Martínez w krzepkich dłoniach obracał swoją czapkę. Rozmawiali ściszymi głosami. Andreu był już do tego przyzwyczajony, Ramón musiał się do tego zmuszać.

– Tylu subiektów i pomocników poszło na front – bąknął Ramón, jakby odczytując w głowie listę z nazwiskami tych wszystkich, którzy przystąpili do walki.

– I tylu z nich już więcej nie ujrzymy, Ramonie.

– Genisa Campsa uznano za niezdolnego do służby. Wrócił do nas do pracy.

– Cieszę się, zarówno ze względu na niego, jak i na firmę. Będzie dla pana wsparciem i robi, co mu pan każe. – Ramón skinął głową. – I niech pan pamięta, Ramonie, o tym, co zawsze powtarzam: proszę kupować tkaniny i je chować. Ukrywać. Kupować i jeszcze raz kupować.

– Tak robimy, Andreu, proszę się o to nie martwić.

– Kupować i chować. Wojna kiedyś się skończy, a wtedy będziemy potrzebować towaru, który moglibyśmy sprzedać. I nie mam na myśli jedynie materiału na

republikańskie mundury. Chodzi mi o towar, który pozwoli nam stanąć na nogi. Odbić się od dna.

– Tak. Kontynuować to, co kiedyś zaczęliśmy. Prawda, Andreu?

Ramón wstał. Zrobiło się późno, jedyne światło, które wpadało, docierało do nich przez otwarte drzwi od pokoju. Andreu zadarł głowę i przypatrzył się swojemu współpracownikowi w całej okazałości. Ogarnęła go fala wzruszenia. Podniósł się z fotela i uściskał go, po czym serdecznie poklepał po plecach.

– Wróć.

– Powodzenia.

Andreu usłyszał szybkie kroki Ramona Martineza, które oddalały się korytarzem. Westchnął. Nie chciało mu się spać. Rodzaj aresztu, w którym przebywał, odbierał mu chęć snu i apetyt. Wziął kartkę i pióro. Postanowił napisać do Anny. Nie powinien ulegać panice. Ani przygnębieniu.

Nie. Co to, to nie.

Był styczeń tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku. Wojna trwała od osiemnastu miesięcy. Minione Boże Narodzenie było najsmutniejszym w życiu Lai. I w życiu tylu innych. Samotna, siedząc w lodowatej jadalni ogołoconej z mebli, w słabym świetle przygasającej świeczki, której płomyk odbijał się w jej oczach niczym gwiazda, pochłonęła talerz kukurydzianej papki. Lluïsa przyniosła jej jedną pomarańczę. Zjadła pół, a drugą połowę zostawiła sobie na wieczór. Starła się nie myśleć o jedzeniu. Gdyby chociaż mogła podzielić się tą połową pomarańczy z Valentim. Co mógł robić teraz jej syn? W ostatnim liście pisał, że jest na froncie pod Teruelem. Opowiadał jej o koszmarnym zimnie, o krwawych walkach. Choć dodawał też, że wojska republikańskie miały przewagę. Buntownicy tracili Teruel.

Laia nigdy nie miała poglądów politycznych. Żyła za bardzo zamknięta w malutkiej łupinie, którą sama dla siebie zbudowała: jej praca, małe i wielkie sukcesy zawodowe, podróże, stroje, klientki... Zamknęła oczy i nadal mogła zobaczyć obleczone w rękawiczki dłonie eleganckich pań, które odwiedzały salon mody, niemal przezroczyste woalki ich kapeluszy, usłyszeć echo ich rozmów. Wydawało jej się nawet, że czuje zapach papierosowego dymu. Jedyne, czego teraz pragnęła, to żeby tamte czasy wróciły. Czowała się republikanką, ale nie dlatego, że wiedziała, co znaczy nią być, tylko dlatego, że byli z Barcelony, i dlatego, że Valentí walczył w ich szeregach. Genís opowiedział jej, co mogłoby się stać, gdyby nacjonaliści wygrali wojnę. Mówił, co by wówczas stracili. Tłumaczył jej to wszystko tak, jakby była małą dziewczynką, wtedy mogła go zrozumieć. Zobaczyć na własne oczy okrucieństwo faszyzmu. Ale teraz, po półtora roku wojny, jedyne, czego pragnęła, to żeby wojna się skończyła. Obojętne, kto miałby wygrać. Bez wojny mogliby się podnieść. Człowiek do wszystkiego potrafi się przyzwyczaić. Naturalnie z nikim nie dzieliła się tymi przemyśleniami. Zachowywała je dla siebie, ukrywała i przeżuwała przez długie samotne godziny. A jednak była pewna, że wielu ludzi myśli podobnie.

Dziewiętnastego stycznia Laia wyszła z domu przed świtem w najlepszym

płaszczu, jaki jej pozostał. Nie miała serca pozbyć się wszystkich eleganckich ubrań, które wcześniej po brzegi wypełniały jej szafę. Sprzedała większość, ale zostawiła sobie malutką część, na pamiątkę, żeby nie zapomnieć, kim była, jaka była Laia sprzed wojny. Płaszcz był na nią za duży. Bardzo schudła. Służył jej teraz, żeby ukryć całą niedolę, którą pod nim chowała. Miała ze sobą mały koszyczek. Wiedziała, że nie uda jej się go zapełnić. Nie było prawie niczego, co by można do niego włożyć. Ruszyła w stronę placu. Szła z założonymi rękami, okutana płaszczem, tak, by nie wpadało pod niego lodowate powietrze. Zanim dotarła na miejsce, mimo że było jeszcze ciemno, dojrzała zwartą ludzką masę, która kołysała się niczym przestępujący z nogi na nogę pojedynczy człowiek, czekając na otwarcie. Słychać było krzyki i kłótnie o miejsce w kolejce, która cofała się powoli, ludzie poszturchiwali się i popychali. Wszystko zdawało się wskazywać, że wojna przeniosła się do tego ciasnego zaułka Poble Sec. Laia bała się kolejek i nienawidziła w nich stać. Ale jeszcze bardziej bała się głodu.

Zaczął świtać, kiedy kilku chłopców postanowiło otworzyć bramę. Zapanował wówczas chaos. Przerażeni tłumem, który zdawał się chcieć ich pochłonąć, połknąć, zatrzymali się. Bezkształtna masa odzyskała niepewną równowagę. Wreszcie zamki się otworzyły, a ludzie rzucili się do środka na targ, pośród krzyków, płaczów i ogólnego zamętu. Ulica, niemy świadek walk, opustoszała. W ataku ktoś został ranny, jakaś kobieta, którą bestia zrównała z ziemią; jakieś zagubione dziecko szukające mamy.

Laia wpatrywała się w to wszystko osłupiała. Będąc na targu, upewniła się po raz kolejny, że prawie nic już nie zostało. Walka bez łupów. Wyszła z pustym koszyczkiem i nie wiedziała, jak długo błąkała się po ulicach. Czas stracił jakiegokolwiek znaczenie. Nogi same zaprowadziły ją na Pla de la Boqueria. Chadzała tam często. Przechodziła obok Santa Eulalii. Podchodziła bliżej, jakby chciała schwytać stracone chwile, które unosiły się w tych murach i oknach wystawowych, teraz pozbawionych radości i dawnych kolorów. Było zimno. Bardzo zimno. Nie czuła własnych rąk...

Rozległ się alarm. Laia wzniosła oczy ku coraz groźniejszemu niebu. Było szare, gdzieś usiane postrzępionymi obłoczkami niczym białymi ptakami. Wtedy je zobaczyła.

Samoloty.

Nad Barceloną z łaskawego nieba zaczęły gęsto sypać się bomby. Z opiekuńczego nieba, które nie mogło już ochronić barcelończyków od upominającej się o nich śmierci.

Laia odruchowo zaczęła biec przed siebie. Była przerażona.

Huk wybuchów miejscami przybierał na sile. Samoloty przeleciały nad miastem, zrzucając bomby, jeszcze więcej bomb, z nieludzką furią. Dał się słyszeć hałas karabinów maszynowych, które strzelały do uciekających w popłochu do schronów ludzi.

To były włoskie samoloty.

Leciały nisko.

Laia potknęła się o leżące na ziemi ciało jakiejś kobiety. Upadła na nią. Czerwona plama krwi, która broczyła z jej klatki piersiowej, ubrudziła Lai płaszcz. Nie miała siły, żeby się podnieść, skuliła się obok zwłok, zasłoniła sobie głowę rękoma, po jej policzkach

spływały lzy, obserwowwała, jak świat wokół rozpada się na kawałki, jak śmierć spaceruje obok niej.

Nagle dał się słyszeć ryk kolejnej eksplozji, gwałtowniejszej od pozostałych.

Krótki.

Ogłuszający.

Thuczące się szkło.

Ciało Lai zadygotało.

Świsty, świsty, świsty...

Nic nie widziała, ulica zniknęła, a wszystko spowijał gęsty dym i kurz. Trudno było jej oddychać. Powietrze było gorące, dusiło ją. Czuła, jakby chciało ją zmiażdżyć. Wykończyć...

Krzyki.

Zawalające się mury, które pochłaniają ludzkie istnienia.

Biała chmura.

Cegły.

Ściany.

Tynk.

Pieczenie w płucach.

Duszności.

Aż wszystko minęło. Chmura opadła, a Laia zrozumiała, że żyje. Żyje spowita ciszą równie dojmującą co chrapliwy ryk odlatujących bombowców.

Wstała powoli. Nadal nic nie słyszała. Piekły ją oczy, ale zaczynała odzyskiwać wzrok. To, co zobaczyła, przeraziło ją: całkowita destrukcja. Pusta ulica. Dym. Na dom, który stał obok, spadła bomba. Jeden z balkonów został nietknięty. Doniczki z kwiatami stanowiły dowód na to, że było tam życie, które odeszło.

Laia nadal nie mogła zrozumieć. Nie przyjmowała do wiadomości tego, co widziały jej oczy. Obok pojawił się jakiś mężczyzna, bezdźwięcznie wychynął spośród dymu. Nic nie powiedział. Potem jakaś kobieta. I dzieci. Patrzyli na siebie nawzajem zamglonym wzrokiem pełnym pytań.

Potem, powoli, miasto zaczęło podnosić się z ziemi, żeby policzyć zabitych.

Było to pierwsze z niezliczonych bombardowań, które zniszczyły miasto w styczniu tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku. Barcelona płaciła wysoką cenę za zdobycie Teruelu.

Od dwóch dni pukał do jej drzwi, ale ona nie otwierała, nie odpowiadała. Genís był przerażony. Gdzie Laia mogła się podziewać?

Tego lutowego poranka, nerwowego, nieprzyjemnego i zimnego, pojawił się u niej bardzo wcześnie rano z postanowieniem, że będzie tkwił pod drzwiami, dopóki nie dowie się, co się stało. Wykrzykiwał jej imię. Walił w drzwi tak mocno, że rozboleły go kłykcie. Narobił takiego zamieszania, że aż sąsiadka z dołu wyszła na klatkę zobaczyć, co się dzieje.

– Od paru dni jej nie widziałam. Nie wiem, co mogło jej się przytrafić.

Genís miał rozpacz wypisaną na twarzy. Zza kobiety wyłoniła się głowa cała w lokach należąca do chłopca nie więcej niż czternastoletniego. Był wysoki i poważny, miał żywe i szczere spojrzenie.

– O co chodzi, mamó?

– O Laię, synku, nie odpowiada.

Chłopak podszedł do drzwi i zapukał energicznie.

– Wejść przez balkon.

Zarówno Genís, jak i kobieta popatrzyli na niego z mieszaniną zdziwienia i niepokoju.

– Chcesz powiedzieć, że...?

– Nie pamięta mama, jak przechodziłem po balkonach, kiedy panienska Laia zapomniiała kluczy? Nic w tym trudnego.

– Nie chciałbym...

Nie zdążył jednak dokończyć, gdy chłopak już przedostał się do mieszkania sąsiadki. Z wewnątrz dobiegały ich jego lekkie kroki.

– Musiałem zbić szybę.

– Dobra robota, dziękuję – powiedział Genís, nie znajdując czasu, żeby podziękować chłopcu jak należy za jego wyczyn, tak bardzo spieszył się, by odnaleźć przyjaciółkę. Skierował się prosto do sypialni. Laia leżała na łóżku, wygięta w pałąk, z podwiniętymi pod siebie nogami. Na jej widok Genís zaczął obawiać się najgorszego. Była nieruchoma, brudna, miała zamknięte oczy. Czuć było od niej moczem. Genís potrząsnął nią z zamarłym sercem.

– Laiu, Laiu, powiedz coś.

Przyłożył ucho do jej piersi. Oddychała. Wziął ją na rękę. Kartka papieru, którą zapewne trzymała w ręce, wypadła na podłogę. Genís ostrożnie położył Laię z powrotem na łóżku, żeby przeczytać, co było napisane na kartce.

Świat okrył się czernią.

Valentí zginął w Teruelu.

Genís polecił sąsiadce zagrzać wodę. Rozebrał Laię, po czym umył ją od stóp do głów. Wytarł ręcznikiem ciało i długie kręcone włosy, które następnie uczesał. Otworzył szafę. Była do połowy pusta. Rozpoznał koktajlową sukienkę, którą tak lubiła, po jego ustach przemknął smutny uśmiech, gorzki grymas. Złapał pierwsze, co było pod ręką, żeby ją ubrać. Potem poszedł do kuchni sprawdzić, czy jest cokolwiek do jedzenia. Nie było nic, kuchnia robiła wrażenie kompletnie pustej. Pomyślał o tym wszystkim, co miał w swoim mieszkaniu w Clot. Mogłaby nawet napić się mleka. Kolega z podwórka pracował w mleczarni. Sprzedawał je po trzy pesety za litr. Rozbój w biały dzień. Ale teraz by się Lai przydało. Opatulił ją w stary płaszcz poplamiony czymś ciemnym, co wyglądało na krew, i ciągnąc ją za sobą, jakby była pozbawioną życia kukłą, wyprowadził z mieszkania.

Odbyli podróż tramwajem. Laia oparła się o jego ramię, miała otwarte oczy, ale patrzyła szklanym wzrokiem, niczym lalka.

Nikt nie zwrócił na nią uwagi. W tych dniach cała Barcelona była wystarczająco pochłonięta własnymi problemami. Nic już w nikim nie wzbudzało ani ciekawości, ani litości.

Dopiero kiedy znaleźli się u niego w domu, Genís odetchnął z ulgą. Tutaj mógł się Laią należycie zająć, zrobić wszystko, co w jego mocy, by przywrócić ją do świata żywych. Kiedy rano wychodził do pracy, zostawała w łóżku, szczelnie przykryta, żeby nie zrobiło jej się zimno. Po powrocie przygotowywał coś do jedzenia, karmił ją i łyżkami poił mlekiem. Cesał i ubierał w czyste ubranie. Szeptał jej do ucha słowa pocieszenia, gładząc po zapadniętym policzku. Spał z nią w jednym łóżku, żeby móc czuwać nad jej snem.

Jednak trzeciego dnia zaczął podupadać na duchu. Laia cierpiała, ale nie chciała się z nim dzielić swoim bólem. Bólem na tyle przepastnym, że niczym magnes przyciągał do siebie inne. Wtedy Genís, który swoje w życiu wycierpiał, zaczął otwierać przed gościem serce, pozwalając wypłynąć na zewnątrz gorzkiej, trawiącej go truciznie. Przygryzał przy tym wargi, żeby nie płakać.

– Laiu, nie umiem zrobić nic więcej, by ukoić twoje cierpienie. Nikt nigdy go nie złagodzi. Musisz nauczyć się z nim żyć, z tymi wszystkimi myślami, które płaczą ci się w głowie i nie pozwalają ci oddychać ani spojrzeć na mnie, ani ze mną porozmawiać. Nie wiem, jak to jest stracić własne dziecko. Jak mogę cię pocieszyć? Mogę tylko o ciebie dbać, nie pozwolić, żebyś umarła z rozpacz. Właśnie tak, nie pozwolić!

Leżeli po ciemku obydwójce wyciągnięci na łóżku, które wcześniej należało do jego rodziców. Na zewnątrz zapadła noc, czarna i pełna goryczy. Równie pełna goryczy jak te dwa zbolełe serca.

– Nikomu nie opowiadałem tego, co teraz usłyszysz. Są rzeczy, których lepiej nie wiedzieć. W swoim czasie nie chciałem ci tego wyjaśniać, żeby cię nie zranić. Nie chciałem włączać cię w historię, która jak miałem nadzieję, nigdy cię nie zbruka, bo gdyby stało się inaczej, smród zgnilizny mógłby już na zawsze przylgnąć do twojej skóry i za żadną cenę nie mogłabyś się go pozbyć, tak jak ja nie mogę.

Zawiesił głos, jakby chcąc zebrać siły. Obok niego, nieruchoma niczym nieboszczka, leżała Laia. Mogłoby się wydawać, że słowa do niej nie docierają, jednak Genís był pewien, że go słucha.

– Kiedy poznałem go w Santa Eulalii, Lala, Abelarda, wydał mi się podarunkiem od niebios, nagrodą za te wszystkie lata uganiania się za niemożliwym, wiecznym zapatrzeniem w Ferrana, wygrzewaniem cudzych łóżek, które miało mi niby wynagradzać tę nieszczęśliwą miłość i wszystkie frustracje, ale nigdy nie odnosiło skutku. Lalo był taki jak ja i mnie pragnął, kochał mnie. Byliśmy razem szczęśliwi. Mówił mi, że nigdy nie poznał nikogo takiego jak ja i że nigdy nie przestanie mnie kochać, że jego małżeństwo było jedynie po to, by uniknąć skandalu i złych języków, a uczuciem, którym mnie darzył, nigdy nie mógłby obdarzyć kobiety. Mówił też, że nigdy nie czuł niczego podobnego do żadnego mężczyzny. Nie tak mocno. Nie z taką intensywnością. Tak mi powtarzał.

Powietrze wydostało się z jego płuc. Unosiło się wokół niczym mgiełka niepokoju. Genís wierzchem dłoni otarł łzę. Z każdą łzą tryskało nowe wspomnienie.

– Musiało to być na początku tysiąc dziewięćset trzydziestego trzeciego roku.

Trwało może kilka miesięcy. Byliśmy parą szczęśliwych kochanków przeżywających wspaniały okres, który wynagrodził mi całe dotychczasowe życie będące jednym wielkim pasmem cierpień, bo byłem, jaki byłem, nigdy nie mogłem wyznaczyć własnych uczuć ani zdradzić swoich preferencji. Dziwnie brzmią te słowa, zwłaszcza gdy się ma w pamięci to, co wydarzyło się później, ale muszę przyznać, że w czasie tych kilku miesięcy byłem najzupełniej szczęśliwy. Czy było to tego warte? Może. Sam nie wiem.

Wyczuł niepewny ruch obok, jakby Laia przysunęła się nieco bliżej, odwróciła głowę w jego stronę. Słuchała go z zaciśniętymi ustami, w oczach miała nieme łzy. On ciągnął dalej:

– Potem zaczęły się przyjęcia. Pierwsze, na które mnie zabrał... Sam nie wiem, zdumiało mnie. Nigdy wcześniej nie znalazłem się w podobnej sytuacji. Moje związki były zawsze intymne, prywatne, w sekrecie... a tam, wyobraź sobie, dzielono się wszystkim ze wszystkimi. Chciałem wierzyć, że Lalo, człowiek obyty w świecie, nie przywiązywał do tego najmniejszej wagi. Może go to bawiło. Może od czasu do czasu tego potrzebował. Tak właśnie myślałem, że może to po prostu ja nie wyszedłem jeszcze ze swojej skorupy, nie umiałem być tak otwarty na świat. Na ten wielki świat Lala. Tyle że niekoniecznie mi się to podobało. To przyjęcie nie było niczym innym aniżeli małą frywolną orgietką, erotyzmem przemienionym w widowisko. Pamiętam, że nie wziąłem udziału w tych... zabawach ani specjalnie się nimi nie przejąłem. Jeśli znowu mnie zaprosi na jedno z takich przyjęć, porozmawiam z nim, myślałem. Powiem mu, że wolałbym w tym nie uczestniczyć. On przecież zrozumie.

Trudno było opisać słowami wspomnienia nadal tak bardzo bolesne. Głos Genisa stał się chrypliwy, jakby ledwie mógł mówić dalej. Jednak zaczął zrzucać z siebie ten wielki ciężar, który dotychczas zalegał mu na piersi. I teraz nie chciał się zatrzymać.

– Ale było więcej przyjęć. I w porównaniu z pierwszym trudno byłoby nawet nazwać je przyjęciami. Słowo orgia... też nie jest wystarczające. – Nabrał nieco powietrza i kontynuował. – Nie uprzedzał mnie wcześniej. Przyjeżdżał po mnie szofer. Samochód był pusty, bez Lala. Wsiadałem. Za każdym razem jechaliśmy gdzie indziej. Prywatne rezydencje, gdzie... Laiu, jak to boli! – Poczul ciężar dłoni Lai na swojej. – Upadłem, idąc za nim, najniżej, jak można sobie wyobrazić. Nie istnieją słowa, które mogłyby opisać plugawość i nieokiełznaną rozpustę tych ludzi. Stałem się przedmiotem, towarem na wymianę, który Lalo pokazywał, posiadał... i pozwalał, żeby...

Laia złapała go mocniej, jej palce splotły się z jego palcami. Genis oparł głowę na jej ramieniu, zmoczyło się łzami, które wreszcie, po tak długim czasie, płynęły czyste, zraszając mu policzki. Płakali razem, łącząc ze sobą tak różne od siebie cierpienia. Minęła dłuższa chwila, zanim Genis zdołał uspokoić się na tyle, by podjąć przerwany wątek.

– Tonąłem w bagnie. Budziłem się ze snu i zdawałem sobie sprawę, że moja rzeczywistość zamieniła się w najprawdziwszy koszmar. Przestałem być tym, kim byłem. Chciałem umrzeć, nie wiedziałem, jak wybrnąć z tej sytuacji. Żeby zrozumieć jego wielką władzę nad innymi, musiałabys znać Lala na tyle dobrze, na ile ja go poznałem. Żyłem w ciągłym strachu. Aż pewnego dnia, kiedy wyszedłem z pracy i zobaczyłem samochód, obróciłem się na pięcie i ruszyłem przed siebie szybkim krokiem. Samochód jechał za mną wolno przez dłuższą chwilę, trzymając się chodnika. Błądziłem uliczkami, których

nawet nie pamiętam, dopóki nie nabrałem pewności, że go zgubiłem, nie jechał już za mną. Wydało mi się, że słyszę za sobą czyjeś kroki. Nie odważyłem się wrócić do domu i całą noc spędziłem na ulicy, niczym cień, myśląc o tym, że zrobiłem pierwszy krok, ale najgorsze było jeszcze przede mną: musiałem stanąć z Lalem twarzą w twarz, definitywnie to zakończyć. Wiedziałem, że to nie będzie proste. Nie puści mnie, ot, tak sobie. Ale minęły trzy miesiące, a ja nie dostałem żadnej wiadomości. Nie mogłem w to uwierzyć. Wszystko okazało się dużo prostsze, niż przypuszczałem. Pomyślałem, że prawdopodobnie znalazł sobie inne mięso armatnie, innego naiwniaczka, którego mógł deprawować. Lecz pewnego dnia dozorczyńni przyniosła mi paczkę. Były w niej trzy rzeczy: martwy ptak, wiesz dobrze, jak lubię ptaki, Lalo niestety też o tym wiedział, plik zdjęć i liścik. Tych zdjęć nie zapomnę do końca życia. Oczywiście byłem na nich ja. Liścik objaśniał w kilku słowach, gdzie trafią te zdjęcia, jeśli nie wsiądę do samochodu, który przyjedzie po mnie wieczorem do sklepu. Możesz sobie wyobrazić, co przedstawiały, prawda? – Genís usiadł na łóżku. – Od tamtej nocy wsiadałem do czarnego samochodu Lala zawsze, ilekroć po mnie przyjeżdżał. Prawdę mówiąc, zdarzyło się to jedynie kilka razy. Już mnie nie chciał. Byłem dla niego zepsutą zabawką rzuconą w kąt, ale lubił się nade mną pastwić. Wówczas poznałem prawdziwego Lala: cynicznego, narowistego, szorstkiego i okrutnego. Moją jedyną obroną był pancierz, który na siebie wkładałem: wyobrażałem sobie, że ten, który chodzi na te przyjęcia Lala, jest kimś innym, to nie ja. Starłem się nie czuć, nie myśleć i mimo wszystko nie oczerniać samego siebie. Nie zawsze mi się to udawało. I tak aż do czerwca tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego. Wybuchła wojna i Lalo uciekł. Nigdy nie zainteresowałem się dokąd. Mam nadzieję, że jakaś bomba rozerwała go na strzępy albo żywcem pochłonęła ziemia. Ale jeśli kiedyś tu wróci, Laiu, przysięgam, że tym razem nie dam sobą poniewierać i zabiję go gołymi rękami.

Laia przytuliła się do przyjaciela.

– Jak mi przykro, Genís, jak mi strasznie przykro. Mój biedny przyjacielu – powiedziała głosem tak słabym, że wydawał się docierać nie z tego świata.

Przytuleni do siebie, przez całą noc rozmyślali o swoim marnym życiu. Sen, zmęczenie, emocje pokonały ich dopiero nad ranem. Wtedy Genisowi wreszcie udało się zasnąć spokojnym snem.

Kiedy nieśmiałe promyki słońca zaczęły ogrzewać ten zimowy poranek, Laia się obudziła. W pokoju, który wysłuchał zeszłej nocy smutnej historii jej przyjaciela, zalegała gęsta cisza. Usiadła na łóżku obok niego, uważając, żeby się nie obudził. Zamknęła oczy i zdało jej się, że widzi przelatujące obrazy ze swojego życia. Wszystko, co utraciła.

Czuwała nad snem Genisa przez długi czas...

Laia została z Genisem w mieszkaniu w Clot. Już razem spędzili czas do końca wojny, która tyle ze sobą zabrała. Nie ruszali się z mieszkania, nawet gdy podnoszono alarm, a na niebie pojawiały się małe punkciki, które z czasem robiły się coraz większe i groziły śmiertelnymi ładunkami. Ze ściśniętym sercem wsłuchiwali się w wybuchy bomb i krzyki syren karetek pogotowia, myśląc, że tym razem znowu im się udało, ale następne bombardowanie zapewne ich unicestwi. Nie mogli bronić się przed tym, co nieuniknione. Nie było sensu sprzeciwiać się przeznaczeniu, co do tego obydwójce byli

zgodni, dlatego że życie każdego z nich zamieniło się w historię bez przyszłości.

Usłyszeli krzyki ludzi na ulicach. Nacjonaści weszli do Barcelony! Szare oczy Genisa ścieły się lodem. Laia nie poczuła niczego. Już od dawna nie była zdolna nic poczuć.

Dwudziestego szóstego stycznia tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku Barcelona przestała być miastem republikańskim w autonomicznej Katalonii i stała się miastem faszystowskim w okupowanej Katalonii.

Ludzie wyszli na ulice, odczuwając ulgę po tygodniach bombardowań. Wielu rzucało się sobie na szyję, z radością na myśl, że wreszcie skończy się głód. Ciemność. Wojna. Prawdopodobnie większość z nich świętowała nie zwycięstwo, tylko właśnie jej koniec.

Choć, nie ma wątpliwości, że wygrali zdrajcy demokracji. To właśnie ci aroganci defilowali po Diagonal, wówczas znanej jeszcze jako aleja Czternastego Kwietnia, siłą narzucając swoją władzę. Ich zwycięstwo spotkało się z entuzjastycznym przyjęciem. Podczas gdy klęska republikańców zamieniła się w dezercję, hańbę, tchórzostwo. Była jak ten dym palonych archiwów wzbijający się nad budynkiem przy placu Cataluña, wcześniej należącym do przedsiębiorstwa telekomunikacyjnego Telefónica, później zamienionym w siedzibę CNT-FAI, albo nad hotelem Colón, siedzibą katalońskiej komunistycznej partii PSUC.

Odwrotnie niż w dzielnicach robotniczych w centrum Barcelony na balkonach zaczęły powiewać pierwsze hiszpańskie flagi, równocześnie znikwały republikańskie, katalońskie oraz poszczególnych partii i syndykatów. Wszędzie słyhać było skandowania „Fran-co, Fran-co...”, krzyki, które starali się ignorować wszyscy noszący w sercu Republikę, tak samo jak, na próżno, próbowali połykać gorzkie łyżki klęski. Pozostali, ci, którzy nigdy nie opowiedzieli się po żadnej ze stron ani nie przystali do partii politycznej, marzyli jedynie o odzyskaniu swojego życia: otwarciu z powrotem sklepów, końcu głodu, powrotu do normalności. Marzyli po prostu, że będą zwyczajnie żyć.

O zmierzchu plac Cataluña zamienił się w jedno wielkie przyjęcie na cześć zwycięzców. Faszyci, którzy przeczekali w ukryciu całą wojnę, siedząc jak myszy pod miotłą, żeby nie rzucać się w oczy, wyszli na ulice ubrani w swoje najlepsze stroje wieczorowe, bladzi, biali jak alabaster, bo przez ostatnie miesiące czy nawet lata nie wychodzili na światło dzienne.

Było ciemno, za ciemno, żeby stwierdzić, czy rzeźby na placu płakały.

Rodziła się nowa Hiszpania. Mówiono, że jest to Hiszpania ładu. W rzeczywistości była to jednak Hiszpania brutalizmu, ręki wyciągniętej ku górze w rzymskim salucie. Wraz z nią rozpoczynała się nowa epoka, pełna obaw, co stało się coraz bardziej oczywiste, kiedy pierwsza fala radości związanej z końcem wojny opadła. Był to nowy etap rozgrywający się na oczach podzielonego społeczeństwa przepełnionego nienawiścią. Nowy kraj, którego głowa państwa uważała, że kieruje nią ręka opatrności, aby ocalić ojczyznę, otoczona była średniacką oligarchią pałającą jedynie żądzą zemsty.

Laia i Genís codziennie o zachodzie słońca udawali się na spacer. Z przedwojennej Barcelony, migocącego blaskiem miasta, które tak dobrze znali, pozostało niewiele. Teraz było to miasto czerstwego chleba i okropnej jakości ryżu, ciągłych przerw w dostawie prądu, racjonowania żywności. Czarnego rynku. Milionowe miasto, w którym ponad połowa mieszkańców żyła zastraszona i wygłodniała. Klepała biedę. Ulice pełne były dziur i gruzu, a domy noszące ślady po kulach prezentowały się żałośnie. W wielu oknach nie było szyb, a te, które pozostały, trzymały się dzięki taśmie klejącej. Na miejscu okazałych gmachów straszyły jedynie ruiny. Tysiąc pięćset spośród sześćdziesięciu tysięcy budynków zostało zburzonych. Miasto zionęło pustką.

Ukochane ulice, w swoim czasie będące sceną, na której rozgrywało się życie Lai i Genisa, teraz często były dla nich nie do poznania. Barcelona została złamana. Nie było prawie śladu po pasażu Paseo de Colón. Wzgórze Montjuïc zaś przypominało rumowisko. W wielu budynkach ulokowano więźniów albo wojskowych. W opłakanym stanie znalazły się: Palacio Nacional, Pueblo Español, restauracja Miramar, magiczna fontanna...

Ruch kołowy był niemal niezauważalny. Samochody i ciężarówki, które poruszały się po ulicach, należały w większości do wojska, a pojazdy zaprzężone w zwierzęta przeważały nad mechanicznymi.

Głód, który przyniosła ze sobą wojna, narastał, a w latach ciężkiego powojnia miał się jeszcze nasilić. Podczas pierwszych dni okupacji faszyci zdobyli szturmem republikańskie magazyny z żywnością i ściągnęli z Madrytu ciężarówki pełne prowiantu, dzięki czemu przez chwilę było co jeść. Gdy jednak zaopatrzenie się wyczerpało, Barcelona znowu stanęła wobec widma głodu, wyciągającego ku miastu swe czarne śmiercionośne łapska.

Ludzie jednak czuli, że żyją, mogli wyjść na ulice i spojrzeć w niebo bez obaw, że zobaczą na horyzoncie zbliżającą się do nich śmierć. Genís i Laia, wspierając się wzajemnie, starali się zapomnieć o odgłosach wojny i wszystkich nieszczęściach, których doświadczyli. Laia już od niespełna roku mieszkała razem z przyjacielem. W końcu wyszła z głębokiej zapaści, w której znalazła się po śmierci syna, choć nie było dnia, żeby o nim nie myślała ani po nim nie płakała. Dręczyło ją własne niepowodzenie jako matki i szukała odpowiedzi, ale Genís nie zawsze mógł ich udzielić.

– Bałam się go kochać, Genisie. Tak samo jak bałam się, że on mnie nie kocha. Kiedy widziałam go razem z Engracią, moje serce pożerała zazdrość. Domyślałam się, że nigdy nie pozwolą mi wejść do tego ich świata, który razem zbudowali, nie biorąc mnie pod uwagę. Dlatego że na mnie nie mogli liczyć. Potem, z Pau... – Kiedy tak szli, Laia pochylała głowę, ciężką z powodu smutku, jaki budziły w niej wspomnienia, a łzy toczyły jej się po twarzy. – Nawet on, choć nie miał z nim nic wspólnego, umiał go pokochać. A ja...

– Nie zadręczaj się.

– ...przeszłam przez jego życie niezauważenie. Bałam się spojrzeć mu w oczy, w te oczy tak podobne do oczu jego ojca...

Możliwość wyrażenia na głos uczuć, które gnieździły się w niej głęboko od tak

dawna, przynosiła Lai ulgę, podobnie jak Genisowi opowiadanie o związku, który zrujnował mu życie. To, że mieli siebie nawzajem, było najlepszym, co mogło im się przydarzyć, bo żadne nie tkwiło samotnie w swoim cierpieniu. Obydwoje zdawali sobie sprawę, że gdyby nie wzajemne towarzystwo, nie byłoby ich pośród żywych.

Nocami spali na tym samym łóżku, trzymając się za ręce. W ciszy wsłuchiwali się we własną klęskę opadającą na nich niczym ciężki koc, ale byli razem, mieli swoje wzajemne współczucie i bezinteresowną tkliwość. Ich miłość była najczystsza z możliwych: prawdziwą przyjaźnią.

Za dnia żyli niczym małżeństwo: Genís szedł do pracy, a Laia zaopatrzona w kartki żywnościowe wychodziła stać w niekończących się kolejkach, a z tego, co udało jej się zdobyć, gotowała obiad, czekając niecierpliwie na powrót przyjaciela. Genís nigdy nie powiedział nikomu, że Laia z nim mieszka. Między innymi dlatego, że nie miał nawet komu. Laia też nie. Ich wspólne życie wobec doznanych osobistych tragedii i wojennej codzienności wydawało się niemal zupełnie normalne. Zaczęli myśleć, że nic już nigdy się nie zmieni, bo przecież nic gorszego od tego, czego już doświadczyli, nie mogło ich spotkać.

W tym przekonaniu tkwili przez kilka miesięcy. Zaledwie kilka.

Andreu udał się obejrzeć swoją firmę w towarzystwie wiernego Martineza. Przy wejściu nadal wisiała tabliczka informująca, że było to przedsiębiorstwo kolektywne.

Na elewacji, tuż obok okien wystawowych, które w innych czasach i okolicznościach przydawałyby firmie splendoru, widniały napisy podsumowujące sytuację na przestrzeni ostatnich trzech lat:

ŚMIERĆ FASZYSTOM. CNT-FAI

CZERWONI DO ODSTRZAŁU. ARRIBA ESPAÑA!

Ramón ruszył przodem, żeby otworzyć mu drzwi, i razem weszli do środka, mimo że nie mieli pozwolenia. Andreu natychmiast rozpoznał znajomy zapach i musiał ukryć wzruszenie, udając opanowanie. Zaczęli obchód sklepu. Andreu czuł, jak trzęsą się pod nim kolana. Niepokojąca cisza zalegała wszędzie dookoła: na wielkich schodach, przy balustradach na pierwszym piętrze, wokół kontuarów, które przyglądały mu się tak, jakby nagle, wobec tej dotkliwej samotności, ożyły. Uszkodzenia, jakich doznał sklep, dało się naprawić. Weszli na górę. Pracownie krawieckie także były w dobrym stanie. Jeszcze wyżej, w biurach i dyrektorskim gabinecie, panował nieporządek. Meble zostały przewracane, po podłodze walały się jakieś papiery. W gabinecie Andreu brakowało paru sprzętów. I obrazów. Stare rodzinne fotografie zniszczono.

Ramón na widok konsternacji Andreu postanowił go stamtąd wyprowadzić, po czym zabrał go do kryjówki, w której znajdowały się metry i jeszcze więcej metrów materiałów gromadzonych przez ostatnie trzy lata. Za belami z szorstką tkaniną na mundury kryły się inne, o ciekawych fakturach, lśniące różnymi kolorami. Nawet satyny i jedwabie zdobyte przez Martineza pokrętnymi metodami, o których Andreu nie chciał nic wiedzieć. W tym momencie należało odrzucić na bok niektóre uprzedzenia, dlatego że najważniejsze teraz było stanąć na nogi. Musiało się to udać! Po tych trzech

koszmarnych latach życia w ukryciu nadzieja, że odzyska swobodę przemieszczania się i swoją rodzinę, napełniała Andreu optymizmem. Chociaż wiedział, że nie będzie to łatwe. Nie podobał mu się nowy ustrój. Dyktatury nigdy nie przynosiły ze sobą nic dobrego. A nienawiść, która zapanowała na ulicach, prywatne porachunki, donosy i rozstrzelania były sprzeczne ze wszystkimi wyznawanymi przez niego wartościami. Jednak żył też już wystarczająco długo, by wiedzieć, iż mężczyźni tacy jak on musieli sobie radzić w najróżniejszych okolicznościach i robić swoje, „obojętne, jaka flaga akurat powiewała”, jak by powiedział jego ojciec. Teraz był czas na opłakiwanie zmarłych, tych, którzy już nigdy nie wrócą, i na przywrócenie przedsiębiorstwa do życia dla tych, którzy żyli. Postanowił, że odnajdzie ich wszystkich, obojętne, po której stronie walczyli. Santa Eulalia z powrotem stanie się tym, czym była, bez względu na cenę, jaką przyjdzie mu za to zapłacić.

Najpierw naturalnie należało jednak uporać się z pewnymi trudnościami.

– Trzeba przedstawić ostatnie deklaracje podatkowe, Ramón. Kiedy to już zrobimy, dostaniemy pozwolenie na wznowienie działalności i będziemy mogli na nowo otworzyć sklep.

– Nie bez niezbędnych poręczeń, zaświadczających o naszym przystąpieniu do frankistowskiego Ruchu Narodowego, jak sądzę.

Andreu lekko skinął głową.

– A żeby je zdobyć, przyjdzie nam się nachodzić po wszystkich możliwych urzędach. – Przez chwilę bił się z myślami. – Oczywiście wystarczyłaby jedna dobra rekomendacja, która utorowałaby nam drogę. Muszę pomyśleć... – Podniósł głowę, jego oczy patrzyły żywo, głos był cichy, ale zdecydowany. – Najpierw jednak zajmijmy się personelem, Ramón. Zatrudnimy z powrotem wszystkich, którzy...

– Są tacy, którzy już nigdy nie wrócą, panie Molins. Bosch zginął w czasie jednego z bombardowań, podobnie jak dwie krawcowe z pracowni Lluïsy. Damià Solsona zginął na froncie w Aragonii, a jego przyjaciel, ten, który już u nas nie pracował...

– Germán Santos?

– Właśnie, zginął w Teruel, tak samo jak Valentí Calvet.

– Valentí? Syn... – Andreu nie zdołał dokończyć. Zadrżał mu głos, a wzruszenie przysłoniło oczy. – Valentí... – powtórzył ścisłym głosem, niemal szeptem, w czasie gdy przyswajał sobie te wszystkie okropne i przerażające informacje. Milczał przez dłuższą chwilę przytłoczony tyloma śmierciami, pytając sam siebie dlaczego. Zdjął okulary i potarł nasadę nosa, jakby mógł dzięki temu odzyskać spokój. – Są rzeczy dużo ważniejsze od kwestii biurokratycznych, Ramón. Musimy zająć się rodzinami. Może będziemy mogli coś dla nich zrobić. Przynajmniej zaproponować im pracę.

– Potem trzeba będzie pomyśleć nad przeprowadzeniem czystki – zauważył Ramón.

Molins pokręcił głową. Tym nie chciał się zajmować. Nie chciał nawet o tym myśleć.

– Będziemy musieli jakoś się wykpić.

– Wiem z doświadczenia, że nie zawsze jest to możliwe. Chociaż teraz, naturalnie, kopniaki będą się na nas sypać z drugiej strony. – Zamilkli obydwaj, pochłonięci

własnymi myślami. – Recasens błagał, żeby nie mówić, że sympatyzował z lewicową partią Esquerra Republicana.

– Nic nikomu nie powiemy, może być pewien! Gdyby nie on... To dobry człowiek.

Wyszli na ulicę, na Pla de la Boqueria, omawiając dalej sytuację, w jakiej się znaleźli. Wiatr tego lutowego przedpołudnia przewiewał na wskroś ciszę unoszącą się nad miastem, które starało się dźwignąć z ruin.

– Będziemy musieli zdobyć zdjęcie dyktatora, żeby powiesić je w sklepie.

– Powinien się pan przyzwyczaić do nazywania go *el caudillo*, przywódcą narodu, panie Molins.

Obaj mężczyźni ruszyli w górę, kierując się w stronę placu Cataluña. Na Ramblach panowała cisza. Nie było kwiatów ani całujących się par. Nie było nawet światła.

Choć marzec tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku miał się już ku końcowi, w Barcelonie nadal nie czuło się wiosny. Panowało dojmujące zimno i można było odnieść wrażenie, że zima odmówiła opuszczenia tej zniszczonej, smutnej ziemi. Laia i Genís jak zwykle wyszli na spacer. Byli już na ulicy, kiedy Laia pogładziła ręką swoją szyję. Zostawiła w mieszkaniu szal, którym zabezpieczała się przed zimnem.

– Zaczekaj chwilę, Genisie. Pójdę po chustę. Zaraz wracam.

Żadne z nich nie zauważyło dwóch mężczyzn stojących po drugiej stronie ulicy, którzy przypatrywali im się ostentacyjnie.

Laia usłyszała strzały w momencie, gdy otwierała drzwi mieszkania. Podskoczyła. Jakiś wewnętrzny głos podpowiadał jej, że miało miejsce nieodwracalne zło. Zbiegła po schodach najszybciej, jak umiała. Drzwi niektórych mieszkań otworzyły się, ukazując stojące w progu czarne cienie o ciekawskich spojrzeniach.

Przeraźliwy krzyk wydarł jej się z piersi na jego widok. Genís leżał na ziemi w niemożliwej pozycji. Na wysokości klatki piersiowej, w miejscu, gdzie jeszcze chwilę wcześniej biło serce, widniała teraz czerwona plama.

Przerażona Laia rzuciła się w jego stronę, przyskoczyła do nieżywego przyjaciela i zaczęła obsypywać pocałunkami jego twarz, oczy, usta.

Ulica była prawie pusta. Przechodziły nią jedynie jakieś pojedyncze osoby, które nie zwracały najmniejszej uwagi na to, co się stało. W tych dniach śmierć nie była niczym niezwykłym w Barcelonie, a kiedy wychodziła na spotkanie, najlepiej było zejść jej z drogi. Później kilku sąsiadów ośmieliło się podejść do drzwi klatki, jednak żadnemu nie udało się oddzielić Lai od Genisa. Nikt też nie zdołał zrozumieć sensu potoku słów, który wypływał z jej ust:

– To był on... morderca... obrzydliwy wieprz... Muszą go złapać... To sprawa Mascarella...

Abelardo Mascarell wykorzystał wakacje tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku, żeby wyjechać z kraju. Ulokował w Paryżu swoją apatyczną małżonkę razem z dwójką dzieci, a sam pojechał do Marsylii. Doskonale wiedział, po której stronie opłaca

mu się stanąć, i o tym, że powinien zacząć pracować na swoją przyszłość, by odzyskać to, czego pozbawiła go Republika i jeśli to możliwe, jeszcze pomnożyć swój majątek.

W Marsylii zgłosił się na ochotnika do frankistowskiego wywiadu. Nie on jeden. Zarówno z Marsylii, jak i z Barcelony przedstawiciele katalońskiej burżuazji, ludzie o znanych nazwiskach, szpiegowali na rzecz faszystów. Nie tylko przechwytyjąc statki pełne broni i amunicji dla wojsk republikańskich, ale też informując o strategicznych miejscach, które należało zbombardować, miejscach, wokół których kłębili się cywile mający stracić życie. Były to wkalkulowane straty wśród ludności cywilnej.

Lalo wrócił do Barcelony, kiedy miasto wpadło w ręce nacjonalistów. Spieszyło mu się. Ale jego pośpiech wynikał nie tyle z naturalnego pragnienia, by znaleźć się z powrotem w domu, ile z chęci jak najszybszego odzyskania wszystkiego, co do niego należało: domów rozsianych po Barcelonie i firmy. Ponadto wrócił z nominacją na rządowe stanowisko w kieszeni. Nie można było powiedzieć, że frankiści nie spłacali swoich długów. Okopany na stanowisku, zażądał zapłaty za wynajem za trzy lata wojny od tych wszystkich, którzy zajmowali jego mieszkania. Otrzymał ją, mimo że metody, jakimi posłużył się w tym celu, nie miały nic wspólnego z zasadami, a frankistowskie prawo zabraniało tego typu nadużyć.

Przędzalnie Mascarell wznowiły swoją działalność, nie napotykając żadnych trudności, a on podpisał kilka lukratywnych umów, które umożliwiły mu ekspansję na cały kraj. Życie uśmiechało się do przebiegłego Mascarella. Z papierosem w ustach i kilogramami, które nieodwołalnie zaległy w okolicy jego brzucha, śmiał się w twarz nieszczęśnikom wierzącym w wolność i Republikę. Biedni naiwniacy! On dobrze wiedział, że na wolność mogli liczyć tylko ci, którzy grali pierwsze skrzypce. To była maksyma i jej trzymał się przez całe życie. I źle na tym nie wyszedł.

Martwiła go tylko jedna rzecz. Nowy rząd, który dawał mu tyle korzyści, odnosił się z głęboką nienawiścią do homoseksualizmu, uważając go za przestępstwo. Homoseksualiści byli traktowani jak odrażające istoty. Znęcano się nad nimi. Ten sam rząd, który sprzyjał jego interesom, był o krok od narzucenia obskurantyzmu i represji w myśl katolickiego integryzmu. Mascarell zdawał sobie z tego sprawę. Na jego fikcyjne małżeństwo może i mogło nabrać się parę osób, przynajmniej na jakiś czas. Ale co by było, gdyby ci, którzy znali jego skłonności i najbardziej perwersyjne ciągoty, zaczęli mówić? Obawiał się zwłaszcza tych, z których dla poskromienia własnego apetytu uczynił swoje zabaweczki. Na przykład Genisa. Biedny chłopak, taki niewinny i uczciwy, który wierzył w miłość!

Nie było na tym świecie niczego, myślał Mascarell, czego nie byłby w stanie załatwić plik banknotów. Za pieniądze można było kupić broń i milczenie. Zawsze tak było. A Genís i inni, którymi musiał się zająć, nie byli nikim więcej aniżeli ciotami zniechęconymi przez faszystów.

Prosta robota.

Martwy homoseksualista zastrzelony przed swoim domem.

Kogo to mogło zainteresować? Takie rzeczy zdarzały się raz po raz w nowym kraju zwycięzców.

Tak, pewne rzeczy należało zdusić w zarodku.

Rozpoczęła się nowe dziesięciolecie. Santa Eulalia, której nazwę pisano znowu jak dawniej, krok po kroku odbijała się od dna. I choć bez dwóch zdań nie była to droga usłana różami, dalekosiężna wizja rodzinnego interesu Andreu Molinsa, jak i wszystkie rady, których podczas wojny udzielił Ramonowi Martinezowi Rosellowi, okazały się bardzo przydatne. Otwierając na nowo swoje podwoje, Santa Eulalia miała bowiem znaczącą przewagę nad innymi sklepami, zarówno z tej samej branży, jak i w ogóle: dysponowała towarem. Dlatego że w całej Hiszpanii oraz we Francji nie produkowano w owym czasie tkanin odpowiednich dla ekskluzywnej mody i krawiectwa na miarę.

W czasie wojny garderoba mieszkańców odznaczała się cechą szczególną: cierpiała na deficyt materiałów. Przemysł włókienniczy skupiał się w Katalonii, w strefie republikańskiej, dlatego kiedy walki ustały, tkaniny dostępne na rynku były fatalnej jakości. Jedynie kilka osób, wliczając rodzinę Molinsów, zdołało zgromadzić towar, co mogło teraz zaprocentować i utorować Santa Eulalii drogę do rozkwitu.

Klientela się zmieniała. W większości zniknęły dawne klientki, które przychodziły po tkaniny, żeby następnie udać się z nimi do krawcowych. Wojna doprowadziła do zubożenia klasy średniej, teraz walczyła ona, by zapewnić sobie podstawowe środki do życia. Krawcowe, w jej rozumieniu, należały do przeszłości. Nowymi, oddanymi klientkami jednego z najświetniejszych domów mody w całym kraju stały się teraz żony biurokratów, których nowy rząd ulokował w Barcelonie. Podobnie żony wojskowych i wysokich rangą urzędników frankistowskiego reżimu razem z wielkimi nazwiskami z katalońskiej burżuazji, która, jeśli nie walczyła zawsze po ich stronie, to teraz przeszła na stronę zwycięzców, odwiedzały często salony mody i okazały się prawdziwymi wielbicielkami projektów Ferrana Closa.

Ferran i Roser wrócili z Paryża, kiedy tylko wojna dobiegła końca. Sklep otworzył już podwoje i teraz walczył o przetrwanie, zmagając się w pierwszym okresie z brakiem licznej klienteli i biurokratycznymi wymogami nowego rządu. I mimo obiekcji Andreu Clos natychmiast zabrał się do projektowania nowej kolekcji.

– To nie jest odpowiedni moment na kolekcje, Ferranie. Zanim o nich pomyślimy, mamy wiele do zrobienia.

– O ile się nie mylę, zależy ci, żeby odzyskać Santa Eulalię z lat jej największej świetności, prawda, Andreu?

– Oczywiście, ale pośpiechem niczego nie osiągniemy.

– Mylisz się. Jeśli chcemy być tacy jak wcześniej, musimy pracować tak jak wcześniej. Inaczej na powrót zamienimy się w magazyn bławatny sprzed kilkunastu lat.

Andreu przemyślał sprawę i zdecydował się dać szwagrowi wolną rękę. Zawsze ufał jego wizji prowadzenia interesów. Jego intuicji. Nie mógł też zaprzeczyć temu, co widział na własne oczy. Ferran wrócił z Paryża odmieniony. W czasie swojego uchodźstwa, które było dużo lżejsze niż ukrywanie się w Barcelonie, miał okazję przemyśleć kilka spraw. W wieku czterdziestu pięciu lat Ferran stał się mężczyzną dużo poważniejszym niż przed wojną, bardziej związanym z rodziną. Bez cienia wątpliwości oddanym córkom ojcem, sprawiał nawet wrażenie przykładowego małżonka. Czy było tak

rzeczywiście? Pewne jest, że Ferran nie uczestniczył w żadnym skandalu od czasu, kiedy dawno temu szwagier wyłożył przed nim karty na stół. Andreu jednak umiał wyczytać jego zdrady z oczu siostry oraz z drogiej biżuterii, którą Ferran dawał w prezencie żonie za każdym razem, gdy chciał, by wybaczyła mu jakieś potknięcie.

Ale wyglądało na to, że Ferran Clos, wróciwszy do Barcelony po trzech latach spędzonych w Paryżu, nie miał już figlarnego błysku w oku ani nie uśmiechał się kokieteryjnie, czarując wszystkie napotkane na swej drodze ekspedientki. Roser wydawała się spokojna i szczęśliwa. Andreu nie umiałby powiedzieć, czy przyczyną tego szczęścia była prawdziwa zmiana, jaka zaszła w Ferranie, czy po prostu jego siostra przyzwyczaiła się do życia na huśtawce.

W sklepie, co naturalne, zaszło sporo zmian. I było dużo zwolnień. Ale również, i ku zadowoleniu Andreu, wielu pracowników, krok po kroku, wracało na zajmowane wcześniej stanowiska. Ferranowi udało się odszukać Natalię Bonsoms, rysowniczkę i asystentkę. Choć w dalszym ciągu wyglądała na bardzo kruchą i mówiła niewiele, Natalia w czasie wojny bezpowrotnie straciła swój dziewczęcy wygląd.

Andreu Molins, w podziękowaniu za wszystko, co zrobił dla niego i dla firmy w czasie trzech lat wojny, mianował Ramona Martineza dyrektorem personelu, innymi słowy, uczynił go swoją prawą ręką w zarządzaniu przedsiębiorstwem. W niedługim czasie Ramón odzyskał wytworną prezencję. Zaczął na powrót kolekcjonować jedwabne krawaty i nosić elegancko skrojone garnitury, i choć nikt nie wiedział nic o jego życiu prywatnym (prawdopodobnie jedyną osobą, która mogłaby powiedzieć coś na ten temat, był Reca, ale nigdy tego nie zrobił), jego podboje damskich serc były na ustach wszystkich.

Lluïsa Ramoneda została szefową krawcowych. Pozostała panną, była bowiem z tych osób, które poświęcają swoje życie na zajmowanie się innymi. Przed wojną opiekowała się matką aż do jej śmierci w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym, a teraz czuwała nad młodszą siostrą, która popadła w depresję, straciwszy świeżo poślubionego męża na froncie.

Recasens nie zgodził się objąć stanowiska dyrektora zaopatrzenia, które zaproponował mu Andreu.

– Panie Molins, jeśli to panu nie przeszkadza, wolałbym w dalszym ciągu być odzwiernym. To bardzo rozrywkowe zajęcie, a ja zdążyłem się już do niego przyzwyczaić – powiedział, podnosząc lewą rękę, jedyną, jaką miał. – Nie jestem już młodzikiem i nie chcę zaczynać od początku. Rozumie mnie pan, prawda? W zupełności zadowolę się otwieraniem i zamykaniem drzwi, pod liberią. Nie wiem, jak to panu wyjaśnić, ale lubię to.

Oczywiście jego życzenie zostało uszanowane i Recasens pozostał na stanowisku odzwiernego w Santa Eulalii przez długie lata.

Pojawiło się także sporo nowych osób, które zastąpiły te, mające już nigdy nie wrócić. Molins w rozmowie z Ramonem Martinezem wyraził jasno swoje życzenie pomocy rodzinom zaginionych. Z tego powodu wśród nowych ekspedientek znalazła się

Marina Roca, wdowa po Damià. Dzięki tej pracy, która spadła jej jak z nieba, mogła wyprowadzić na prostą swoją okrojoną rodzinę. Albo Laura Bosch, która została sama, bez środków do życia, kiedy bombardowanie zabrało jej ojca, dom i wszystko, co miała.

Chciał, by na czele salonów mody stanęła Laia. Jej powrót do pracy miał się okazać ciężką przeprawą, którą Andreu Molins postanowił jednak wygrać.

A był zawziętym mężczyzną.

Kiedy mógł już otworzyć sklep, wybrał się na poszukiwania Lai. Wiedział, że tylko ona potrafi zmodernizować salon, który Ferran upierał się zapełnić nowymi kreacjami. A może był to jedynie pretekst. Pewne było jedno: stracił Laię z oczu dawno temu. Wiadomość o śmierci Valentiego w czasie wojny bardzo go zasmuciła i martwiło go, że jego matka przepadła jak kamień w wodę. Wysłał parę listów na jej adres, do domu przy ulicy Margarit, ale jedyne, co uzyskał, to informacja, że już tam nie mieszka. Na dzielnicę Poble Sec posypało się wiele bomb. Było mnóstwo ofiar w ludziach. A co, jeśli Laię zabrała śmierć, ta, która spadła z nieba? Nadal jeżyły mu się włosy na głowie na samo wspomnienie huku przelatujących nad Barceloną bombowców. On, zamknięty w swojej kryjówce przy Paseo de Gracia, chował głowę w ramionach i modlił się. Modlił się za rodziny, które tego dnia tracą najbliższych w bombardowaniu. Modlił się i prosił Boga, żeby to wszystko się skończyło, bo ta kara, jeśli faktycznie ponosili teraz karę, trwała już za długo i była zbyt surowa.

Ramón posłał Recasensa na przeszpiegi. Taka praca świetnie mu wychodziła. Reca miał dobre usposobienie, był serdeczny i sympatyczny, i błyskawicznie zjednywał sobie obcych. Otwierali się przed nim i opowiadali mu wszystko, co chciał usłyszeć.

– Panie Martínez, wydaje się, że panienka Calvet wyprowadziła się z Poble Sec po stracie syna. Opowiedziała mi jedna z jej sąsiadek, że odwiedzał ją wysoki blondyn, bardzo elegancki, którego łatwo byłoby pomylić z obcokrajowcem, gdyby nie to, że mówił po hiszpańsku. Pewnego dnia zabrał ją ze sobą i nigdy więcej jej nie widzieli. Nie wiem dlaczego, proszę pana, może dlatego, że ze mnie stary wróbel, ale kiedy to usłyszałem, natychmiast pomyślałem o panu Campsie. Przyjaźnili się jeszcze przed wojną.

– O Genisie Campsie?

– Tak, biedny człowiek. Podziurawili go jak sito przed jego własnym domem jakieś parę miesięcy temu.

Obydwaj zamilkli. Ta śmierć nadal robiła na nich wielkie wrażenie. Zginęło wiele osób! Ale nikt nie umiał znaleźć jakiegokolwiek racjonalnego wytłumaczenia dla tego, co go spotkało.

– Sam nie wiem – odezwał się wreszcie Ramón. – Pan Camps pracował u nas aż do końca i nigdy nawet nie zająknął się na temat Lai Calvet.

– Ani na temat Lai Calvet, ani nikogo innego. Pan Camps w wyniku wojny stał się jeszcze bardziej małowówny niż zazwyczaj. Ale mój nos mnie nie mylił, panie Martínez. Odnalazłem adres pana Campsa i się tam udałem, i wie pan co?

– Odnalazł pan Laię Calvet?

– Tak i nie. Nie ośmieliłem się zadzwonić do drzwi, ale... jak by to ująć...

– Węszył pan?

– Wołałbym raczej powiedzieć, że zasięgnąłem języka.

– Jak pan sobie życzy. I?

– Zobaczyłem ją, kiedy wyszła na balkon. Chociaż dużo mnie kosztowało, żeby ją rozpoznać. Nie przypominała samej siebie. Biedna kobieta, ileż ona musiała przejść.

Dowiedziawszy się, gdzie mieszka Laia, Andreu postanowił udać się do niej osobiście. Wyobrażał sobie, że nie będzie łatwo przekonać jej do powrotu do pracy. I nie mylił się.

Stał długo pod drzwiami jej mieszkania w dzielnicy Clot, pukając i dzwoniąc. Kto inny pewnie dawno dałby za wygraną, widząc, że nikt nie otwiera. Ale nie on. Wiedział, że Laia jest w środku. Był tego pewien. Serce mu tak podpowiadało. Dlatego pukał dalej. Wreszcie usłyszał nieśpieszne kroki i szcęk przekręcanego metalowego zamka. Przez szparę w drzwiach udało mu się dojrzeć zapuchnięte oczy i sine wory pod nimi, które podkreślała jeszcze blada jak kreda twarz. Andreu powstrzymał ukłucie radości, którą poczuł, upewniwszy się, że Laia jest w środku. Gdzie jednak podziewała się Laia Calvet, którą znał?

– Mogę wejść, Laiu?

Nie odezwawszy się ani słowem, otworzyła szeroko drzwi i pozwoliła mu wejść.

Była ubrana na czarno od stóp do głów, niesforne loki miała upięte w niski niedbały koczek. Gruby srebrzysty kosmyk wił się pomiędzy włosami w miodowym odcieniu. Była tak chuda, że pod znoszonymi ubraniami widać było kości. Andreu policzył, że mogła mieć góra czterdzieści lat. Wyglądała jednak na staruszkę. Poszedł za nią do małej jadalni. Jedno z krzeseł było odwrócone przodem do balkonu. Siedząc na nim, Laia spędzała całe dni, tak wyglądał jej punkt widokowy, z którego patrzyła na życie. Życie, które toczyło się poza tymi czterema ścianami i z którym nie miała nic wspólnego. Czasami, kiedy tak siedziała, wydawało jej się, że docierają do niej radosne okrzyki i śmiech jej syna. Trwało to chwilę. Jedynie krótką chwilę. Potem szybowwały pod sufit i znikwały. Dlatego starała się o niczym nie myśleć, bo myślenie stawało się prawdziwą torturą.

Laia wzięła drugie krzesło, ustawiła je przodem do tego, na którym siedział Andreu, i sama usiadła. Przez dłuższy czas patrzyli na siebie w ciszy, oszacowując, każde z nich, rysy i pęknięcia, jakie odcisnęły na nich lata i cierpienie. Andreu pomyślał, że w życiu ból i problemy nie rozkładają się równo na wszystkich.

– Dziwi panią, że przyszedłem, Laiu?

Trochę czasu zajęło jej, żeby odpowiedzieć. Kiedy to zrobiła, własny głos wydał jej się dziwny, jakby dobiegał z bardzo daleka. Tak dawno sama go nie słyszała...

– Po co pan przyszedł, Andreu? – odpowiedziała, podnosząc na niego wzrok i marszcząc brwi.

– Jest mi ogromnie przykro, że musiała pani przez to wszystko przejść, Laiu. Proszę mi wierzyć, ogromnie.

Zamknęła oczy. Otworzyła je i spojrzała z uwagą na Andreu.

– Słyszała pani? Otworzyliśmy na nowo sklep. Salon mody też niedługo

otworzymy. Chciałbym, żeby Santa Eulalia znowu była taka jak kiedyś. I dlatego potrzebuję pani, Laiu.

Twarz Lai wykrzywił niejednoznaczny grymas. Czyżby był to uśmiech? Molins przychodził z przeszłości i opowiadał jej o salonach, o sklepie. Na wpół zatarte wspomnienia, które przychodziły rozdzierać ciszę. A cisza była spokojem.

– Pana rodzina miewa się dobrze, Andreu? Pana żona? Dzieci? Roser i Ferran? Wszyscy dobrze się czują?

– Tak, dzięki Bogu. Wszyscy wycierpieliśmy dużo w czasie wojny, ale mamy się dobrze – odparł Andreu, uśmiechając się z melancholią.

– A czy gdyby zginęli, gdyby stracił pan to, co najbardziej kochał na tym świecie, siedziałby pan tutaj teraz, opowiadając mi o sklepach i salonach? – zapytała z lodowatym spojrzeniem.

Andreu zdjął okulary i potarł nasadę nosa. W ten sposób starał się ukryć własne emocje. Kiedy się odezwał, głos mu drżał.

– Możliwe, że nie. Ma pani rację, Laiu. – Obydwoje zamilkli na chwilę, dopóki Andreu nie zaczął mówić. – Ścieżki, po których kroczy ludzkie życie, są nieprzeniknione. Pamięta pani tamten dzień, tak dawno temu? Zapukała pani do mojego gabinetu z prośbą o pomoc.

Lai z apatyczną miną wpatrywała się w niego szklanym wzrokiem. Wydawało się, że go nie słyszy. Jakby była gdzieś bardzo daleko. Cierpienie przeszywało jej duszę i serce, czuła się tak, jakby gruba kurtyna oddzielała ją od zewnętrznego świata. Kurtyna utkana z bólu. Z obojętności. Obojętności niezbędnej, żeby żyć dalej.

– Oczekiwała pani dziecka. Straciła pani matkę. Życie nie obeszło się z panią należycie. – Andreu nie był mężczyzną, który kiedykolwiek o coś błagał. Ale tego dnia, w tym mieszkanku w Clot, to uczynił. Przysunął się bliżej i położył dłoń na jej splecionych rękach. Zrobił głęboki wdech, zanim odezwał się na powrót. – Teraz, Laiu, to ja przychodzę do pani po pomoc. Proszę do nas wrócić, do salonu. Potrzebujemy pani. Tylko pani może sprawić, że znowu zacznie działać.

Lai pokręciła głową. Jej twarz spowijała teraz płatanina uczuć trudnych do zinterpretowania. Płomyk nadziei ożywił słowa Andreu.

– Wiem, jak trudno jest się podnieść, kiedy straciło się wszystko.

Oczy Lai zawilgotniały.

– Ale pani powinna wrócić do świata żywych. Dlatego że pani żyje, wie pani o tym, prawda? Pod tym smutkiem, który nie pozwala pani zareagować, jest Laiu, ta co zawsze. I jeśli pozwoli pani jej umrzeć, skazując ją na obserwowanie życia przez balkon, pani matka i syn tego pani nie wybaczą. Bo oni woleliby żyć. Żadne z nich nie chciało umierać. A teraz, i jestem tego pewien, chcą, żeby pani żyła życiem, którego im odmówiono. – Andreu ujął ją za zdrętwiałe ręce, które trzymała na podołku, nieruchome niczym dwa martwe ptaki. – Niech pani żyje, Laiu. Błagam, proszę żyć! Gdybym ja stracił najbliższych... Przysięgam pani, że wcześniej czy później zwróciłbym się do tej jedynej rzeczy na świecie, na której mógłbym się wesprzeć. Do naszej drugiej rodziny, Laiu. Naszej firmy. – Wstał i włożył na głowę kapelusz. Zanim opuścił małą jadalnię, odwrócił się do niej i powiedział: – Czekamy. Czekamy na panią.

I pewnego czerwcowego ranka o bezchmurnym niebie i łagodnej temperaturze pewna kobieta weszła przez drzwi budynku pod numerem jeden przy Pla de la Boqueria. Była chuda, koścista, niezbyt wysoka. Ubrana w staromodny, za duży na nią kostium z zakietem, ukrywała spojrzenie pod kapeluszem równie *démodé*. Na rękach miała rękawiczki i trzymała w nich małą torebkę. Stała w drzwiach, niczym sparaliżowana. Ekspedientki zmierzyły ją wzrokiem z góry na dół. Jeśli była klientką, nigdy wcześniej jej tu nie widziały. Oszacowały, że raczej nic nie kupi. Wyglądała na jedną z tych, które chcą się tylko rozejrzeć. W tym momencie do sklepu zeszła Lluïsa i na widok tego ducha z przeszłości, z dawnych czasów, stanęła jak wryta. Jej krzyk odbił się echem od ścian Santa Eulalii.

– Laia!!!

Lotem błyskawicy znalazła się przy niej i rzuciła się jej na szyję z takim impetem, że kapelusz Lai poszybował w górę, odkrywając gruby srebrny kosmyk, który zdobił jej pozbawione blasku loki. Jedna łza, wielka niczym perła, potoczyła się po zapadłym policzku Lai Calvet.

Wracała do domu.

Wrócić.

Zszyć na nowo dwa końce przerwane go życia.

Złapać je w miejscu, gdzie się je zostawiło.

Cofnąć się.

Młoda służąca, którą Roser zatrudniła całkiem niedawno, wpadła do salonu, jakby się paliło. Roser pisała przy biurku w świeżo wyremontowanym saloniku wyłożonym jasnoszarym suknem. Podniosła wzrok, widząc ją tak poruszoną.

– Dokąd tak pędzisz? Ile razy mam ci mówić, żebyś pamiętała o dobrych manierach, Carmencito?

– Proszę pani, w drzwiach stoi jakaś kobieta, która się o panią pyta. Nie chce powiedzieć, jak się nazywa, ani odejść.

– To pewnie jedna z tych biednych kobiet, które chodzą po domach, prosząc o jałmużnę; weź dla niej tych kilka monet i i daj jej coś do jedzenia.

– Panienko Roser...

Dźwięk tego głosu niemal przyprawił serce Roser Molins o zawał. Wstała i wpatrywała się w młodą kobietę, która bez zaproszenia wtargnęła do jej salonu. Oczy zaszły jej łzami.

– Teresita! – Podbiegła do niej i uściskała mocno. – Myślałam, że nie... Jak to możliwe, że nie mogłam cię odnaleźć? Dlaczego nigdy nie przysłałaś mnie odwiedzić?

Teresa stała nieruchomo, wbijając oczy w podłogę i zawzięcie zaciskając usta. Roser wydało się, że stoi przed nią ta sama dziewczynka, którą w tysiąc dziewięćset dwudziestym szóstym przywiozła ze sobą z Camprodonu, żeby służyła u niej w Barcelonie.

Służąca przypatrywała się tej scenie z otwartą buzią.

– Carmencita, co tak stoisz jak słup. Nie widzisz, że mamy gościa? Idź i przygotuj

coś do jedzenia. I podgrzej mleko – powiedziała Roser.

Kiedy zostały same, Roser i Teresa przez dłuższą chwilę przyglądały się sobie w milczeniu. Teresa mogła stwierdzić, że kobieta, o której tyle myślała przez te wszystkie lata, miała się dobrze, wyglądała jak zawsze. Roser mogła zobaczyć, że życie nie oszczędziło dziewczyny. Mówiły o tym jej smutne oczy, wyświechtane ubranie. Nawet zapach, który roztaczała wokół siebie.

– Chodź, moja droga, siadaj.

Usiadły naprzeciwko siebie.

– Dziewczynki czują się dobrze, panienko?

– Tak, bardzo dobrze. Carlota ma już dwanaście lat, a Aurorita dziesięć. Mała Andrea niedługo skończy sześć. Teraz ich nie ma, ale jeśli odwiedzisz mnie innego dnia...

Teresa przerwała jej.

– Panienko Roser, przyszedłam poprosić panią o przysługę.

– Mów, o co chodzi.

– Jak panienka wie, odeszłam z tego domu po długim namyśle, żeby być z Blaim. Jeślibym tego nie zrobiła, utraciłabym go na zawsze. Pewnie panienka myśli... Nie wiem, co panienka o mnie myśli. Zostawiłam panienkę w bardzo brzydki sposób. Źle zrobiłam.

Roser wzięła ją za rękę, żeby dodać jej otuchy.

– To stare dzieje, moja droga. Dużo czasu mi zajęło, żeby to pojąć. Ale miałam go całkiem sporo na przemyślenia. Na oszacowanie tego, co mamy, i tego, co możemy stracić. Co się stało, to się nie odstanie. Nie chowam żadnej urazy.

Teresa uśmiechnęła się smutno, miała zmęczony wyraz twarzy.

– Blai chciał założyć rodzinę. Chciał tego prawdopodobnie dużo bardziej niż ja. Sama nie wiem. Rzecz w tym, że zaszłam w ciążę.

– Masz dziecko?

Oczy Teresity, tak przygasłe, tak bez wyrazu, zabłysły, wilgotne i smutne. Wielki ból sprawiało jej mówienie na ten temat.

– Blai poszedł na front. Ja zostałam sama. Właściwie nie sama. Z dzieckiem w brzuchu. Nawet sobie panienka nie wyobraża, jak wyglądała tutaj wojna. Jak wyglądała dla biednych. Cierpiałam głód. Wielki głód. W listach pisałam Blaiemu, że wszystko dobrze się układa. Ale tak nie było. Chłopiec urodził się martwy. Bo to był chłopiec, wie pani? Urodził się pod koniec trzydziestego szóstego roku, był taki maleńki, że nie mógł nawet oddychać. Biedaczek.

Roser przysunęła się do niej bliżej, drżały jej dłonie, oczy ze wzruszenia zasły mgłą.

– Dobry Boże!

– Blai był zrozpaczony. Czułam to z jego listów. Pamięta panienka, jak pomagała mi pisać do niego? Myślałam zawsze o paniencie i o tym, czego mnie panienka nauczyła, kiedy pisałam, kiedy wymyślałam całą historię. Bo wymyśliłam całą historię, wie panienka? Pisałam mu, że nasz synek urodził się cały i zdrowy, że miał niebieskie oczy, jak on. I że czekamy na jego powrót... Jak... – Teresa podniosła rękę, zasłoniła nią oczy, po czym wybuchnęła płaczem. Sprawiała wrażenie, że nie da rady mówić dalej, ale się nieco uspokoiła. – Dlatego że ja... ja nie potrafiłam powiedzieć mu, że jego synek umarł.

Miałam mu to powiedzieć, kiedy wróci. Tak, kiedy wróci, kiedy wszystko się skończy, my wygramy wojnę i będziemy mogli mieć więcej dzieci. Myśli panienka, że źle zrobiłam?

– Pomagałaś mu przeżyć, Teresito.

Łzy kapały jej z oczu niczym kapuśniaczek.

– Ale nie wygraliśmy wojny i on nie wrócił. Nie mam nic, panienko Roser. Nic a nic. Wyrzucili mnie z mieszkania, bo jestem czerwona. Z mieszkania, które było małą klitką. Mieszkania, w którym Blai i ja kochaliśmy się. Uciekłam z Poblenu. Patrzą tam na mnie spode łba, z pogardą... Mam wrażenie, jakby chcieli, żebym padła przed nimi na kolana i błagała ich, żeby wybaczyli mi moje grzechy, panienko. Boję się. Nie zrobiłam nikomu nic złego. Blai też nie, prawda, panienko Roser?

Roser zaprzeczyła ruchem głowy, milczała, była bardzo wzruszona.

– Nie wiem, dokąd iść. Jeśli panienka...

Roser spojrzała uważnie na dłonie Teresy. Drżały. Wydało jej się, że strach Teresy, jej desperacja zaczynały żyć własnym życiem, mówić. Zebrała się w sobie.

– Nigdy nie znalazłam nikogo, kto dbałby o moje córeczki tak jak ty. Możesz mi wierzyć! A mała Andrea potrzebuje nadal kogoś, kto by się nią zajmował. Carlota jest nieco buntownicza, byłoby całkiem dobrze, gdyby ktoś mógł ją z bliska nadzorować. A Aurorita... Oj! Jak ja się za tobą stęskniłam. Wrócisz do tego domu, Teresito, do twojego domu.

Teresie trzęsły się ramiona, jej całym ciałem wstrząsał szloch. Roser przytuliła ją bardzo mocno, jakby nie chcąc pozwolić, by rozpadła się w drobny mak. Pomyślała, że to wdzięczność powodowała płaczem Teresy. Nie wiedziała, że płacze za rodziną, której już nigdy nie będzie miała.

Po kataklizmie wojny wszystko wskazywało na to, że znów został zaprowadzony wzorowy porządek, który zdawał się odwieczny i ostateczny. Wszystko zrobiło się mniej eleganckie i wyszukane. Czerń stała się kolorem nowej Hiszpanii, „hiszpańską czerń” ocieplano od czasu do czasu szarymi albo brązowymi muśnięciami. Wełniane tkaniny, z których szyto stroje, były czarne i głównie żałobne. W tamtych czasach żałoby nachodziły jedna na drugą w niekończącej się procesji śmierci. Do tego jeszcze mantylki, nieodzowny element uroczystości religijnych narzuconych przez nowy rząd. Wobec tej przygnębiającej dla przemysłu modowego panoramy Santa Eulalia podążała swoją ścieżką coraz szybciej. Salony mody odżyły. W firmie podjął pracę młody projektant, który wkrótce został prawą ręką Closa. Jego pojawienie się tchnęło w Santa Eulalię nowe życie. Nazywał się Carlos Comas. Także wtedy, w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku, Santa Eulalia przystąpiła do Spółdzielni Mody Ekskluzywnej, stworzonej z myślą o popchnięciu naprzód hiszpańskiej mody, by wynurzyła się z tej przymusowej stagnacji. Mimo usilnych starań czasy dla branży modowej były w dalszym ciągu trudne. Projektanci nie mogli spoglądać już na Paryż. Druga wojna światowa zmieniała bowiem bezpowrotnie cały porządek świata mody. Paryscy projektanci, nawet ci, którzy zostali w Paryżu na czas wojny i projektowali małe kolekcje, stracili swoją pozycję. Nie mogli pozyskać drogich materiałów, takich jak jedwab czy koronki, i ostali się bez rąk do pracy. W tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym roku to Stany Zjednoczone zaczęły wyznaczać trendy w świecie mody. Sukienki o kloszowych, bardzo dopasowanych w pasie spódnicach wzbudzały zazdrość Europy, w której prym wiodła moda użytkowa, bazująca na skromnych kostiumach z zakietami o kwadratowych ramionach i prostych spódnicach za kolano. W ostatecznym rozrachunku była to moda męska, przypominająca wojskowe mundury.

Santa Eulalia, na przekór ogólnemu przygnębieniu, postanowiła zaproponować kolor i fantazję zarówno jeśli chodziło o kreacje koktajlowe, jak i wieczorowe. Po wybiegu paradowały eleganckie suknie na ramiączkach i te z głębokimi dekolcami, większość z nich uszyta z żorżety, z rękawami i kokardami z aksamitu. Albo z jedwabnej dzianiny w nieskazitelnej bieli czy żywej czerwieni, z drobnymi plisami. Na co dzień wstrzeźliwe kostiumy *tailleur* z wełnianego tweedu w subtelniejszych kolorach, dopasowane w talii, ze zdobionymi aplikacjami kieszeniami i guzikami, albo suknie szerokie w ramionach, dzięki którym sylwetki wydawały się bardziej kwadratowe. A w ramach dodatków, do wszystkiego kapelusze przyozdobione piórami i przede wszystkim, ostatni krzyk mody, łup z czasów wojny: turbany.

Dwa ostatnie lata w odczuciu Lai wlokły się nieubłaganie. Ponownie przyzwyczaiła się do rytmu pracy i jej wymagań. Długoletnie doświadczenie pomogło jej w przygotowaniu na nowo pokazów odbywających się teraz pod kopułą teatru Coliseum, w ramach salonów mody organizowanych przez Spółdzielnię Mody Ekskluzywnej. Z zewnątrz sprawiała wrażenie, jakby powoli dochodziła do siebie, stawała się mniej

więcej tą samą osobą, którą była wcześniej. Doprowadziła do porządku swój wygląd, znów elegancki i stylowy, wzbudzający zachwyt w Santa Eulalii. Z powrotem zaczęła się dobrze ubierać i jeść normalnie. Jej twarz nabrała kolorytu. Nosiła długie pofalowane włosy, takie jakie amerykańskie gwiazdy filmowe prezentowały na dużym ekranie, które odzyskały swój dawny blask. Srebrny kosmyk, zaczynający się tuż nad czołem i opadający wzdłuż czupryny, wyglądał niczym skuta lodem rzeka i przydawał jej niezwykłego uroku. Jednakże były rzeczy, które wojna zabrała ze sobą bezpowrotnie. Laia już nigdy nie odzyskała straconych w wyniku głodu kilogramów. Jej kibić pozostała krucha i wiotka, nad wyraz chuda. Nie odzyskała również radości. Nigdy się nie uśmiechała. Nosiła w sercu smutek. Stała się wyjątkowo małomówna i dużo ją kosztowało utrzymywanie kontaktu z innymi pracownikami sklepu. Nie nawiązywała go, jeśli nie okazywało się to absolutnie konieczne. Nie można było powiedzieć, żeby poza Lluïszą miała jakąkolwiek prawdziwą bratnią duszę w miejscu pracy.

I to właśnie Lluïsa, nie zdając sobie z tego sprawy, zburzyła pozorny spokój Lai wiadomością, która zdumiała ją i zmusiła, by spojrzeć we własną przeszłość. Zdarzyło się to pewnego popołudnia na początku marca tysiąc dziewięćset czterdziestego roku, kiedy barcelończycy zaczęli wreszcie zapominać o zimie, zdającej się złośliwie wydłużać w nieskończoność. W salonie oczekiwano wizyty pewnej bliższej krewnej gubernatora cywilnego Barcelony, Antonia de Correa y Veglison. Dama, o której mowa, w mieście znajdowała się przejazdem i zażyczyła sobie obejrzeć kolekcję na zamkniętym pokazie. Tego popołudnia gwałtownie czyniono przygotowania. Lluïsa wykańczała ostatnie detale sukni, zszywając materiał bezpośrednio na ciele modelki w jednej z przymierzalni. Jak zwykle ścigano się z czasem. Nagle do przymierzalni zajrzała Laia. Zdradził ją zaniepokojony wyraz twarzy.

– Lluïso, widziałas może pana Closa? Muszę skonsultować z nim listę modeli, które pokażemy, a nigdzie nie mogę go znaleźć.

Lluïsa oderwała wzrok od sukienki, przy której uwijała się na klęczkach. Odchyliła się nieco do tyłu i usiadła na piętach. Starła pot z czoła i spojrzała na Laię skruszona.

– Kompletnie zapomniałam. Przepraszam cię, Laiu. Clos kazał ci przekazać, że sama musisz się zająć pokazem. Pilnie musiał wyjść.

– Nie mówisz poważnie!

Nie był to, bynajmniej, pierwszy pokaz, którym Laia musiałaby się zająć sama. Niezwykłość tej sytuacji polegała raczej na tym, że kiedy chodziło o prywatne pokazy dla klientek, wobec których mieli specjalne zobowiązania, Clos lubił być obecny.

Lluïsa wyczytała pytania malujące się w oczach Lai.

– Wszedł, jakby go kto gonił. Pani Roser udusiłaby go własnymi rękami, gdyby z jego winy spóźnili się na mszę za Novellów.

– Novellów?

– Tak, kochana. Nie pamiętasz? Pani Novell, Claudina Novell była naszą stałą klientką. Żona jubilera, pana Novella... Na pewno pamiętasz, przychodziła do nas bardzo często, czasem w towarzystwie córki...

– Eleny... – weszła jej w słowo Laia, biorąc głęboki oddech.

– Właśnie. Państwo Novellowie zginęli w jednym z bombardowań w trzydziestym

ósmym roku.

– Nic o tym nie wiedziałam.

– Mówią, że mąż, jubiler, był bardzo chory, umierający, i że Claudina Novell nie chciała zostawić go samego. Dzieci wyjechały już za granicę. Sama widzisz, jak to jest... Nie zabili ich bojówkarze. Za to zginęli od bomby, która spadła na ich dom, Ronda de la Universidad numer dziewięć. Kamień na kamieniu po nim nie został. – Lluïsa dała ręką znak modelce, żeby zdjęła poprawianą suknię. Dziewczyna wyszła z przymierzalni, zostawiając ją i Laię same. – Niezbadane są wyroki losu! Córka tak daleko, nie mogła nawet pożegnać rodziców. Nie ma rodziny, za którą nie ciągnęłaby się tragedia, nie sądzisz?

– To prawda.

Razem ruszyły z powrotem do salonu.

– Teraz córka mieszka w Paryżu. Z tego, co mówią, wygląda na to, że tylko dzięki niej jej mąż uniknął pewnej śmierci.

Laię w jednej chwili bardzo zbladła. Lluïsa niczego nie zauważyła i ciągnęła dalej.

– Mówią, że już od kilku lat byli w separacji. W każdym razie mąż Eleny Novell w czasie wojny przystał do oddziałów republikańskich i starał się ratować budynki w całym kraju, albo coś w ten deseń, nie jestem pewna. Mówię ci tylko to, co sama słyszałam. I wygląda, że nacjonałiści zaczęli deptać mu po piętach, sama nie wiem, moim zdaniem musiał robić coś więcej niż tylko ratować budynki, skoro tak się nim zainteresowali.

– Co masz na myśli?

– Sama nie wiem, kochanieńka... co ja tam wiem! – Głos Lluïsy zamienił się w ledwie słyszalny szept. – Mówią, że szpiegował i jeszcze chwila, a wpadłby w ich łapy. Rzecz w tym, że Elena Novell poruszyła niebo i ziemię i nie spoczęła, dopóki nie wy dostała go z kraju.

Laię odwróciła się plecami do Lluïsy. Udawała, że poprawia jakieś materiały. Co było dalekie od prawdy. Przeszył ją straszliwy, ostry ból, a ona stała jak sparaliżowana. Błyskawicznie otarła palcami łzę spływającą po policzku. Kiedy się otrząsnęła, zapytała:

– I... żyje? Udało mu się wyjechać z kraju?

– Z tego, co mi wiadomo, wydaje się, że tak.

– Wrócili do siebie?

– Kochanieńka, tak daleko mój wzrok nie sięga. Słyszałam, że jej w Paryżu dobrze się powodzi, odniosła sukces. Ale czy są razem, czy nie... – zrobiła pauzę. – Chociaż, gdyby się tak dobrze zastanowić... po tych wszystkich nieszczęściach, sama nie wiem... Dwoje ludzi, których ścieżki znowu się krzyżują, na nowo układają swoje życie... To byłoby dobre zakończenie, nie sądzisz?

Laię przytknęła powieki. Westchnęła.

– Tak, dobre.

Życie Lai, od kiedy wróciła do pracy, stało się bardziej znośne. Przynajmniej jeśli chodziło o zaspokojenie podstawowych potrzeb: o jedzenie, ubranie, dach nad głową.

W przypadku tego ostatniego nie miała się czym przejmować. Ledwie wojna dobiegła końca, otrzymała list, w którym notariusz prosił ją o obecność przy odczytywaniu testamentu Genisa Campsa Bonastre'a. Na miejscu nie pojawił się nikt inny. Ku swojemu zdumieniu usłyszała, że Genís przepisał na nią wszystko, co posiadał: mieszkanie w Clot z całym wyposażeniem. Prosił ją, żeby w razie jego śmierci zaopiekowała się tym, co należało wcześniej do jego rodziny, pamiątkami, historią jego rodziców i siostry Montserrat zmarłej w wieku szesnastu lat. Gdyby umarł pierwszy, życzył sobie, żeby dopilnowała, by jego ciało spoczęło blisko tych, którzy jako jedyni naprawdę go kochali i akceptowali takim, jakim był.

Laia spełniła ostatnią wolę przyjaciela. Z początku czuła się dziwnie, nie mogła przyzwyczać się do myślenia o tym mieszkaniu jak o własnym. Było nieduże, pokoje wychodziły na ciemny pasaż, ale miało małą jadalnię z balkonem, na który padało słońce. Zamieszkała w tym domu i żyła wśród wspomnień innych ludzi, wśród cudzych historii. Z czasem się przyzwyczała. Myśl, że Genís przyszedł w nim na świat i wychował się w tych czterech ścianach, dodawała jej otuchy. Postanowiła w nich zostać. Niczym wdowa po jedynym mężczyźnie, którego kochała i z którym nigdy się nie kochała.

Co niedziela elegancka Laia, która kierowała salonem mody w Santa Eulalii, przechodziła przemianę. Ubierała się skromnie, długie włosy upinała w kok i szła na cmentarz na Montjuïc odwiedzić swoich zmarłych: rodziców, Genisa, który spoczywał w kwaterze tuż obok swoich bliskich, biedną Engracię, która leżała obok męża zmarłego tak wcześnie, dawno temu. Po synie Lai niestety nie zostało nawet ciało, które mogłaby pochować. Dlatego na tablicy przy kwaterze rodziców, w miejscu, gdzie widniały ich imiona, kazała wyryć:

KU PAMIĘCI VALENTIEGO CALVETA

1920–1938

Teraz postrzegała życie zupełnie odwrotnie niż wcześniej. Co niedziela czuła, że rodzi się na nowo, podczas gdy pozostałe dni tygodnia dłużyły jej się w nieskończoność. Ci, których miała wokół siebie, wierzyli, że to praca była jej ostoją, pozwalała przetrwać. Jakże mało ją znali! Nikt nie przypuszczał, że Laia Calvet żyła, wyczekując jedynie momentu, kiedy wreszcie będzie mogła spotkać się z tymi, którzy ją opuścili. Jej życie było ciągłym oczekiwaniem. Na moment, kiedy dane jej będzie odejść. Nie interesowały jej już moda ani eleganckie suknie, ani nic z tego, co ją otaczało. Jedynie w panującej na cmentarzu ciszy czuła, że znowu staje się sobą. Przynosiła kwiaty na groby bliskich, rozmawiała z nimi albo siadała w ciszy naprzeciw ich kwater. Czasami uśmiechała się nieznacznie, przypominając sobie jakąś psotę Valentiego, dzięki której udało mu się wyprowadzić ją z równowagi. Kiedy indziej niemal niezauważenie poruszała ustami: mówiła do nich, opowiadała im o tym, co chcieliby usłyszeć.

Tak mijały jej niedzielne przedpołudnia. Około dwunastej wracała do domu, a obrazy z przeszłości stawały jej przed oczami, dotrzymując towarzysztwa w tej dojmującej pustce. Kiedy była w Clot, siadała i jadła niespiesznie obiad, nie czując nawet jego smaku. I modliła się, żeby tydzień, który dopiero miał się zacząć, minął szybko, a ona

będzie mogła wrócić na ten piękny cmentarz z widokiem na morze.

Tam, gdzie spoczywali jej najbliżsi.

Aż którejś niedzieli, latem tysiąc dziewięćset czterdziestego roku, dochodząc do cmentarnej bramy, zorientowała się, że niebo spowijają czarne chmury. W samym środku dnia zrobiło się nagle ciemno. Gęste chmurzyska przesłoniły słońce, a silny wicher smagał korony drzew. Rozległ się słaby daleki grzmot. Zdążyła wejść na cmentarz, zanim spadły pierwsze krople. Były drobne, niegroźne, miło chłodziły twarz, jednak błyskawicznie zamieniły się w burzową ulewę. Piękny widok na morze, rozpościerający się ze wzgórza Montjuïc, zniknął przesłonięty ołowianym płótnem, które zlewało się z niebem. Panowała głęboka cisza przerywana jedynie mamrotaniem deszczu dzwoniącego o kałuże.

Laia w jednej chwili przemokła od stóp do głów. Świeże cięte kwiaty dla bliskich połamały się, niewinni męczennicy burzy. Usiłowała znaleźć jakieś schronienie. Grobowe panteony, stare mauzolea, w których pochowano zmarłych całe wieki temu, wyłaniały się z mroku w świetle błyskawic, jakby ożywały. Wszystko to razem przejmowało strachem.

Brodząc po kałużach z błotnistą wodą, przypomniała sobie o panteonie niedaleko kwatery Genisa. Zwrócił jej uwagę już wcześniej, był to chyba największy panteon, jaki kiedykolwiek widziała. Pobiegnęła w tamtą stronę, pochyliwszy głowę, żeby ochronić się przed pompą. Zaraz też dojrzała zatarte przez ścianę deszczu kontury, ganek z greckimi kolumnami. Schodki prowadziły do wzruszającej rzeźby z kamienia, anioła płaczącego nad trumną. Weszła po kilku stopniach i schroniła się pod portykiem z kolumnadą. Była przemoczona do suchej nitki. Z włosów kapała jej woda. Zęby dzwoniły z zimna. Kiedy nachyliła się, żeby wylać chlupoczącą wodę z butów, usłyszała czyjś głos i aż podskoczyła.

– Panteon Urrutiów to dobre miejsce, żeby schronić się przed ulewą, prawda?

Laia odwróciła się z szeroko otwartymi oczami, trzymając bucik w jednej ręce. Mokre włosy przykleiły jej się do twarzy.

– Proszę mi wybaczyć. Nie chciałem pani przestraszyć. Ja też pomyślałem, że to miejsce jak znalazł na kryjówkę. – Mężczyzna uśmiechnął się do niej. Był równie jak ona przemoczony. Laia niemal nie mogła dojrzeć rysów jego twarzy. – Nazywam się Octavi Morer.

Wyciągnął do niej rękę, której Laia nie uścisnęła. Kulila się i trzęsła z zimna. Mężczyzna zdjął marynarkę i narzucił jej na ramiona.

– Nie wiem, czy cokolwiek pomoże. Jest przemoczona tak jak cała reszta.

– Dziękuję – bąknęła.

– Wie pani, kto tu leży? – Mężczyzna ruchem głowy wskazał mauzoleum, które rozpościerało się za nimi, chronione kolumnadą.

Laia pokręciła głową. Niespecjalnie ją to interesowało.

– Augusto Urrutia. Bask, właściciel plantacji kakao w Wenezueli, który ożenił się z kuzynką malarza Joana Miró. Spoczywa tutaj razem z całą rodziną, rzecz jasna.

– Zna pan wszystkich mieszkańców mauzoleów na tym cmentarzu?

Uśmiechnął się. Miał niski, spokojny głos, przyjemnie się go słuchało. Wydawał się należeć do tej klasy ludzi, którzy niełatwo się unoszą.

– Nie, skąd. Ale ponieważ przychodzę tutaj w każdą niedzielę, a z natury jestem ciekawski, korzystam z okazji i odwiedzam groby, które akurat zwrócą moją uwagę. Jak pani widzi, takie hobby.

Laia spojrzała na Octaviego z ukosa. Był wysoki, miał na sobie czarne ubranie. Teraz, kiedy lepiej mu się przyjrzała, mogła zauważyć, że twarz doskonale pasowała do tego głosu, bo choć rysy miał raczej ostre: wysokie czoło, orli nos, wąskie usta, łagodziły je miły uśmiech i jasne spojrzenie.

– Kogo pani odwiedza? – zapytał.

Odpowiedź zajęła Lai dłuższą chwilę. Nie lubiła rozmawiać z nieznajomymi, a już zwłaszcza o swoich zmarłych. Wreszcie powiedziała:

– Rodziców. I syna, który zginął na wojnie. – W odpowiedzi nie uwzględniła faktu, że ciało jej syna nie spoczywa w katakumbach. Często o tym zapominała.

Octavi skinął głową, jakby znał dobrze tę historię. Jego własna była podobna. To była wspólna historia.

– Ja żonę i syna. Zginęli w bombardowaniu w trzydziestym ósmym. W tym czasie byłem na froncie. – Oczy Lai wbiły się w oczy mężczyzny. Jego wpatrywały się w nicość, smutno, melancholijnie. – Proszę spojrzeć. Przestaje padać – odezwał się po chwili.

Laia podała mu marynarkę.

– Jeszcze raz dziękuję.

– Nie ma za co.

Octavi zawiesił głos, chciał bardzo poznać imię nieznajomej, z którą dzielił kryjówkę.

– Laia. Nazywam się Laia.

– Chce pani, żebym dokądś ją odprowadził?

– Nie ma takiej potrzeby.

– W takim razie do widzenia.

Octavi odszedł, zostawiwszy Laię na pastwę *déjà vu*. Musiała mocno pokręcić głową, żeby odegnać od siebie niechciane wspomnienia. Deszcz. Kwiaty. Kryjówka przy wejściu do teatru Victoria. Pau.

Cóż za odległa historia!

Otoczona zewsząd plisami i nićmi, pracą i codziennym życiem, prawie natychmiast zapominała o nieznajomym z cmentarza. Jak mówił, że się nazywa? Octavi?

Dopóki nie spotkała go znowu następnej niedzieli.

Dzień był zupełnie inny. Ciepłe promienie słońca nagrzewały powoli jasne przedpołudnie, prawie letnie. Ona stała przed kwaterą Genisa, kiedy zobaczyła zbliżającego się mężczyznę.

– Dzień dobry, Laiu.

– Dzień dobry.

– Tutaj leży pani syn?

Laia pokręciła głową.

– Dobry znajomy. Przyjaciel.

– Tyle śmierci. Taka strata.

Przez dłuższą chwilę stali w ciszy. Laia mogła się przekonać, że ta obecność, cicha i pełna szacunku, wcale jej nie przeszkadzała. Sama zdziwiła się, kiedy zapytała:

– Ile lat miał pański syn?

– Dziesięć. Nazywał się Pedro.

– Valentí miał osiemnaście. Zginął w Teruelu.

Popatrzyli po sobie, szukając smutku zrozumienia w oczach rozmówcy. Znaleźli go.

Tej czerwcowej niedzieli Octavi i Laia wyszli razem z cmentarza. Przez sześć kolejnych miesięcy spotykali się w ten siódmy dzień tygodnia. Dotrzymywali sobie towarzystwa. Rozmawiali o przeszłości. O tym, jacy byli ich bliscy. Coś, czego Laia nie robiła, od kiedy straciła Genisa. Aż którejś grudniowej niedzieli, słonecznej, z niebieskim niebem i niegroźnymi obłoczkami na horyzoncie, Octavi po wyjściu z cmentarza zapytał, czy zechciałaby zjeść z nim obiad. A ona się zgodziła.

Zbliżał się koniec lutego tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku. Wszystko było gotowe na wielkie otwarcie wieczorem. Wcześniej rano Andreu Molins, Ferran Clos i Laia Calvet spotkali się w lokalu przy Paseo de Gracia, pod numerem sześćdziesiątym, żeby dopracować ostatnie szczegóły.

Pogłoska, która przez tyle miesięcy krążyła od jednego kontuaru do drugiego, od przymierzalni do przymierzalni i obiegała wszystkie kąty sklepu przy Pla de la Boqueria, stała się wreszcie rzeczywistością. Santa Eulalia rozszerzała swoją działalność, wychodziła naprzeciw nowym oczekiwaniom, wyznaczając sobie coraz ambitniejsze cele. Umacniała się w roli pionierki i punktu odniesienia dla katalońskiej *haute couture*, a dokonywała tego, otwierając nową siedzibę przy jednej z głównych alei miasta: Paseo de Gracia. Ostatnimi czasy krążyły ulotki informujące klientelę o nadchodzących zmianach.

Nowy lokal był gigantyczny i został udekorowany z wyrafinowanym smakiem. Na kilka godzin przed otwarciem tkaniny wszelkiego typu, koloru i faktury, ułożone nienagannie, zapełniały obszerne kontuary. Wnętrza były jasne i ciepłe, doskonale współgrały z dominującą ascetycznością szlachetnego drewna i marmurowych podłóg. O smaku świadczyły przymierzalnie, przestronniejsze niż te przy Pla de la Boqueria, gwarantujące wygodę w czasie przymiarek, często długich i wycieńczających, a także przestrzeń wystawowa, w której miały wisieć nowe kreacje, i pracownie krawieckie z oknami wychodzącymi na Paseo de Gracia. Dodatkowym luksusem były prywatne salony mody, królestwo Lai, równocześnie eleganckie i funkcjonalne, z przewagą pastelowych barw. Nawet mała altana we foyer z fontanną podtrzymywaną przez dwa cherubinki zapraszała do odpoczynku i umilała czas oczekiwania.

Tego przedpołudnia wszyscy byli bardzo zajęci. Doręczano kwiaty do dekoracji i nowe modele, które chciano zaprezentować. Nadal było słyhać hałasy robotników, którzy kończyli ostatnie detale, gdzieś gdzieś czuć było zapach świeżej farby, pachniało nowością. Panowała nerwowość, w której dało się wyczuć entuzjazm. W Santa Eulalii wszyscy, od dyrekcji i projektantów, subiektów i panien sklepowych, po ostatniego ucznia przyjętego niedawno na praktyki, wiedzieli, co znaczyła walka z czasem. Pokazy dawały szkołę wszystkim, każdy bez wyjątku pobierał swoje nauki, przyzwyczajając się do nerwowej pracy i pośpiechu.

Andreu poszedł zamknąć się w swoim nowym gabinecie. Niczego nie brakowało. Wszystko było tak, jak sobie zażyczył. Wszystko stało i leżało na swoim miejscu. Była to niemal dokładna replika gabinetu przy Pla de la Boqueria, który należał do jego ojca i w którym tyle przeżył. Jak miał w zwyczaju, Andreu unikał szaleństwa przygotowań i oddawał się swojej zwykłej pracy, skupiony na projektach wymagających od niego całkowitej uwagi. Pomyślał, że otwarcie nowego sklepu było odpowiednim momentem, żeby zrealizować pomysł, który od dawna chodził mu po głowie. Postanowił oddać personelowi na użytek świetlicę. Musiała być blisko, najbliżej, na ile to możliwe, sklepu, a jej rolą miało być ułatwienie życia wszystkim pracownikom. Udało mu się ustalić, że większość z nich mieszkała w oddalonych od centrum dzielnicach; niektórzy nawet

dojeżdżali z okolicznych miasteczek. W świetlicy miała być oddzielna kuchnia. To umożliwiłoby im zjedzenie czegoś ciepłego niedaleko miejsca pracy, bez konieczności wydawania pieniędzy ani tracenia cennego czasu na dojazdy. Mogła też służyć za miejsce spotkań dla pracowników, którzy w niedziele i święta zostawali sami w mieście. Do użytku personelu zostałaby oddana również biblioteka i może też jakiś stół do gier.

Zastanawiał się nad kilkoma lokalami, sprawdzając, czy nadawałyby się do tych celów. Rzucił właśnie okiem na jeden przy ulicy Valencia, który wydawał się przestronny i adekwatny do jego planów, gdy ktoś zapukał do drzwi. Do gabinetu zajrzała zmartwiona twarz Ramona Martineza.

– Co się stało, Ramonie?

– Andreu, będziemy musieli wstrzymać otwarcie.

Właściciel spojrzał na niego zaniepokojony. Cóż mogło być tak ważne, żeby wstrzymać otwarcie, które było praktycznie w pełni gotowe?

– Król zmarł w Rzymie. Dusznica bolesna.

Tego dnia Laia wyszła z pracy wcześniej niż zwykle. Otwarcie zostało przesunięte na niedzielę, trzeciego marca. Szła na przystanek tramwajowy nieco zawiedziona. Gdyby nie nagła śmierć króla, byłoby już po wszystkim. Jakże chciała, żeby było wreszcie po wszystkim! Z każdą działalnością, która odrywała ją od codziennej pracy, było jej nie po drodze. Za dużo ludzi. Za dużo pracy. Za dużo ceregieli.

Szła szarą Barceloną, nie zwracając uwagi, że jej drogie ubranie i elegancki kapelusz ściągały na siebie wszystkie spojrzenia. Strój roboczy. Ubranie, które musiała nosić, ale które już nie sprawiało jej żadnej radości. Było zupełnie obojętne.

Po powrocie do domu Laia przebrała się w codzienny strój i stanęła w kuchni, by przygotować sobie coś na kolację, jak zwykle jakiś prosty posiłek. Nie miała w domu dużo jedzenia. Czasami nie zdążała stanąć w kolejce po racje żywnościowe. Zaznany w czasie wojny głód na nią zadziałał inaczej niż na innych. Oni teraz dwoili się i troili, żeby zdobyć to, czego dawno nie jedli. Jej skurczył się żołądek. Rzadko pozwalała sobie na jakiś kaprys z czarnego rynku. Tego wieczoru była zmęczona i nie miała na nic ochoty. Wzięła kawałek suchego chleba i podgrzała sobie kubek mleka. Siedziała przy stole, kiedy zadzwonił dzwonek do drzwi. Zdumiona podniosła głowę znad kolacji. Któż to mógł być? Nikt jej nie odwiedzał.

Przenigdy nie odgadłaby, kto zadzwonił do jej drzwi tej nocy.

– Mogę wejść?

W pierwszej chwili go nie poznała, choć serce zabiło jej mocniej na widok tej wymizerowanej i zapadniętej twarzy, pooranej bruzdami. Jedna bruzda, jedno zmartwienie. Dopiero oczy, te oczy, które zawsze potrafiły powstrzymać burzę, otworzyły drzwi wspomnieniom.

– Germán!

Mężczyzna stojący na progu, źle ubrany, nieogolony, który wydawał się wracać ze

świata umarłych, chciał się uśmiechnąć, ale na jego ustach pojawił się tylko trudny do odszyfrowania grymas.

- Widzę, że jeszcze mnie pani poznaje.
- Ale... powiedzieli mi, że ty... Myślałam, że...
- Jeśli pozwoli mi pani wejść...

Laia otworzyła przed nim szeroko drzwi. Germán wszedł do środka i podążył za nią aż do jadalni. Na stole stał kubek mleka i leżała sucha pajda. Wyglodniałe oczy Germana wbiły się w jedzenie. Laia w spontanicznym odruchu podsunęła mu je.

- A pani?
- Mam więcej. Ale powiedz... Co za niespodzianka! Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś.

Germán moczył chciwie chleb w mleku. Nie jadł, pożerał. Laia, żeby poradzić sobie jakoś z własną niecierpliwością, wróciła do kuchni. Wyjęła cztery rzeczy na krzyż, jakie miała, i przygotowała sałatkę z cykorii dla nich obojga.

- Dziękuję – powiedział Germán, spijając krople mleka spływające mu po brodzie.
- Byłem głodny.

Laia wpatrywała się w niego niecierpliwie. W tym krótkim czasie nasunęły jej się tysiące przypuszczeń.

- Powiedzieli mi, że nie żyjesz. Że zginąłeś pod Teruelem. Tak jak...
- Było... tyle śmierci. I wielu zaginionych, których uznano za poległych.
- A Valentí? Wiesz, czy on... naprawdę...

Germán pokiwał pochyloną głową. Słowa nie były potrzebne. Słowa, których lepiej było nie wypowiadać. Laia osunęła się na oparcie krzesła. Przez chwilę odważyła się mieć nadzieję, że... pomarzyć... Teraz starała się ukoić narastające w sercu cierpienie. Nie pozwoli Valentiemu znowu umrzeć. Nie. Co to, to nie!

- Przyszedłem opowiedzieć pani, co się wydarzyło. Jestem to pani winien. Jestem to winien Valentiemu. To ja pociągnąłem go za sobą na śmierć, która mu się nie należała. Wszystkie te ideały... Mieliśmy się za wybrańców, myśleliśmy, że wojna potrwa ze dwa dni. Byliśmy pewni naszego zwycięstwa, dlatego że to my staliśmy po stronie sprawiedliwości. My byliśmy tymi dobrymi. – Uśmiechnął się ze smutkiem. – Ale poszliśmy prosto do piekła.

Podniósł rękę na wysokość oczu i oparł o nią głowę. Jego głos docierał z jakiegoś dalekiego miejsca, z przeszłości, której nie chciał pamiętać, ale którą teraz musiał obudzić, choćby miało to być po raz ostatni.

- To wszystko nie miało sensu.

Zapadła cisza. Laia bawiła się okruszkami zeschniętego chleba, żeby zająć czymś ręce. Po chwili Germán zaczął mówić, nie patrząc na nią. Mogłoby się wydawać, że mówi sam do siebie.

- Winę za to, że Valentí zaciągnął się jako ochotnik, ponoszę ja i tylko ja. To ja wbiłem mu do głowy ideę, że wojna, tak jakby chodziło o zabawę, zmieni nasz kraj na lepsze. On widział we mnie bohatera. Zrobiłby wszystko, o co bym go poprosił. Nie wiedziałem, dokąd go prowadzę. Nie wiedziałem, o czym mówię. Ja...

Laia wstała. Z szuflady wyjęła paczkę papierosów. To był jeden z tych kaprysów

z czarnego rynku, na które sobie pozwalała. Wyjęła jednego dla Germana i jednego dla siebie. Zapaliła je i z powrotem usiadła. Germán wziął od niej z ręki papierosa, palili w ciszy. Dym wypełnił jadalnię białą mgiełką. Germán odzyskał siły i ciągnął dalej:

– Nie było trudno sfalszować jego datę urodzenia. Kolega, który prowadził nabór, pomógł mi w tym. Wszystko było takie proste! Przynajmniej nam się takie wydawało.

Zaciągnął się mocno dymem. Połykał go w ten sam sposób, w jaki połykał własne wspomnienia. Z furją. Z żalem.

– Zabrali nas do małego miasteczka w prowincji Ciudad Real na szkolenie. Zostaliśmy tam do grudnia tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego. Chyba się za bardzo nie pomylę, jeśli powiem pani, że tam byliśmy szczęśliwi. Bawiliśmy się w wojnę, ale prawdziwa wojna była jeszcze daleko. Valentí był pełen entuzjazmu. Złamał serce niejednej dziewczynie. Pożerał życie wielkimi kęsami.

Laia uśmiechnęła się za zasłoną dymu. Lubiła wyobrazać sobie tego Valentiego, którego nigdy nie poznała.

– W tamtym czasie przygotowywano trzecią ofensywę, chciano powstrzymać oddziały faszystowskie idące na Madryt. Wysłali nas do Teruelu. Na początku nie mieliśmy pojęcia, dokąd zmierzamy. Najpierw szliśmy piechotą, trzymając się torów kolejowych, po drodze spotykaliśmy inne brygady. Potem pociągami dotarliśmy do Sagunto, a stamtąd, znowu pociągami, do Aragonu. Tam podzielili nas i wpakowali na ciężarówki, które miały nas zawieźć na front. Wszędzie było białe. Pamiętam śnieg, jakbym go teraz widział, i dalej w kościach czuję to przeszywające zimno. Podróżowaliśmy, kuląc się, garnęliśmy się do siebie, żeby choć trochę się ogrzać. W Cubli zobaczyliśmy pierwsze ślady walki. Prawdziwą wojnę. Poinformowano nas, że naszym zadaniem jest zdobycie Teruelu i że atak rozpocznie się o dziesiątej w nocy. To były godziny pełne trwogi. Widziałem ją w twarzach najmłodszych. W twarzy pani syna. Starał się ją zamaskować, ale nagle zabawa stała się śmiertelnie poważna, już nie można było się cofnąć.

Germán westchnął, gwałtownie zdusił niedopałek w popielniczce, odsunął się na krześle od stołu i wstał.

– Po kolacji spakowaliśmy rzeczy, wzięliśmy granaty... Ani Valentí, ani ja nie byliśmy w stanie odpocząć. Rozmawialiśmy o wielu rzeczach, aż wybiła godzina zbiórki. O dziesiątej kazali nam wejść do miasta. Nie zastaliśmy tam nikogo. Wszystkich ewakuowano, to było miasto widmo. Ustawili nas na wzgórzu, skąd łatwo było dostrzec stanowiska wroga. O siódmej rano zaczęła się ofensywa. Był piętnasty grudnia. My, na chwilę, zostaliśmy przeniesieni do rezerwy. Widzieliśmy przelatujące samoloty Republiki. W południe zaczął się przemarsz rannych. Nasza kompania wzięła udział w walce siedemnastego grudnia. Nadal trwało oblężenie Teruelu. Sypał śnieg. Mieliśmy przemoczone ubrania i zamrożone stopy. Większość z nas nosiła na nogach espadryle, a mundury nie chroniły nas przed zimnem.

Usiadł z powrotem i oparł łokcie na stole. Przez dłuższą chwilę nie odzywał się ani słowem, wspominał, czubkami palców podpierając czoło, przeżywał jeszcze raz te obrazy, zbyt bolesne, by przeżywać je ponownie. Laia starała się wyobrazić sobie wszystkie sceny i każdą z osobna, żeby tym sposobem towarzyszyć Valentemu w tej

podróży, którą musiał odbyć sam. Wiedza na temat ostatnich dni jej syna przynosiła ulgę. Była wdzięczna Germanowi za ten gest. Wiedziała, ile wycierpiał.

– Parę dni później nasz batalion przechodził małym nasypem. Valentí i ja szliśmy obok siebie, w pierwszej linii. Posuwaliśmy się szybko. Widzieliśmy tylko strzelające działa wroga. Nagle usłyszałem głośny huk. Wydawało mi się, jakby niebo runęło nam na głowę. Zobaczyłem zamazaną sylwetkę Valentiego, jak wylatuje w powietrze, wypuszcza broń i upada na ziemię, nieżywy. Krzyknąłem jego imię. Zacząłem czołgać się w jego kierunku, wówczas poczułem nagły wybuch gorąca, paliło mnie w nogę, nie mogłem się ruszyć, nie mogłem do niego podejść. Leżał ode mnie na wyciągnięcie ręki. Valentí. Z otwartymi oczami, w których nie było już życia. A ja nie mogłem do niego podejść. Nie byłem w stanie.

Germán zasłonił sobie twarz i zapłakał. Laia wstała i objęła jego ramiona. Zamknęła oczy i pozwoliła, by jej głowa spoczęła na głowie mężczyzny, który przyszedł opowiedzieć, jak zginął jej syn, bo czuł się winny jego śmierci i musiał się tym z kimś podzielić.

Niewiele więcej sobie powiedzieli. Po chwili Germán się pożegnał. Laia zapakowała mu wszystko, co miała do jedzenia, dorzuciła jeszcze papierosy i trochę pieniędzy.

– Nie, nie mogę... Nie po to przyszedłem.

– Wiem, że nie po to. Nie musisz się tłumaczyć. Jestem ci wdzięczna, że przyszedłeś opowiedzieć mi, jak zginął mój syn. Wiem, że dużo cię to kosztowało. Dziękuję, Germanie. – Uściskali się, wzruszeni. – Co teraz? Co zamierzasz?

Germán wzruszył ramionami.

– Muszę wydestać się z kraju. Tutaj nie mogę zostać. Będę walczył dalej. Przystąpię do ruchu oporu, do partyzantki. Nie wiem, czy to dobrze, czy źle, ale jedyne co potrafię, to walczyć. – Wszystko zostało powiedziane. A może nie... Zanim odszedł, stojąc już na półpiętrze, Germán odwrócił się do Lai i dodał: – Valentí, Laiu, bardzo panią kochał. Proszę w to nigdy nie wątpić.

Germán odszedł, a Laia nagle nabrała pewności, że nie zobaczy go już więcej. To przekonanie i jego ostatnie słowa sprawiły, że zapłakała w przystępie melancholii. Jednak opowieść Germana nie wyrządziła jej krzywdy. Wreszcie mogła zobaczyć, gdzie spoczywa jej syn. Wyobraziła sobie, jak idzie po zamrożonej ziemi Teruelu i odnajduje Valentiego wpatrującego się w niebo martwym wzrokiem.

I zamyka mu oczy.

OTWARCIE GŁÓWNEJ SIEDZIBY MAGAZYNÓW MODY SANTA EULALIA

Z wielką pompą, tak jak na uroczystość tego typu przystało, otworzyła swoje podwoje nowa główna siedziba pracowni krawieckich Santa Eulalia przy Paseo de Gracia. Lokal został oddany do użytku po niezbędnym remoncie, dzięki któremu unowocześniono i upiększono cały budynek.

Biskup diecezji, doktor Díaz Gómara, uroczyście poświęcił nowy sklep, po czym pospiesznie go opuścił. W otwarciu udział wzięli przedstawiciele władz i związków zawodowych oraz najznamienitsza barcelońska publiczność, przeważały eleganckie damy i panienki z wyższych sfer.

Nowe salony są świadectwem przepychu i wyrafinowanego smaku. Zarówno ogromna sala sprzedażowa, jak i sale wystawowe, przymierzalnie i letni taras, na którym podano gościom napoje chłodzące, są dla Barcelony, oddajmy im sprawiedliwość, powodem do dumy, będąc równocześnie wyrazem drzemiącego w mieście potencjału, jeśli chodzi o świat *haute couture*.

Gwoździem programu uroczystości był pokaz, na którym została zaprezentowana cała kolekcja najnowszych modeli.

Dziennik „La Vanguardia”, środa 5 marca 1941 r.

Laia, schroniwszy się w szatni dla ekspedientek, masowała obolałe stopy. Ostatnimi czasy nie mogła znieść butów na obcasach. Pomyślała, że kiedy wreszcie nadejdzie ta chwila, żeby pójść do domu, założy płaskie czółenka. Na wszelki wypadek trzymała je w szafce, nawet jeśli niespecjalnie pasowały do jej eleganckiego prostego kostiumu *tailleur* z granatowej flaneli, na który składały się obszyty aksamitem żakiet i plisowana spódnica.

Przejrzała się w lustrze i poprawiła kaskadę fal na głowie. Goście nie chcieli jeszcze wychodzić. Słońce na Paseo de Gracia chyliło się ku zachodowi, zapalono już latarnie. Była taka zmęczona!

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Dwa delikatne uderzenia. Pomyślała, że to któraś z ekspedientek, Mari albo Tilda. Wymówiła apatyczne „proszę”, nie przestając poprawiać uczesania. Drzwi otworzyły się, w lustrze Laia dostrzegła odbicie elegancko ubranej Roser Molins. Odwróciła się raptownie.

– Mogę wejść, Laiu?

Po kilku sekundach, które zdawały się godzinami, Laia wypuściła wstrzymywane w płucach powietrze i odparła:

– Oczywiście.

Roser wyglądała oszołamiająco, miała na sobie wyjściową suknię ze stanikiem i spódnicą z żółtej wełnianej flaneli, z rękawkami i paskiem pod kolor. Ascetyczność ubioru przełamany odpinany kołnierz z lamparciej skóry. Rozejrzała się za krzesłem, po czym usiadła, zakładając nogę na nogę.

– Pewnie dziwi cię moja wizyta.

– Prawdę mówiąc, tak.

Laią nie mogła oderwać od niej oczu. Miała już swoje lata, jednak czas okazał się dla niej łaskawy. Niedoskonałości figury, takie jak nadmierny wzrost i krągłości, nie rzucały się w oczy, bo Roser nauczyła się podkreślać swoje atuty: bardzo jasne blond włosy i ciemne, głębokie spojrzenie, z biegiem lat jeszcze bardziej zdecydowane, nieskazitelną biel skóry wydającej się nie mieć ani jednej zmarszczki oraz długie, zgrabne nogi, które krzyżowała z elegancją. Z elegancją przejawiającą się w jej każdym najmniejszym geście, kiedy poruszała się i mówiła, a nawet w jej ubiorze.

Laią włożyła na nogi buty, zawstydzona, i też usiadła.

– Często widzimy się w sklepie przy Pla de la Boqueria, od niedawna też i tutaj. Ale nie rozmawialiśmy ze sobą, mam na myśli prawdziwą rozmowę, od lat. Prawda, Laiu?

Laią przymknęła powieki. Nie miała siły budzić kolejnych duchów z przeszłości.

– Może po prostu nie mamy sobie nic do powiedzenia.

Roser uśmiechnęła się opanowana. Było jasne, że przyszła jej coś powiedzieć. Ale co?

– A ja mam ci coś do powiedzenia, Laiu. Po pierwsze, chciałabym prosić cię o wybaczenie.

– Nie widzę powodu.

– Do tej pory nie złożyłam ci kondolencji z powodu śmierci Valentiego. To niewybaczalne.

Na dźwięk imienia syna Laią wstrząsnął dreszcz. Oczy zaszyły jej smutkiem, na chwilę zatopiła się we wspomnieniach.

– Jeśli mielibyśmy składać kondolencję wszystkim, którzy stracili kogoś bliskiego na tej wojnie, życia by nam nie starczyło.

Z jej ust popłynęły te ostre słowa. Poczowała zaciskający się wokół ból.

– Tyle że Valentí nie był kimkolwiek. Był twoim synem... synem Ferrana.

Laią poczuła, jak serce zaczyna jej bić coraz szybciej, paliła ją twarz, zawilgotniały oczy. Wbiła je w Roser:

– Zawsze o tym wiedziałaś, prawda?

– Nie było trudno się domyślić.

– A on?

– Ferran? Też. Oczywiście, że wiedział. Ale nigdy ze mną o tym nie rozmawiał.

Spojrzenie Roser zagubiło się w odległej przeszłości. Kiedy się odezwała, jej głos zdawał się docierać z daleka, skądinąd. Z czasu i miejsca należących do wspomnień.

– Każda kobieta, która czuje się zdradzana, jest zdolna dojść do wielu rzeczy, Laiu. Trzeba było tylko zebrać to wszystko razem. Najpierw straciłam cię jako przyjaciółkę. Unikałaś mnie, a w twoich oczach mogłam wyczytać wszystko, co zjadało cię od środka, czego nie mogłaś mi powiedzieć. Potem straciłam jego. Andreu mi go zwrócił przemienionego w niewiniątko. Przynajmniej pozornie. Później... łatwo było zauważyć, że Andreu cię chroni. Ciebie i twojego synka. Nie musiałam o nic pytać. Starłam się, żeby te mętne wody, po których wszyscy troje pływaliśmy, nie zmaciły się jeszcze bardziej. Od zawsze tak robiłam, wiesz? Ja... jak by to powiedzieć, nie jestem nazbyt

odważna. – Chwycił ją gorzki śmieszek. – Na początku najbardziej mnie bolało, że to ty dałaś Ferranowi syna, a ja... ja nie mogłam. Potem urodziły się dziewczynki. I zapomniałam. Staralam się zapomnieć.

Laia wstała i odwróciła się do Roser plecami. Podeszła do swojej szafki i wyjęła z niej buty na płaskim obcasie. Włożyła je na nogi w ciszy, ukryła twarz, bo nie chciała pokazywać momentu słabości.

– To ja raczej powinnam cię przeprosić, prawda? Ja jestem tą złą w całej tej historii. Tą, która przez całe życie brała, co do niej nie należało.

Poczuła rękę Roser na swoim ramieniu. Odwróciła się. Znowu stanęły twarzą w twarz.

– Nie! Nie przyszłam się z tobą rozliczać. Nie ma win, nie ma winnych. Stało się to, co się stało. Ferran... jest, jaki jest. Wierność nigdy nie była jego mocną stroną. A ja przyzwyczaiałam się żyć z tym, co mi dawał. Wychowywać nasze córki. Nie pytać. Nie oglądać tego, czego nie chciałam widzieć. – Roser ujęła Laię delikatnie za łokieć. – Ale w Paryżu wszystko się zmieniło.

– W Paryżu? W czasie wojny?

Roser puściła ją i znowu usiadła. Mówiła, nie patrząc na Laię.

– W Paryżu porzuciliśmy naszą młodość, Laiu, i nie mogę się skarżyć. Wojna, którą ty i tylu innych przeżyliście tutaj, była znacznie gorsza. Ale dla nas, sama nie wiem... Strach przez stratą wszystkiego... przymusowa emigracja... Musieliśmy wyzbyć się naszego życia, małych, błahych rzeczy, które się na nie składały. Przeszłość, to, co zrobiliśmy i czego nie zrobiliśmy, to wszystko zostało za nami. Ważni byli ludzie, których mieliśmy obok. Przyszłość naszych dzieci. Rozumiesz? – Wpatrywała się w nią oczami pełnymi łez, których Laia nie mogła zauważyć, bo trzymała głowę pochyloną. – Nie jesteśmy już tacy sami. Poczułam to po raz pierwszy tak naprawdę już po powrocie do Barcelony, w dniu, w którym dowiedzieliśmy się o śmierci Valentiego. Andreu cię szukał i nie mógł nigdzie znaleźć. Był zdesperowany. A Ferran...

Roser położyła rękę na piersi. Drżał jej podbródek, wydawało się, jakby słowa odmówiły jej posłuszeństwa i nie chciały przejść przez usta.

– Zawsze ignorował jego istnienie – powiedziała Laia; wypowiadała te słowa tak, jakby przeżuwała wzbierającą w niej złość.

– Nie mów tak. Był Andreu, który się o was troszczył. On zajął miejsce, które mu wyznaczono. Jego miejsce. Ale jeśli Andreu nie otoczyłby was opieką, Ferran by to zrobił. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Ferran jest dobrym człowiekiem.

Laia przypomniała sobie popołudnie, kiedy Ferran zwolnił Milę. Od wielu lat o tym nie myślała. Zobaczyła znowu jego wściekły wzrok, oczy, które potem spojrzwały na nią z pożądaniem. Nie. Nigdy później się nad tym nie zastanawiała. Wszyscy, także i ona, zajęli wyznaczone im miejsca.

– Za późno już na to, żeby odzyskać przyjaźń, która nas kiedyś łączyła. Ale chcę, żebyś wiedziała, Laiu, że jeśli czegokolwiek będziesz potrzebowała, zawsze możesz na mnie liczyć.

Laia poczuła przechodzące po jej ciele ciepło. Przytuliła Roser. Obie zapłakały, ich łzy i wspomnienia mieszały się ze sobą. Laia nie mogła przestać myśleć o tym

wszystkim, co z biegiem czasu utraciła. Również o tej szczerzej przyjaźni, która połączyła je w młodości. Życie odebrało jej wszystko.

Roser wyszła, a chwilę później, kiedy Lai udało się zatuszować ślady pozostawione przez tę rozmowę na twarzy, również ona opuściła szatnię. W salonie było już mało ludzi. Miała wychodzić, kiedy jej uwagę zwróciła mała familijna grupka rozmawiająca jeszcze z ostatnimi gośćmi. To byli Closowie. W komplecie. Ferran, Roser i trzy dziewczynki. Ferran z czułością położył najmłodszej ręce na ramionach. Najstarsza, Carlota, spojrzała na nią i uśmiechnęła się. Serce Lai aż podskoczyło z radości. Te oczy były tak samo ciemne i figlarne jak oczy Valentiego.

Laia wyszła na Paseo de Gracia. Wiał lodowaty wiatr. Poprawiła kołnierz płaszcza, by ochronić się przed dojmującym zimnem, które przenikało ją do szpiku kości, i ruszyła w stronę przystanku tramwajowego. Nigdy by nie przypuszczała, że w ciągu dwóch dni przeszłość w ten sposób wyjdzie jej na spotkanie. Najpierw Germán. Teraz Roser. Jak to możliwe? Żyli w kraju, w którym już nikt nie rozmawiał o przeszłości. Ani o wojnie. To było tabu, największe spośród wszystkich. Teraz wszyscy zdawali się patrzeć jedynie przed siebie, chcieli żyć w spokoju. Nic więcej nie miało znaczenia. Ona natomiast chwiała się na skraju przepaści, swojej przeszłości, jakby żyła tylko i wyłącznie po to, żeby domknąć wszystkie drzwi, które nie zostały zamknięte.

Czuła własny oddech, kiedy chuchała opatulona kołnierzem, i przeszedł ją dreszcz. Nie miała ochoty wracać do samotności swojego mieszkania. Musiała z kimś porozmawiać o tym, co jej się przydarzyło, dlatego że tylko kiedy opowiadała, sama była w stanie cokolwiek zrozumieć. Jediną osobą, z którą mogła pomówić, był Octavi. Tylko przed nim ośmielała się otwierać drzwi do swojej przeszłości.

Nigdy nie była u niego w domu, choć wiedziała, gdzie mieszka. Napomknął jej o tym kilkakrotnie, kiedy rozmawiali o innych sprawach: „Z Marią i dzieckiem mieszkaliśmy w skromnym mieszkaniu, ale jakże radosnym... Co pewnie było ich zasługą, to oni rozświetlali je swoją radością. Możesz mi wierzyć, niczego mi nie brakowało. Teraz zostałem sam w ruderze, przy Calle de los Arcs. Zapyziała klatka schodowa, tuż obok leja, który zostawiła po sobie bomba. Dziura, Laiu, dziura, odetchnąć można jedynie z drugiej strony budynku wychodzącego na galerię, skąd rozciąga się widok na rozpląszczone dachy”.

Laia poszła w dół bulwarem Paseo de Gracia aż do placu Cataluña, a stamtąd do Portal del Ángel. Dokładnie na rogu Calle de los Arcs i placu Nueva zobaczyła budynek, który Octavi tak dobrze opisał. Lej po zrzuconej przez nacjonalistów bombie okazał się dobrą wskazówką. Klatka schodowa faktycznie była wąska, ściany obdrapane i całe w pajęczynach. Stopnie, zwłaszcza na środku, zostały wydeptane. Na każdym piętrze tylko jedne drzwi. Zadzwoiła do pierwszego mieszkania, potem do drugiego, nie otrzymała żadnej odpowiedzi, więc wspinała się dalej. Kiedy zadzwoniła do trzeciego, drzwi się otworzyły, a zza nich wyłoniła się zdumiona twarz Octaviego.

– Laia!

– Mogę wejść?

Octavi Morer urodził się w Vicu dwudziestego pierwszego stycznia tysiąc dziewięćset drugiego roku. Jego ojciec, Rossend, razem ze stryjem Narcisem, prowadzili rodzinny interes, który wcześniej należał do dziadków: piekarnię. Składały się na nią sama piekarnia i sklep. Matka Octawiego, Esther, i jego stryjenka Clara pracowały w sklepie, podczas gdy dwaj bracia wypiekali pieczywo.

Przez wiele lat wszystko szło jak z płatka. Tworzyli małą, jako że Octavi był jedynakiem, a stryjostwo nie doczekało się potomstwa, ale bardzo zgodną rodzinę. Jednak coś poważnego musiało zajść między braćmi, bo pewnego dnia, nie wiedzieć dlaczego, Rossend zabrał żonę i syna i na zawsze porzucił rodzinne miasto.

Miejscem docelowym tej niewytłumaczalnej ucieczki okazała się Barcelona. Octavi był wówczas dziesięcioletnim chłopcem, ale na zawsze zapamiętał niepokój towarzyszący pierwszym trudnym momentom w wielkim mieście. Po kilku miesiącach rodzina zamieszkała przy ulicy Remei, w dzielnicy Corts, niedaleko placu Concordia. Rossend Morer wynajął tam lokal na parterze oraz mieszkanie nad nim i zaczął od zera, otwierając nową piekarnię. Ale, nie wiedzieć czemu, już zawsze, nad każdym kątem sklepu, czterema ścianami mieszkania i małżeństwem z Vicu unosiła się dziwna melancholia. Melancholia niepozbowiona poczucia winy i niemych wyrzutów.

Octavi nieźle radził sobie z rachunkami i na początku prowadził księgowość kilku sklepom w dzielnicy, dopóki ojciec nie zmarł w wieku pięćdziesięciu ośmiu lat, a on musiał zająć się piekarnią. Kiedy się to wydarzyło, był już żonaty z Marią, dziewczyną urodzoną w Las Corts, o kruchym wyglądzie laleczki z porcelany. Okazała się ona wystarczająco silna, by zająć się sprzedażą w piekarni, teściową, małym Perem, który dopiero co powiększył rodzinę Morerów, a także wszystkimi najbardziej potrzebującymi z całej dzielnicy. Maria pomagała im, jak umiała, była prawą ręką ojca Bernata, który w kółko powtarzał, że Bóg zesłał mu anioła pod postacią kobiety, wdzięczny za wszystko, co robiła dla parafii.

Szczęście znów nie trwało długo, wybuchła wojna i Octavi w wieku trzydziestu czterech lat został zmobilizowany do republikańskich oddziałów. Jego matka dopiero co umarła, a on wyruszył z krwawiącym sercem, zostawiając żonę i synka samych w burzliwej Barcelonie.

Na froncie listy nie zawsze dochodziły na czas. Octavi z utęsknieniem wyczekiwał paru zdań od Marii. Kiedy pisała mu, że czuje się dobrze, a chłopak rośnie zdrowszy, odczuwał radość. Ale nagle listy przestały przychodzić. Przypisał to klęsce na froncie pod Aragonem, która zmusiła ich do odwrotu pod koniec tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku, po ponad trzymiesięcznej nieustępliwej walce. Octavi zapamiętał ten odwrót na zawsze, kiedy wygłodniali, śmiertelnie przemarznięci, zwyciężeni, przekraczali rzekę Ebro, nie zwracając niemal uwagi na świszczące obok uszu kule, wbijając wzrok w przelatujące im nad głowami setki samolotów siejących zniszczenie i śmierć.

Octavi przeżył. Mimo tylu ofiar on nie stracił życia. Idąc razem z resztą towarzyszy główną drogą prowadzącą do Saragossy, zastanawiał się dlaczego. Dlaczego jeden

żołnierz padał raniony odłamkiem, a inny, idący obok, był nadal cały? Kwestia szczęścia? Przeznaczenie? Nie wiedział. I nie chciał wiedzieć. Podczas tego długiego powrotu jedyną rzeczą, jaka interesowała Octaviego, było to, jak czują się jego najbliżsi, od których tak dawno nie miał żadnych wieści.

W Saragossie zwycięzcy zebrali wszystkich rozproszonych republikańskich żołnierzy, którzy liczyli na jak najszybszy powrót do swoich katalońskich domów, na dworcu kolejowym. Przetrzytywali ich tam przez wiele dni, bez żadnego wyjaśnienia, a oni bali się, że los postanowił wreszcie ściągnąć od nich dług. Aż któregoś ranka zaczęli po kolei ich wołać. Nowa Hiszpania, jedna, wielka i wolna, rozpoczęła działalność i porządkę. Od każdego wzięto imię i nazwisko, wiek, zawód, miejsce zamieszkania, imiona rodziców, deklarację, gdzie znajdował się dziewiętnastego lipca, i datę wstąpienia do armii. Chciano również wiedzieć, czy był ochotnikiem, czy został wcielony przymusowo, oraz czy należał wcześniej do jakiejś lewicowej partii. Kazano też sobie podać dwa nazwiska osób, które mogłyby zaświadczyć, że jest dobrym Hiszpanem i katolikiem.

W ten oto sposób wielu żołnierzy, którym nie udało się znaleźć gwarantów albo mieli lewicowe zaszłości, albo wydawali się podejrzani, bo samorzutnie zgłosili się do oddziałów republikańskich, trafiało do więzienia. Żywi mieli z niego nigdy nie wyjść. Innym udało się uciec. A ci, których przeszłość nie wzbudzała podejrzeń i uzyskali poręczenie, zostali odesłani z powrotem do domów. Tak właśnie zdarzyło się w przypadku Octaviego. Natychmiast podał on nazwisko ojca Bernata, któremu jego żona María tyle pomogła, i dawnego dyrektora magazynów, który, czego był pewien, nie zawaha mu się pomóc.

Kwiecień tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku miał się ku końcowi, kiedy Octavi Morer dotarł do dzielnicy Las Corts w Barcelonie i przekonał się, że po jego domu, piekarni i rodzinie nie zostało ani śladu.

To ojciec Bernat wyciągnął go ze studni rozpacz, w którą wpadał coraz głębiej. To on też załatwił mu pracę w sklepie spożywczym niedaleko Plaza Nueva i pomógł znaleźć mieszkanie. Przetrwac.

I tak Octavi Morer znalazł się wśród tych, którzy żyli, pochłonięci codzienną rutyną, między wspomnieniami, a niedziele spędzał na cmentarzu, odwiedzając swoich zmarłych.

Rok tysiąc dziewięćset czterdziesty czwarty. Franco umacniał swoją dyktatorską władzę przy nieocenionej pomocy wojska i Kościoła. Realizując założenia narodowego syndykalizmu, stawiał coraz więcej przeszkód na drodze opozycji robotniczej przeciw reżimowi. Partyzanci tysiącami przedostawali się do doliny Valle de Arán, nie ustając w walce z dyktaturą, która w czasie nadal trwającej wojny w wyniku nałożonego embarga za sprzedaż wolframu Trzeciej Rzeszy zaczynała odczuwać brak importowanych z Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych produktów naftowych.

Andreu Molins w dalszym ciągu codziennie pojawiał się w sklepie przy Paseo de Gracia, stąpając lekkim rażnym krokiem. Każdego dnia, przechodząc przez drzwi, zdejmował także kapelusz i spoglądał na zdjęcie dyktatora. Dyktator mu się nie podobał. Nie podobały mu się dyktatury. Nie przynosiły ze sobą nic dobrego. Ale od przetrwania przedsiębiorstwa zależało zarówno życie jego pracowników, jak i ich rodzin. Molinsowie znajdowali pewną szczególną przyjemność w płynięciu pod prąd, mieli niewątpliwą łatwość w stawianiu czoła rzucanym im wyzwaniom. A wyprowadzenie na spokojne wody firmy takiej jak jego, odrodzenie *haute couture* w tych jakże trudnych czasach niedostatku, było prawdziwą próbą sił. W życiu Molinsa i jego rodziny znów zapanował odwieczny porządek. Ład, bez którego Andreu nie mógł spokojnie oddychać. Odzyskał swój dom w dzielnicy Sarriá, który znalazł w opłakanym stanie, pozbawiony wszystkiego, co znajdowało się w nim przed wojną: mebli, obrazów, książek, pamiątek rodzinnych. Nowe władze powołały służby odpowiedzialne za odzyskanie straconych dóbr będących własnością powracających. Wypełnione po brzegi magazyny skrywały wszelkiej klasy przedmioty prywatnych właścicieli. Jednak żeby odnaleźć własne, niezbędny był instynkt i niemal detektywistyczne zdolności.

A nawet kiedy już się je odnalazło, nie zawsze łatwo było udowodnić, że były częścią poszukiwanego mienia.

Wierzący praktykujący, tacy jak Andreu i Anna, zanosili wciąż do Boga dziękczynne modlitwy za to, że udało im się przeżyć tę katastrofę, nie ponosząc innych strat niż materialne. Ich dzieci czuły się dobrze. Chowały się otoczone miłością, a przyszłość stała przed nimi otworem. Nie wszyscy mogli powiedzieć to samo. Firma stawała na nogi. Świadomość własnego szczęścia pośród całego dramatu sprawiła, że jeszcze bardziej otworzyły im się oczy na innych. Anna wkładała cały swój wysiłek w opiekę nad najbardziej potrzebującymi dziećmi, których było niemało. O Andreu mówiono w firmie, że pod koniec każdego miesiąca przygotowuje koperty z pieniędzmi. Nikt nie wiedział, dokąd trafiały, ale wszyscy oczami duszy widzieli dawnych pracowników, którzy w wyniku przegranej musieli wyjechać daleko.

Natomiast Santa Eulalia się rozwijała. Rzucone jej wyzwanie w połączeniu z dalekowzrocznością Ferrana Closa przynosiły owoce. Nie stała się na powrót sklepem bławatnym sprzed lat, jej salony mody uważane były za najelegantsze i najszykowniejsze na całym terytorium Hiszpanii. Świadczyły o tym częste wizyty najznakomitszych ludzi,

którzy reprezentowali coś sobą w tym nowym kraju, usiłującym odrodzić się z popiołów. Pewnego dnia salony mody Santa Eulalia postanowiła odwiedzić pewna osobistość budząca powszechne zainteresowanie: żona dyktatora.

Doña Carmen Polo de Franco pojawiła się w Santa Eulalii, ciesząc się złą sławą osoby niepłacącej w sklepach. Andreu Molins, dowiedziawszy się o planowanej wizycie tej wychudłej kobiety o twarzy sierżanta, rodem z wojska swojego małżonka, nakazał ukryć wszystkie najdroższe towary. Następnie zamknął się na trzy spusty w gabinecie, z którego nie wyściubiał nosa przez kolejne dni. Nie był jedynym dezerterem. Reca, który przez wszystkie lata pracy w Santa Eulalii ani razu nie był na zwolnieniu z powodów zdrowotnych, nabawił się przedziwnej grypy. Można by nawet pokusić się o stwierdzenie, że jego republikańskie ideały wobec tak niepożądanego wizyty obniżyły mu odporność.

Ferran Clos i Ramón Martínez zrozumieli, że odpowiedzialność za właściwe podjęcie tak słynnej osoby spoczywa na ich barkach. Ferran przygotował prywatny pokaz dla dyktatorki, a Martínez powierzył Lai, kierownicze salonów, dbanie o wizerunek Santa Eulalii podczas tej słynnej wizyty.

Wszystko było przygotowane, kiedy na Paseo de Gracia, pod numerem sześćdziesiątym, zatrzymał się samochód z przyciemnionymi szybami. W jednej chwili otoczył go szwadron ochroniarzy. W drzwiach sklepu oczekiwał zdenerwowany Ramón Martínez, nie wiedząc, czy może bez narażenia życia podejść do auta. Zaraz pojawił się szofer i otworzył drzwiczki, w których ukazała się ubrana od stóp do głów na czarno doña Carmen Polo, a za nią jakaś kobieta znacznie różniąca się od niej figurą, korpulentna i niskiego wzrostu. Była to jej zaufana przyjaciółka, markiza Huétor. Ich wejściu do sklepu towarzyszyły błyski fleszów. Przywitały się z pracownikami, wsłuchując się z nieukrywaną przyjemnością w objaśnienia udzielane im przez Martineza. Ramón Martínez Rosell wyglądał zawsze nienagannie, co sprawiało, że bardzo dobrze wypadł przy tego typu okazjach. Zawdzięczał to być może atletycznej postawie, a być może jedwabnym krawatom dobieranym tak starannie.

Laia czekała w salonach na piętrze z ogromnym, okazałym bukietem kwiatów, otoczona wianuszkami ekspedientek i krawcowych. Stała przodem do windy, którą miała wjechać Carmen Polo, starając się ukryć grymas niezadowolenia z powodu wyznaczonej jej roli. Była wystrojona, zapięta na ostatni guzik. Ani jeden nieposkromiony kosmyk nie miał tego dnia prawa znaleźć się na nie swoim miejscu. Buty na wysokim obcasie nieco ją uwierały. Usłyszała orszak powitalny w sklepie na dole. Drzwi windy otworzyły się, a żona dyktatora znalazła się w środku. Nagle... zgrzyt, krzyki, tupot nóg i blada spocona twarz na wpół przytomnego Martineza wbiegającego na górę i wrzeszczącego:

– Wezwijcie fachowca, do cholery! *Franca* ugrzęzła nam w windzie między piętrami.

Laia popatrzyła na niego oczami wielkimi jak talerze, wczepiając się w trzymany bukiet, jakby był co najmniej kołem ratunkowym.

– Na Boga i wszystkich świętych! Laiu! Niech pani zostawi te cholerne kwiaty i zadzwoni po elektryka, bo skłonni nam zgotować kolejną bitwę pod Brunete!

Znajomość z Laią okazała się dla Octaviego Morera światłem w ciemnym tunelu, w którym żył do tej pory. Może nawet nie był tego świadomy, a przynajmniej nie od razu, ale dzięki niej tonący statek, w jaki zamieniło się jego życie, znalazł się nagle w bezpiecznym porcie. Myśli obydwójga zakotwiczone były w przeszłości, żyli niczym niewolnicy swoich zmarłych, ale teraz miał przynajmniej z kim o tym porozmawiać, podzielić się własnym bólem, mógł wziąć na siebie ból Lai. Wszystko to pomagało mu oddychać znowu bardziej przejrzystym, czystszy powietrzem. Nie ulegało wątpliwości, że wspomnienie wojny i tego, co utracili, będzie prześladować ich już przez całe życie. Niczym wbite żądło. Ale Octavi wierzył, że mógłby zacząć od początku, jeśli u boku miałby Laię. Przynajmniej tak mu się wydawało. Jeśli faktycznie potrafiłby zaproponować jej nowe życie. Nie był natomiast pewien, czy ona uważa tak samo. Nigdy nie odważył się wyjść poza przyjacielskie stosunki, które łączyły ich cienką przezroczystą nicią. A jeśliby się przerwała?

Jednak tego popołudnia tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku, kiedy niebo z wolna ciemniało w takt świergotania jaskółek, Octavi uśmiechał się niemal szczęśliwy, przekonany, że oto trzyma w rękach coś, co mogło odmienić ich los. List.

Otrzymał go zaledwie kilka godzin wcześniej i to on otworzył przed nim drzwi do nadziei na lepszą przyszłość. Nosił podpis dalekiego stryja, o którym nie słyszał nic od dziecka. To imię i nazwisko, Narcís Morer, widniejące na kartce, zdumiało go. Dla niego było to imię przemilczane, zakazane niepisany prawem u nich w domu, zagubione w fałdach obcego mu rodzinnego dramatu o poważnych konsekwencjach. Czego mógł chcieć od niego po tylu latach?

Szybko się tego dowiedział. Stryj napisał list, będąc już ciężko chory, w wypadku własnej śmierci kazał go doręczyć bratankowi. Opisywał w nim samotność ostatnich lat, na którą skazywał go brak żony Clary, zmarłej dużo wcześniej. Brak dzieci. Brak brata, o którym tyle rozmyślał. Choroba.

Leżąc w łóżku i nie mogąc się podnieść, nawet żeby spojrzeć na ulicę, na której o tej porze jeszcze tętni życie, myślę często o Rossendzie. O tym, co mu zrobiłem. Wiem, że nie żyje i że nigdy mi tego nie wybaczył. Modlę się, żeby teraz, kiedy znowu się spotkamy, udzielił mi przebaczenia, którego za życia nie chciał udzielić. Swojego i Twojej matki, Esther, o której nigdy nie zapomniałem...

Co mogło być na tyle poważne, żeby poróżnić braci? Co miał mu wybaczyć jego ojciec? Jaka uraza może trwać przez całe życie? I dlaczego stryj zachował jego matkę, Esther, w pamięci?

Nasuwały mu się niezliczone przypuszczenia, jednak wolał czytać dalej to, co stryj miał mu do powiedzenia z za grobu. Zebrał się w sobie i skoncentrował całą uwagę na widniejących przed nim słowach:

Niedługo przeniosę się na tamten świat. Widziałem tylu ludzi, którzy ponieśli śmierć, choć na to nie zasługiwali, iż wydaje mi się, że dama z kosą, jeśli o mnie chodzi, po prostu się zapomniała. Wiem, że walczyłeś na froncie. Wiem, że straciłeś rodzinę. Wybacz staruchowi milczenie i brak wsparcia, które teraz, kiedy śmierć czeka na mnie za rogiem, chcę Ci wynagrodzić. Wszystko, czegokolwiek dorobiłem się za życia, jest teraz

Twoje, Octavi. Prawnie. Nie tylko dlatego, że jesteś moim jedynym spadkobiercą, ale też tym sposobem porządkuję bałagan, którego sam narobiłem. Tutaj, w Vicu, gdzie powinieneś się wychować jak wszyscy, którzy wcześniej nosili to samo co Ty nazwisko, czeka na Ciebie dom rodzinny wraz z piekarnią, zamkniętą od lat. Możesz zrobić z nimi, co zechcesz, są Twoje. Jeśli oszczędności mojego całego życia pozwolą Ci otworzyć na nowo piekarnię albo jakikolwiek interes, który pomoże Ci przeżyć w tych jakże ciężkich czasach, uznam, że zrobiłeś z nich dobry użytek.

Octavi o Vicu, gdzie mieszkał przez pierwszych dziesięć lat swojego życia, zachował blade wspomnienie. Rodzinna piekarnia. Wielki dom po dziadkach. A ponieważ rodzice nigdy nie rozmawiali na ten temat, szybko zaczął wierzyć, że to wszystko nie istniało. Teraz wracało do niego, jak mówił stryj, po to, żeby spłacić nieznaną winę. Przeczytał list ponownie, zadumany. W kopercie była także notka, w której proszono go o stawienie się w kancelarii notarialnej w Vicu. Przez chwilę wydawało mu się, że to niemożliwe, nic podobnego nie mogło mu się przytrafić. A jednak się przytrafiło.

Stryj Narcís, zupełnie nieznanemu mu stryj Narcís, przychodził z tamtego świata, żeby rozwiązać jego wszelkie kłopoty.

Usiadł, trzymając list nadal w dłoniach, i obrzucił spojrzeniem wszystko, co miał dookoła. Żył w nędznym mieszkanku, na które składał się pokój z starą kuchnią. Poza zdjęciem Marii i Perego, które ojciec Bernat ocalił ze zgliszczy ich domu, nie było tu nic, co by do niego należało. Ani tu, ani nigdzie indziej. Octavi nie miał nic. Nawet pracy, którą mógłby uznać za własną. Była pożyczona. Zależało mu na niej w tak samo nikłym stopniu jak na wszystkim, co go otaczało. Wszystkim poza Laią, oczywiście.

Przyjaźń z Laią pozwoliła mu przetrwać ostatnie pięć lat. Pięć lat, których nie chciał sobie nawet wyobrazić bez jej towarzystwa. Zawsze jednak myślał, że nie ma jej nic do zaoferowania. Nie mógł poprosić jej, żeby zechciała zobaczyć w nim kogoś więcej aniżeli tylko przyjaciela, z którym mogła wylewać łzy i dzielić wspomnienia. Dlatego że ona odzyskała swoją dawną pracę w sklepie z modą, gdzie spędziła całe życie, gdzie była kimś ważnym.

Ale teraz... Teraz on także miał przyszłość. Jeśliby zechciała, kto to wie, może mogliby razem zamknąć rozdział. Zacząć od nowa. Razem otworzyć sklep w Vicu. Zmienić branżę na taką, która odpowiadałaby Lai. Mogliby patrzeć przed siebie, nawet jeśli nigdy nie zapomnieliby o tym, co za sobą zostawili.

Octavi położył się spać, rozmyślając o tym, że następnego dnia spotka się z Laią. Ileż rzeczy miał jej do powiedzenia! Tej nocy przyśniło mu się dwóch braci podających sobie rękę na znak zgody. Dwie kobiety bez twarzy przypatrywały im się z uśmiechem.

W niedzielę Laia obudziła się w złym humorze. Miała dziwne sny, które sprawiły, że była niespokojna. Przejrzała się w starym lustrze toaletki stojącej w pokoju, który teraz zajmowała ona, jednak wcześniej należał do rodziców Genisa. Był to ten sam pokój, gdzie przespali razem tyle trudnych nocy, trzymając się za ręce. Przesunęła palcem po kurzych

łapkach wokół oczu. Każda zmarszczka mówiła o przeszłości. Pomyślała, że w sierpniu skończy czterdzieści cztery lata. Była kobietą w średnim wieku. Nie umiała dostrzec własnej urody, która nie chciała jej opuszczać, a którą podziwiali inni. Kiedy była dobrze ubrana i umalowana, nadal wzbudzała zachwyt w pracy, taka szczupła i pełna wdzięku. Z tymi oczami o barwie miodu, smutnymi i tajemniczymi. I srebrzystym kosmykiem, który miał ją postarzać, teraz przydawał jej elegancji. Laia nie patrzyła na siebie w ten sposób, bo już w ogóle na siebie nie spoglądała. A kiedy to robiła, tak jak teraz, w jej oczach nie było za grosz sympatii do samej siebie. Octavi powiedział, że w tę niedzielę weźmie ze sobą coś do jedzenia ze sklepu i po wyjściu z cmentarza pójdą na długi spacer, zrobią sobie piknik, a potem, po południu, wybiorą się do kina, na jedyną rozrywkę, jakiej nie zakazano. Oczywiście jeśli będzie ładna pogoda. I była! Ale Laia czuła w środku nadchodzącą burzę. Może byłoby lepiej powiedzieć Octaviemu, żeby przełożyli spacer na inny dzień. Nie chciała w żadnym razie zepsuć mu niedzieli. Przyjaźń z Octavim miała właśnie tę dobrą stronę, że mogła być z nim zupełnie szczerą. Nie musiała niczego ukrywać. Wyszukowała się niechętnie. Bardziej przez szacunek dla swoich bliskich, którzy czekali na nią w cmentarnej ciszy i spokoju. Zebrała włosy i upięła w wysoki kok, włożyła ciemnobrązowy kostium, bardzo wcięty w talii żakiet i wąską spódnicę za kolano. W jej szafie nie było już miejsca na wesołe kolory ani śmiałe desenie. Szarości, brązy i beże należały teraz do jej ulubionych. Nigdy natomiast nie ubierała się na czarno. Żalobę, zawsze tak uważała, należało nosić w sercu, nie na zewnątrz. Zanim wyszła z domu, na głowę założyła okrągły brązowy kapelusik z płaską główką i woalką, która przysłaniała jej twarz, ukrywając oczy.

Znalazszy się na cmentarzu, odwiedziła kwaterę rodziców, gdzie symbolicznie spoczywał Valentí. Następnie cichymi alejkami dotarła do kwatery rodziny Camps, gdzie jak zwykle czekał na nią Octavi. Przywitani się niewinnym pocałunkiem w policzek. Ona nie dojrzała blasku w jego spojrzeniu. On nie zwrócił uwagi na to, że jej oczy zasłzyły gęstymi chmurami.

Tej niedzieli Octavi wydawał się tak radosny i tak rozentuzjasmowany, że w końcu udało mu się wywołać uśmiech na ustach Lai, zarażając ją swoim szczęściem i ciągnąc ją za sobą aż do Font de Gat. Pogoda im sprzyjała. Niebo było przezroczyste i jasne, usiane gdzieśgdzie białymi obłoczkami niczym wacikami.

Ścieżki, kawiarniane ogródki i inne zakątki tętniły życiem wypełnione ludźmi. Wszystko sprawiało, że łatwo było zapomnieć o trawiącym kraj smutku, o przegranej i spadających na niego kopniakach. Zjedli i porozmawiali trochę o wszystkim. Aż Octavi, starając się ukryć własne zdenerwowanie, powiedział:

– Pamiętasz, Laiu, że któregoś dnia powiedziałem ci, że moja rodzina pochodzi z Vicu? Że mieliśmy tam dom i piekarnię?

Laia skinęła głową. Octavi ujął ją za rękę i wygłosił mowę, którą przygotowywał przez całą noc. Kiedy skończył, Laia, wysłuchawszy go, nie przerywając ani razu, podsumowała:

– Czyli stryj wszystko ci zostawił?

– Dom, pieniądze, możliwość otwarcia nowego interesu...

Laia otworzyła szeroko oczy, pozytywnie zaskoczona.

– Cóż za wspaniała wiadomość, Octavi!

– Prawda, że to dobra okazja, żeby zacząć od nowa?

– Oczywiście, że tak!

– Jeślibyś zechciała, moglibyśmy stworzyć coś razem, coś, co ci się spodoba.

Jestem przekonany, że udałoby się nam razem prowadzić interesy.

Oczy Octawiego błyszczały z nadzieją. Laia puściła jego rękę.

– Dlaczego to mówisz? Nie rozumiem.

– Dużo myślałem... Od dawna chcę ci to powiedzieć, Laiu. Wybacz moją niezdarność, jestem bardzo zdenerwowany. Nie miałem ci nic do zaoferowania. Jak mógłbym ci proponować, żebyś klepała ze mną biedę? Ale sytuacja się zmieniła. Życie dało nam drugą szansę.

Laia wstała, niespokojna. Słońce przeświecało przez jej splątane kasztanowe włosy. Poprawiła niesforny kosmyk, który opadł jej na oko. Wcześniej zdjęła zakiet i kapelusik. Podniosła je teraz z ziemi i zaczęła się ubierać.

– Nie rozumiem. Nigdy nie rozmawialiśmy o tym, żeby zmienić cokolwiek w życiu każdego z nas. Ty i ja jesteśmy przyjaciółmi... Ja... mam tu wszystko. W Barcelonie... Skąd ten nagły pomysł?

Octavi również wstał. Ziemia ugięła się pod jego stopami. Zaczął zbierać resztki jedzenia. Wydało mu się, że obłoczki z waty pociemniały i przesłoniły niebo.

– Masz wszystko w Barcelonie? Co takiego tutaj masz? Sama powiedziałaś mi kilkakrotnie, jaka jesteś zmęczona presją i całym szaleństwem pokazów. Powiedz, Laiu, co takiego masz w Barcelonie?

– Moich najbliższych!

– Zmarłych nosimy tutaj! – powiedział Octavi, uderzając się mocno w pierś. – Nie oszukuj się, Laiu. Nie szukaj wymówek. – Stali obydwoje zwrócenii do siebie twarzą, patrząc sobie w oczy. Jego spojrzenie było smutne i pokonane. Jej przestraszone. – Powiedz, że mnie nie kochasz. Albo że nie kochasz mnie tak, jak ja chciałbym, żebyś mnie kochała. Powiedz, że wyobraziłem sobie coś, czego nie ma. Zrozumiem. Ale nie szukaj innych wymówek.

Podniósł głowę i nabrał w płuca ciepłe powietrze, które złagodziło jego wzburzenie. Laia żałowała, że nie umie ani odrobinę go pocieszyć, ale czuła się zupełnie zagubiona. Była przestraszona. Zakłopotana.

– Wybacz mi, Laiu. Nie powinienem był ci o tym mówić. To moja wina.

Ona spojrzała na niego oczami pełnymi łez.

– Myślałam, że jest nam dobrze. Że moglibyśmy tak żyć.

Octavi uśmiechnął się, jakby chcąc się usprawiedliwić.

– Mężczyzna i kobieta... Sam nie wiem. Może tak.

Ruszyli w drogę powrotną. Nad cichym smutnym miastem zaczął zapadać zmierzch, a oni szli w gęstej ciszy, która spowijała wszystko wokół. Octavi czuł przeogromną pustkę. Laia ciężar swojego strachu opadającego jej na ramiona.

Może nazajutrz miał zacząć się zupełnie zwyczajny tydzień. A może nie. Może nic

już nie miało być takie samo.

Po raz pierwszy od pięciu lat Octavi przegapił niedzielne spotkanie z Laią na Montjuïc. Nie było w tym nic dziwnego. Odtrąciła go. Miał powody, żeby czuć się urażony, a może nawet i zawstydzony. Ale jakże zdumiała ją ta miłosna deklaracja! Zupełnie się jej nie spodziewała. Ani tego, że Octavi zaproponuje, by pojechała z nim do Vicu, zostawiając Barcelonę i wszystko, co tu miała. Przez cały tydzień rozmyślała o tym, co jej powiedział. Była zupełnie pewna, że nigdy nie dała mu odczuć, iż ma go za kogoś więcej niż przyjaciela. Dotrzymywali sobie towarzystwa, szanowali się, mogła nawet powiedzieć, że wzajemnie potrzebowali. Ale każde z nich związane było z własną przeszłością i byli za starzy, za bardzo zranieni, żeby móc myśleć o przyszłości. W dodatku wspólnej.

Jednak następnej niedzieli, kiedy Octavi znowu nie przyszedł, jej świat zachwiał się w posadach. Pomyślała, że prawdopodobnie już wyjechał albo przygotowywał się do wyjazdu do Vicu. I najwyraźniej uważał, że nie może już na nią liczyć.

Zabolało ją to. Ale czyżby tego właśnie nie chciała?

Wyszła z cmentarza w czerwcowym słońcu. Wcześniej umyła płyty i zmieniła kwiaty. Jak zwykle. Ale tym razem była rozkojarzona, otaczały ją ściany katakumb, które wydawały się katalogować zmarłych, a ona nie mogła przestać myśleć o zionącej wokół niej pustce. Pustka, jaką w jej życiu zostawił po sobie Octavi, była dotkliwsza niż każda wcześniejsza. Nigdy by nie przypuszczała, że jego nieobecność okaże się tak bolesna.

Wróciwszy do domu, przebrała się i przygotowała sobie obiad, który zostawiła nietknięty na talerzu. Jak właściwie doszło do tego, że wszystko skończyło się w ten sposób?

I co tak naprawdę się skończyło?

Kiedy straciła poczucie sensu rzeczywistości?

Od kiedy żyła w tym świecie, który sama dla siebie zbudowała, w tych okopach chroniących przed wszystkim, co mogłoby ją zranić? Od kiedy pozwalała się kochać, nie dając nic w zamian? Od kiedy żyła jedynie w towarzystwie zmarłych, którzy już raz ją opuścili, więc nie mogli zrobić tego po raz drugi, nie mogli znowu jej skrzywdzić?

Przed oczami stanęło jej spojrzenie Octaviego, to, jak czule się w nią wpatrywał tamtej niedzieli i jego słowa: „Mężczyzna i kobieta...”.

Nie dokończył zdania. Nie było takiej potrzeby. Może to on miał rację, a ona się myliła. Bo uwierzyła, że przyjaźń z Octavim może być taka sama jak z Genisem. Przyjaźń bez wymagań i powinności, do których zmuszają nas relacje damsko-męskie.

Laią wcześniej położyła się spać. Czuła się bezgranicznie zmęczona. Zostawiła w pokoju otwarte okno. Lubiła wpatrywać się w księżyc zawieszony między chmurami. I w świecące gwiazdy, takie spokojne. Ich towarzystwo pomagało jej zasnąć. Zanim zamknęła oczy, zdążyła jeszcze pomyśleć, że nadchodzący tydzień będzie trudniejszy niż którykolwiek wcześniejszy. Tęsknota będzie chciała pożreć ją żywcem. Ale uda jej się przetrwać. I choć będzie tęskniła za Octavim, była przekonana, że podjęła właściwą decyzję. Jej miejsce było tutaj, w Barcelonie, nigdy jej nie opuściła. I nie powinna teraz opuszczać. Dlatego że jej życie zostało już napisane. I nie było dodatkowych stron, żeby

cokolwiek zmieniać.

Przez cały tydzień Laia wykonywała swoją pracę równie dobrze co zazwyczaj. Obsługiwała i bawiła klientki, odnosząc się do nich uprzejmie i z szacunkiem. Rozdzielała prace w salonach mody. Ubierała się elegancko. Czesłała. Malowała. Kompetentna i przekonująca w każdym calu. Jednak gdzieś w środku o każdej porze dnia i nocy towarzyszyła jej pustka, którą pozostawił po sobie Octavi, ten prosty, miły mężczyzna.

Pochłonięta codzienną pracą i trawiącą ją tęsknotą, nie była świadoma uporczywych plotek, które kursowały po Santa Eulalii. Dopóki pod koniec tygodnia nie stały się one namacalną rzeczywistością: Santa Eulalia zamykała siedzibę przy Pla de la Boqueria i otwierała nowy kolejny sklep przy Paseo de Gracia pod numerem dziewięćdziesiąt trzy.

Wiadomość nie mieściła jej się w głowie. Jak to możliwe, że chciano zamknąć sklep przy Pla de la Boqueria? To była ich pierwsza siedziba, sklep matka. Dom ich wszystkich. To nie mogła być prawda.

Pomyślała, że najlepiej całą sytuację nakreśli jej Ramón Martínez Rosell, i udała się do jego biura. Zapukała w drzwi kłykciami palców, nie miała jednak cierpliwości czekać, aż usłyszy głos, który pozwoli jej wejść, i wpadła do gabinetu jak huragan. Zdumiony Martínez zmierzył ją wzrokiem. Nie takich manier oczekiwał od swoich pracowników. Nie tak zwykła zachowywać się Laia. Coś istotnego i poważnego musiało jej się przydarzyć.

– Niech pani wejdzie i usiądzie, Laiu.

Laia wydawała się go nie słyszeć. Pytanie, które paliło jej gardło, wypadło z ust niepoprzedzone żadnym słowem wstępu, z siłą wymierzanego policzka:

– Czy to prawda, co mówi się o Pla de la Boqueria? Sklep zostanie zamknięty?

Martínez odsunął od siebie papiery, którymi się zajmował, i spojrzał na nią uważnie.

– Ach! O to chodzi! Ale niech pani siada.

Laia zerknęła na niego podejrzliwie, jakby był jedynym winnym całego tego zamieszania. Miała nadzieję usłyszeć zaprzeczenie, stanowcze „nie”, tymczasem słowa kierownika działu personalnego potwierdzały jej najgorsze przypuszczenia.

Uparcie stała dalej.

– No dobrze, tak, plotki są prawdziwe – przyznał Ramón. – Niedługo mamy w planach otwarcie nowego sklepu z konfekcją męską niedaleko stąd. Pod numerem dziewięćdziesiąt trzy, przy Paseo de Gracia.

Wobec tej nowiny Laia pozwoliła sobie wreszcie opaść na fotel, tak jakby właśnie opuściły ją siły.

– Nowy sklep? Z męską konfekcją? Nie rozumiem. Przecież najwięcej pracy mamy tutaj, w sklepie z konfekcją damską. Poza tym jest jeszcze sklep przy Boquerii. Po co nam następny?

– Nie, nie, Laiu. Nie rozumiała pani, a konkretnie nie pozwoliła mi pani

dokończyć. Nowy sklep zajmie miejsce tego przy Pla de la Boqueria. Otwarcie sklepu przy Paseo de Gracia było jak dotychczas naszą najlepszą decyzją strategiczną. Tutaj mamy dużo lepsze perspektywy zarobku. Tamten należy do przeszłości, podczas gdy tutaj czeka nas przyszłość. Proszę mi wierzyć, oba sklepy muszą znajdować się jak najbliżej siebie. A lokal, który znaleźliśmy, doskonale nadaje się, żeby przenieść do niego dział męski.

Laia patrzyła na Martinezę, nie widząc go. Nadal miała nadzieję, że to wszystko jest jakąś pomyłką, kłamstwem albo, skąd miała wiedzieć, głupim żartem.

– W takim razie... Co stanie się ze sklepem przy Pla de la Boqueria?

Martínez chrząknął. Nie pojmował, co trudnego widzi Laia w zrozumieniu czegoś tak prostego, miał ją za inteligentną kobietę.

– Sklep przy Pla zostanie zamknięty, oczywiście. Nie stać nas na utrzymanie trzech sklepów. Potrzebujemy pieniędzy na otwarcie nowej...

Laia nie usłyszała jego ostatnich słów. Zapadła się w fotelu, była blada, starała się zdławić łzy i zebrać myśli, szybko, szybciej... Wszystko wokół niej się zmieniało. Czowała się niczym jesienny liść gnany wiatrem. Pozbawiony własnej woli.

Usłyszała, że Ramón Martínez mówi coś do niej. Podeszedł bliżej i stanął nad nią, zmartwiony.

– Rozumiem pani rozczarowanie, Laiu. Mnie też ciężko jest się rozstać z tamtym sklepem, ale interesy...

Laia wbiła wzrok w Ramona. Następnie wstała i powoli, jak gdyby ciężar tej wiadomości przygniótł ją, pozbawiając całej energii, wyszła z gabinetu bez słowa.

Tego popołudnia po wyjściu z pracy nogi Lai prawie same zaniósły ją do sklepu przy Pla de la Boqueria. Kiedy dotarła na miejsce, drzwi były już zamknięte dla klientów, w środku nadal jednak panował ruch. Podeszła do okien wystawowych i oczarowana przypatrywała się eksponowanym towarom, choć tak naprawdę ich nie widziała. Zamknęła oczy i naraz zdało jej się, że z bardzo daleka słyszy: „A ty co? Nic nie wiesz? To Koczek. Kiedy przychodzi po swój kawałek bibuły, to znak, że możemy już zwijać żagle”.

Laia odwróciła się błyskawicznie i rozejrzała, usiłując dojrzeć twarz Mili wśród przechodniów. Oczywiście nie napotkała jej. Uśmiechnęła się. W tym samym momencie drzwi sklepu otworzyły się i wysypała się z niego grupka młodych praktykantów. Laia wpatrywała się w nich przez chwilę, szukając prawdopodobnie figlarnych oczu Damià i Germana. Jakże było jej żal tych chłopaków! Damià poległy w bitwie, a drugi, Germán... Możliwe, że dołączył już do swojego najlepszego przyjaciela.

Jeden z wychodzących praktykantów zapalił papierosa. Laia, niczym w transie, wpatrując się w żar, przypomniawszy sobie scenę sprzed tylu, tylu lat: „Ładna historia! Teraz będziesz nas szantażować?”.

Na samą myśl o tamtym dniu nieśmiały uśmiech osiadł na jej ustach. Woląла pamiętać Damià i Germana takimi, jacy byli wtedy – młodzi, nierozłączni, beczelni, bardzo żywi.

W tym momencie ze sklepu wyszedł stary krawiec, przerywając jej wspominki.

– Panienska Calvet! Cóż za niespodzianka! Dawno pani nie widziałem. Pewnie teraz nie chce się już pani zadawać z biednymi pracownikami z Pla de la Boqueria...

– Dobry wieczór, panie Macip.

– Czeka pani na pana Molinsa?

– Pana Molinsa? Jest u siebie?

– Jasna sprawa, w gabinecie. Teraz mają nas przenosić, więc ma dużo więcej pracy, przychodzi częściej niż wcześniej. Pewnie przejrzyć papiery i wszystko uładzić. Chociaż, wie panienska, tak między nami mówiąc, zdaje mi się, że pana Molinsa ogarnia nostalgia. Sama pani wie... Nostalgia za tym wszystkim... – Mężczyzna ruchem ręki i spojrzeniem objął cały budynek. Uśmiechnął się i popatrzył na Laię. – Niech panienska wchodzi, wie pani, że pan Molins nie lubi, jak mu się każe czekać.

Laię weszła do sklepu. Jej kroki rozeszły się echem w samotności śpiących kontuarów, przykrytych materiałów osłoniętych przed kurzem. W samotności niemych głosów.

Weszła po schodach, kierując się do gabinetu, jednak wcześniej na chwilę zatrzymała się przed pracownią krawiecką numer trzy. Rozejrzała po kątach, które nadal żyły w jej pamięci. Odniosła wrażenie, jakby chór dobrze znanych głosów witał się z nią. Ręką delikatnie przesunęła po szybie pracowni, w której przez tyle lat szyła Carmen. Zdawało jej się, że widzi ją pośród cieni, z czarną poduszczką na igły przyczepioną do piersi, skoncentrowaną na pracy.

Jak zwykle.

Jakby nadal żyła.

Mama...

Weszła po schodach jeszcze wyżej i zatrzymała się przed gabinetem Molinsa, tak jak tyle lat wcześniej. I tak jak tamtego popołudnia zastanowiła się, czy powinna wejść do środka. Być może, jeśli to zrobi, tak jak stało się wtedy, wszystko się zmieni. Uśmiechnęła się smutno. Cóż mogło się jeszcze zmienić?

Zapukała do drzwi.

– Proszę.

Laię weszła. Andreu Molins wstał, wyraźnie zdziwiony na jej widok.

– Laię!

– Panienska Molins... Andreu...

– Widzę, że pani też miała potrzebę przyjść tutaj, zanim to wszystko... zanim ten sklep, w którym tyle przeżyliśmy, zniknie.

Wypowiedział te słowa z uśmiechem na ustach. Co było o tyle niecodzienne, że Molins rzadko się uśmiechał. Traktował życie bardzo poważnie, za bardzo, zwykł mawiać Ferran Clos. Ale kiedy się uśmiechał, ulegał przemianie i wydawał się kimś innym: patrzył miłym okiem. Niewiele osób miało okazję oglądać takiego Andreu Molinsa. Laię zaliczała się do wąskiego grona wybrańców. Usiedli. Laię zajęła ten sam fotel co wówczas, kiedy opowiedziała Andreu swoją historię z Ferranem. Miała wrażenie, jakby czas się zatrzymał.

Czas...

– Ileż przeżyliśmy w tych murach, prawda, Laiu?

Skinęła głową i gorzki uśmiech przebiegł po jej wargach. Oczy błyszczały, z wzruszenia cała drżała. To była godzina wspomnień.

– Pamięta pan panią Dalmau, Andreu?

– Oczywiście. Takich kobiet się nie zapomina.

– „Panienko Calvet, ależ pani dzisiaj jest roztrzepana. Proszę łaskawie pozbierać te szpilki z podłogi, i żebym nie musiała tego powtarzać” – powiedziała Laia, naśladując metaliczny głos Dalmau.

Zaśmiali się obydwój.

– A pamięta pani pana Boscha zaciekle walczącego z praktykantami? – wtrącił Molins. – Przede wszystkim z tą dwójeczką... Damià i jego przyjacielem Germanem. Biedni chłopcy. – Cisza rozciągnęła się, przykrywając wspomnienia niczym całun. Dlatego że teraz wspomnienia zabarwiały się krwią. – Ale ten numer, jaki wykręcili...

– Proszę mi wierzyć, nawet o połowie ich numerów pan nie słyszał.

Podniósł na nią wzrok i spojrzał zza okularów. Poważny. Trwało to kilka sekund. Po czym na twarzy natychmiast pojawił się nowy uśmiech.

– Miałem szczęście, Laiu. Zawsze otaczali mnie oddani, ciężko pracujący ludzie, którzy kochali tę firmę niczym własny dom. Co zrobilibyśmy bez pana Closa? – Laia skinęła głową. – I bez pana Campsa, takiego eleganckiego, dostojnego, zawsze wiedzącego, co powiedzieć...

– Klientki za nim przepadały.

– I bez pani, Laiu, to dzięki pani salony mody są dziś tym, czym są.

Laia zmusiła się do uśmiechu.

– Udało nam się tutaj dotrzeć. Kończy się pewna epoka, Laiu. Zaczyna się następna. Wspomnienia będziemy nosić w sercu. Tak samo jak w sercu nosimy tych, którzy nam towarzyszyli. Ale musimy patrzeć w przyszłość. Dlatego że mamy jeszcze daleką drogę przed sobą.

Laia, która wbiła wzrok w podłogę, zerwała się teraz na równe nogi, nie będąc w stanie tłumić dłużej szloch. Andreu wstał i podszedł do niej, pokonując dzielący ich dystans. Stał sparaliżowany, nie wiedząc, jak zareagować, a Laia poszukała schronienia w jego ramionach. Uścisnął ją łagodnie, tak jak zawsze pocieszał swoje dzieci, i pozwolił jej się wypłakać.

– Andreu, myśli pan, że zawsze można wszystko naprawić?

– Tak myślę.

– Wszystko, co się wydarzyło, było takie straszne. Okropne.

Andreu rozluźnił uścisk i spojrzał Lai w oczy. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę. Miała wyhaftowane jego inicjały i była starannie złożona. Podał jej.

– Wierzę, że Bóg daje nam zawsze drugą szansę.

– Nie jestem wierząca.

– Może to pani nazwać dowolnie: Bóg, życie, przeznaczenie... Niczego to nie zmienia.

– Andreu, muszę już iść. Nie chcę stracić mojej drugiej szansy.

– Iść?

– Tak. I to natychmiast. Wie pan, muszę spróbować... zacząć od początku. Jest ktoś... Ktoś, kto może... Jeśli nie jest jeszcze za późno...

Andreu spojrział na Laię w milczeniu. Nie był typem mężczyzny, który manifestował uczucia, ale jego śmiejące się oczy i usta go zdradziły.

– W takim razie musi się pani pospieszyć. Służę samochodem, Laiu. Jedźmy, proszę dłużej nie zwlekać.

Samochód zatrzymał się na Plaza Nueva. Laia położyła dłoń na ramieniu Andreu Molinsa. Zostało jej do powiedzenia jedno słowo:

– Dziękuję.

– Powodzenia, Laiu.

Już miała wysiąść z samochodu, ale nagle odwróciła się do niego.

– Pana chustka!

Była zwinięta w kulkę, mokra od łez i cała pognieciona. Molins spojrział na nią z obrzydzeniem.

– Niech ją pani zatrzyma – powiedział z uśmiechem.

Z miejsca, w którym zatrzymał się samochód, widać było budynek Octaviego, stary i brudny. Laia miała w pamięci swoją pierwszą wizytę i to, jakie wrażenie zrobiło na niej zdjęcie Marii i Perego. Maria była brunetką o anielskiej twarzy, na fotografii siedziała, trzymając od tyłu swojego synka, na oko ośmioletniego. Obydwoje pochylali głowy. Prawie się nimi stykając. Uśmiechali się.

Laia otworzyła drzwi wejściowe i wspięła się po schodach o wytartych stopniach aż na trzecie piętro. Kiedy stanęła pod drzwiami, nie mogła złapać tchu. Bardzo chciała zastać Octaviego. Miała nadzieję, że jeszcze nie wyjechał.

Oby nie, Octavi.

Oby jeszcze nie.

Zapukała. Jeden, dwa, trzy razy. Miała wrażenie, jakby serce podeszło jej do gardła i jeszcze wyżej. Za drzwiami nic nie było słychać.

Octavi.

Czy to możliwe? Czy znowu się spóźniła? Pozwoliła uciec szansie, którą dało jej życie?

Odwróciła się powoli, nie chciała schodzić, nie chciała oddalać się od tych zamkniętych drzwi. Nie chciała wracać do swojej odwiecznej samotności. I nagle usłyszała zgrzyt. Zgrzyt otwieranego zamka. I zobaczyła słodkie oczy Octaviego uśmiechającego się do niej na progu.

Rzuciła mu się w ramiona. Ich usta spotkały się, splatając w namiętym pocałunku. Kiedy oderwali się od siebie, Laia zapytała:

– Przyszłam za późno?

– Nie, Laiu, nigdy nie jest za późno.

Andreu Molins czekał w samochodzie przez dłuższą chwilę. Wspomnienia

pojawiły się, by dotrzymać mu towarzystwa: jego ojciec, ten moment, kiedy przyszło mu stanąć na czele magazynów, wojna... I ta młoda zdesperowana dziewczyna, która przyszła prosić go o pomoc, a stała się nieodłączną częścią Santa Eulalii w jej najlepszym okresie, ta sama kobieta złamana przez życie, którą odnalazł w małym mieszkanku w Clot, złożoną w grobie za życia. Laia nie wracała. Był pewien, że wreszcie znalazła to, czego szukała. Pojednała się z życiem i sama ze sobą.

I swoim łagodnym, ale zdecydowanym głosem zwrócił się do szofera:

– Esteban, zawieź mnie do Santa Eulalii. Do domu.

Podziękowania

Ta powieść nie powstałaby nigdy, gdyby nie entuzjazm i pomoc pana Lluisa Sansa, który tak jak wcześniej jego pradziadek, jego dziadek i jego ojciec, zarządza Santa Eulalią.

Kiedy pojawiłam się u niego po raz pierwszy, by opowiedzieć mu o moim pomysle napisania powieści zainspirowanej życiem jego dziadka, Lluisa Sansa Marceta, i całą epoką, w której przyszło mu prowadzić rodzinną firmę, rozbłysły mu oczy. Odetchnęłam z ulgą. To, co do tej pory było jedynie nazbyt odważnym projektem, zaczynało przypominać plan książki.

Lluís Sans przedstawił mi dawnych pracowników magazynów, którzy zapełnili naprędce powstające strony mojej powieści niezwykle wartościowymi historiami i którym bardzo za to dziękuję. Są nimi: José Luis Ríos (z administracji), Tomás Calvo (z pracowni krawieckiej), Cinto Juanes (główny oddział, dział sprzedaży), Julio Pavía (przedstawiciel handlowy), Ernest Danés (przedstawiciel handlowy), Josep M. Vidorreta Jordà (z administracji), M. Carme Giró Santos (salony mody), Joana Bastard Badia (kasjerka).

Jestem wdzięczna im wszystkim za podzielenie się ze mną tyloma wspomnieniami i dobrym nastrojem.

Chciałabym również podziękować za poświęcony mi czas pani M. Carmen López. Jej doświadczenie w pracy w salonach Santa Eulalii było dla mnie niezwykle pomocne.

Dziękuję Victorowi M. Ameli za udostępnienie mi wywiadu z jego ojcem, Franciskiem Amelą. Po stokroć dziękuję zarówno jemu, jak i jego uroczej małżonce, którzy wpuścili mnie do swojego domu i razem wspominali czas spędzony przy Pla de la Boqueria.

Esperança Jordà i Núria Ferran z Santa Eulalii zawsze zajmowały się mną z uśmiechem, dziękuję.

Jestem również winna podziękowania Laurze Casal Valls. Jej nadzwyczajna praca doktorska, *La figura de la modista i els inicis de l'alta costura a Barcelona* (Postać krawcowej i początki *haute couture* w Barcelonie), stała się dla mnie punktem odniesienia, kiedy zaczynałam swoją mozolną, ale jakże emocjonującą dokumentację. Laura odpowiedziała również uprzejmie na moje pierwsze naiwne pytania na temat świata mody, z którym nie zetknęłam się nigdy wcześniej. Bardzo Ci dziękuję, Lauro.

Wyrazy wdzięczności kieruję także pod adresem moich agentek literackich, Sandry Bruny i Berty Bruny, za pokładaną we mnie wiarę i za to, że są, jakie są. I, naturalnie, pod adresem całej ekipy, która tworzy agencję Sandra Bruna Agencia Literaria.

Dziękuję wreszcie moim domownikom za stoicki spokój, z jakim wytrzymują „nic mi nie wychodzi” i wszystkie „chyba to zostawię”.

Jak sami mogliście się przekonać, w tej książce jest prawie więcej dusz niż słów.

¹ Piosenka *Hejże, Quima!* w tłumaczeniu Szymona Żuchowskiego.